

do
Silvanesti

Podmorskie
lasy
(Koral)

Urione (widok z boku)

N

Równina

URIONE

Ogród
wodorostów

Podmorskie drogi

Kowadfo
(Podmorska
góra)

GORY

Rybiarnia
(hodowla krabów)

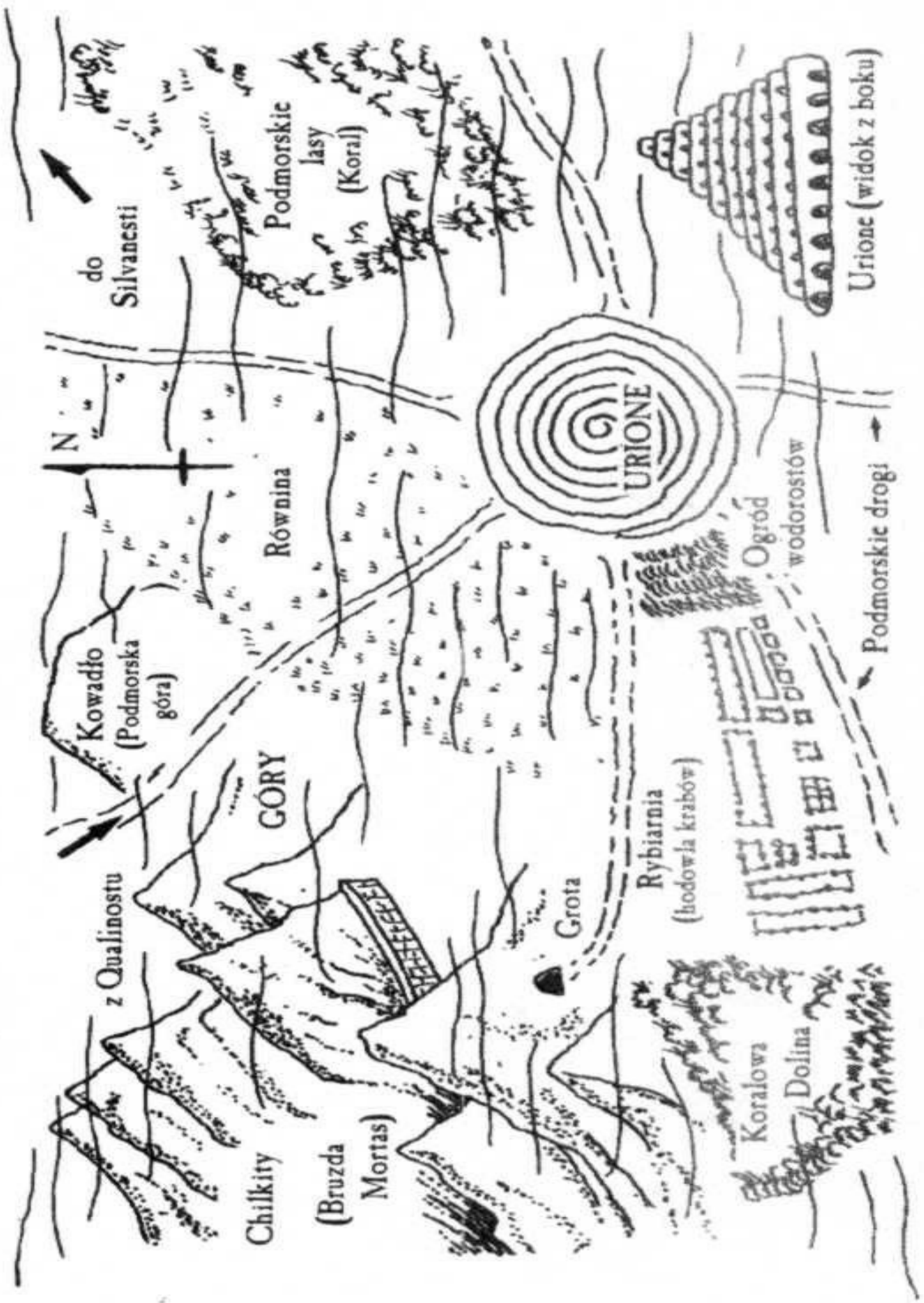
Grota

z Qualinostu

Chilkity

(Bruzda
Mortas)

Koralowa
Dolina



19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

Dragonlance Saga Zaginione opowieści, tom 3 Paul B. Thompson & Tonya Cook Dargonesti
Morskie elfy (Przełożył Andrzej Sawicki)

Mojemu bratankowi Matthew Craigowi Carterowi enfant chéri T.C.

Rozdział 1 - Wyprawa ratunkowa Gnane południowym wiatrem, wysokie kolumny dymu unosiły się nad gęstym lasem u ujścia Rzeki Zielonego Ciernia. Bardziej wymowne były jednak napływające z delty i Zatoki Ergoth zniszczone wozy, pnie spalonych drzew, trupy ludzi i koni. Wojna domowa tocząca się w Ergoth dotarła nawet na to niegdyś spokojne wybrzeże. Stojąca w bocianim gnieździe qualinestyjskiego statku „Wieczorna Gwiazda” księżniczka Vixa Ambrodel ze smutkiem patrzyła w stronę horyzontu na widoczne tam pobojuwisko. Jej wuj, Mówca Słońca elfów Silvanesti, wysłał ich aż tutaj, na południowo-wschodnie wybrzeże Ergoth, z odsieczą dla uciekających tędy z terenów ogarniętych wojną kilku ważnych osobistości z plemienia qualinestyjskich elfów. Zakotwiczeni w spokojnej zatoce, już drugi dzień czekali na ambasadora Quenavalena, jego rodzinę i orszak - ale nie dostali od nich żadnego znaku. - Zauważyłaś, pani, coś nowego? - zawołał z pokładu siwy, niemłody już elf. - Ogień płonie na obu brzegach rzeki - odpowiedziała Vixa, osłaniając oczy przed słońcem. - Generał Solamnus przesuwa siły bardzo szybko. Rozumiem, że wciąż nie ma śladu Quenavalena ani jego orszaku. - Na rzece widać tylko szczątki. Ostrożnie, legacie, już schodzę. Objąwszy nogami zwisającą z bocianiego gniazda linę, zsunęła się w dół. Ostatnie cztery stopy pokonała, zeskakując na pokład. Łażenie po takielunku w zbroi nigdy nie było łatwe, a przy panującym tu okropnym upale stawało się niemal torturą. Vixa dyszała ze zmęczenia. Ludzie stanowiący większość załogi „Gwiazdy” leżeli na pokładzie i udawali obojętność. Inaczej zachowywały się elfy z drużyny Vixy, dwudziestu wybranych z miejskiego garnizonu krzepkich i wytrzymałych Qualinestyjczyków. Od dwu dni byli gotowi do walki, nawet jedli i spali w zbrojach, odkąd „Gwiazda” zarzuciła kotwicę. Byli niespokojni i rwali się do bitki. Widok kłębow dymu na horyzoncie tylko podgrzał ich nastroje. W zasięgu wzroku rzekę znaczyły plamki małych łódek i canoe. Większość łodzi przewoziła niedobitków uciekających przed pościgiem armii generała Vinas Solamnusa. Wojska Imperium Ergoth były w rozsypce, niezdolne stawić otwarty opór Solamnusowi. Zamiast tego odstępowały, nękając nieprzyjaciela przy każdej nadarzającej się okazji. Członkowie oddziałów osłonowych podkładali ogień wzdłuż Rzeki Zielonego Ciernia i podpalali zboża na pniu i spichlerze, by pozbawić ludzi Solamnusa żywności. Z każdą godziną przy ujściu rzeki pojawiali się nowi uciekinierzy, rozpaczliwie szukający ocalenia i ucieczki z terenów objętych walkami. Większość z nich stanowili wieśniacy lub leśnicy, których zaskoczył rozwój wydarzeń. Z radością powitali obalenie szalonego imperatora, nie byli

jednak przygotowani na poniesienie związanych z tym kosztów. Zniszczone domy, spalone plony, zabici lub okaleczeni najbliżsi - wszystko to okazało się ceną, jaką przyszło zapłacić powstańcom. Vixa przejęła z rąk legata Armantaro swój polerowany, srebrny hełm, ale nie włożyła go na głowę. Lekki wietrzyk przyjemnie chłodził jej twarz i wicherzył krótko przycięte pszeniczne włosy. Księżniczka była wysoka - przy swoich sześciu stopach wzrostu o całe dwa całe przerastała swego legata. Przez chwilę oboje stali ramię w ramię, badając wzrokiem odległy brzeg. Milczenie obojga przerwał Harmanutis, dziesiętnik miejskiej straży, który podszedł do Vixy i sprężyście zsalutował. - Pani... chcielibyśmy wiedzieć, jak długo przyjdzie nam tu jeszcze czekać? - powiedział, wyprężając się niczym struna. Armantaro zmarszczył brwi. - Ile będzie trzeba, dziesiętniku. - Ma prawo wiedzieć - mitygowała go księżniczka. - Dziesiętniku, jeśli ambasador nie zjawi się do południa, będziemy

musieli coś zrobić. - Ukontentowany tą enigmatyczną w istocie odpowiedzią, Harmanutis raz jeszcze zasalutował i odszedł, by podzielić się rewelacją z towarzyszami. Stojący obok księżniczki stary legat uśmiechnął się lekko. - To znaczy... co zrobimy, pani? - Jak już będę wiedziała, tobie powiem pierwszemu. - Księżniczka odwzajemniła uśmiech, co złagodziło nieco bruzdy strapienia na jej twarzy. Vixa wyglądała na nie więcej niż osiemnaście, dwadzieścia lat. Elfy bowiem podlegają upływowi czasu w mniejszym stopniu niż ludzie i Vixa w rzeczywistości miała lat sześćdziesiąt pięć. Od sześciu lat służyła w armii Qualinostu, głównie pod dowództwem swej wojowniczej matki, lady Verhanny Kanan, która z kolei była córką wielkiego Kith-Kanana, pierwszego z Mówców Słońca. Pomimo świetnego urodzenia, Vixa zaciągnęła się jako prosty żołnierz i ciężko pracowała na awanse, o co już zadbała jej matka. Ta misja była pierwszym samodzielnym zadaniem dziewczyny. Na brzegu zaczął się jakiś ruch i kto żyw biegł ku relingom. Wzdłuż linii fal kłębił się tłum Ergothańczyków. Obładowani tobołami i workami, zbiegali z piaszczystego zbocza i gnali brodem przez rzekę. Słabsi i starsi potykali się i przewracali - deptano po nich bezwzględnie - nikt jednak nie zatrzymywał się, by im pomóc. Wkrótce też elfy poznały przyczynę paniki. Spomiędzy drzew na południowym brzegu rzeki wyłonili się konni. Byli to ludzie noszący resztki barw ergothańskich i zbrojni w lance. Korzystając ze swojej liczebnej przewagi, runęli niczym lawina na bezbronnych uciekinierów. - To regularny oddział armii Ergoth? - spytał Vanthanoris, jeden z wojów Vixy. - Nie - odpowiedział Armantaro. - To dezercerzy... i jestem gotów się założyć, że zwykli bandyci.

Z coraz gniewniejszymi minami elfy patrzyły, jak konni wdeptywali bezbronnych zbiegów w płytkie wody i przeszywali leżących włóczniami. Niektórzy z łotrów zeskakiwali nawet z siodeł, by sprawniej obdzierać leżących z ich mizernego dobytku, choć niewiele było do zabrania. - Łajdaki - mruknął Armantaro. Vixa położyła dłoń na ramieniu starego woja. - Wiesz, legacie, te ścierwojady są poważnym zagrożeniem dla ambasadora - powiedziała niespiesznie. - Nie można dopuścić do tego, żeby Jego Ekscelencja był niepokojony przez takich jak ci nieszczęśnicy... nieprawdaż? Błękitne oczy Armantaro bystro spojrzwały na księżniczkę. - W rzeczy samej, pani. Żadną miarą nie wolno do tego dopuścić. Księżniczka skinęła głową. Legat odwrócił się od relingu i zawołał do kapitana: - Mości Esquelamarze! Spuść, proszę, szalupy! Żołnierze, do broni! Hełmy i tarcze zostają na pokładzie. Bierzcie tylko miecze i łuki! Na pokładzie zawrzało. Vixa odłożyła swój hełm, kładąc go obok tarczy z bukiem. Opierając jeden szczyt swego podwójnego łuku o stopę, przełożyła go od tyłu przez udo i przyginając prawą dłoń, lewą od przodu nałożyła cięciwę. Zanim zdążyła przerzucić przez ramię kołczan ze strzałami, oddział Qualinestyjczyków stał już karnie u burt. Żeglarze opuścili dwie szalupy - każdą z jednej burty. Armantaro objął komendę nad jedną, z jej dziesięcioma łucznikami, Vixa zaś zajęła się drugą. Powierzchnia morza była gładka jak szkło. Żeglarze stęknęli nad wiosłami, łodzie śmignęły po toni i wkrótce dotarły do małej wysepki u ujścia Zielonego Ciernia. Niektórzy z uciekinierów usiłowali schronić się na tym mizernym skrawku lądu. Kiedy ujrzeli lądujące zbrojnie elfy, z okrzykami przerażenia ponownie rzucili się do rzeki. - Stać! - zawołała Vixa. - Przybyliśmy tu dla waszej ochrony! Wyczerpani mężczyźni i udręczone kobiety bojaźliwie zaczęli wracać na wysepkę. Armantaro spytał krępego jegomościa wyglądającego na kowala, skąd przybył. - Z wioski nad Jodłowym Ruczajem, wasza miłość - odpowiedział zapytany, łypiąc okiem na błyszczący kirys elfa. - Do rzeki podążaliście za strumieniem? - spytała Vixa. - Tak, panienko... to coś ze czterdzieści mil, albo i więcej. - Widzieliście po drodze jakieś elfy? Bogato odziane... w grupie liczącej dwadzieścia kilka osób? Kowal kiwnął głową. - Ależ tak! Widziałem takich jak wy, panienko... jakieś cztery mile stąd, na północnym brzegu. - Kiedy to było?

- Nie dalej jak wczoraj, panienko. W tejże właśnie chwili opryszkowie, którzy uporali się już z obdzieraniem pomordowanych na plaży, zebrali się ponownie i zaczęli wygrażać uciekinierom na

wysepce. Qualinestyjczycy karnie wystąpili na przód, formując szereg przed zbiegami. Wszyscy mieli już w dłoniach łuki ze strzałami na cięciwach. Widok niezbyt licznej grupki obrońców wcale nie przstraszył konnych dezertarów. Podnosząc w górę zrabowane dobra, zaczęli bezkarnie szydzić z elfów. - Wynoście się precz, pókiście cali, Długousi! - wrzasnął jeden z nich. Vixa zmrużyła oczy. - Przypomnijcie im o dobrych manierach - poleciła spokojnie. Elfy uniosły łuki i wkrótce bandytów smagnał deszcz strzał. Natychmiast opustoszało z pół tuzina siodeł. Drwiny bandytów ucichły, po czym jeźdźcy jak jeden mąż zawrócili konie i schronili się w lesie. - To było dość łatwe - zauważył Armantaro. - Liczyłem na porządną walkę! - uskarżał się Harmanutis. Vixa zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Możesz jej mieć więcej, niż się spodziewasz, dziesiętniku. Poleciła załodze jednej szalupy wywieźć Ergothańczyków z łachy. Trzeba ich będzie rozdzielić na pozostałe łodzie, znajdujące się w zatoczce. Drugą łódź, z dwudziestką łuczników i legatem, skierowała ku północnemu brzegowi rzeki. Było już niemal południe i z nieba lał się żar nie ustępujący chyba temperaturą tchnieniu kuźni Thorbardinu. W powietrzu unosiły się też kłęby dymu. Przebiwszy się przez spływające z prądem zgliszcza, szalupa Vixy dotarła do odleglejszego brzegu. Tłusta woda jakby przyklejała się do wiosła i zatrzymywała łódź. - Dziwne - odezwała się księżniczka. - Powietrze jest ciężkie jak przed burzą, a przecież na niebie nie ma chmur. Jeden z wojowników o imieniu Palathidel podniósł głowę znad wiosła: - Tym gorzej dla nas! - mruknął. Vixa machinalnie kiwnęła głową. Gdzie, w imię Otchłani, podziewał się Quenavalen i jego orszak? Kapłani i magowie w służbie Mówcy Słońca niechybnie pracowali nad zaklęciami, umożliwiającymi przesłanie ambasadorowi wieści o nadciągającym ratunku. Usłyszała chrzęst piasku rozgniatanego dziobem szalupy. Vixa i kilku wojowników przesadzili burty i wciągnęli łódź głębiej, po chwili zaś dołączyli do nich pozostali i szalupę osadzono na brzegu. - Idziemy brzegiem - polecił Armantaro, gdy wojownicy gotowali łuki. - Trzymajcie się

rzeki i baczcie na boki. Nie chcemy chyba wpakować się w zasadzkę. Ustawwszy się w rząd, elfy ruszyły wzdłuż rzeki. Ciągłe spływały nią dalsze dowody szalejącej w górnym biegu pożogi wojennej, potrzaskane i osmalone tratwy niosące trupy swych budowniczych i pasażerów, spływające z nurtem skrzynie i paki, zgniecione łodzie. Potem z dali elfy usłyszały odgłosy trąbek. Wojownicy zatrzymali się natychmiast. Dźwięki tych instrumentów oznaczały - prawie na pewno - zbliżanie się czołowych oddziałów Vinasa Solamnusa. Trzaski wśród leśnego poszycia wyrwały z ust Armantaro serię krótkich rozkazów. Wojownicy ustawili się na piasku w pusty wewnątrz czworobok. Legat i Vixa zajęli miejsce pośrodku - i zaraz potem spod drzew wypadli jacyś jeźdźcy. - Gotuj się! - rozkazał Armantaro. Dwadzieścia drzewc uniosło się niczym jedno. - Spokojnie, chłopcy. Niech mi nikt nie wystrzeli bez rozkazu. Jeźdźcy nadciągali z grzmotem kopyt. Owszem, byli to imperialni kawalerzyści, kiedy jednak wypadli spod drzew, Vixa i jej wojownicy spostrzegli natychmiast, że tylko nieliczni z nich dzierżyli oręż w dłoniach. Mieli też pokrwawione gęby, postrzępione kawaleryjskie opończe i jedynie paru miało na sobie kirysy. Spod drzew tymczasem wyłaniał się kolejni konni. Gnający na przedzie oglądali się ze strachem za siebie - przed siebie również patrzyli z niepokojem, niepewni tego, co ich czeka teraz... a oddziały Solamnusa parły tuż za nimi. Z odległości trzydziestu kroków nie dostrzegli jeszcze oddziału elfów. Wkrótce na brzegu rzeki była już niemal setka kawalerzystów. I dopiero wtedy zobaczyli leśnych wojów. Rozległ się wrzask: - Piechota! Solamnijska piechota! - po czym jeźdźcy zwarli szeregi i ławą runęli na nieliczny oddziałek elfów. - Celować w pierwszych! - syknął Armantaro. - Gotowi? Puuuść! Na pierwszych jeźdźców spadła ulewa strzał. Pierwszy szereg zmiotło na piach i o ciała ludzi i koni natychmiast zaczęły się potykać rumaki następnych napastników. Śmiercionośny deszcz strzał zwał na ziemię kolejnych nacierających, tworząc z nich beładnie się przewalającą, dziko wrzeszczącą i kwiczącą

masę jeźdźców, pieszych, wreszcie trupów końskich i ludzkich. Przez chwilę wyglądało nawet na to, że elfy odeprą kawalerzystów i utrzymają pole. I wtedy skończyły im się strzały. - Miecze w garść! - krzyknęła Vixa. Dwadzieścia łuków padło w piach. Pozostali Ergothańczycy wydostali się spomiędzy ciał poległych kompanów, zebrali się razem i ruszyli do szarży. Nie byli odpowiednio uzbrojeni - niektórzy w ogóle nie mieli oręża, jeśli oczywiście nie liczyć bojowych rumaków - liczbą nadal jednak znacznie przerastali oddział żołnierzy z Qualinostu. Szyk elfów pękł natychmiast i wojownicy ustawili się w pary i trójki. Błysnęły miecze. Vixa stanęła grzbietem do Vanthanorisa, elfa o kagonestyjskim rodowodzie i pierwszego

szermierza Qualinostu. Wykonawszy zwód, pchnął i uchylił się przed napierającymi jeźdźcami. Ergothańczycy dźgnęli konie ostrogami. Vanthanoris szybko oczyścił cztery siodła mistrzowskimi, oszczędnymi pchnięciami, ale koń piątego jeźdźca uderzył go piersią i napierany ostrogami, usiłował stratować. Vixa natychmiast stanęła nad powalonym towarzyszem, osłaniając go własną klingą. Zaciekła walka skończyła się równie szybko, jak wybuchła. Kawalerzyści pognali w dół rzeki, zostawiwszy w piachu martwych lub ciężko rannych kompanów. Mały oddziałek Vixy poniósł dotkliwe straty - dziesięciu wojowników miało połamane ręce lub nogi i liczne krwawiące rany głowy. Vanthanoris podniósł się z piachu, sponiewierany, ale cały. - Pani... jestem twoim dłużnikiem - rzekł, odsuwając z czoła pasmo srebrnych włosów i kłaniając się dwornie. - Głupstwo... - odparła rada, że utarczka już się skończyła. Zebrane na brzegu rzeki elfy odbyły pospieszną radę. Większość wojowników opowiedziała się za dalszymi poszukiwaniami ambasadora, Vixa jednak oceniała ich szanse odnalezienia Quenavalena jako marne. - Jeszcze jedna taka utarczka i moja matka straci córkę, na której mogła się do tej pory wyżywać - mruknęła kpiąco. - Lady Vixa ma rację - zgodził się Armantaro. - Na razie najlepszym rozwiązaniem jest powrót na „Gwiazdę”. Pomagając rannym, elfy nie bez trudu wróciły do szalupy. Widoczna z dali „Wieczorna Gwiazda” wyróżniała się wśród pozostałych łodzi niczym sokół wśród domowego ptactwa. Na głównym maszcie smukłego statku powiewała bandera Qualinostu - zielone drzewo na tle złotego słońca. Podczas gdy jej towarzysze sadowili się w szalupie, patrząca na morze Vixa spostrzegła niezwykle zjawisko. Do zbiorowiska łodzi i statków, zebranych w ujściu rzeki, szybko zbliżała się ściana białych jak śnieg chmur. Była tak gęsta, że wyglądała niemal na realną, twardą przeszkodę. Na polecenie Vixy elfy silniej naparły na wiosła. - Co to może być? - zastanawiała się księżniczka. - Dym? Armantaro osłonił oczy dłonią i spojrzał pod słońce. - Cokolwiek to jest, pani, nie wygląda mi na zjawisko naturalne. Spójrz... wiatr niesie tamte dymy znad Ergoth nad naszymi głowami ku morzu. Ale chmura zbliża się szybciej... i z przeciwnej strony! Dotarłszy na odległość połowy mili od „Wieczornej Gwiazdy”, chmura jakby się zatrzymała. Kłębiła się i burzyła groźnie, nie zbliżyła się jednak ku statkowi. Zwłoka ta pozwoliła

łodzi dotrzeć do burty okrętu. Vixa ostatnia wskoczyła na zbawczy pokład. - Wybierać kotwicę! - zagrzmiął kapitan Esquelamar, gdy tylko stopa księżniczki spoczęła na deskach. - Do głównego masztu, chłopcy! - Kapitanie... co waść robisz? - sprzeciwiła się Vixa. - Mamy tu czekać na ambasadora Quenavalena! Rozkazy wydał nam sam Mówca Słońca! - Pani... w tej chmurze czyha jakaś przeciwna naturze magia, ja zaś nie zaryzykuję bezpieczeństwa statku i załogi dla elfa, który może już nie żyje! - odparł szczerzy Esquelamar. Żeglarze przy kabestanie podnieśli już kotwicę z jej bagnistego łoża na dnie zatoki. Toń niosła dźwięki wciąganego łańcucha. Inne małe stateczki i łodzie nieopodal „Wieczornej Gwiazdy” też wybierały kotwice i podnosiły żagielki. Na niektórych uciekano się do wiosel, bo wiatr zupełnie przestał wiać. - Nadciąga! - rozległ się okrzyk marynarza na oku. W istocie - chmura, groźna i wrząca bielą znów ruszyła na statek. - Ster w prawo! Opuścić główny żagiel! Podnieść bezan i rozprza! Z irytującą powolnością „Gwiazda” skrzyła w prawo.

Vixa i Armantaro patrzyli jak zaczarowani, gdy ściana bieli pochłonęła parę kutrów rybackich i biały kecz. Stateczki znikły bezgłośnie... jakby pochłonęła je Otchłań. Rozpięto każdy cal płótna, w jaki żaglomistrze zaopatrzyli „Gwiazdę”, na nic to się jednak nie zdało. Żagle zwisły bezwładnie. Wiatr przepadł gdzieś bez śladu. Tymczasem dziwna chmura szybko posuwała się ku „Gwieździe”. Napięcie i przecucie nadciągającej burzy, jakiego Vixa doznała wcześniej, jeszcze się wzmogło. Ciarki przebiegły jej po grzbiecie, gdy usłyszała szept Armantaro: - Niech bogowie mają nas w swej opiece! Kadłub statku zaskrzypiał głucho i mgła ogarnęła rufę „Gwiazdy”. Biała ściana pochłonęła okręt elfów. Vixa wzdrygnęła się, gdy otoczyła ją biel. Poczowała taki chłód, że natychmiast zeszywniały jej palce. Jeszcze przed sekundą pławiła się w upalnych promieniach słońca, a teraz zimne tchnienie bieli skuło jej mrozem krople potu na czole. i zmroziło rozgrzaną, misternie plecioną koczugę. Wszyscy zwarli się w sobie, oczekując czegoś straszliwego, tymczasem jedynym na razie efektem było powszechne na całym pokładzie dzwonienie zębów. Żeglarze i żołnierze natychmiast zaczęli wymieniać uwagi - i okazało się, że nikomu właściwie nic szczególnego nie dolega poza, oczywiście, przejmującym chłodem. - Kapitanie, czy wiesz, co się dzieje? - spytał Armantaro Esquelamara. Żeglarz machnął kilkakrotnie dłonią, jakby pragnął zbadać gęstość chmury. - Wygląda mi

to na mgłę, w jaką można wpaść za przyładkiem Kharolis - powiedział. - Ale ta porusza się pod wiatr i trzyma swój kształt, czego żadna zwykła mgła nie czyni. Rzekłbym, że mamy do czynienia z czarami. - Takie też jest i moje zdanie - Vixa zgodziła się z doświadczonym żeglarzem. - Może utkali ją magowie Imperatora, by osłonić odwrót jego armii przed wojskami Solamnusa? - Pioruńsko to niewygodne, jeśli miałbym coś o tym rzec - warknął Harmanutis. wyłaniając się z mgły niczym duch. Dygoczący z zimna żołnierze i marynarze zaczęli otulać się opończami. Kapitan krzyknął do tkwiącego w bocianim gnieździe żeglarza, pytając, czy coś widzi. - Nic a nic, kapitanie. Jakbym gapił się w mleko! - No to złaź, zanim zamarzniesz na kość. Kapitan, księżniczka i Armantaro podeszli do relingu. Esquelamar przykucnął przy luku odpływowym. - Niczego, psiakość, nie widać - mruknął gniewnie. - Ale czuję, że płyniemy - zauważyła Vixa. Miała rację. Mimo iż żagle zwisały zupełnie luźno, kadłub trzeszczał i kołysał się lekko, zmuszając ich do przechyłów. - Imperator Ergoth nie posiadał aż takiej mocy - stwierdził Armantaro. „Wieczorna Gwiazda” unosiła się ku nieznannej przyszłości, a jej załoga nie mogła już pomóc ambasadorowi - jej członkowie nie wiedzieli nawet, czy sami zdołają się uratować.

Rozdział 2 - Kotłujące się żywioły Żadną miarą nie można było określić upływu czasu. Żeglarze zgromadzili się w małe grupki i szeptem dzielili się swoimi obawami. Długo i głośno nawoływali na wesz strony, nie otrzymali jednak odpowiedzi z ani jednej łódki, których wcześniej pełno było na wodach zatoki. Wreszcie kapitan Esquelamar postanowił położyć kres narastającemu wśród załogi przestraszowi. Zebrał wszystkich na śródokręciu, przed głównym masztem. Vixa i jej kompania przysłuchiwali się temu z wyżki rufowej. - Chłopcy, nie ma powodów do niepokoju - odezwał się kapitan spokojnie, jakby ucinając sobie pogawędkę. - Mgły widywaliśmy już wcześniej. I nie raz bywaliśmy w gorszych opałach. Hej, pamiętacie może to, co nam się przydarzyło u wybrzeży Sancrist? Myśleliście wtedy, że już po nas... co, może się mylę? A jednak uszliśmy cało... i oto jesteśmy tutaj. „Gwiazda” to dzielny statek, najlepszy w swojej klasie z całego Qualinostu... i jakoś się z tego wygrzebiemy. - Ale to jakieś złe czary - uparł się jakiś pesymista. - Tego wiedzieć nie możemy, Pellanisie, ale jak dotąd nic na to nie wskazuje - odparł rzeczowo kapitan. - Na razie nie spotkała nas żadna krzywda, prawda? W rzeczy samej, może być zupełnie inaczej. Tak na przykład, że to bogowie rozsnuli tę mgłę, by nas ochraniała. - Wierzysz w to, pani? - spytał szeptem Armantaro. Vixa wzruszyła ramionami. - Nigdy nie uczyłam się sztuki czarów - odpowiedziała. - Ale Esquelamar

na rację przynajmniej w jednym: ta mgła nie uczyniła niczego złego ani nam, ani statkowi. Choć godzi się rzec, że wolałabym wiedzieć, dokąd nas niesie, i że nie lubię, jak coś zmusza mnie do porzucenia misji, której się podjęłam. Esquelamar zlecił załodze powrót do jej zwykłych zajęć. Żeglarze wrócili na swe posterunki nieco uspokojeni - choć niektórzy z nich muskali palcami swe talizmany. Kapitan wspiął się po trapie na wyżkę rufową. - Dobra to była mowa, kapitanie. A ty sam, czy w nią uwierzyłeś? - spytała Vixa. - Musiałem, pani. Te chłopaki szukały we mnie oparcia. Załoga i pasażerowie „Gwiazdy” zajęli się tedy swoimi sprawami, choć każdy był niespokojny i czujny. Czas mijał, nic właściwie się nie działo - i do chłodu można w końcu się przyzwyczaić - wszyscy więc powoli zaczęli przywykać do nieprzeniknionej chmury, która otuliła ich zimną pierzyną. Kapitan nieustannie wynajdywał załodze zajęcia, których zresztą nigdy nie brakuje na pokładzie żadnego żaglowca: marynarze szorowali więc pokłady, naprawiali uszkodzone żagle i pucowali metalowe części takielunku. Vixa trzymała swoich ludzi na wyżce

rufowej, gdzie nikomu nie przeszkadzali. Czas mijał. Kiedy żołądki dały im znać, że pora na posiłek, elfy zajęły się jedzeniem. Potem Palathidel wyjął swoje dudy. Nie był przesadnie zdolnym grajkiem i znał jedynie melodię Gdy znów wrócimy do domu. Odegrał ten żalony utwór ośmiokrotnie, kiedy jednak po raz dziewiąty przyłożył ustnik do warg, jego towarzysze zaczęli protestować. Wrzawę przeciw okrzyk z dziobu. - Ahoj, kapitanie! - Co jest, chłopcze? - spytał Esquelamar, wyłaniając się ze swojej kajuty z chusteczką zawiązaną pod brodą. - Prosto przed nami, sir! Otwórz! Dziura we mgle! Z każdej gardzieli wyrwał się ryk radości. - Manneto, dwa rumby na sterburcie! - huknął kapitan. Sternik spróbował ruszyć rumplem, ten jednak ani drgnął. Ujawszy ster w obie dłonie i napałszy nań barkiem, krzepki Manneto niczego nie osiągnął. Natychmiast dołączył doń kapitan i wspólnie podjęli ten wysiłek, głośno stękając. Rozlewająca się przed statkiem plama mroku była pożądaną odmianą w porównaniu z panującą dotąd lodowatą bielą. Bezkształtna, niczym drzwi wiodące w serce nocy, nieustannie się powiększała. Albo statek płynął w jej stronę, albo... ona ciągnęła na statek. Przy sterze nadal mocowali się kapitan i Manneto. W końcu uznali daremność swoich wysiłków. Sternik zaklął szpetnie, i to w trzech językach. Nagle przypomniał sobie, że nie wszyscy członkowie załogi znają jego biegłość w tym względzie. - Raczej wybaczyć, pani - wybąkał zmieszany. - Myślałam, że moja matka potrafi kłąć, co się zowie, ale ty, mości sterniku, jesteś mistrzem nad mistrze! Jakkolwiek było, płynęli prosto w stronę ziejącej czernią dziury. Mgła rozrzedziła się znacznie i przekształciła w opadające ku morzu kłęby. Ku statkowi napłynęła też fala cieplejszego powietrza, które szybko wydeło żagle i złagodziło uczucie przenikliwego chłodu. Na przekór wiatrowi, dmącemu od dziobu, „Gwiazda” nadal płynęła ku rozlewającej się przed nią szeroko plamie ciemności. Ta zaś nieustannie rosła. - Gwiazdy! Widzę gwiazdy! - wrzasnął majtek na oku. Resztki mgły odpadły od boków statku jak białe płatki kwiecica. Ciemna plama okazała się po prostu niebem - czystym i usianym gwiazdami. Gdy znikły ostatnie pasma mgły, żagle „Wieczornej Gwiazdy” wypełniły się wiatrem i rozległ się miły dla ucha każdego żeglarza równomierny skrzyp takielunku. Statek przechylił się na bok, a marynarze, bez rozkazu, ruszyli do lin. Manneto ujrzał, że rumpel kołysze się luźno, porwał go więc w dłonie i skierował dziób statku

na wiatr. Statek zatoczył wdzięczny łuk. - Znikła! - zawołał Armantaro, odwracając się do tyłu. Rzeczywiście, po lodowej chmurze nie było już śladu. Przepadła, jakby nigdy nie unosiła okrętu elfów. Esquelamar zażądał, by przyniesiono mu jego sekstans. Księżniczka i Armantaro stanęli obok kapitana, ten zaś skierował przyrząd na gwiazdy. Po kilku minutach miał już ich pozycję. - Mapy! Dawajcie mapy! - rozkazał. Jeden z majtków co tchu pognął do kapitańskiej kajuty i wrócił z naręczem pergaminów. Esquelamar przeglądał przez chwilę napisy na brzegach zwojów, oddając te, które nie były mu potrzebne, wreszcie rozwinął piąty z kolei drżącymi z niecierpliwości dłońmi.

Mrużąc oczy w świetle latarni, ustalił pozycję statku obliczoną wedle świecących nad Krynem gwiazd. - Na Błękitnego Feniksa! - sapnął zdumiony. - Gdzie nas zaniósło? - spytała Vixa. Gdy zajrzała mu przez ramię, poczuła, że mina, jaką zrobiła, nadała jej wygląd człowieka bezbrzeżnie zdumionego. Długi palec Esquelamara spoczywał w miejscu oddalonym przynajmniej o sto lig na wschód od Przylądka Kharolis, i mniej więcej o trzysta lig od ich pierwotnej pozycji przy ujściu Rzeki Zielonego Ciernia! - To być nie może! - wystękał Armantaro. Gdy wieści o ich pozycji dotarły do reszty załogi i żołnierzy, chór oszołomionych jał powtarzać mniej więcej to samo. - Hej tam, przy sterze! - zagrział Esquelamar. - Połóż nas na nowy kurs: prosto na zachód! Zapalono latarnie i zwieszono je z dziobu oraz ustawiono na rufie. Jak zwykle przytomny Harmanutis nie omieszkiał zauważyć, że nie ma na morzu innego statku. Vixa poleciła swoim wojownikom wypatrywać cokolwiek na wodach. Zwracając się do Armantaro, podzieliła się z nim swoimi obawami: - Niepokoję się o los ambasadora Quenavalena. On i członkowie jego orszaku naszą nieobecność mogą przypłacić życiem. Jak sądzisz, ile czasu zajmie nam powrót do ujścia Zielonego Ciernia? Legat przedłożył tę kwestię kapitanowi, który odpowiedział rzeczowo: - Przy sprzyjającym wietrze i jeśli nie przeszkodzą nam czary, za jakieś jedenaście dni powinniśmy dotrzeć do Zatoki Ergoth. - Na Astrę! Aż tyle? - zdumiała się Vixa. - Pani, trzy setki lig to dziewięćset mil na łódzie - wyjaśnił Esquelamar. - „Gwiazda” nie pokona takiej odległości w ciągu jednej nocy. - A jednak właśnie to uczyniła - zauważył cierpko Armantaro. Srebrzysty dysk Solinari uniósł się nad wodami i oświetlił samotny statek. Nadal dął rzeński wiatr ku zachodowi.

Vixa, Armantaro i kapitan Esquelamar stali na wyżce rufowej. Stary legat o srebrnych włosach wymieniał anegdotki z kapitanem, który ze wszystkich na pokładzie był mu najbliższy wiekiem. Vixa początkowo słuchała z zainteresowaniem, ale łagodna chwiejba statku i poszum rozcinanej dziobem wody sprawiły, że zaczęły jej ciążyć powieki. Usiadła więc na pokładzie i oparła się plecami o nadburcie. Rozluźniwszy rzemienie kolczugi, przez chwilę rozkoszowała się ciepłym tchnieniem nocnego wietrzyku. W końcu zasnęła - na wszelki wypadek ułożywszy sobie w poprzek kolan skryty w pochwie miecz. Może powodem jej snu był szum fal lub chybotanie pokładu, wydało jej się bowiem, że płynie pośród mrocznych wód oceanu. Wokół niej śmigwały jakieś srebrzyste kształty. Były to ryby. Oczarowana ich ruchami Vixa spróbowała dotknąć choćby jednej, ale wszystkie umykały jej palcom i znikwały w mroku. Potem usłyszała odległy dźwięk kobzy. Dziwny, niezbyt dźwięczny i melodyjny, monotony i osobliwie melancholijny. Mroczne wody napierały na jej twarz, jakby płynęła przez morze z wielką szybkością. I nagle rozległ się ogłuszający łoskot. - Wasza Wysokość! Pani! - to wołał Armantaro. Vixa otworzyła oczy i usiadła, przecierając powieki. - Co się stało, mości legacie? - spytała. - Pani, spójrz na morze! Dziewczyna niezbyt jeszcze pewnie dźwignęła się na nogi. Mocny wiatr, dmący poprzedniej nocy ucichł niemal zupełnie. Choć słońce jeszcze nie wzeszło, dość było światła brzasku, by ukazać dziewczynie zdumiewający widok. Otaczające „Gwiazdę” wody były pełne ryb. Widziała łososie, dorsze, okonie, makrele i setki innych, których nie umiałaby nazwać. Wszystkie prąły morskie fale, oddalając się od „Gwiazdy”. Wypływały z głębin i prześcigały jedna drugą. Tak im się spieszyło, że porzuciły zwykłą wrogość panującą między ofiarami i myśliwymi - zgodnie uciekały jak najdalej od statku. Zaraz potem ukazały się delfiny oddalające się od kadłuba wdzięcznymi łukami i zdumiewającą Vixę gracją i szybkością ruchów. Przez chwilę biegała wzdłuż relingu, starając się nie stracić z oczu cudownych stworzeń. Za ni- mi pokazały się rybki ploty wiodące orki - czarno- białe zwierzęta dwukrotnie przewyższające delfiny długością ciała. Potem - co zdumiało dziewczynę najbardziej - spod wody wyłoniło się kilkanaście wielorybów. Na powierzchni ukazały się wyniosłe szare grzbiety ociekające wodą i porośnięte pąklami oraz ogonowe płetwy, wielkie jak „Gwiazda” w najszerszym miejscu, które

uderzając o wodę, wywołały fale kołyszące statkiem. Vixa musiała chwycić się burty. Tumult w wodzie wywołał na pokład wszystkich śpiących w hamakach żeglarzy. Niektórzy natychmiast cisnęli sieci za burty. Po chwili roześmiani od ucha do ucha wyciągali je pełne

błękitków i tuńczyków. Wrzawa obudziła także żołnierzy, którzy przecierając oczy, wylegli na pokład. - Kapitanie... czy widziałeś kiedyś coś takiego? - zawołała Vixa, przekrzykując tumult. - Nie, pani... i wolałbym, żeby tak zostało. - Czemuż to? Wspaniały widok! - To przeciwne naturze. Wszystkie te stworzenia nie żyją w zgodzie. Coś je przestraszyło i zmusiło do ucieczki. - Ale co może przerazić wieloryba? - zdumiała się księżniczka, patrząc na kolejny, wyłaniający się z wody szary grzbiet. Esquelamar nie spuszczał zatroskanego wzroku z burzących się wód. - Nie mam pojęcia, pani - potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia... Ruch na morzu jakby się zmniejszył. Okrążywszy statek niby oddział konnicy, delfiny odplłynęły w dal. Wieloryby znikły pod falami i już się nie wynurzyły. Po upływie mniej więcej połowy godziny od przebudzenia Vixy, wszystko się uspokoiło. Żeglarze na pokładzie wrócili do swoich zajęć. Esquelamar pozostał na pokładzie i przechylony przez reling obserwował fale. W pewnej chwili zmarszczył brwi. - Bosman! Gdzie ten pioruński bosman! Do kapitana podbiegł chudy, bosonogi elf o marchewkowych włosach. - Na rozkaz, kapitanie! - W wodzie jest jakieś blocko. Mogły je podnieść z dna te ryby albo wpłynęliśmy na jakieś nie oznakowane płycizny. Weź ołowiankę na dziób i zacznij sondowanie. Żywo! Ołowianka okazała się zwojem cienkiej, długiej i mocnej linki obciążonej na końcu ołowiem. Wzdłuż całej jej długości w równych odstępach znajdowały się węzły, wedle których można było określić głębokość. Bosman wziął zwój w dłonie, po czym, usiadłszy okrakiem na bukszprycie i opuściwszy ciężarek w wodę, zaczął skrupulatnie liczyć kolejne znikające w niej węzły. Kiedy poczuł, że obciążnik uderzył o dno, natychmiast zameldował kapitanowi. - Trzy i pół sążniaaaa! - zawołał śpiewnie. - Dwadzieścia jeden stóp - Armantaro przełożył morskie miary na dane bardziej zrozumiałe dla księżniczki. - Na otwartym morzu? - zdumiał się kapitan. - Zmierz no jeszcze raz. Bosman ponownie cisnął linkę w wodę. - Dwa sążnie! - ryknął po chwili służbiście. - Co takiego? Tu powinno być przynajmniej czterdzieści! - upierał się Esquelamar. - Refować żagle! Żeglarze posłusznie zmniejszyli powierzchnię napędzających statek płócien. Kapitan wspiął

się po linach nad pokład. - Do licha! - mrucał pod nosem. - Tu przecież nie ma żadnego ładu! Bosmanie... jeszcze raz! Po kilku sekundach otrzymał odpowiedź: - Dziesięć sążni i ćwierć! - Cóż znowu! - zagrzmiął kapitan. Chwyciwszy za linkę, przeniósł się nad pokładem ku majtkom zgromadzonym wokół kotwicznego kabestanu. - Chłopcy, rzucajcie kotwicę. - Kapitanie! - głos młodego bosmana przepełniał zdumienie. - Teraz jest czterdzieści sążni! - To wariactwo! - Esquelamar zdobył się jedynie na potrząsanie głową. - Wcale nie, kapitanie - odpowiedziała Vixa. Księżniczka zeskoczyła z wyżki rufowej i podeszła do miejsca, w którym kapitan trzymał się liny. - Historia Ansalonu notuje takie przypadki - ciągnęła. - Mędrcy, którzy mnie uczyli, utrzymywali, że pokrywa świata nie jest niepodatną na odkształcenia skorupą. Każdego dnia wygina się nieznacznie... unosi w jednych miejscach, w innych zaś obsuwa się w dół. Niekiedy dzieje się to bardzo szybko. - Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem - odparł szorstko kapitan. - Jej Wysokość ma rację - poparł księżniczkę Armantaro. - Sam o tym czytałem, kiedy przeglądałem opisy trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów. Ziemia wtedy się chwieje, wałą się wielkie budowle i ludzie giną w rozpadlinach gruntu. - Bogowie nas chyba przeklęli! - zawołał jeden z żeglarzy, który przypadkiem usłyszał tę wymianę zdań. - Nie wierz w to! - oznajmił głośno kapitan. - Jeżeli legat i nasza uczona pani utrzymują, że takie rzeczy dzieją się w sposób naturalny, oznacza to, iż nie staliśmy się przedmiotem niełaski bogów. - Wschodzące słońce oświetliło jego twarz - pokrytą kroplami potu, ale uśmiechniętą. - Żagle w górę, chłopcy! Zmiatajmy z tych dziwnych wód! Nad pokładami „Gwiazdy” wykwitły białe pasma

plótna i statek ruszył ku zachodowi. Vixa zdjęła z siebie resztki pancerza, zastępując je zwykłą skórzaną kurtką bez rękawów oraz kawaleryjskimi luźnymi spodniami i butami. Mimo iż urodziła się wysoko, nie lubiła wyszukanej odzieży i biżuterii. Dworskich manier też, jeśli już o tym mowa. Jej ojciec, Kemian Ambrodel, często załamywał ręce, twierdząc, że nigdy z niej nie wyrośnie prawdziwa księżniczka. Pozostało mu kontentowanie się odziedziczonym po nim zamiłowaniem córki do nauk. W jej pałacowych komnatach miecze i szable leżały obok ksiąg, maczugi, łuki i strzały - obok pergaminów. Jej matka, Lady Verhanna, całą duszą popierała militarne zamiłowania córki. - Są wśród nas tysiące delikatnych elfich panienek - mawiała często - ale mamy zaskakująco mało

dobrych wojowniczek. Swe najmłodsze dziecię Verhanna nazywała „żakowianką”. Uważała, że miłość do ksiąg jest wojownikowi zupełnie zbędna i nieprzydatna. Przyznawała jednak, że Vixa z równym zapałem ćwiczyła orężnie i godnie wykonywała wszystkie obowiązki, jakie przypadły księżniczce z królewskiego domu. Verhanna musiała więc powstrzymywać swe krytyczne uwagi. Zresztą, przekonywała siebie samą, ojciec dziewczyny również kochał księgi, co wcale nie przeszkodziło mu zostać doskonałym strategiem i biegłym, doświadczonym taktykiem. Teraz Vixa przeszła na dziób i zeszła do mieszczącego się pod wyżką kambuza, by zabrać się do śniadania. Jedynym miejscem, gdzie na pokładzie drewnianego statku wolno było rozpalać ogień, był niewielki ceglany piecyk umieszczony tuż za przednim masztem. Kucharz „Gwiazdy” pełnił na jej pokładzie również funkcję uzdrowiciela i był Kagonestyjczykiem o imieniu Barbalthin. Powitał księżniczkę przyjaznym uśmiechem i podał jej drewnianą tackę wypełnioną naleśnikami i kubek grzanego piwa. Księżniczka łapczywie wbiła ząbki w chrupki naleśnik. Wśród wszystkich kucharzy pracujących na królewskim dworze nie było ani jednego, który potrafiłby robić coś tak smakowitego jak naleśniki Barbalthina. Vixa podniosła do ust cynowy kubek z napojem... ..i nagle cała jego zawartość chlusnęła jej w twarz, statek przechylił się bowiem ostro na bok. Napój zapiekł księżniczkę w oczy, a pokład pod jej stopami zafalował gwałtownie. Wraz z Barbalthinem wpadła na piecyk, odbiła się odeń i potoczyła ku sterburcie. Płonące głownie z piecyka rozsypały się po całym pomieszczeniu. Kucharz czym prędzej porwał się na nogi i zaczął gasić ogień wszelkimi sposobami. „Gwiazda” nadal pozostała przechylona na sterburtę. Kadłub stękał boleśnie i coś okropnie zgrzytało pod stępką. - I co teraz? - jęknęła Vixa. Gdzieś wyżej rozlegały się okrzyki i dał się słyszeć tupot bosych stóp na pokładzie. Księżniczka skoczyła ku trapowi i wspięła się w górę. Po pokładzie mitali się majtkowie, którzy w żywy kamień klęli wszystkich bogów na niebie. Vixa zsunęła się z wyżki na pokład główny i zderzyła się z kapitanem, którego twarz płonęła gniewem. - Osiedliśmy na mieliźnie! - warknął wściekle. - Sto lig od najbliższego ładu... a jednak siedzimy na mieliźnie! - Czyli co? Rozbiliśmy się? - Nie, pani. Pozbądź się obaw, „Gwiazda” nie pójdzie na dno. Z tego samego luku, którym przed chwilą na pokład wydostała się Vixa, wychylił głowę majtek i zameldował: - Nie ma przecieku, kapitanie! W ładowni sucho!

- Dzięki bogom choć za to! - westchnął Esquelamar. Świat znów wywinął kozła i statek wyrównał położenie. Esquelamar skoczył na równe nogi susem, jakiego nie powstydziliby się królewski akrobata. Vixa wstała znacznie wolniej i zobaczyła, że leżący nieopodal Armantaro również podejmuje wysiłki, by się podnieść - bezowocne jak dotąd, ze względu na krępujące mu ruchy kirysy. Dziewczyna złapała się na tym, iż rozważa, czy stary wojak również sypia w zbroi. - Wstawajże, mości legacie! - odezwała się Vixa. - Teraz już wiem, dlaczego nigdy nie pociągała mnie służba we flocie Mówcy - mruknął Armantaro. - Ziemia przynajmniej nie ma idiotycznego zwyczaju rzucania się żołnierzowi w twarz. Statek ze wszystkich stron otaczały zwały żółtawego błota - choć jeszcze przed kilkoma sekundami nigdzie nie było widać ziemi. Na południu w promieniach porannego słońca skrzył się wilgocią niewysoki pagórek. Esquelamar polecił jednemu z żeglarzy

sprawdzić, czy łacha, na której ich osadziło, zmienia swoje położenie. Towarzysze przytrzymali go za pięty, majtek zaś zgruntował bosakiem, zanurzając go w mętnej wodzie. Do dna było dziesięć cali. - Ugrzęźliśmy po same uszy - mruknął ponuro Esquelamar. - Tej mielizny nie było na żadnej z moich map. - Da się jakoś opuścić łódź? - spytał Armantaro. - Może potrafilibyśmy określić rozmiary tej płycizny... - Niestety, woda jest za płytka, nawet szalupa nie zda się tu na nic. Słońce uniosło się wyżej i można już było przyjrzeć się wysepce na południowym zachodzie. Była to rozległa połać piaszczystego gruntu z jedną wydumą pośrodku. Na pokładzie pojawił się Barbalthin, który wiedział, że elfy potrafią cieszyć się posiłkiem w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Żołnierzy poczęstował naleśnikami, dla majtków przygotował wędzone ryby. Armantaro wsuwał właśnie do gęby kolejny kęs, kiedy uderzyła go pewna myśl. - Kapitanie, a tratwa? - Gmmmmż? - odpowiedział pytaniem na pytanie Esquelamar. - Dlaczego nie zbudować tratwy? Możemy jakoś dopchnąć ją do brzegu. - I po co, łaskawco? To przecież tylko piasek i niskie wzgórze. - Ale to najwyższy punkt w okolicy - wytknął mu Armantaro. - Może stamtąd uda nam się dostrzec gdzieś otwarte wody. - A... owszem. Pojmuję. Może też budując tratwę, ulżymy jakoś statkowi i spłyniemy z tej łachy. - Esquelamar przyłożył do ust zwinięte dłonie. - Manneto! Heronimas! Weźcie wszystkich ludzi, co nie mają roboty, i zbierzcie ich na fordeku. Niech zabiorą ze sobą narzędzia do ciesiołki! Zaczniemy budować tratwę!

Z ładowni natychmiast powyciągano puste beczułki, które powiązano parami po przecięciu ich wzdłuż. Do beczulek przybito pokład z desek, zasłaniając nimi przecięcia. Z boków pokładu ustawiono wyjęte z szalup dulki, w które wetknięto wiosła i wkrótce potem u sterburty kołysała się prowizoryczna, ale wytrzymała tratwa. Vixa spojrzała na nią z góry: - Kto idzie ze mną? - spytała. - Pani... bezpieczniejsza będziesz na statku - podsunął, bez większej nadziei na powodzenie, Armantaro. Vixa zmarszczyła brwi. Gdyby nie fakt, że przez legata przemawiały wyłącznie życzliwość i troska, odpowiedziałyby mu tak, że zapadłby się w deski pokładu. Zamiast tego jednak, poklepała go tylko lekko po ramieniu: - Stary przyjacielu, pozbadź się obaw. Wątpię, czy komary na tej wysepce są aż tak niebezpieczne. Do zbadania wysepki wybrano ośmioosobową grupkę, w skład której weszli: kapitan i trzech majtkowie, Vixa, Armantaro, Harmanutis i Vanthanoris. Komendę na statku złożono na barki sternika Manneto, pozostałym zaś wojakom miał przewodzić Palathidel. Armantaro i dwaj wojownicy, którzy weszli w skład grupy rekonesansowej, wdziali pełne zbroje, Vixa jednak odmówiła uzupełnienia rynsztunku: - Wybieram się na wzgórze, nie do bitwy. Po cóż mi nakładać zbroję... zwłaszcza w tym skwarze? - Zdecydowała się tylko przypiąć do swego pasa pięknej roboty qualinestyjski miecz. Sprawnie obniżono część relingu i załadowano na tratwę zapasy dla nielicznej grupki. Pierwsi opuścili się na nią Vanthanoris i dwaj żeglarze. Chwyciwszy za liny, utrzymali tratwę przy burcie, podczas gdy pozostali zsuwali się w dół. Poniżej linii wodnej kadłub statku jeżył się ostrymi niczym brzytwy muszlami małżów. Pozbawione wody stworzenia wydawały niesamowicie brzęące, klekoczące dźwięki. - Kiedy zamierzacie wrócić? - dopytywał się z pokładu Manneto. Esquelamar osłonił oczy dłonią i spojrzał na słońce. Od świtu minęły może dwie godziny. - Przed zachodem powinniśmy być z powrotem - odkrzyknął. - Ay, ay, sir! Kapitan stanął do wiosła sterowego, dwaj żeglarze i dwaj żołnierze naparli na drągi i tratwa wolno ruszyła ku nieznannej wysepce, która uniosła się z morskiego dna. Vixa odmówiła cichą modlitwę do pana mórza, Błękitnego Feniksa. Rozdział 3 – Wyspa Blask wody mocno dokuczał płynącym, choć słońcu daleko jeszcze było do najwyższej na

niebie pozycji. Nad głowami grupki śmiałków krążyły mewy i albatrosy, których wrzaski daleko niosły się w parnym powietrzu. Aby uchronić twarz przed skwarem, Vixa zrobiła sobie prowizoryczny burnus z chusty i skrawka rzemienia. Posuwali się wolno, bo niemal po każdym

pchnięciu bosaków tratwa grzęzła na płyciźnie. Wolno jednak płynęli ku celowi. W odległości dwudziestu kroków od brzegu utknęli na dobre. Kapitan odstawił rudel i zawołał: - No, moje zuchy, dalej pójdziemy pieszo. Wysypali się ku brzegowi. Dno było dość twarde. Z wyżej położonego miejsca, w którym się teraz znaleźli, widzieli „Gwiazdę” wyglądającą z daleka jak dziecięca zabawka zostawiona na brzegu sadzawki. Esquelamar osłonił dłonią oczy i przez chwilę przyglądał się brzegom wysepki. - Wygląd tych zboczy mówi mi, że woda spływała stamtąd - wskazał najwyższy punkt wysepki. Ruszyli ku wzgórzu pod przewodem Esquelamara i Vanthanorisa. Nie była to bynajmniej przyjemna przechadzka. Pasma piachu przeplatały się z sadzawkami stojącej wody, pełnymi gnijących wodorostów i innego śmiecia. Ta gęsta masa śmierdziała tak, że jej woń odpędziłaby nawet żlebowca. Niestety, nie mieli innej drogi i musieli brnąć w niej niekiedy po kolana. Vanthanoris szedł daleko w przodzie. Nagle, na kolejnej wysepce piachu, przystanął, dobył miecza, wolną zaś ręką dał znak pozostałym, by się zatrzymali. - Stać! - zawołała Vixa. Współ z legatem i Harmanutisem opadła na jedno kolano. Esquelamar i żeglarze patrzyli na to wszystko z niemałym zdziwieniem. - Na ziemię! - syknął Armantaro. Dopiero wtedy poszli za przykładem wojowników. Vanthanoris zniknął za grzbietem, błyskając w słońcu głownią swojego miecza. Minęło dziesięć pełnych napięcia minut, zanim wreszcie wyłonił się zza pasma piachu, biegnąc spieszenie ku towarzyszom. - Widziałem jakiś ruch! - szepnął. - Gdzieś tam, na północnym wschodzie. Nie wiem, co to było... znikło wśród piasków. Pobiegłem tam, ale znalazłem jedynie ślady. - Jakie ślady? - spytała Vixa. - Ciężko zgadnąć. Piasek nie trzyma się zbyt dobrze. Mógł to być jakiś czworonóg. Dość duży - odpowiedział zwiadowca. - Jak wielkie były te ślady? - chciał wiedzieć Esquelamar. Wojownik rozsunął dłonie na odległość może sześciu cali. - Zaprowadź nas do nich - zażądał Armantaro, wstając. Szybki Vanthanoris pomknął ku grzbietowi diuny. Pozostali, brnąc po kostki w piachu, ruszyli za nim. Po drugiej stronie zbocza ujrzeli szereg śladów, zaczynających się z lewej i biegnących ku południowemu wschodowi - równoległe do grzbietu.

Harmanutis opadł na kolana, pochylił się i powąchał odciski. - Pachnie mi solą - zameldował. - Cokolwiek to było, wyszło z morza. - Żółw? - spytał jeden z majtków tonem pełnym nadziei. - A skąd! - Esquelamar machnął dłonią. - Żółwie mają płetwy. Ten stwór zostawił wyraźne odciski. - Polazł tam! - Vanthanoris wskazał kierunek i natychmiast ruszył za śladami. Jego długie nogi szybko pochłaniały przestrzeń. Reszta grupy pospieszenie ruszyła za nim. Skierowali się w prawo, podążając za łukiem płytkiego wąwozu. Vanthanoris, rozgrzany gorączką łowiecką, gnał niczym chart. Vixa i Harmanutis usiłowali dotrzymać mu kroku, oboje jednak przyplącili to zadyszka. Smród gnijących wodorostów stawał się coraz intensywniejszy. Nagle Harmanutis poślizgnął się i osunął po zboczu. Vixa skoczyła za nim, odruchowo zamykając jedną dłoń na rękojeści miecza. Gdy dotarła na dno, powietrze rozdarł głośny okrzyk. Vanthanoris wzywał pomocy. Vixa była jeszcze o kilka kroków od towarzysza, który podnosząc się ciężko ze śmierdzącej kałuży, zawołał: - Idź, pani. Ja zaraz się pobieram! Księżniczka ruszyła przed siebie, rozbryzgując wodę po dnie dolinki. Pilnie rozglądała się za Vanthanorisem. I nagle zauważyła jakiś ruch na grzbiecie sąsiedniej diuny. Zamarła w miejscu, podobnie uczynił biegnący tuż za nią Harmanutis. Na tle jasnego nieba wyraziście rysowała się ciemna postać. Księżniczka mogła jedynie dostrzec, że nie był to krępy, muskularny Vanthanoris. I oczywiście sylwetka nie należała do czworonogiego zwierzęcia. - Hej, ty! - zawołała Vixa. Mroczna postać odwróciła się i znikła za grzbietem. - Idź pomóc Vanowi! - poleciała księżniczka swemu towarzyszowi. I wyjąwszy miecz, skoczyła ku zboczu. Gdy dotarła na grzbiet, mocno się zasapała. I okazało się, że niczego nie osiągnęła. Mroczna figura znikła bez śladu - wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się zwały piasku. Vixa przez chwilę rozglądała się po okolicy, aż wreszcie dała za wygraną. Ruszyła w prawo, krocząc granią, aż dotarła do miejsca, z którego dostrzegła resztę grupy,

skupioną na dnie dolinki. Esquelamar i żeglarze znaleźli jej towarzyszy. Vixa nie schodząc w dół, zawołała: - Hej tam! Co z Vanem? Armantaro i Harmanutis rozsunęli się na boki, tak by księżniczka sama mogła przyjrzeć się towarzyszowi. Vanthorioris pomachał jej dłonią. Vixa zsunęła się po piaszczystym zboczu - kiedy znalazła się bliżej, zobaczyła długie rozcięcie na czole Vanthoriorisa. - Van, co się właściwie stało? - spytała. - Podążałem za tymi śladami. Kiedy skręciłem tutaj, zobaczyłem kątem oka jakiś ruch. To

było coś zielonego. Kiedy zaatakowałem, rozpadło się na dwie osoby! - Rozpadło się? - Nie inaczej, Wasza Wysokość! To, co uważaliśmy za czworonogie zwierzę, okazało się dwoma osobnikami, którzy szli jeden za drugim. Vixa spojrzała ku krawędzi płytkiego jaru. - Widziałam jednego z nich - potwierdziła. - Zdażyłeś im się przyjrzeć? - Nie, pani. Nie miałem zbyt wiele czasu. Ale maskowali się czymś takim... o! - wyciągnawszy ku niej dłoń, podał Vixie skrawek zielonej tkaniny. - Leżeli i czaili się, czekając, kiedy wypadnę zza zakrętu. Kiedy na mnie skoczyli, zdołałem zedrzeć to z jednego z nich. Vixa wzięła z rąk towarzysza skrawek wilgotnej tkaniny. - Wygląda jak splecione wodorosty... Esquelamar również nachylił się nad znaleziskiem. - Rybacy nazywają to nicienicą - powiedział. - To rośnie tylko na sporych głębinach. Na powierzchnię trafia tylko wtedy, gdy zapłzcze się w przydenne sieci. Łodygi nicienicy spleciono razem jak w normalnej tkaninie. Widać było nawet prostokątny wzór osnowy i wątku. Gdzieś tam zaś wetknięto w nie grubsze wodorosty wyglądające jak liście. Nie był to przypadkowy kamuflaż - ktoś się mocno natrudził, by właściciel takiej tkaniny możliwie niewiele różnił się od otoczenia. - Więc te dwa draby były w to owinięte - stwierdził Vanthorioris. - Zobaczyli mnie, odskoczyli od siebie i jeden pchnął mnie jakąś krótką włócznią. Zrobiłem unik... ale mnie dziobnął. Wtedy zawołałem o pomoc. Jeden skoczył tamtędy, ku górze, drugi pobiegł po dnie rozpadliny. Armantaro kiwnął głową. - To zmienia obraz sytuacji. Jeśli są tu jacyś uzbrojeni wrogowie, trzeba nam wracać i ostrzec ludzi na statku. Żeglarze podnieśli wrzawę, domagając się natychmiastowego powrotu. Esquelamar mierzył ich w milczeniu gniewnym spojrzeniem, aż zapadła cisza. - Nie ma powodu do paniki - rzekł spokojnie wilk morski. - Gdzieś tu niedaleko osiadł na mieliźnie jakiś inny statek... to wszystko. Vanthorioris natknął się na innych zwiadowców. Zaskoczył ich, zaatakowali więc i uciekli. Było ich dwóch - gdyby chcieli go zabić, któżby ich powstrzymał? - A te wodorosty? - upierał się Harmanutis. - Dookoła leży prawdopodobnie kilka setek funtów nicienicy. Ta kupa piasku uniosła się z głębin, czy nie tak? Musiało wynieść i rośliny - odpowiedział, nie bez sporej dozy zdrowego rozsądku, kapitan. - Nie będę się spierała - mruknęła Vixa. Wetknęła sobie pęk nicienicy za pas. Esquelamar miał pewnie rację, tłumacząc wydarzenia tak, a nie inaczej, ale tkanina z głębinowego zielska była

kolejnym dziwnym elementem coraz bardziej niezwykłej sytuacji. Głowę Vanthoriorisa obwiązano bandażem i mała grupka pod przewodem Harmanutisa ruszyła w stronę pagórka, który wyznaczał środek niewielkiej wyspy. Tymczasem otaczające ich diuny zaczęły stawać się coraz bardziej strome, dzieliły je też coraz głębsze jary. Wędrowcy natykali się też na coraz liczniejsze podwójne ślady, nigdzie jednak nie spostrzegli obcych - zamaskowanych czy nie. Niezmordowanie wdrapywali się pod górę i zsuwali w dół, coraz bardziej spoceni i zdyszani - aż wreszcie Harmanutis wspiąwszy się na ostatni grzbiet, zawołał: - Dym! Pozostali członkowie grupki szybko dołączyli do wiodącego ich zwiadowcy. - Dym oznacza obecność ludzi - stwierdził Esquelamar. - Co tu może się palić... - zauważył bystro jeden z majtków. - Dookoła wszędy tylko piasek i to mokre paskudztwo. Stanąwszy obok Harmanutisa, przekonali się jednak, że istotnie, w niezbyt dalekiej od nich odległości ku niebu wzbijała się smuga dymu. Cociekawe, nie była to smuga ciągła - w górę unosiły się bowiem w równych odstępach kłęby dymu. - Dziwne... - stwierdziła Vixa. - Wygląda na to, że ktoś wysyła sygnały. - To nie dym! - poprawił ją Armantaro. - Widzicie, jak szybko się

rozprasza? To para, na Astrę! Za tym wzgórzem musi być jakiś gejzer! - Stary legat uśmiechnął się lekko. - Nie dziwota, że tej wysepki nie ma na mapach. Powstała w wyniku przemieszczeń skorupy globu w tym rejonie. Elfy ruszyły ku gejzerowi. Vixa i młodszy członek grupy pierwsi dotarli do wierzchołka niewielkiego pagórka. Rozciągający się stąd widok spełnił ich oczekiwania. W oddali mogli zobaczyć otoczoną mętnymi wodami „Gwiazdę”. Na zachodzie ujrzeli lśniące pasmo błękitu, niechybnie oznaczające otwarte wody. Od osiadłego na mieliźnie statku było jednak dość odległe. Gdzieś z dołu znów trysnęła w górę para. Gdy wiatr ją rozegnał, odkryli miejsce erupcji. W zboczu wzgórza było widać dwa spore otwory. - Muszę to zobaczyć! - oznajmił kapitan. I ruszył w dół. - Uważaj, kapitanie! - ostrzegł go Armantaro. - Możesz się poparzyć! - Dowódca „Gwiazdy” kiwnięciem dłoni zasignalizował, że przyjął ostrzeżenie do wiadomości, ale schodził coraz dalej, za nim zaś szli jego marynarze. Wojownicy zostali na szczycie wzgórza, dyskutując nad sposobem przemieszczenia statku ku kuszącej wstędze błękitu na horyzoncie. Ich debatę przerwało nagłe zamieszanie w dole. Gdy Esquelamar i jego trzech towarzysze dotarli do bliższego otworu, z którego buchała para, wyskoczyło zeń trzech rosnących osobników, odzianych w znaną już żeglarzom maskującą szatę z wodorostów i wywijających włóczniami o krótkich drzewcach.

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

- Do broni! - zawołała Vixa. - I na nich! Elfy runęły w dół, wydając stary qualinestyjski okrzyk bojowy. Napastnicy pochwycili Esquelamara. Majtkowie usiłovali odbić swego kapitana, ale jeden z nich już leżał pchnięty włócznią prosto w pierś. Vixa uniosła ostrze w górę i zamachnąwszy się znad głowy, cięła najbliżej stojącego wroga. Ostrze z łatwością przecięło nicienicową tkaninę, okazało się jednak, że nieprzyjaciela dodatkowo chroni lśniący, zielony pancerz. Napastnik puścił Esquelamara i odwrócił się ku Vixie. Drab był przynajmniej o stopę od niej wyższy, choć księżniczka, jak się rzekło, sama chełpiła się sześciostopowym wzrostem. Wymierzył w nią pchnięcie krótkiej włóczni. Dziewczyna odparła atak mieczem. Ostrze włóczni było wykonane ze szklatego materiału i zaopatrzone w haczyki, podobne do zadziórów rybackich harpunów. Do walki przyłączyli się pozostali Qualinestyjczycy. Vanthanoris zaatakował od tyłu i dopadł jednego z nieprzyjaciół, odwracając go ku sobie i tnąc mieczem pierś. Tkanina z nicienicy, którą okryty był nieprzyjaciel, natychmiast puściła, odsłaniając zielony pancerz. Elf uchylił się przed pchnięciem włóczni, wykonał klasyczny wypad i poczuł, że jego ostrze trafiło w cel. Jego tryumf trwał jednak niezwykle krótko, ponieważ wróg chwycił jego głównię i potężnym szarpnięciem wyrwał mu ją z dłoni. Następnie podniósł własną włócznię - najwidoczniej myśl o dalszej walce z mieczem w boku nie budziła w nim sprzeciwu. Bezbronny teraz Vanthanoris cofnął się pospiesznie na widok tak niesłychanego pokazu hartu i wytrzymałości. Pozostali dwaj napastnicy wycofywali się w pośpiechu. Puścili Esquelamara i odepchnąwszy na bok usiłującego ich zatrzymać Harmanutisa, skoczyli ku wylotowi jaskini. Trzeci również ruszył w tym kierunku - choć godzi się rzec, że poruszał się mocno chwiejnym krokiem. Przed skokiem do jaskini wyrwał miecz Vanthanorisa i odrzucił go precz. Vanthanoris i Harmanutis wydali gromki okrzyk i ruszyli za przeciwnikami. Armantaro powstrzymał ich zapał. Stary legat i Esquelamar klęczeli nad poległym żeglarzem. - Panie! Nieprzyjaciel ucieka! - wypalił Vanthanoris. Opaska na jego czole osunęła się w dół i po twarzy zaczął spływać strumyk krwi. - Stać, żołnierzu! - uciął Armantaro. - Rzucisz się na oślep do mrocznej pieczary jak zwariowany kender, co? Gotuj broń i obaj pilnować mi wyjścia, piorunem! Vixa podeszła do miejsca, w którym Vanthanoris ranił jednego z tajemniczych przeciwników. W piasek szybko wsiąkały krople zielonkawej cieczy. Musnęła palcami jedną z barwnych plam i podniosła je do nosa. Była to krew - innej barwy i konsystencji, ale bez wątpienia krew! Pokazała towarzyszom dziwne plamy. - Nie słyszałam nigdy, by jakieś stworzenia żyjące na

Krynnie miały zieloną krew! - Pójdziemy za nimi? - spytał legat. - Owszem - odpowiedziała posępnym głosem. - I chcę ich żywych. Trzeba nam informacji. Poprowadziła wojów ku wylotowi jaskini strzeżonemu przez zapamiętałe czyszczącego miecz z zielonej posoki Vanthanorisa. Otwór był łukowaty i wyglądał na uformowany z jakiegoś gładkiego kamienia. Esquelamar spróbował drapnąć skałę krzesiwem. - Wapień - oznajmił pozostałym. - Nasi dwaj uciekinierzy weszli tędy - stwierdziła Vixa. - Ruszamy za nimi. Kapitanie... ty i twoi zostajecie, by pilnować wylotu. - Nie, pani - sprzeciwił się Esquelamar. - Tam leży jeden z moich chłopców. Chcę ująć choć jednego z jego zabójców. - Kapitan polecił pozostałym dwu majtkom strzec wyjścia, czym cała grupa znikła w jaskini. Nagłe przejście z zalanej światłem przestrzeni do mrocznej pieczary wszystkich oślepiło - choć nie trwało to długo. Poszukiwacze przystanęli na chwilę, której wzrok potrzebował do przestawienia się na słabsze oświetlenie. W głębi wąskiego tunelu ich kroki budziły dziwaczne echa. Korytarz biegł w dół. W pewnej chwili idący przodem Harmanutis i Vanthanoris stracili równowagę, obaj poślizgnęli się na zboczu i wylądowali na dnie. Ostrzegli okrzykami pozostałych, zrobili to

jednak poniewczasie. Vixa, Armantaro i Esquelamar z impetem wlecieli na bezładną kupę. - Racz wybaczyć, pani... - wystękał Armantaro, wyplątując się spomiędzy długich nóg księżniczki. - Nie przejmuj się tym waść - Vixa stłumiła chichot, którym miała ochotę skwitować nienaganną uprzejmość starego wojaka... i stęknęła, gdy czyjś łokieć niemal wycisnął jej gałkę oczną. - Kapitanie, ostrożniej, do kata! - Prze... uff... przepraszam, pani - sapnął Esquelamar. Po chwili wszyscy jakoś zdołali rozplątać ręce i nogi i wstać. Vanthanoris jednak się nie podniósł - zamiast tego kucnął na ziemi i ostrożnie macał grunt długimi, wrażliwymi palcami. - Co jest, Van? - spytała księżniczka, poprawiając swoje ubranie. - To... podłoże jest jakby żebrowane - wyjaśnił zaintrygowany. - Przestrzeń pomiędzy żebrami wypełnia coś miękkiego i śliskiego. - Sięgnął po sztylet. - Wytnę kawałek, by sprawdzić, co to jest. Gdy wbił ostrze w miękkie podłoże, cała wyspa nagle zadygotała. Grunt podniósł się gwałtownie, rzucił ich w górę i zbił z nóg. - Trzęsienie ziemi! - wrzasnął Harmanutis.

Nie było to jednak zwyczajne trzęsienie ziemi. Przez całą jaskinię przeleciał bowiem gwałtowny podmuch wichury, który niemal pozbawił ich ubrań i zdarł Vanthanorisowi ze łba jego opatrunek. Zassany z zewnątrz piasek ciął nie gorzej niż żądła szerszeni. I nagle zmienił kierunek, dmąc z równą gwałtownością w drugą stronę. Ten podmuch niósł ze sobą kłęby pary i zmoczył wszystkich do nitki. - Wiejmy stąd! - wrzasnął Esquelamar. Harmanutis i Vanthanoris splekli dłonie i Esquelamar postawił na nich stopę. Obaj natychmiast dźwignęli go w górę. - Chrońcie nas, bogowie! - wrzasnął Esquelamar, przekrzykując ryk wichury. - Jaskinia się zamyka! Podał dłonie Harmanutisowi. Gdy obaj wydostali się wyżej, szybko wciągnęli za sobą resztę grupy i wszyscy co tchu w piersiach popędzili ku rozdygotanemu wejściu. W rzeczy samej, skały tworzące łuk przejścia szybko się zwieraly. Słabe światło przenikające do wnętrza pieczary przygasało. W podłożu pokazały się garby i cały tunel zaczął... składać się jak harmonijka. Wiatr raz jeszcze zmienił kierunek i z okropnym skowytym zbił biegnących na czele Vixę i Vanthanorisa, ciskając nimi w pozostałych. Gdy jakoś się pozbierali, zobaczyli, że przejście się zatrasnęło. Znaleźli się w pułapce. Zanim zdążyli zorientować się w nowej sytuacji, podłoże znów uciekło im spod stóp. Powietrze w jaskini rozdarł straszliwy ryk, jakby cały ocean dawał upust swemu gniewowi. Vixa okrzykiem wezwała towarzyszy do siebie - nie miała pewności, czy ją usłyszeli, z mroku wyłoniła się jednak czyjaś dłoń i zamknęła na jej przegubie. Te sękaty palce poznałaby wszędzie. Armantaro. Podłoże wzdymało się i opadało, ciskając nimi tak, że Vixa poczuła się jak kamyczek wewnątrz grzechotki. Mimo wszechobecnego ryku wód żaden strumień nie wdarł się do jaskini. Ściany wokół nich zaczęły świecić czerwoną poświatą. - Armantaro? - wyszeptła przejęta grozą księżniczka. - Co to jest? - Ogień głębin - odpowiedział, obejmując księżniczkę ojcowskim uściskiem. - Nie patrz, Wasza Wysokość. Odwróć wzrok. Vixa jednak nie oparła się pokusie. W rudawym świetle mogła dostrzec skulonych na ziemi wojowników i Esquelamara. Wydało jej się też, że ściany i pułap zmieniają swoje położenie. Czyżby jaskinia się zapadała? Wszyscy łapali oddech, czemu towarzyszyły głośne sapnięcia i charczenie. Twarze elfów zaczęły znaczyć grube krople potu. Powietrze było coraz gorętsze. Zostaną najpewniej zmiażdżeni, o ile wcześniej nie zabije ich brak powietrza lub upał.

Vixa, dysząc ciężko, wyjęła z pochwy swój miecz. Był to jej ostatni urodzinowy dar od matki. Najlepszy kowal Qualinostu skuł razem dziesięć prętów krasnoludzkiej stali, tworząc jedno pyszne ostrze. Miecz miał też pięknie wykutą rękojeść i świetny jelec spleciony ze stalowych, napuszczanych złotem listków i gałązek, w których osadzono dwa wielkie topazy. Vixa postanowiła, że jeśli przyjdzie jej tu zginąć, najwyżsi bogowie jej ludu, Astra i E'li, przychodząc po jej duszę, znajdą ją z mieczem w dłoni. Powita śmierć godnie i z orężem w ręku - jak przystało wnuczce wielkiego Kith-Kanana i córce swej matki. Ściśnięte przez zwierające się ściany powietrze wtrąciło nieszczęsne elfy

w niebyt. Pierwsi stracili przytomność Esquelamar i Harmanutis, zaraz po nich - Armantaro. Vixa chciała dopełnić do starego legata, zanim jednak zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, miecz wypadł jej z dłoni. Van dobył oręza podobnie jak księżniczka, ale w końcu nawet i on, zahartowany w trudach puszczańskiego życia myśliwiec i wojownik, stracił dech w piersiach. Palce nagle mu zeszywniały, rękojeść wypadła z dłoni i elf przestał cokolwiek odczuwać.

Rozdział 4 - Śmiertelna głębia Vixa otworzyła oczy, z niemałym zdumieniem odkrywając, iż jeszcze żyje. Huczało jej w głowie, jakby wszyscy kowale Thorbardinu postanowili urządzać sobie w niej kuźnię. Siadła z jękiem i rozejrzała się dookoła. Kapitan Esquelamar i reszta jej kompanów leżeli porozrzucani po całej, zapadniętej jaskini. Ściany nadal świeciły czerwonym blaskiem. Księżniczka zaczęła rozcierać sobie skronie. Poruszył się Armantaro. Usiadłszy z widocznym wysiłkiem, oburącz złapał się za głowę. Na jego wargach widać było zaschniętą krew. - Aaa... - jęknął. - Łeb mi pęka, jakbym wyłopał beczkę thorbardińskiej gorzały! - Skrzywił się i dodał: - Bardzo zresztą podłej! - Krew ci leci z nosa, legacie. Stary wojownik otarł czerwoną strużkę i zaczęli rozmawiać szeptem, bo łupanie w czaszkach nie pozwalało im na podniesienie głosów. Wymuszaną ciszę przerwał nagle ogłuszający ryk. Przebudzenie kapitana Esquelamara było dość hałaśliwe. - Na wszystkie bóstwa! - jęknęła Vixa. - Ciszej, kapitanie! - Astro, zlituj się nade mną... umieram! - ryczał kapitan, mocą głosu zadając kłam żalosemu oświadczeniu. Walił się przy tym pięścią w łeb z zapalem godnym doprawdy lepszej sprawy. - Dałbym prawe ramię za puchar zacnego trunku! - Ja też je oddam.. za to, byś zawarł gębę! - stęknął Armantaro. Esquelamar wstał, zatoczył się i wpadł na rozjarzoną ścianę. Vixa spodziewała się kolejnego wrzasku - tym razem wypełnionego bólem - nic takiego jednak nie nastąpiło. - Kapitanie... nie oparzyłeś się przypadkiem? - spytał ostrożnie Armantaro. - Oparzyć się? - Kapitan łypnął okiem i przyjrzał się otoczeniu. Zmrużywszy oczy, cofnął się od ściany i powiedział: - Nie... to nie jest cieplejsze niż tyłeczek... eee... niemowlęcia. Vixa wstała ostrożnie, odczekała chwilę i opanowawszy drżenie kolan, podeszła do ściany. Dotknęła jedną ręką czerwonej powierzchni. Esquelamar mówił prawdę. Ściana była ciepła i poddawała się naciskowi, niczym żywa tkanka. W tejże chwili ocknęli się Harmanutis i Vanthorioris. Dziesiętnik wystękał prośbę o wodę, nie mogli jednak jej spełnić. Niewielkie zapasy wody pitnej i żywności, które mieli ze sobą, przepadły gdzieś podczas trzęsienia pieczary. Aby zapomnieć o własnym pragnieniu, Vixa zaczęła badać więzienie. Opadłszy na kolana, odsunęła zalegające grunt wilgotne śmiecie. Wkrótce odkryła takie same zębra, na jakie natknęli się przy wejściu. Pomiedzy nimi zalegały pasma miękiszku opisywanego przez Vanthoriorisa. Był gąbczasty i łatwo ustępował pod naporem. I nagle wszystkie myśli i fakty wirujące w głowie dziewczyny zestrzeliły się w jedno - odkrycie zaś było tak zdumiewające, że księżniczka jęknęła. - Wasza Miłość? - Vanthorioris podpełznął do niej, sądząc, że odkryła coś na ziemi. Nawet obok niej przyklęknął. - To nie jest jaskinia! - wypaliła Vixa. Vanthorioris i pozostali spojrzeli na nią, niczego nie rozumując. - Co mówisz... pani? - wyszeptał Armantaro. - To nie jaskinia - powtórzyła powoli księżniczka. - Myślę... nie, jestem niemal pewna, że tkwimy we wnętrzu jakiegoś ogromnego, żywego stwora! Na wszystkich gębach odmalowało się zdumienie i niewiara. Legat zmarszczył brwi, usiłując jakoś zebrać rozbiegane myśli. - Co takiego? - spytał szeptem. Vixa spojrzała kolejno na każdego z towarzyszy. - Ta wyspa nie jest żadną wyspą - stwierdziła stanowczo, usiłując zachować spokój. - To jakiś ogromny stwór morski. - Wasza Miłość musiała doznać szwanku na rozumie - wypalił Harmanutis. - Dziesiętniku, bacz, do kogo mówisz! - skarcił go Armantaro. - Księżniczko, skąd taki pomysł? - Kapitanie... - zapytała zamiast odpowiedzieć - przypomnij sobie, jak wczoraj w nocy ryby uciekały precz od statku... i odpowiedz, widziałeś już kiedykolwiek coś takiego? - Nie, pani. Nigdy. - A te sondowania, co się tak zmieniały... głębia, płycizna i znów głębia... umiesz to wytłumaczyć,

opierając się na swoim bogatym doświadczeniu? - Nie. - Morze na całe mile zabarwione było błotem, prosto na naszym kursie, prawda? A statek osiadł na mieliźnie w miejscu, gdzie jej przedtem nie było. - Wszyscy nadal patrzyli na nią, jakby niczego nie pojmowali. - Przecież to oczywiste! Stwór uniósł się z dna. Wypłoszył ryby, które zaczęły uciekać. Przepłynął pod naszym statkiem, stąd te zmienne odczyty głębokości. A kiedy wypłynął na powierzchnię, osiedliśmy na jego grzbiecie, myśląc, że to wyspa! Gdy wyliczała swe argumenty, widziała jak na twarzach słuchaczy pojawia się i stopniowo pogłębia zwątpienie, a gdy skończyła, odmalował się na nich niepokój. Logika wywodów księżniczki była nieodparta. - Czy to możliwe? - spytał stojący obok Vixy Vanthanoris. - Taki potwór musiałby mieć z milę szerokości. Jakże bogowie mogliby stworzyć coś tak ogromnego?

Armantaro potrząsnął głową: - Bogowie czynią, co im się podoba. - Ta jaskinia - ciągnęła Vixa - musi być gdzieś we wnętrzu stworzenia. Ściany tworzy jego cielsko. Dlatego są miękkie, wilgotne i ciepłe. Vanthanoris poderwał zwieszoną głowę i rozejrzał się ze zgrozą. - I ja go rozjuszyłem! - wyszeptał. - Kiedy wbiłem sztylet w grunt, zbudziłem go z drzemki! Na kilka minut zapadła cisza, podczas której wszyscy usiłowali zrozumieć wynikające z wniosku księżniczki implikacje. Przyglądali się otoczeniu, patrząc na nie już nie jako na naturalną formację skalną, ale na wnętrze żywej istoty. Jaskinia przede wszystkim nie była jaskinią. - Co zrobimy? - spytał w końcu Harmanutis. - Uda nam się jeszcze zobaczyć ład czy słońce? Vixa wyprostowała się dumnie. - Nie traćmy nadziei! Nie zostaliśmy chyba pożarci. W rzeczy samej zaś, jeśli zechcecie sobie przypomnieć te przeciwne wiatry, które dęły tu, zanim bestia dała nura, dojdziecie do wniosku, że jesteśmy gdzieś w jakimś przewodzie oddechowym... albo w nozdrzach. Bezpośrednie niebezpieczeństwo zatem grozić nam będzie, kiedy bestia ponownie zaczerpnie tchu. - Może zdołamy się wydostać! - wypalił Vanthanoris z obudzoną nagle nadzieją. - Jeżeli bydlę oddycha powietrzem, to owszem - odpowiedziała Vixa. - Ale jeśli to jakiś stwór, który ma skrzela... Kapitan Esquelamar przesunął dłońmi po swoich długich, piaskowej barwy włosach. - Kazałem chłopcom strzec wejścia do tej pieczary - powiedział cicho. - Kiedy potwór da nura... - Armantaro położył mu dłoń na ramieniu. Niewielką to przyniosło pociechę staremu żeglarzowi. Gdy stwór się zanurzy, elfy pozostawione na zewnątrz z pewnością pójdą na dno. - Ale statek niewątpliwie wyjdzie cało - odezwała się Vixa, która usiłowała w ten sposób pocieszyć i siebie samą. W końcu to ona ściągnęła swoich żołnierzy na okręt. Esquelamar uśmiechnął się z przymusem. - Owszem, pani. Statek wyjdzie cało. Był najpiękniejszy z tych, którymi miałem honor dowodzić. - Uśmiech kapitana przeszedł w grymas goryczy. Żeglarz przełknął ślinę. - Słyszałem kiedyś pewną legendę - mruknął - dawno temu, kiedy byłem jeszcze szcurem lądowym nie znającym zapachu morza. Stare morskie wygi powiadają, że istnieje stworzenie zwane krakenem... ma to być bestia tak wielka, że swoimi mackami może wciągnąć pod wodę największy nawet statek. Zdarza się niekiedy, iż jakiś okręt przepada podczas pięknej pogody, w łatwym rejsie do Hylo lub Baliforu. Stare wilki morskie powiadają wówczas: „Poszli na karmę dla krakena”. Ta opowieść nie dodała ducha elfom. Pierwszy odezwał się Armantaro. - Niczego nie

wskóramy, jeśli będziemy tu siedzieć i załamywać ręce. Musimy zbadać to... przejście. Może istnieje jakaś droga na zewnątrz? - Nie zapominajmy o tym, że gdzieś tu muszą być ci, co zaatakowali kapitana i zabili Thelerana - przypomniał Vanthanoris. - Jeśli się na nich natkniemy, trzeba im będzie zaproponować rozejm - postanowiła Vixa. - W naszej sytuacji walka nie miałaby sensu. Młodszy wojownicy sięgnęli po miecze i ruszyli ku śliskiemu zboczowi. Reszta podążyła za nimi, uważnie stawiając stopy. W miarę jak schodzili coraz niżej powietrze robiło się wilgotniejsze i gorętsze. Idący przodem Harmanutis mruknął: - Nic a nic mi się to nie podoba. - Lejąca się ze ścian czerwona poświata nadawały zarówno jego twarzy, jak i obliczu idącego obok Vanthanorisa

demoniczne, purpurowe zabarwienie. - Czuję się jak robak w mewim tyłku. Vixa następowała im niemal na pięty. Z niejakim zdziwieniem i wbrew strachowi odkrywała w sobie coraz większe zainteresowanie krakenem - bo musiał to być kraken. - Kapitanie, do jakich stworzeń zaliczyłbyś tę bestię? - spytała. - Mam na myśli gatunek lub rodzaj. - Niełatwo orzec, pani - odparł Esquelamar, który właśnie się schylał, by ominąć jakąś zwisającą z góry skórzastą fałdę. - Dyszał jak wieloryb. - Gdyby tak było w istocie, mielibyśmy szczęście. Wieloryby oddychają powietrzem jak ludzie. Jeśli ten stwór wypływa na powierzchnię dla zaczerpnięcia tchu, może uda nam się uciec. - Nawet jeżeli tak, nie sposób nam zgadnąć, jak często ta bestia nabiera tchu - mruknął Esquelamar. - Gdyby wziąć pod uwagę jej rozmiary, można by dojść do wniosku, że przerwy między kolejnymi oddechami wynoszą kilka godzin... albo i kilka dni. Łagodnie nachylony w dół korytarz przeszedł w poziome przejście zakończone czymś, co wyglądało na parę półkolistych drzwi. Rozbitkowie zbadali przeszkodę, Vixa obmacała ją nawet palcami. Powierzchnia drzwi była miękka i sprężysta - pod dotykiem palców dziewczyny płyty rozsunęły się nieznacznie i ku elfom buchnęła fala okropnie smrodliwego, rybiego zaduchu. - Aaaargh! Tam musi być żołądek potwora! - stęknął Esquelamar. Nikt nie zdradzał ochoty sprawdzenia, czy tak jest w istocie. Z braku innej drogi zawrócili i wrócili do zamkniętego nozdrza potwora. - Jedyna droga, jaką możemy wydostać się na zewnątrz - stwierdziła Vixa, wskazując zamknięte wejście. Vanthanoris przesunął dłoń po swych srebrzystych włosach. - Ciekaw jestem, co się stało z tymi dwoma oszczepnikami? No... tymi, za którymi tu trafiliśmy. - Może wylądowali w brzuchu krakena - odparł obojętnie Harmanutis. - I dobrze im tak!

- Ale to dziwne - zamyślił się Armantaro. - Nie wyglądali mi na rozbitków. A jeśli nimi me byli, jak, u licha, dostali się na wyspę... znaczy, na krakena? Księżniczka skupiła się na sprawach praktyczniejszej natury. - Nie mamy sposobu, by się dowiedzieć, kiedy bestia ponownie zechce zaczerpnąć tchu - oznajmiła. - Ale nie przetrwamy tu długo bez wody i żywności, musimy się więc jakoś stąd wydostać. Czy ktoś ma jakiś pomysł? Wojownicy nie mieli. Myślenie nie było ich żywiołem. Wiedzieliby, co począć, gdyby przyszło im stawić czoło choćby całej armii, znalazłszy się jednak we wnętrzu morskiego potwora, byli całkowicie bezradni. Mijały minuty i nikt się nie odzywał. - A ty, kapitanie? - spytała Vixa. Żeglarz złożył na piersi swe muskularne ramiona. - Nie umiem powiedzieć, czy bestia się porusza, czy nie. Nie mamy pojęcia, czy tkwimy przy jej grzbiecie, zwróconym ku powierzchni, czy... że tak powiem, przy jego zwróconym ku głębiom spodzie. Nie da się powiedzieć, czy bydlę przypadkiem nie legło na dnie - a jest tu ze czterdzieści sążni. Ale, jak już raczyłaś rzec, pani... nie możemy tu zostać i musimy uciekać. Jeśli zaś idzie o sposób... - Esquelamar uśmiechnął się nieco złośliwie. - Kraken czy nie, gdy zwierzę coś połechce w nos, bestia zwykle stara się to wydmuchać. Na ponurej dotąd twarzy księżniczki również pojawił się uśmiech. - To jest myśl, kapitanie! Dobra nasza! Szybko doszli do wniosku, że pierwszej trzeba im dostać się jak najbliżej otworu, którym tu dotarli. Potem rozjuszą krakena; dźgając go mieczami. Przy odrobinie szczęścia, i jeśli zechcą im sprzyjać bogowie, bestia wydmuchnie ich wprost na powierzchnię albo na głębokość, z której jakoś się wydostaną. Armantaro, Harmanutis i Vanthanoris szybko zdjęli pancerze i ciężkie, żołnierskie buty. Esquelamar również pozbył się obuwia - a miał piękne, robione na miarę skórznie z cholewami do kolan. Vixa rozebrała się do bielizny, co wywołało rumieniec na twarzy starego legata. - Pani... to się nie godzi... - powiedział, przełknąwszy kilkakrotnie ślinę. - Legacie, czyżbyś wolał, żebym się utopiła ze względu na twoje złe pojęte poczucie przyzwoitości? - spytała cierpko księżniczka. - Może się zdarzyć, że trzeba nam będzie pływać i odzież skrępuje mi ruchy. Młodszy żołnierze poszli za jej przykładem i rozebrali się niemal do naga, zostawiając sobie jedynie przepaski lędźwiowe. Armantaro uparł się jednak, że nie zdejmie koszuli i spodenek, kapitan również odmówił zdjęcia swych jadowicie zielonych, luźnych, marynarskich portek z grubego

samodziału. - Są całkiem nowe - rzekł po prostu. Elfy ujęły oręż w dłonie. Na znak dany przez księżniczkę, wszyscy zaczęli dźgać skórzaste

ściany ich więzienia. Kraken miał twardą skórę. Żadne z pchnięć nie wytoczyło ni kropli krwi i chyba nie sprawiło bestii najmniejszego bólu. Poirytowana Vixa podniosła miecz i dźgnęła w pułap. Ten był - jak się okazało - wrażliwszy niż ściany. Cały tunel zadrżał gwałtownie. - Wszyscy razem! - zawołała księżniczka. - W pułap... już! Cztery elfie ostrza zaczęły się zagłębiać w mięsisty pułap. Gwałtowny wstrząs korytarza zwałił ich z nóg. Dwa miecze zostały wyrwane, pozostałe dwa - Vixy i Vanthanorisa - utkwily jednak na dobre. Łukowate przejście nieznacznie się rozchyliło. I do wnętrza chlusnęły zimne, słone strugi. - Musimy być pod wodą! - zawołał Esquelamar. Bestią znów szarpnął dreszcz, który cisnął wszystkich na ściany. Vixa postanowiła odzyskać swój cenny miecz. Podłoga trzęsła się okropnie, ściany drgały, nie było to więc łatwe zadanie. Dwukrotnie sięgała ku rękojeści oręża, ale bezowocnie. Powiodła jej się dopiero trzecia próba. W tejże chwili nozdrze krakena otwarło się całkowicie i do korytarza runęła ściana wody. Wszystkich zmiotło w głąb. Vixa rozpaczliwie zaczęła szukać jakiegokolwiek uchwytu. Wiedziała, że jeśli zmyje ich do przewodu pokarmowego bestii, będzie już po nich. Wokół niej z hukiem i szybkością atakującego smoka przewalały się strugi ciemnej jak atrament wody. W tym mrocznym piekle niczego nie można było dostrzec. Potężny nurt wody cisnął wszystkich o jakąś sprężystą przeszkodę. To musiał być wlot do żołądka potwora. Usiłowali się od niego odepchnąć, napór wody udaremniał jednak wszelkie próby. I nagle porwało ich w przeciwną stronę - ku wyjściu. Kraken odetchnął i prąd zmienił kierunek. Vixa poleciała głową naprzód, bezwładnie odbijając się od ścian i ciał przyjaciół. Rąbnęła potężnie grzbietem o coś twardego i sprężystego, poczuła, że płyta zamykająca nozdrze potwora otwiera się za nią i księżniczka jak pocisk z katapulty gnomów wyleciała w mroczne, kotłujące się gwałtownie i zimne niczym objęcia śmierci wody. Wirując szaleńczo i nie czując własnego ciężaru, pomknęła w ciemności. Płuca dziewczyny paliło zawarte w nich powietrze. Zaczęła płynąć... ku powierzchni? Gdzie była powierzchnia? Vixa nie miała pojęcia. Nacisk wody niemal wyparł jej dech z piersi. Musiała odetchnąć! Rozpostarła ramiona, poszukując towarzyszy. Nic. Coś przemknęło obok niej, muskając jej ramię. Kraken? Ujrzała przed sobą jakieś oblicze. Dziwne... nie elfie i nie ludzkie. Uśmiechnięte.

Delfin. Nigdy wcześniej nie widziała delfina z tak bliska, a teraz, kiedy jej się poszczęściło, była już niemal martwa. Musiała nabrać tchu! Otworzyła usta. Zanim zdążyła wtargnąć do nich woda, wetknęto jej w nie coś twardego. Powietrze! Do jej udręczonych płuc zamiast zimnej, słonej wody wleciał strumień powietrza. Delfin przyciskał jej do ust coś białego. Dziewczyna wczepiła się w to oburącz i przycisnęła obiekt do twarzy. Wyglądało to na sporą muszlę - i było pełne powietrza! Cudownie słodkiego, świeżego powietrza! Delfin tymczasem musnął jej prawe ramię swoją płetwą grzbietową. Gdy przepływał po raz drugi, dziewczyna wczepiła się w szare cielsko i mocna zacisnęła dłoń. Potężne uderzenie płetw ogonowych poniosło ją w mroczne wody. Woda napierała jej na twarz i Vixa musiała drugą dłonią mocno trzymać życiodajną muszlę. Obejrzawszy się za siebie, zobaczyła inne, podługowate i szybkie kształty, które też pewnie były delfinami. Czyżby uratowano i jej przyjaciół? Posłała Astrze milczącą modlitwę. Oby im się poszczęściło! Płynęli dość długo, aż wreszcie Vixa dostrzegła daleko w przedzie nikłą, żółtawą poświatę. Delfin zmienił kurs i skierował się w stronę źródła blasku. Woda wokół nich znacznie się też ociepliła. W dole migwały purpurowe ogniki, z czego dziewczyna wyciągnęła wniosek, że są na terenie o sporej aktywności wulkanicznej. W górę były kolumny gorącej niemal wody. Delfin popłynął ku dwu kamiennym iglicom. Przepływając obok jednej z nich, dziewczyna zauważyła, że powierzchnię kamienia pokrywają dziwne glify i geometryczne kształty. Niżej leżała regularna biała wstęga. Wszystko to

dziwnie przypominało jej drogę. Droga na dnie morza! Jej delfin zwolnił i dołączył do szkołki innych delfinów. Wszystkie wyglądały podobnie - dziewięciostopowej długości smukłe ciała o szarych grzbietach i bokach oraz jaśniejszym podbrzuszu. Cała szkołka płynęła nad drogą. Woda była tu cieplejsza i przesycała ją łagodne, żółtawe światło. Vixa raz jeszcze obejrzała się przez ramię. Zauważyła swoich przyjaciół, również transportowanych przez delfiny. Wszyscy, jak ona sama, przyciskali do ust muszle. Po chwili księżniczka pojęła, że coś się nie zgadza. Widziała trzech Qualinestyjczyków, nie dostrzegła jednak nigdzie kapitana Esquelamara. Świadomość, że przynajmniej elfy ocalały, mimo wszystko podniosła ją na duchu. Popatrzyła przed siebie w tej samej chwili, w której wolno już płynący delfin docierał do drugiej pary kamiennych iglic. Te wyrzeźbiono na podobieństwo gigantycznych głowonogów. Droga unosiła się i opadała. Za nią zaś księżniczka zobaczyła coś, co sprawiło, że niemal wypuściła z ust życiodajną muszlę. Miasto.

To ono było źródłem światła, które rozjaśniało głębiny. Z morskiego dna muszlowatymi zwojami unosił się w górę potężny, wyniosły kompleks. Przez łukowate bramy sączyły się na zewnątrz smugi blasku. Vixa widziała białawe kształty, które mogły być wieżycami i budynkami. Niżej śmigały bystre delfiny. Dziewczyna mogła tylko zgadywać, na jaką wysokość wznosił się kompleks, ale jego szczyt ginął jej z oczu. Wieża Słońca w Qualinoście liczyła sobie sześć setek stóp, ale budowla, do której zbliżała się Vixa, była znacznie wyższa. Jej delfin zanurkował ku dolnym poziomom. W pobliżu jednego z otworów Vixa dostrzegła dwunogie stworzenia. Czyżby mieszkają tu jakieś istoty rozumne? Delfin zwolnił i opadł na marmurową powierzchnię drogi. Otrząsnął się żywo i Vixa puściła płetwę. Jej wybawca śmignął w górę i księżniczka została sama. Unosząc się w wodzie i zastanawiając, co dalej, zdała sobie sprawę z faktu, że przestrzeń wokół niej wypełniają tysięczne poświstywania i kliknięcia. Delfiny transportujące jej przyjaciół opadły obok niej i osadziły resztę grupy na drodze. Armantaro złapał ją za ramię i księżniczka energicznymi kiwnięciami głowy zapewniła go, że nic jej się nie stało. Harmanutis pociągnął legata za ramię, pokazując coś drugą dłonią. Na tle światła grodu rysowało się sześć wysokich sylwetek. Elfy natychmiast zebrały się w zwartą grupę. Vixa śmiało zaliczyła sześciu obcych do najwyższych istot, z jakimi kiedykolwiek się zetknęła. Wszyscy byli wyżsi od niej przynajmniej o głowę. Ich skóra miała głęboki, błękitny odcień. Wyglądało na to, że wszyscy mają na sobie zielono szmelcowane zbroje, hełmy i krótkie kilty. Woda rozmywała szczegóły, niewiele więc dało się dostrzec. W dłoniach jednak dzierżyli dobrze elfom znane krótkie włócznie. Byli to ci sami osobnicy w opończach z nicienicy, za którymi elfy trafiły w nozdrze krakena. Błękitnoskórzy sprawnie otoczyli nieliczną grupkę przybyszów. Vixa poczuła przelotne ukłucie żalu i goryczy, kiedy odebrano jej miecz wraz z pochwą. I zdumiała się, patrząc na dłoń, która odbierała jej oręż - palce obcego były niezwykle długie i połączone jakby półprzejrystą, mocną błoną. Obcy skierowali przybyszów ku miastu. Elfom niezręcznie było na poły iść, na poły płynąć, błękitnoskórzy jednak poruszali się ze zdumiewającą gracją i gibkością. Gdy podeszli bliżej, Vixa spostrzegła, że delikatna, podobna do grodu budowla była wycięta z różowego granitu. Najniższe ściany były niezwykle masywne. Korytarz pod bramą, przez którą wchodził, miał kilkanaście kroków długości, w boczne zaś jego ściany wnikały liczne węższe przejścia. Całość oświetlało wiele kul wielkości dyni, przymocowanych w regularnych odstępach do żeber sklepienia. Dotarli do rozwidlenia korytarza i strażnicy powiedli elfy ku lewej odnodze. Droga zaczęła

łagodnie wznosić się ku górze. Podpłynawszy do czegoś w rodzaju pochylni i wspiąwszy się na nią, trafili do rozległej na dwadzieścia kroków wzdłuż i wszerz komnaty wypełnionej powietrzem. Vixa wyjęła ustnik muszli spomiędzy warg. Powietrze pachniało słodko, możliwość zaś swobodnego oddychania okazała się czystą, niczym nie zmaconą rozkoszą. Na szczycie pochylni był kamienny pomost przypominający przystanie portowe. Na tym to pomoście zebrało się kilkunastu wysokich,

błękitnoskórych obcych. Odziani byli w obszerne oponcze, zielonej lub fiołkowej barwy, głowy zaś mieli przybrane wyszukanie ozdobnymi muszlami i klejnotami, wśród których przeważały pyszne perły. Włosy - jasnozielone, trawiaste lub nefrytowe - rozpuszczali luźno do ramion. Pośrodku grupy mieszkańców oceanu stał nieznamy o uderzającym wyglądzie. Miał krótko przycięte kędziory, które otaczały jego urodziwą twarz - nie nosił jednak żadnych innych ozdób na głowie. Gładką, bezwłosą pierś obcego pokrywały za to liczne naszyjniki z muszli i klejnotów. Podeszedł bliżej, Vixa przekonała się, że dumnie osadzony nos był prosty, a kości policzkowe - wysokie. Miał też największe fiołkowe oczy, jakie zdarzyło jej się widzieć u mężczyzny. Księżniczka odsunęła pasmo własnych włosów, które przepłynęło jej przed oczami, i dostrzegła coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że zatrzymała się w miejscu jak wryta. Uszy mieszkańca głębin były ostro zakończone ku górze - jak jej własne. Miała przed sobą elfa! Wszyscy mieszkańcy głębin byli elfami. - Witajcie! - odezwał się gospodarz w bezbłędnie akcentowanym elfim języku. - Jestem Coryphen. Rad jestem, mogąc was przyjąć w Urione.

Rozdział 5 - Protektor Urione Przez kilka długich chwil nikt się nie odzywał. Qualinestyjczycy stali na pochylni i zanurzeni po kolana trzęśli się z zimna. Żaden z bogato ubranych obcych nie uśmiechnął się ani nie przemówił. Odziana - jak jej towarzysze - jedynie w mokrą bieliznę, Vixa odkryła szybko, że obojętność widzów mocno ją irytuje. - N-nie mieliśmy pojęcia o istnieniu waszego ludu ani waszego miasta - udało jej się w końcu jakoś wyjąkać mimo szczękania zębami. - Szczęście to dla nas, żeście nas odnaleźli. Na te słowa uśmiechnął się Coryphen. - Czyżby mieszkańcy łądu zapomnieli już o swych braciach, elfach Dargonesti? Dargonesti. Rasę tę od tysiąca lat uważano już za wymarłą. Podczas gdy Vixa, Armantaro i dwaj żołnierze wymieniali zdumione spojrzenia, jeden z morskich wojów podał Coryphenowi miecz odebrany księżniczce. Ten zbadał go dokładnie, osobliwie podziwiając wyważenie i hart oręża. Zwracając się do Armantaro, zapytał: - Kim jesteście? Legat, którego z powodu wieku wzięto widocznie za przywódcę, przedstawił kolejno swoich towarzyszy. Rozmyślnie przy tym pominął tytuł i rangę Vixy. Uczynił to najpewniej po to, by zapobiec ewentualnym targom o okup. - To twoja żona? - dopytywał się Coryphen. - Nie... kuzynka. - Armantaro odsunął z twarzy pukiel mokrych włosów i zmusił się, mimo przejmujących go dreszczy, do przyjęcia godnej i dumnej postawy. - Był z nami jeszcze jeden elf o imieniu Esquelamar. Wiecie może, czy został uratowany? Coryphen machnął niedbale dłonią. - Moi heroldowie donieśli mi tylko o was. - Jeden z podmorców nachylił się ku mówcy i powiedział coś przyciszonym głosem. Coryphen kiwnął głową i rzekł: - Może być, że wasz towarzysz trafił do innego wejścia. W tejże chwili z wody na pochylnię wypadł potężny, szary delfin. Qualinestyjczycy cofnęli się, zaniepokojeni nagłym pojawieniem się zwierzęcia. Stworzenie wylądowało u stóp Coryphena. Gwałtownie zamachawszy płetwami, delfin opryskał wodą niemal każdego w pobliżu. - Naxosie, jak ty się zachowujesz? - Ton, jakim Coryphen skarcił przybysza, był równie zimny, jak morska woda. Delfin świsnął ostro i przenikliwie. Wygiął grzbiet w tył, a jego muskularnym ciałem szarpnął gwałtowny dreszcz. Zdumieni ponad miarę Qualinestyjczycy wytrzeszczyli oczy, ujrawszy, że od boków zwierzęcia oddzieliła się para muskularnych ramion, szarych jak jego skóra. Z ostrym dźwiękiem przypominającym mlaśnięcie ogon stwora pękł i rozdzielił się na parę

długich, szarych nóg. Pysk przybysza przekształcił się we wcale wydatny nos. Nie minęło i dwadzieścia uderzeń serca, a delfin stał się chudym, muskularnym elfem o krótkiej, zielonobłękitnej czuprynie. Jego skóra również zmieniła barwę - najpierw na kończynach - aż przed stojącymi bez tchu Qualinestyjkami stanął jeszcze jeden elf Dargonesti. Przemieniec, którego ciało lśniło jeszcze wilgocią, przyklęknął przed Coryphenem na jedno kolano. - Wybacz, ekscelencjo - mruknął, choć ton jego głosu wskazywał wyraźnie, że przybysz był raczej rozbawiony i wcale nie czuł skruchy. -

Wszystko w porządku? - Ma'el spoczął w łożu, ekscelencjo. - Naxos nie krępując się specjalnie, przyglądał się dygoczącym nadał na pochylni Qualinestyjczykom. - Czy znaleziono jeszcze jakiegoś suchawca? - spytał Coryphen. - Owszem, piątego. Niestety, utonął. Vixa i Armantaro wymienili spojrzenia pełne żalu. Coryphen kiwnął im dłonią i powiedział: - Wy dwoje zostańcie. Naxosie, zawieź pozostałych dwu do grotu. W sadzawce pokazały się inne delfiny, sapiące radośnie i pogwizdujące. Armantaro musiał podnieść głos, by go usłyszano: - Ekscelencjo! Ci dwaj to moi przybocznicy! Żądam, by zostawiono ich ze mną! - Tutaj przybocznicy wam niepotrzebni. Chodźcie! Nowo przybyte delfiny uległy takiej samej metamorfozie jak ta, którą Qualinestyjczycy niedawno obserwowali na przykładzie Naxosa. Vixa patrzyła jak jeden po drugim stają przed nią rosłe, żółtookie elfy Dargonesti. Armantaro, który widocznie uważał, że źle jest irytować gospodarzy, pociągnął dziewczynę za łokieć. Podniósłszy wzrok, spostrzegła, że milczący członkowie orszaku Naxosa nie byli zwykłymi dworakami. Pod obszernymi opończami wszyscy mieli zielonkawe pancerze z substancji przypominającej skorupę żółwia. Z przypiętych do pasów rapci zwisały krótkie, szerokie kordy. Vixa nie bez żalu przypomniała sobie o swoim mieczu i wzięła starego legata pod ramię. - Dlaczego czuję się tu bardziej jeńcem niż gościem? - spytała szeptem. Towarzysz uśmiechnął się, jakby chciał dodać jej otuchy, nie zdołał jednak ukryć troski widocznej w spojrzeniu. Coryphen tymczasem wdział nakrycie głowy wykonane z muszli i klejnotów, jego gwardziści zaś otoczyli przybyszów zwartym szykiem. Błady pułap pomieszczenia przebiegały tu szerokie schody, po których wywiedziono Qualinestyjczyków na dość ruchliwą aleję. Setki elfów zapełniały przestrzeń przypominającą wyglądem targowisko. W gigantycznych muszlach lub tkanych przemyślnie z wodorostów koszach leżały tu tuzinami najróżnorodniejsze ryby. Kramarze

ciągnęli za sobą dwukołowe niewielkie wózki. Powietrze było wilgotne i przesycone zapachem niedalekiego oceanu. Na widok Coryphena i jego orszaku wszyscy usuwali się z drogi. Pospólstwo, którego przedstawiciele nosili szare skórzane kurtki i krótkie, zielone lub żółtawe kilty, nisko kłaniało się możnemu panu. Coryphen kroczący dumnie środkiem nie obejrzał się ni w prawo, ni w lewo. Członkowie jego orszaku potraktowali motłoch dokładnie z taką samą wyniosłością. Po przejściu Coryphena wszyscy podnosili oczy i spoglądali spode łba na Vixę i Armantaro. Nie były to bynajmniej przyjazne spojrzenia. - Wydaje się, że nie darzą nas tu przesadną przyjaźnią - mruknęła cicho Vixa do towarzysza. - Nie... Idę o zakład, że przyjaźniej i cieplej powitano by nas w Silvanoście. - Skoro mowa o ciepłe - Vixa wskazała mu swoje skąpe i wilgotne odzienie. Armantaro zmarszczył brwi i wydłużył krok. - Ekscelencjo - zwrócił się do wiodącego ich wielmoży. - Mojej krewniaczkę jest zimno. Czy ktoś mógłby choć na krótko pożyczyć jej opończę? Coryphen spojrzał na Vixę, wzruszył ramionami i kiwnął dłonią jakiemuś przechodniowi. Po kilku chwilach Vixę otulał błękitny płaszcz utkany ze zdumiewająco miękkiego i ciepłego materiału. Ogrzawszy się szybko, księżniczka jęła obserwować otoczenie ze zwiększonym zapałem i ciekawością. Nad targowiskiem unosił się znów żebrowany pułap, z którego zwisało wiele świetlistych kul. W niektórych miejscach z kolumn lub po prostu ze ścian wystawały kamienne kurki. Z otworów ukształtowanych na podobieństwo pysków koników morskich lub głowonogów wylewały się do niewielkich baseników strumienie wody. Wydawały się zbyt liczne, aby były zwykłymi fontannami dostarczającymi wody pitnej. Tajemnica wyjaśniła się sama, kiedy Vixa ujrzała, że jeden z podmorców odstawia niesiony przez siebie kosz i wtyka głowę pod strumień wody. Dopiero wówczas zauważyła, że każdy z mieszkańców podmorskiego grodu ma po obu stronach szyi, tuż pod uszami, półokrąg koronkowych skrzeli. Swoje spostrzeżenie natychmiast przekazała towarzyszowi. - Zobacz - powiedziała, wskazując widok kiwnięciem głowy - wygląda na to, że oni oddychają i powietrzem, i wodą. Kiedy nie są w wodzie, muszą chyba nawilżać te swoje skrzela. Gdy cały orszak zbliżył się do drugiego

końca targowiska, Coryphen przystanął. Zza zakrętu wyłoniła się ozdobna lektyka niesiona przez cztery elfy, które na głowach miały hełmy. Tragarze opuścili lektykę i Coryphen wstąpił na nią niczym król na tron. Vixa rozejrzała się za drugim środkiem transportu. Niczego takiego nie zauważyła. -

Pójdziemy chyba pieszo - westchnęła. Swoje stopy, zziębnięte i zmoczone, odczuwała już jak dwie bliźniacze bryłki lodu. Wszyscy Dargonestyjczycy chodzili boso - wyglądało na to, że z obuwiem będzie tu problem. Na wydaną okrzykiem komendę tragarze dźwignęli Coryphena w górę. Po obu stronach lektyki uformował się szereg gwardzistów. Podmorski lord klasnął w dłonie i tragarze ruszyli spiesznym truchtem. Qualinestyjczycy musieli pobiec, zwawo wyciągając nogi. Podczas biegu gwardziści wyjęli miecze. Prowadzący orszak, który zajął miejsce przed lektyką, głębokim głosem zaintonował monotonną pieśń. Strażnicy zaczęli powtarzać ją chórem. Vixie wydało się, że jest to bezsensowna, choć dość rytmiczna wyliczanka, pomagająca utrzymać jednakowe tempo. - Spójrz na ich miecze - sapnął Armantaro. Eskorta Coryphena była uzbrojona w rozmaite -~ i dość przypadkowo dobrane - okazy białej broni. Vixa widziała ergothajskie szable, krótkie kordy krasnoludów i marynarskie kordelasy. Oczywiście było, że jest to kolekcja wydobyta z rozbitych statków. Dlaczego jednak elitarna jednostka nie miała jednolitego uzbrojenia? Błyszczący marmurowy szlak wił się kręto wokół gigantycznej kolumny z różowego granitu, która najpewniej podtrzymywała zewnętrzną skorupę okrywającą miasto. Wznosił się dość stromo, długonogie morskie elfy bez wysiłku jednak utrzymywały mordercze niemal tempo. Gdy tak gnali po spiralnej pochylni, Vixa spojrzała ku górze. Szlak wił się nad nimi coraz wyżej, a środkowa kolumna wznosiła się aż ku szczytowi grodu. Dziewczyna przełknęła ślinę i odwróciła spojrzenie, bo nagle zakręciło jej się w głowie. Krążyli pozornie bez końca, ciągle wznosząc się w górę i mijając wszystkie poziomy Urione. Niektóre poziomy wypełniało powietrze i znajdowały się na nich domy i sklepy. Inne, oddzielone od spiralnej pochylni kwarcowymi płytami, były otwarte na ocean. Krążyły po nich delfiny - a może podmorcey w swym drugim wcieleniu, delfiny te miały bowiem ozdoby z muszli i klejnotów. Były też i poziomy częściowo zalane wodą, gdzie wśród wodorostów krążyły ławice łososi i tuńczyków, w niedużych zaś zagrodach kłębiły się chmary krabów i homarów. Minęli też poziom o szczególnie wysokim pułapie. Od centralnej pochylni odłączały się tu drogi wyłożone macicą perłową i czarnym bazaltem, wiodące ku klinowato zwieńczonym pięknymi świątyniom. Budowle ozdobiono wspaniale rzeźbionymi i barwnymi reliefami, przedstawiającymi najróżniejszych mieszkańców mórz - ośmiornice, rozgwiazdy, koniki morskie i oczywiście ryby wszelakich kształtów i kolorów. Na tym poziomie roznosił się dziwny zapach, podobny do woni kadzidła używanego w świątyniach Qualinostu. Woń zostawiała po sobie niezbyt miły, odurzający posmak. W pewnej chwili za kolejnym zakrętem wiodącego w górę szlaku, Vixa i Armantaro

zamarli na miejscu i krew zastygła im w żyłach. Na placu pomiędzy dwiema pięknymi świątyniami wznosiła się ogromna rzeźba, szeroka na trzydzieści stóp i wysoka chyba na piętnaście. Przedstawiała stwora podobnego do odwróconej miski, spod której zwisały w dół tysiące wijących się złowrogo macek. Z jednej strony potwora otwierała się szeroka paszcza, nad którą w dwu białych plamach osadzono onyksowe kręgi, wyobrażające pewnie jego ślepie. Bestia sama w sobie była obrzydliwa i przerażająca, rzeźbiarz jednak na jej rozległym grzbiecie umieścił maleńkie modele statków. Tkwiły tam bezwładnie, ze zwisającymi żaglami i unieruchomionym sterem. Osiały dokładnie tak, jak „Gwiazda”. - Ma’el spoczął w łożu - powiadomił Coryphena zmiennokształtny Naxos. A co mówił im kapitan Esquelamar, gdy los uwięził ich we wnętrzu morskiego potwora? Czy nie opowiedział o krakenie - bestii tak ogromnej, że może wciągnąć w odmęty cały statek, oplótszy go mackami? Orszak zwolnił. Dargonestyjczycy wycofali się. Przed groteskową rzeźbą wzniesiono

ołtarz z białego koralu. Przed ołtarzem zgromadziło się kilkunastu morskich elfów w czerwonych i fioletowych szatach, długich aż do posadzki. Wszyscy trzymali w dłoniach duże muszle. Przechodząc przed ołtarzem, wylewali nań z pucharu jakiś płyn lub coś wysypywali. Qualinestyjczycy ujrzeli, że białą powierzchnię ołtarza plami olej, piasek i ciemna ciecz - w której z lękiem rozpoznali krew. Ktoś z tyłu popchnął ich. Vixa odwróciła się błyskawicznie, unosząc w górę gotowe do uderzenia pięści. Obok zgarbił się w bojowej postawie Armantaro. - Jazda! - warknął jeden z elfów Dargonesti, który odłączył od reszty, by pogonić Qualinestyjczyków. - Lord Protektor nie będzie czekał! Vixa zmarszczyła brwi. - Mam już dość popychania przez tych ludzi - stwierdziła z pozornym spokojem. - Spróbujmy upierać się przy naszym własnym tempie marszu. - Doskonały pomysł, kuzynko. Podmorcy unosząc broń, ruszyli na legata. Najwidoczniej uznali, że Vixa nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Pierwszy, który mijał księżniczkę, natychmiast przekonał się o swej pomyłce, gdy dziewczyna uderzając stopą, trafiła go w kolano od tyłu i obaliła na ziemię. Drugi stanął oszołomiony, zanim jednak zdołał zorientować się w sytuacji, Armantaro złapał go za prawą rękę, pociągnął ku sobie i uderzył łokciem w bok. Cios rzucił elfa na jego kompana i obaj wylądowali na posadzce. Vixa uśmiechnęła się ponuro i popchnęła leżących, którzy szurnęli w dół wilgotnej pochylni niczym para błękitnych pni. Szybko znikli za zakrętem, wkrótce zaś głośny głuchy łoskot doniósł Vixie, że ich sanna gwałtownie dobiegła końca. Księżniczka otrzepała dłonie i spytała: - Idziemy?

- Ty pierwsza, szlachetna kuzynko - uśmiechnął się legat. Ruszyli krętą pochylnią w górę... ale znacznie wolniej niż poprzednio. Za zakrętem natknęli się na resztę gwardii Coryphena. Członkowie orszaku Protektora czekali z wydobytymi mieczami. Sam lord wstał z siedzenia i niecierpliwie postukiwał palcami w rzeźbioną poręcz lektyki. - Nie powinniście oddalać się spod mojej opieki - odezwał się nieznacznie napiętym głosem. - Mieszkańcy Urione nie nawykli do widoku obcych. Narażacie się na niebezpieczeństwo. - Przy tobie też wcale nie czuję się bezpieczna - mruknęła Vixa. Coryphen usunął się na bok i gestem pokazał Qualinestyjczykom, że powinni pójść przodem. Tragarze lektyki zostali dwa kroki z tyłu. Zbliźali się do pułapu miasta i podtrzymująca go kolumna wyraźnie się zwężiła. I nagle Dargonestyjczycy zatrzymali się jak wryci. Vixa i Armantaro pokazał im gestem, że mają iść dalej. Lądowe elfy skąpał nagle strumień oślepiająco białego światła. Vixa podniosła dłonie do twarzy, by osłonić oczy. Poczwała ogarniającą ją falę gorąca. Po kilku sekundach była sucha i wreszcie poczuła, że jest jej ciepło - a miała wrażenie, iż ostatni raz było jej ciepło kilka tygodni temu. Wszystko to trwało kilka sekund, potem rażące wzrok światło rozproszyło się, zostawiając elfy w półmroku. Kiedy oczy księżniczki przyzwyczyły się do oświetlenia, spostrzegła, że Coryphen gdzieś zniknął. Ona i Armantaro pozostali sami. - Legacie - spytała cicho - gdzie jesteśmy? - Nie mam pojęcia - odpowiedział stary wojak. - Ale przynajmniej nie marznę. - Armantaro przetarł oczy, rozejrzał się po otoczeniu i dodał: - Co się dzieje, u licha? Nad ich głowami rozpinały się łuki kamiennego sklepienia miasta, pomiędzy którymi osadzono kwarcowe płyty, tworzące kryształową kopułę. Za tą przegrodą rozpościerały się bezkresne głębie błękitnych wód oceanu. Nad ich głowami, niby chmury srebrzystych strzał, przemykały ławice ryb, rozjaśniane od dołu światłami miasta. Vixa i Armantaro stali pośrodku dużego marmurowego dysku umieszczonego w centrum rozległego, okrągłego placu. Na obrzeżu placu wzniesiono kolumnadę podtrzymującą fronton wspaniałej budowli z zielonego kamienia. Fasadę przecinały liczne nie oszklone okna, w żadnym z nich jednak nie było widać światła. Wszystko natomiast skąpane było w przytłumionej, rozedrganej zielonkawej poświacie. - Wspaniałe - westchnęła Vixa, obracając się wkoło. - Doprawdy... niezwykle. Armantaro jednak marszczył brwi. - Gdzie podziała się nasza eskorta? I gdzie, w imię Otchłani, jest wejście? - Choć pilnie się rozglądał, nie mógł dostrzec śladu spiralnej iglicy, wijącej

się wokół i podtrzymującej kopułę podmorskiego grodu. Pośrodku zielonego, brukowanego placu rozciągał się marmurowy dysk... i to było wszystko. Stary legat wsunął dłoń pod tunikę. Vixa

dostrzegła zimny błysk głowni sztyletu. - Odłóż to! - syknęła. Legat nie odpowiedział, ale cofnął dłoń. W tejże chwili usłyszeli cichy odgłos kroków. Z mroków kolumnady po prawej wysunęła się wyniosła sylwetka. Coryphen. Niósł w dłoni żółtą, świetlistą sferę. Umieszczone nisko światło rzucało niesamowite cienie na jego ostro rzeźbione rysy. - Wiem, że wy, suchawcy, potrzebujecie znacznie więcej światła niż my, Dargonestyjczycy - powiedział, wzbudzając liczne echa pod sklepieniem. Podeszedł na odległość kilkunastu kroków. Dłoń Armantaro znów zamknęła się na rękojeści schowanego pod koszulą sztyletu. Strażników nie było w pobliżu. Jeśli udałoby mu się wziąć zakładnika - i to tak ważnego - mogliby zmusić morskie elfy, by ich wypuściły. Coryphen cisnął sferę w powietrze. Świetlista kula uniosła się wysoko i rozprysnęła się w milczący, żółtawy błysk. Cały plac natychmiast przesyciła poświata, jaka o zmierzchu zapada w lasach Qualinostu. - Jesteś, panie, czarodziejem - stwierdziła Vixa. - Owszem, udało mi się osiągnąć pewną biegłość w sztuce. A oto i inny przykład. - Lord Protektor wymierzył błoniasty palec w Armantaro. Ku swemu zdumieniu legat poczuł nagle, że skryty pod tuniką sztylet intensywnie się rozgrzewa. Przez chwilę usiłował to zignorować, udając obojętność, wkrótce jednak żar głowni stał się nieznośnie dokuczliwy. Legat jęknął, chwycił sztylet i odrzucił go. I zaczął dmuchać na poparzone palce. Coryphen podniósł porzucony sztylet. Sprawdził ostrze kciukiem i lekko uderzył płazem głowni o dłoń. Potem skinął głową i wsunął sobie sztylet za pas. - Jesteś władcą tego pałacu? - spytała szybko księżniczka. - To znaczy, czy jesteś Mówcą morskich elfów? - uściśliła pytanie. Fiołkowe oczy Coryphena zwęziły się nieznacznie. - Jestem Protektorem mojego ludu i Pierwszym Sługą naszej boskiej królowej. - Klasnął dwakroć w dłonie i z cieniów kolumnady wyłoniła się grupka służby. Coryphenowi przyniesiono fotel wycięty z jednego bloku krwioście czerwonego koloru, Qualinestyjczycy musieli zadowolić się zwykłymi, płaskimi kręgami gąbki. Dwaj lokaje, uginając się pod ciężarem, przynieśli upleciony przemyślnie z wodorostów kosz z pokrywą. - Siadajcie. - Oczywiście było, że Coryphen nawyki do wydawania rozkazów i łatwiej mu to przychodziło niż grzeczność wobec gości. - Zechciejcie coś zjeść. - To również zabrzmiało jak rozkaz. Morski elf oparł podbródek na splecionych dłoniach, łokcie zaś złożył na podłokietnikach swego fotela. Armantaro i Vixa opadli na ofiarowane im siedziska, zadowoleni, że mogą dać nieco

wytchnienia udręczonym stopom. Księżniczka szybko otworzyła kosz. - Nasz pokarm może wydać się wam niezwykły, pewien jednak jestem, iż szybko odkryjecie, że przewyższa on smakiem wszystko, co jedliście do tej pory. Vixa żywiła pewne wątpliwości. Czy to możliwe, że dziwaczny gospodarz usiłuje ich otruć? Spojrzała na równie zaniepokojonego Armantaro, potem przeniosła wzrok na Coryphena. Na czole Protektora pojawiła się zmarszczka. Jasne było, że jeśli suchawcy wzgardzą jego gościnnością, poczyta to sobie za osobistą obrazę. Fatalistycznie nastawieni Qualinestyjczycy wrzუსzyli ramionami i zaczęli się częstować. Pokarm w istocie był dziwny. Podano im płaty suszonych ryb natartych niezwykłymi korzeniami, zielonkawe ciastka z wodorostów, dziwacznie przyprawioną pastę z rybiej wędzonki i kubki jakiegoś słodkiego smakołyku, który mógł być zarówno zwierzęciem, jak i rośliną. Następnie służba podsunęła im puchary z dzwonkowatych muszli i napełniła je lekkim, sfermentowanym trunkiem, niezbyt nawet różnym od nektaru warzonego w Qualinoście. Coryphen odczekał, aż lądowcy nasycili pierwszy głód, aż wreszcie zadał pytanie: - Na jakim statku tu przyplłynęliście? - Na „Wieczornej Gwieździe” z Qualinostu - odpowiedziała Vixa, nie znajdując powodu, dla którego mieliby zełgać. - Słyszałem o tej krainie. Dokąd płynęliście? - Do Zatoki Ergoth... dokładniej zaś do ujścia Rzeki Zielonego Ciernia - odpowiedział Armantaro. - Za pozwoleniem waszej lordowskiej mości, jakże to jest, że wy wiecie o naszym kraju,

my zaś nie słyszeliśmy o waszym. - Czyżby nikt z członków starożytnej rasy nie słyszał o elfach Dargonesti? Vixa łyknęła nieco dziwnego nektaru. - Słyszałam legendy o elfach zamieszkujących morze, ale zawsze uważałam je za bajeczki dla dzieci... ot, takie sobie historyjki do opowiadania przy kominku. Przyznaję, że nigdy nie wierzyłam w istnienie takiej rasy... Dla jakiegoś osobliwego powodu odpowiedź ta sprawiła Coryphenowi wyraźną satysfakcję. Kiwnąwszy dłonią, polecił służbie, by i jemu podano puchar z trunkiem. - Mój lud zamieszkuje głębiny od trzynastu stuleci - odpowiedział im. - Przekształcił nas Szary Klejnot i uciekając przed władzą Silvanosa, schroniliśmy się w morzu. Suchawcy nie mogli już wplątywać nas w swoje krwawe wojny, zajęliśmy się więc sztuką i naukami. Takim sposobem Quoowahb albo Dargonestyjczycy stali się najdoskonalszą z ras stworzonych przez bogów. Vixa, której do tej pory udawało się zachować na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania, niemal zachłysnęła się pitym trunkiem, usłyszawszy to spokojnie wygłoszone stwierdzenie o wyższości morskich elfów nad innymi rasami. Szczególnie poraziła ją niewzruszona

19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

pewność w głosie rozmówcy. Armantaro, uderzywszy ją lekko w plecy, pomógł księżniczce odzyskać dech. Tymczasem Protektor ciągnął dalej: - Od czasu do czasu w nasze dziedziny trafiają statki lądowców. Widziałem wiele ras zamieszkujących ziemię: ludzi, krasnoludy, kenderów... Takim sposobem dowiedziałem się o waszym narodzie i mieście. - Podał pusty puchar stojącemu pokornie nieopodal słudze. - Jaką pozycję wśród swoich zajmujesz ty i twoja kuzynka? Szybka zmiana tematu rozmowy zaskoczyła nieco Armantaro. - Ekscelencjo... jestem wolno urodzonym poddanym Mówcy Słońca Qualinostu. Moja kuzynka jest sierotą, wychowuję ją więc jak własne dziecko. - W Qualinoście władą teraz Silveran, syn potężnego Kith-Kanana, czy nie tak? - Cóż... tak. Słyszałeś, panie, o Kith-Kanie? Coryphen utkwiał wzrok w przestrzeni. - Wieści o nim głoszą nawet morskie ptaki i wiatr unoszący się nad falami - mruknął jakby do siebie. Potem znów spojrzał na parę Qualinestyjczyków. - Czy w waszym kraju powołuje się pod broń całą szlachtę? - Ależ nie! Do służby w wojsku nikogo się nie zmusza - odpowiedziała z nagle rozbudzoną czujnością Vixa. - Jak liczna jest armia Mówcy? Armantaro położył ostrzegawczo dłoń na ramieniu księżniczki, nie było to jednak potrzebne. Księżniczka nie miała zamiaru zdradzać arogantowi tak istotnej informacji. Otworzyła usta, by odpowiedzieć jakimś unikiem, kiedy nagle powietrze rozdarł chór beklivych dźwięków - jakby rogów bojowych. Coryphen porwał się na nogi i stracił na ziemię swój puchar. Vixa i Armantaro wymienili zmieszane i niepewne spojrzenia - dookoła nich zrobiło się nagle zamieszanie. Służba natychmiast oczyściła plac z siedzeń i kosza, niemal wyrrywając im gąbkę spod pośladków. Z cieniów kolumnady wypadli czterej gwardziści odziani w egzotycznie wyglądające zbroje. Coryphen rozstawił stopy i rozłożył ramiona, podwładni zaś opięli go pancerzem jak do boju. - Co się stało? - dopytywała się natarczywie Vixa. - Co tu się dzieje? - Atak - odpowiedział zwięźle Coryphen. Odgłos rogów spotęźniał i Vixa dostrzegła źródło przeraźliwego hałasu. Pośrodku marmurowego dysku na placu, jakby za sprawą czarów, pojawiła się trójka odzianych w białe szaty podmorców. Wszyscy dęli w wielkie muszle, od czego lądowcom pękały uszy i drżały kryształowe płyty sklepienia. Coryphen tymczasem zdążył wdziać na siebie pełen kirys. Spojrzawszy pośpiesznie na przybyszów, powiedział: - Chodźcie. Łatwiej wam przyjdzie wszystko zrozumieć, jeśli zobaczycie, czemu musimy stawić czoło. Vixie i Armantaro nie dano właściwie wyboru. Wokół nich i lorda Urione utworzyła się zwarta falanga przynajmniej setki wojowników. Odprowadzani wszechobecnym rykiem muszli, wszyscy ruszyli na biały, marmurowy dysk. Gdy się na nim ustawili, znów całą przestrzeń wypełniło oślepiające światło. Vixa poczuła ponownie ogarniającą ją falę gorąca. Gdy blask przygasi, okazało się, że stoją na wiodącym w dół, spiralnym szlaku. Urionici ruszyli, wydając głośnie okrzyki, wywijając orężem i przeraźliwie dmąc w muszle. Cały ten zgiełk zdumiał i zaskoczył qualinestyjską parę. Wyglądało na to, że oto posyła się ich w bój - zupełnie bezbronnych - by walczyli z bogom jedynie wiadomym przeciwnikiem. Morskie elfy rytmicznie skandowały. Z kakofonii dźwięków wypląnęło w końcu jedno, nieustannie powtarzane słowo. - Chilkity! - grzmieli Urionici. - Chilkity! Chilkity!

Rozdział 6 - Grota Nissii Wojownicy Dargonesti wywiedli Harmanutisa i Vanthanorisa za miasto, gdzie znów dano im muszle wypełnione powietrzem i opasano munsztukiem z rekiniej skóry, do którego przymocowano płaskie, kamienne dyski. Ciężar pasów i kamieni umożliwiał lądowcom swobodniejsze poruszanie się pod wodą, dając solidniejsze oparcie stopom. Ośmiu gwardzistów parło do przodu, najwidoczniej nie przejmując się tym, czy ich podopieczni dotrzymają im kroku, czy nie. Powód takiej beztroski był dość oczywisty. Zapas powietrza w muszlach był ograniczony i gdyby

się skończył, Qualinestyjczycy utonęliby jak szczury. Uwięziono ich równie skutecznie, jak łańcuchami czy kajdanami. Morskie elfy porozumiewały się pod wodą seriami gwizdów i kliknięć, podobnymi do dźwięków wydawanych przez delfiny. Z karków za ich uszami wykwitły skrzela - i tak orszak pan przez mroczne wody. Vanthanoris i Harmanutis rozglądali się pilnie, usiłując cały czas znaleźć jakiś sposób ucieczki z podwodnego miasta. Opuściwszy miejską kopułę, trafili na obszar formacji koralowych. Wokół nich piętrzyły się wapienne konstrukcje, rozgałęzione i podobne do drzew o różnych rozmiarach i kształtach. Jedne sięgały wędrowcom zaledwie do kolan, inne wznosiły się na wysokość dwudziestu i trzydziestu stóp. Był to dość pospolity czerwony koral, gdzieniegdzie jednak wyrastały egzemplarze białe i lekko świecące żółtawe. Dwaj Qualinestyjczycy zobaczyli przepływające wśród gałęzi morskie elfy, zajmujące się korałem jak ogrodnicy. Koralowy ogród kończył się w odległości dwudziestu kroków od kopuły miejskiej. W mroczne głębie wiodła stąd brukowana droga, szeroka tak, że mogłoby nią maszerować pierś w pierś czterech roślących wojowników. W kilku miejscach bruk pokrywały smugi drobnego piasku. Za Qualinestyjczykami płynęła jaskrawo pasiasta rybka, buszująca wśród strug wydychanych przez lądowców pęcherzyków powietrza. Vanthanoris trzepnął dłonią i ciekawska rybka śmignęła precz. Po pewnym czasie dostrzegli w oddali mroczny, wysoki i niewyraźnie zarysowany kształt. Dopiero po chwili Harmanutis pojął, że patrzy na ogromną podmorską górę, wysoką na setki - jeśli nie tysiące - stóp. Droga wiodła prosto ku niej. Po obu stronach drogi ustawiono rzędy kolumn. Widniały na nich jakieś inskrypcje wykonane ostrokatnym pismem. Gdy Qualinestyjczycy podeszli bliżej, przekonali się, że niektóre z kolumn służyły złowrogim celom. Przykuto do nich zwłoki o różnym stopniu rozkładu. Na niektórych dobrze jeszcze było widać ślady zębów morskich drapieżników, z innych zostały jedynie szkielety. W większości z nich Harmanutis rozpoznał szczątki ludzkie - świadczyła o tym

grubsza budowa kośćca i szersze czaszki. Gdzieniegdzie widać było drobniejsze szkielety krasnoludów albo kenderów. W sumie Qualinestyjczycy naliczyli czterdzieści siedem przykutych do kolumn zwłok. Żadne nie należały do elfa. Właśnie wtedy Vanthanorisowi zaczęło brakować powietrza. Próbował oddychać bardziej oszczędnie, niewiele to jednak dało. Spojrzał z rozpaczą na Harmanutisa i przekonał się, że dziesiętnik ma dokładnie ten sam problem. Strażnicy niewzruszenie kroczyli dalej, jakby nieświadomi rozpaczliwej sytuacji więźniów. Lądowcy przyspieszywszy kroku, dopadli strażników i gwałtownymi gestami zaczęli podkreślać potrzebę oddechu. Strażnicy w odpowiedzi popchnęli ich dalej. Droga w tym miejscu wnikała do jaskini, której fronton ozdobiono kolumnami. Vanthanoris rozpaczliwie rzucił się ku wejściu. W górze przebiegały cienie, świadczące o bliskości powierzchni. Wiodły tam stopnie, ku którym zrozpaczony lądowiec rzucił się jak ku zbawieniu. Był na dziewiątym schodku, kiedy jego głowa wynurzyła się spod wody. Oderwał muszlę od zsiniałych już warg i pełną piersią zaczerpnął ożywczego, zimnego powietrza. Tuż obok niego wynurzył się Harmanutis, dyszący chrapliwie. Zaraz potem spod wody ukazali się niewzruszeni Dargonestyjczycy, którzy szybko zagonili dwu suchawców na szorstką, kamienną płaszczyznę. Vanthanoris zatoczył się jak pijany i upadł na twarz. Harmanutis nawet nie próbował wstawać - po prostu przeczołgał się, gdzie mu kazano. Leżąc i dysząc ciężko, badał wzrokiem otoczenie. Tuż za pochylnią otwierało się wejście do tunelu wiodącego prosto ku wnętrzu góry. Korytarz oświetlono kilkoma świetlistymi sferami, które nie były już tak oślepiające, jak te widziane przez nich w mieście. Wzdłuż ścian ułożono tu stosy wodorostów, płachty skóry, zwoje lin i wydobyte z wraków skrzynie. Pośrodku tunelu zostawiono otwarte przejście. Harmanutis zrozumiał, że znaleźli się w więzieniu przeznaczonym dla mieszkańców lądu. Jeden z gwardzistów odebrał im puste już muszle i cała eskorta bez słowa znikła w wodzie. Harmanutis pomógł towarzyszowi wstać. - Czy to nasz nowy dom? - spytał ochryple Vanthanoris. - Nie na długo, przyjacielu. Ufajmy, że nasza księżniczka i

legat znajdują jakiś sposób, by nas stąd wyciągnąć. - Ha! Do miasta musi być mila albo i więcej. Nie przepłynie się tej odległości bez powietrza. Nie dziwota, że nie zadbali o kraty czy łańcuchy. Spróbuj ucieczki, a utopisz się niczym szczur! - Van, uciekniemy niechybnie. Nie zamierzam tu zdychać jako jeniec tych błękitnoskórych drani!

Do ścian przymocowano tablice z nazwami zatopionych statków. Jeńcy odczytywali: Duma Sinaru, Smok Morski, Gwiazda Baliforu... Swoje podróże zakończyły tu statki z całego Ansalonu. - Zastanawiam się, czy „Wieczorna Gwiazda” ocalała? - mruknął Harmanutis. - Biedny Palathidel - sarknął Van. - Nienawidził ryb. Jaskinia ciągnęła się w głąb, jakby nie miała końca. Jeśli , każdy prostokątny materac z wodorostów przeznaczony był dla jednego więźnia, oznaczało to, że w łapach podmorców tkwiły setki więźniów. Dlaczego? W jakim celu morskie elfy więziły tylu ładowców? Odległy koniec jaskini blokowała wielka sterta wszelakiego śmiecia. Pomiędzy nią a ścianą zostawiono jednakże wąskie przejście. Za nią zionęła mrokiem pustka. Na bezładną kupę rzucono tu zwoje lin, zardzewiałych i porwanych łańcuchów, gliniane garnki, amfory i potrzaskane drewniane skrzynie - milczących świadków setek lat morskich tragedii. Nie znaleźli jednak niczego, co nasunęłoby im myśl o jakimkolwiek sposobie ucieczki. Harmanutis kopnął najbliższy przedmiot - leżącą na boku beczułkę. - Uf! - stęknęła baryłka. Elf zamarł z uniesioną jeszcze stopą. - Słyszałeś? - syknął do towarzysza. Zamiast odpowiedzieć, Vanthanolis sam kopnął beczułkę. - Wyłaż! Wiemy, że tam jesteś! Z kryjówki ostrożnie wyłoniło się blade, kościste oblicze okolone czarną, zmierzwioną brodą i zwieńczone grzywą skudlonych, ciemnych włosów. - Krasnolud! - jęknął Vanthanolis. - A wy nie jesteście błękitnoskórymi - rzekł krasnolud, wyłażąc z beczułki. Wyprostowawszy się godnie - na wysokość mniej więcej czterech stóp - dodał: - Qualinestyjczycy, czy nie tak? No, to coś nowego. Gundabyr, do usług. Harmanutis przedstawił Vana i siebie samego. - Czy są tu jeszcze jakieś inne elfy? - Żadnych. W ogóle nie ma tu elfów, poza tymi błękitnoskórymi. Podejrzewam, że Quoowahbowie nie dbają o to, że jesteście ich krewniakami, co? - Quoowahbowie? - Błękitnoskórzy. Tak sami siebie nazywają. - Gundabyr podciągnął ku sobie rozbitą skrzynię i nie bez trudu wdrapał się na nią. Jego stopy dyndały swobodnie nad ziemią. Z kieszeni luźnej kurtki wystawał białawy kawałek... czegoś. Krasnolud wyjął to i zaczął żuć. - Suszony dorsz - wyjaśnił. - To wszystko, co dostajemy tu do żarcia. - Łypnął okiem na obu rozmówców i zauważywszy ich mizerny stan, dodał: - Szkoda, chłopaki, że nie macie ze sobą piwa. - Mości Gundabyrze, jak się tu dostałeś? - spytał Harmanutis. - I jak długo jesteś tu więźniem?

- Nie ma tu więźniów, elfie. Jesteśmy niewolnikami. - Krasnolud skwitował zdumione spojrzenia elfów wzruszeniem ramion. - Byłem mistrzem Cechu Żelazników w Thorbardinie. Wynajęliśmy statek, „Królową Mórz”, by przewieźć do Baliforu ładunek gęsi żelaznych i miedzianych. Ja i mój brat, Garnath, mieliśmy towarzyszyć towarowi, by zadbać o przyzwoite ceny na miejscu. Ha! Garnath utrzymywał, że nazwa statku wróży nam szczęście. Dobrze sobie! U wybrzeży Silvanostu statek wpakował się w ławicę mgły, a gdy ta się rozwiązała, byliśmy o setki mil od poprzedniego kursu. Vanthanolis uśmiechnął się sardonicznie. - Znamy tę mgiełkę - i opisał krasnoludowi spotkanie z ławicą bieli, jaka zniosła z kursu „Gwiazdę”. - Taaa... brzmi to znajomo - zgodził się Gundabyr. - Cóż... zaraz potem „Królowa Mórz” wpakowała się na największą kupę piachu, jaka kiedykolwiek wysypała się spod paluchów Reorxa. Ja i Garnath z częścią załogi wyszliśmy na brzeg, żeby przekopać kanał ku otwartemu morzu... i ta brudna łacha utonęła nam pod stopami. - Krasnolud zmarszczył brwi. - Nie wiem jak reszta... ale razem z bratem poszliśmy na dno niczym kowadła. - Ten kraken! - pomimo chłodu panującego w jaskini Harmanutis poczuł, że ogarnia go gorąca fala gniewu. - A więc to nie przypadek! Ci... Quoowahbowie posługują się potworem, by zatapiać statki! - Nie mylisz się, mości elfie. - Gundabyr w kilku kęsach rozprawił się ostatecznie z kawałkiem dorsza. -

Mnie, Garnatha i kilku innych rozbitków przywiodły tu na dół delfiny. Tkwiemy już w tej dziurze od... - spojrzął na ścianę, na której kredą zaznaczono pionowe kreski - eee... od czterdziestu ośmiu dni. Harmanutis odwdzieczył się krasnoludowi ich własną historią, nie zapominając dodać, że księżniczce i Armantaro okazano „szczególne względy” i zostali - wedle najlepszej wiedzy ich kompanów - w mieście. Usłyszawszy to, Gundabyr potarł dłonią włochaty policzek. - Hm... zastanawiam się, po co im księżniczka i wasz legat? - Okup? - podsunął Vanthanoris. - Nie - potrząsnął głową Harmanutis. - Księżniczka przecież ukrywa swoją pozycję i tytuł. Założę się, że ten Coryphen chce ich wypytać o Qualinost, bo wygląda na to, że jesteśmy pierwszymi elfami, jakich pojмали. Vanthanoris niecierpliwymi krokami przemierzał przestrzeń pomiędzy ścianą jaskini a rumowiskiem szczątków i śmieci. Nagle odwrócił się ku rozpartemu na skrzyni krasnoludowi. - Niewolnicy? Powiadasz, że mamy być niewolnikami? Gundabyr czknął i kiwnął głową.

- A co niby mamy robić? - Oni budują jakąś ścianę czy mur - wyjaśnił krasnolud. - Wznoszą wysoki wał w poprzek Bruzdy Mortas, pomiędzy tą górą a sąsiednią. - Po co? - spytał zaintrygowany Harmanutis. - By powstrzymać chilkity. Vanthanoris wsparł się pięściami pod boki: - A czymże, na Astrę, są te chilkity? - Nie czym, lecz kim... tak będzie lepiej. To śmiertelni wrogowie Quoowahbów. Od czasu do czasu schodzą w dolinę i atakują błękitnoskórych. - Aaa... - wzrok Harmanutisa rozpromienił się nagle. - Więc te morskie elfy mają swoich wrogów? To może się nam przydać. Mości Gundabyrze, czy można się z nimi dogadać? Czy zechcieliby nam pomóc w ucieczce? - Żadną miarą. Chilkity to nie ludzie. To potwory - wielkie, paskudne, podobne do krabów. Tych Quoowahbów, których uda im się pochwycić, po prostu pożerają. Możemy mieć dla nich inny smak, ale nas też z pewnością zjedzą. - Tak czy owak - odpowiedział kapral, który nie chciał wyrzec się nadziei na ucieczkę - naszą jedyną szansą jest dać nogę wtedy, kiedy błękitnoskórzy będą zajęci utarczką z wrogami. - Jeżeli... Jaskinię wypełnił nagle dźwięk burzącej się i kołującej wody. - Wracają robotnicy - wyjaśnił pospiesznie Gundabyr. - Muszę ukryć się przed strażnikami! - I krasnolud w mgnieniu oka skrył się ponownie w beczułce. - Czekażże! Gundabyr? - Idźcie stąd! Nie zdradźcie im, że się tu ukrywam! Zaskoczeni i zaintrygowani Qualinestyjczycy zostawili krasnoluda i ruszyli ku sadzawce z wodą. Wyłaniała się z niej grupa mokrych, na poły nagich więźniów. Zbrojne morskie elfy utworzyły podwójny szereg, środkiem którego puszczone niewolników. Ostatni w szeregu Dargonestyjczycy trzymali grubo plecione worki. Każdy mijający ich więzień musiał złożyć w worku zużyte muszle z powietrzem. Pierwsi niewolnicy, wychudzeni, długobrodzi ludzie, mijali elfy z Qualinostu, nie poświęcając im nawet najmniejszej uwagi. Krasnoludy okazywały im nieco większe zainteresowanie. Kiwali głowami, jakby pozdrawiając nowych towarzyszy niedoli. I nagle, ku zdumieniu nowych więźniów, na końcu szeregu niewolników pokazał się Gundabyr. - Eee? - popisał się inteligencją Vanthanoris, spoglądając wstecz ku beczułce po mące. - A to co znowu? Zdumienie wojownika stłumił uderzający go w żebra łokieć towarzysza. - Jego brat,

pamiętasz? - syknął Harmanutis. - Bliźniak! Qualinestyjczycy w mgnieniu oka pojęli sztuczkę krasnoludów. Jako że byli bliźniakami, jeden z nich mógł się ukrywać przed ciemieczkami, kiedy drugi wychodził do pracy. Zmieniając się co drugi dzień, krasnoludy wykonywały połowę katorżniczej roboty, zmniejszając o połowę ryzyko śmierci. Elfy towarzyszyły Garnathowi, kiedy ten przeciskał się ku tyłom pieczary, gdzie wreszcie ciężko siadł na jakimś kamieniu. Ociekał wodą, która tworzyła wokół niego niewielkie kałuże. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że jest przedmiotem obserwacji i otworzył oczy. - Czego? - warknął groźnie. Oba elfy grzecznie się przedstawiły i Harmanutis napomknął o spotkaniu z Gundabyrem. - To ja jestem Gundabyr - stęknął mokry krasnolud. - Mój brat, Garnath, umarł na zimnicę kilka tygodni, temu. - Ależ oczywiście - mruknął Harmanutis. - Zechciej waść przyjąć nasze kondolencje. - Był szlachetnym krasnoludem - rzekł Garnath żałośnie. -

Doskonałym hutnikiem i kowalem - rozległ się głos z beczki po mące. - Należał do tych, o których się mówi „sól ziemi” - dodał Garnath. - Możesz już wyjść - zwrócił się Harmanutis do beczułki. Z beczki wysunęła się głowa i ramiona krasnoluda. Garnath podniósł się nieco i obaj bracia uściśnieli sobie dłonie. - Jutro twoja kolej - rzekł Garnath, sapiąc ze zmęczenia. - Taaa... - Gundabyr wyjął skądś jeszcze jedną porcję suszonego dorsza i podał ją bratu, po czym obaj bliźniacy, usiadłszy obok siebie, zaczęli przeżuwać mięso, hałaśliwie mlaskając i ciężko pracując szczękami. Harmanutis spytał ich o chilkity. - Nie spodziewajcie się, że wam w czymkolwiek pomogą - odpowiedział Garnath, powtarzając niczym echo wcześniejszą opinię brata. - Owszem, mają swego rodzaju inteligencję, ale nawet błękitnoskórzy nie potrafią się z nimi porozumieć. Schodzą niekiedy do doliny i atakują wszystko, co im stanie na drodze. Są większe od Quoowahbów i wstrętne z nich tałatajstwo. Następną sprawą, o jaką spytał Harmanutis, były powietrzne muszle. - Nie zdadzą się wam na nic - stwierdził Gundabyr, gasząc jeszcze jeden płomyk nadziei w sercach elfów. - Dlaczegoż to? - spytał Vanthanoris. - Quoowahbowie liczą każdą, którą nam wydają. A nawet, jeżeli udałoby ci się jakąś zdobyć, nie sposób orzec z góry, ile w nią wtłoczono powietrza. - A zresztą morscy bracia i tak by cię nie wypuścili - wtrącił Garnath.

Przygnębiony coraz to nowymi przeszkodami, Vanthanoris oparł głowę na dłoniach. - A kimże, u licha, są ci morscy bracia? - spytał z rezygnacją w głosie. - To zmiennokształtni. Musiałeś ich widzieć..., te delfiny, które was tu przywiodły. Harmanutis pamiętał je aż za dobrze. - Czy wszyscy Quoowahbowie mogą zmieniać się w delfiny? - Nie, tylko morscy bracia. Żyją poza miastem. Ich przywódcą jest niejaki Naxos, ale on wykonuje rozkazy Coryphena - wyjaśnił Garnath. - Więc Mówcą tych elfów jest Coryphen? - On? - Gundabyr splunął sążnięcie. - Owszem, niezły z niego rzeźnik, ale nie..., nie on jest ci tu przywódcą. Vanthanoris zaklął, co wywołało uśmiech politowania na twarzach obu krasnoludów. Harmanutis gestem dłoni poprosił towarzysza o zachowanie spokoju. - Któż więc rządzi w Urione? - Jej Boski Majestat, Królowa Uriona - odpowiedzieli jednym głosem bliźniacy. - Uriona Szalona, znaczy... - dodał kpiąco Gundabyr. - Wszyscy tu mówią, że dotknęła ją dłoń bogów. Owszem, chętnie przyznam, że cos ją dotknęło... ale to coś nie miało niczego wspólnego z bogami... Od frontu tunelu rozległ się klekoczący dźwięk. Gundabyr natychmiast dał nura do beczułki. Garnath porwał się na nogi. - Błękitnoskórzy wracają! Nie wiadomo po co, ale nie wróży to nam niczego dobrego! Hałas był dziełem jednego z krasnoludów. Ujrzał on jakiś ruch w wodzie i zaalarmował towarzystwo, waląc odłamkiem skały w spąg. Po kilku sekundach z wody rzeczywiście wynurzyła się grupa uzbrojonych podmorców. Jeden, którego hełm ozdobiono rogatą muszlą, zagrzmiął potężnym głosem: - Wszyscy do szeregu. Brać muszle i jazda, marsz! Zmęczeni niewolnicy podnosili się powoli i nie bez trudu. Tych, co nie wstali dość szybko, ponaglili do wysiłku nadzorcy, bijąc opiesziałych drzewcami włóczni. Harmanutis i Vanthanoris niemal spopielił siedmiostopowego draba wzrokiem. Garnath wygładził swoją mokrą kurtkę, pomrukując wściekle: - Dwa razy jednego dnia! Braciszku, jesteś moim dłużnikiem! - Jedyłą odpowiedzią beczułki było przytłumione stęknięcie. Qualinestyjczycy stanęli ramię przy ramieniu, dumną i godną postawą wyróżniając się pośród innych wynędzniałych niewolników. Dotarłszy do tafli wody, Harmanutis zwrócił się do Dargonestyjczyka, który miał ozdobny hełm, spodziewając się znaleźć w nim oficera. - Co się dzieje? - spytał. - Dokąd nas zabieracie? - Nie gadać! - warknął służbista. Nie widząc innej możliwości, suchawcy sięgnęli po muszle i wetknęli ustniki w gęby.

Nadal mieli na sobie obciążone kamieniami pasy munsztuku. Ruszyli ku zimnej wodzie. Natychmiast po zanurzeniu usłyszeli dziwaczny zgiełk. Brzmiało to zupełnie jak odgłosy... bitwy. Nadzorcy szybko poprowadzili niewolników do drogi wiodącej do miasta, a znalazłszy się na niej, skierowali się w przeciwną stronę i powiedli ich ku wielkiej górze. Nad głowami zwawo

maszerującej grupy śmigaly jakieś ciemne kształty. Głośne i liczne poświstywania i kliknięcia świadczyły o tym, że towarzyszyły im delfiny - wszystkie rwące w jedną stronę. I nagle Qualinestyjczycy ujrzeli przed sobą ścianę, wzniesioną z wielkich kamiennych bloków i wysoką przynajmniej na sześćdziesiąt stóp. Pośrodku potężnej budowli było widać bramę otoczoną czterema jeszcze nie ukończonymi wieżami. Wokół nich leżały bezładnie porozrzucane i nie spożytkowane kamienne bloki, wśród których, skupione w czujnym oczekiwaniu, zwrócone twarzami ku murowi, czaiły się setki różnorako uzbrojonych morskich elfów. Nieco wyżej bezwładnie unosiły się ciała rannych i martwych. Niektórym brakowało ręki, nogi lub głowy. Wokół krążyły delfiny, odciągające rannych i odpędzające czyhające na łatwy łup rekiny. Wszędzie snuły się ciemne smugi krwi, barwiąc wodę czerwienią. Na szczycie muru, pomiędzy dwiema wieżami, trwał zajadły bój. Wewnętrzne furty, wiodące do obu wież, stały otworem i nadzorcy popychali niewolników ku wyłomowi. Gdy kroczący na tyłach kolumny więźniów Qualinestyjczycy dotarli do bloków leżących na dnie u podstawy wieży, coś runęło pomiędzy nich z góry. Wszyscy rozbiegli się w różne strony. Wokół dwu wojowników wzbily się kłęby mętnego błota, Harmanutis zaś został przez uciekinierów zbity z nóg. Gdy udało mu się wstać, ujrzał przed sobą stworzenie, na widok którego więźniowie natychmiast rzucili się do ucieczki. Patrzył na chilkitę. Stwór liczył sobie dobre osiem stóp wysokości i obleczony był w czerwony, skorupiasty pancerz, okrywający blad różowe cielsko. Beczkowaty odwłok bestii opierał się na czterech grubych nogach, przypominających odnóża pająka. Z przedniej części korpusu, zakutego w czerwoną skorupę i odgiętego w górę, wyrastały również dwie pary łap. Dolna była zakończona szponiastymi palcami, opatrzonymi ostrymi jak brzytwa pazurami. Górna para łap mogła wzbudzić jeszcze większe przerażenie - obie kończyły się bowiem potężnymi, nożycowatymi kleszczami. Brak szyi lub karku powodował, że łeb potwora niełatwo było odróżnić od korpusu, który po prostu zwężał się nieco ku górze i nagle tępo się kończył. W tym miejscu sterczały cienkie i długie czułki, podobne do owadzych, tuż pod nimi zaś na giętkich szypułkach wyrastały dwie pary oczu. Paszcza bestii była po prostu pionową szczeliną w górnej części korpusu, otoczoną rogowymi, ostrymi wyrostkami. Szczelina ta nieustannie otwierała się i zwiierała, gdy monstrum pompowało morską wodę przez swoje skrzela.

Harmanutis cofnął się ostrożnie. Nigdy nie tchórzył przed wrogiem, teraz jednak stał naprzeciwko prawdziwego potwora - i nie miał broni. Chilkit ruszył przed siebie i zaatakował najbliższego więźnia. Ten rozpaczliwie usiłował ująć mackom bestii, i opadłszy na czworaki, wił się bezsilnie po piaszczystym dnie. Potwór okraczył go i opuścił swoje straszne szczypcy. Ogarnięty zgrozą Harmanutis zobaczył jak obie pary morderczych kleszczy zamykają się na korpusie nieszczęśnika. Niewolnik został przecięty na pół. Vanthanolis cofał się pospiesznie i trafił na szczyt potężnego bloku ciętego piaskowca, za którym zgromadzili się także inni, aż w końcu zabrakło miejsca i jedni drugich zaczęli spychać na boki. Spory rozstrzygnął chilkit, który podszedł bliżej i jednym machnięciem łapy strącił na dno pół tuzina niewolników. Van usłyszał terkot delfinów i w sukurs niewolnikom pospieszyło stadko liczące może ze trzydzieści sztuk. Smukłe kształty opadły chilkitę niczym ruchome tarany. Uniósłszy głowę, elf przekonał się, że każde zwierzę miało na łbie osobliwy hełm z osadzonymi weń odłamkami krystalicznej, ostrej skały. Chilkit cofnął się, usiłując odeprzeć atak delfinów kleszczami. Sprzymierzeńcy wodniaków łatwo uniknęli groźnych szczypcy i potwór otrzymał kilkanaście potężnych uderzeń w grzbiet i w boki. Wodę zasnuły pasma jego krwi. Gdzieś z tyłu rozległ się niezwykle głośny, przeszywający świst. Harmanutis ujrzał, że jeden wyjątkowo krzepki delfin niczym taran naparł na pierś potwora. Kleszcze bestii zamknęły się na szarych płetwach i wszystko znikło w kipieli piasku, wody i krwi. Coś lekko trąciło Harmanutisa od tyłu. Obejrząwszy się żwawo, ujrzał nad sobą delfina. Dlaczego ich pyski zawsze są uśmiechnięte? Delfin

raz jeszcze trącił elfa pyskiem, potem zaś opadł na piasek u jego stóp. Qualinestyjczyk zrozumiał. Rozstawił szerzej nogi i delfin wsunął się pod niego jak dobrze ujeżdżony wierzchowiec. Zwierzę wydało ostrzegawczy świst i elf chwycił płetwę grzbietową. Dzięki kilku potężnym uderzeniom ogona delfin lekko uniósł się w górę. Harmanutis łatwiej mógł teraz rozeznaczyć się w ogólnym obrazie boju. Potwór, który wpadł między więźniów, leżał martwy na grzbiecie. Wokół nieruchomego cielska zaczynały się już zbierać rekiny. Podwodny wierzchowiec elfa wzniósł się wyżej i morski jeździec ujrzał klinowatą formację Dargonestyjczyków, która przypierała chilkity do muru. Błękitnoskóre elfy doskonale można było odróżnić od ich purpurowych nieprzyjaciół. Napastnicy jeden po drugim padali ofiarą opatrzonych w krzemienne buławy elfów. Jedna z grup chilkitów stawiała zacięty opór - stwory schroniły się za kamiennym blokiem i użyły go jako tarana, by rozproszyć zwarty szereg morskich elfów. Wierzchowiec Harmanutisa zanurkował stromo ku napastnikom i dziesiętnik niemal stracił uchwyt. Delfin skręcił i niczym żywy pocisk wpadł na chilkity od tyłu, natychmiast powalając najbliższego na dno. Harmanutis

tylko na to czekał. Puścił płetwę, a obciążony kamieniami munsztuk szybko ściągnął go na ziemię. Ruszył na wroga, gdy tylko dotknął stopami dna, ponieważ - ku swemu niesłychanemu zdumieniu - poznał, kto jest obiektem ataku bestii! Niewielka grupka morskich elfów oddzielała chilkitę od dwu znacznie drobniejszych figurek, które przyciskały do ust muszle z tlenem. Byli to księżniczka Vixa i legat Armantaro! Harmanutis wydał okrzyk bojowy - jedynym jednak rezultatem wysiłku dzielnego dziesiętnika było głuche gulgotanie powietrza i trochę bąbli. Wojownik zaś stracił równowagę i padł na twarz. Chilkit tymczasem chwycił drzewce włóczni jednego z morskich elfów i dźwignął nieszczęśnika w górę. Wojownik nie puścił oręza w porę - choć spóźnił się tylko o jedno uderzenie serca - i poleciał prosto w kleszcze potwora. Przeciętego na pół chilkit cisnął w bok i ruszył ku drugiemu obrońcy suchawców, który osłaniał się tarczą. Bestia jednak niestrudzenie parła naprzód i powaliła wodniaka swoją masą. Pomiędzy chilkitem i Qualinestyjczykami został już tylko jeden błękitnoskóry obrońca. Morski elf nie miał tarczy, trzymał jednak swoją krótką włócznię w jednej dłoni, niczym miecz. Pchnął potwora w ślepię i bestia szybko i czujnie się cofnęła. Podmorzec natarł i pchnął oburącz. Potwór usiłował chwycić włócznię kleszczami, wojownik jednak wykonał piękny zwód i unikając złowrogich nożyc, wbił włócznię w szczelinę pomiędzy płytami pancerza bestii. Ostrze weszło w cielsko potwora jak w masło, a chilkit wydał dziwaczny okrzyk. Dargonestyjczyk naparł na drzewce i wbił oręż głębiej. Bestia spróbowała sięgnąć ku niemu kleszczami, te jednak zamknęły się tylko na łodydze jakiegoś wodorostu. Morski elf przekręcił ostrze, aż rozległ się głośny trzask - włócznia dotarła do celu. Bestia opuściła kończyny i runęła na grzbiet. Zwycięzca szybko wyrwał broń z martwego przeciwnika. Harmanutis w końcu przedostał się przez błoto i kłęby krwi, docierając do swojej księżniczki. Vixa radośnie poklepała go po ramionach. Spojrzenia jej i Armantaro były bardzo wymowne. Dziesiętnik wskazał dłonią stłoczoną u podstawy muru masę wojowników i niewolników - było to ostatnie miejsce, gdzie widział Vanthanorisa. Trójka lądowców ruszyła w tamtym kierunku, zanim jednak zdołali zrobić choćby dwa kroki, na nadgarstku Vixy zacisnęła się czyjaś dłoń. Mocne szarpnięcie odwróciło ją w tył i księżniczka stanęła twarzą w twarz z morskim elfem, który w pojedynkę zabił chilkitę. Harmanutis ruszył na pomoc swej księżniczce, Dargonestyjczyk jednak skierował w jego pierś włócznię. Wszyscy troje ujrzeli pod hełmem zawzięte oblicze srogiego wojownika. Był to sam Coryphen. Lord Protektor otworzył usta i w wodzie rozległa się seria głośnych świstów i kliknięć. Natychmiast wokół nich zebrała się grupa wojowników i delfinów nie zaangażowanych w walkę.

Protektor przekazał Vixę czterem żołnierzom i polecił reszcie otoczyć Harmanutisa i Armantaro. Qualinestyjczycy usiłowali się sprzeciwić, ale wystarczyło tylko, że Coryphen władczym gestem

dotknął muszli Vixy. a dwaj suchawcy natychmiast zrezygnowali z oporu i pozwolili się odprowadzić ku reszcie więźniów. Było już po bitwie. Po wewnętrznej stronie murów nie został ani jeden żywy chilkit. Dwójka ładowców ruszyła w stronę jaskini, zbrojni Dargonestyjczycy zatrzymali ich jednak i odesłali ku ścianie. Wyglądało na to, że mają dołączyć do grupy remontującej uszkodzone umocnienia. Choć mieli do siebie mnóstwo pytań i niepokoili się o los księżniczki, musieli w milczeniu podjąć pracę. Czujność strażników i powietrzne muszle uniemożliwiały jakąkolwiek wymianę informacji. Armantaro przyłączył się do grupy, która usiłowała osadzić ciężki blok w grubo plecionej sieci. Do podniesienia kamienia na krawędź muru użyto pęcherzy wypełnionych powietrzem. Legat obserwował uważnie, jak odziany w zwykłe szaty Dargonestyjczyk napełnia pęcherze z muszli przywiezionych powozem przez grupę innych więźniów, strzeżoną pilnie przez żołnierzy. Z jednej muszli trąbika napełniono - jak naliczył legat - cztery skórzaste pęcherze. Rzecz w tym, powiedział sobie Armantaro, by potajemnie zdobyć dla siebie kilka tych muszli. Jeśli będą mieli dość powietrza, może uda im się dotrzeć na ląd. Przerwał na chwilę pracę, by rzucić zatroskane spojrzenie ku miastu, dokąd zabrano jego księżniczkę. Oczywiście, samo posiadanie muszli nie usunie zagrożenia ze strony morskich drapieżników ani niebezpieczeństwa pościgu podmorców... pozostawała też jeszcze jedna otwarta sprawa... W której stronie znajdą ziemię?

Rozdział 7 - Boska Królowa Coryphen odbył krótką naradę z oficerami, posługując się owym dziwnym językiem pełnym świstów i zgrzytów. Vixa słuchała wszystkiego z udaną obojętnością, opierając się o ozdobną kolumnę na poboczu drogi. Bitwa wypłoszyła wszystkie żywe stworzenia wokół miasta - wyjąwszy rekiny. Nad głowami elfów krążyły grupki bacnych na wszystko delfinów, odganiające bestie od rannych i konających. Coryphen drapnął powierzchnię drogi drzewcem swej włóczni. Vixa ocknęła się z zamyślenia i ujrzała, że Lord Protektor skinieniem dłoni wzywa ją, by podążyła za nim. Usłuchała, znużona i zrezygnowana. Powrót zwycięskich wojowników fetowały liczne tłu. my. Nabrzeża pełne były podmorców, którzy wznosili wiwaty, świętując w ten sposób odparcie odrażających chilkitów. Gdy z wody wyłonili się Coryphen i Vixa, rozległ się radosny ryk aprobaty. Protektor Urione zdjął hełm, było jednak widać, że entuzjazm rodaków wcale go nie wzrusza. Vixa, podnosząc głos, by przemóc wrzawę, skwitowała wiwaty: - Twój ziomkowie kochają cię, panie. Coryphen ostentacyjnie wyjął jej powietrzną muszlę z dłoni. - Jestem jednym z nich - powiedział spokojnie. - Kochać mnie będą zaś tak długo, jak długo będę dla nich wygrywał bitwy. Wspięli się na pochylnię. Wśród tłumu pojawili się gwardziści z różnorakimi mieczami, którzy rozdzielili gapiów, sprawnie uformowawszy dwuszereg. Przybocznicy Coryphena wyprężyli się jak do inspekcji i wódz przeszedł pomiędzy nimi. Jeden z wojowników, w pogiętej nieco podczas niedawnego starcia zbroi, zatrzymał Vixę na chwilę - dość, by oddzielić ją nieco od Coryphena. Nie godziło się, by moment tryumfu przywódcy dzieliła z nim obca osoba. Qualinestyjska księżniczka, która zdążyła gdzieś zapodziać pożyczoną opończę, stała więc i trzęsła się z zimna, podczas gdy morskie elfy szalały z radości. Na końcu dwuszeregu przybocznych stał dumnie wyprostowany starszy już elf, odziany w prostą szatę srebrzystej barwy. Coryphen zatrzymał się w odległości kilku kroków i podnosząc dłoń, powiedział: - Witaj mi, który jesteś głosem Jej Boskiego Majestatu! Nieznajomy lekko skłonił głowę. Vixa zdumiała się bardzo, ponieważ wiwaty i radosne okrzyki ucichły jak ucięte nożem. Zapadła grobowa cisza, która po niedawnych wrzaskach niemal ogłuszała. - Pozdrowienia wielkiemu Coryphenowi, pogromcy i postrachowi wrogów Urione - odezwał się srebrny elf w Starej Mowie. - Jej Boska Łaskawość pragnie. byś niezwłocznie stawiał

się przed nią. - Szlachetny Kytheronie, uczynię to niezwłocznie... niech tylko włożę na siebie coś godniejszego. - Jak wolisz, wielki Protektorze. Jej Boska Łaskawość życzy też sobie, abyś przywiódł do niej mieszkankę łądu. Vixa wstrzymała dech, Coryphen jednak kiwnął tylko głową. I szybko ruszył

przed siebie, zmuszając Vixę niemal do biegu. - Posłuchaj, panie...: Przywódcą naszej grupki jest mój wuj - powiedziała. - Powinieneś posłać po niego. Jestem pewna, że wasza królowa wołałaby zobaczyć Armantaro... nie mnie. Coryphen spojrział na nią z góry wzrokiem pełnym pogardy. - Wszyscy wypełniamy tylko wolę Jej Boskości. Jakakolwiek odmowa oznacza śmierć. Radzę, byś o tym nie zapomniała... Vixę wprowadzono do pomieszczenia, w którym stał jedynie stolik z dzbanem świeżej wody, leżała też tacka z szylkretowym grzebieniem i stosik czystych ręczników. Czekala też na nią nowa odzież - kilka części bielizny i długa, luźna szata do kostek. Wszystko wykonano z dziwnego materiału, który z pewnością nie był pochodzenia roślinnego - najbardziej przypominał tkaną skórę - jeśli coś takiego w ogóle mogłoby istnieć. Dziewczyna szybko zdjęła swoją sztywną od soli odzież, opłukała się wodą i włożyła nowe szatki. Suknia, zaskakująco wygodna, była biała, z przodu zaś od kołnierza aż do samego dołu miała szeroką czerwoną wstęgę. Każdy sukiennik na Kryninie dałby majątek za materiał, z którego ją utkano, miękki niczym jedwab i jednocześnie mocny jak skóra. Wokół bioder suknię wzmacniała zmysłna szarfa ozdobiona muszelkami. Vixa musiała owinać się nią dwukrotnie, w przeciwnym razie jej końce wlokłyby się po ziemi. Dość niespodziewanie do komnaty wszedł Coryphen. Vixa okręciła się na pięcie, ciągle jeszcze usiłując zawiązać szarfę. - Nie umiecie pukać? - spytała gniewnie. - Jej Majestat czeka. Idziemy - odpowiedział Dargonestyjczyk, nie zwracając wcale uwagi na niezadowolenie dziewczyny. Sam Protektor wdział na ramiona długą, purpurową togę, szyję zaś ozdobił złotym torkiem. Włosy upięto mu w wymyślną fryzurę i włożono na nie nakrycie głowy przetykane muszlami i klejnotami. Na jego nagiej piersi spływały długie sznury pereł i szlachetnych koralu. Nowy i czysty kilt wodza podtrzymywała szeroka szarfa ze złotogłowia. Nogi zdobiły pięknie rzeźbione, złote nagołenniki. Opuściwszy koszary, poszli wąskim przejściem ku pochylni. Stała tam już honorowa eskorta - tuzin elfów w srebrzystych szatach. Podczas drogi Coryphen objaśniał Vixie zawilosci

etykiety. - Nie odzywaj się, dopóki nie zostaniesz o coś zapytana - powiedział jej. - Odpowiadaj szczerze na wszystkie pytania, Jej Boskość posiada dar widzenia istoty rzeczy i potrafi dostrzec znacznie więcej niż zwykli śmiertelnicy. A... i nie patrz w twarz Jej Boskości. - Dlaczego? - Jest to czyn karany natychmiastową śmiercią. Wspięli się po spiralnym szlaku i przekroczyli magiczny portal. Doświadczywszy znajomego już błysku i uczucia gorąca, Vixa ponownie stanęła na placu przed pałacem. Przybocznicy podeszli bliżej i naciągnęli na głowy kaptury. Coryphen wyprostował się dumnie i ruszył przodem. Poprowadził Vixę ku ogromnym drzwiom osadzonym pomiędzy kolumnami po przeciwnej stronie placu. Odrzwia wykonano z długich kryształów kwarcu o rozmiarach sporych belek, które połączono bolcami z tegoż materiału. Po drugiej stronie drzwi było widać cienie służących, którzy trudzili się przy ich otwieraniu. Znalazłszy się wewnątrz, Coryphen zatrzymał się na chwilę potrzebną do zdjęcia nakrycia głowy. Wetknął je sobie pod pachę i ruszył dalej. Korytarz oświetlała zielonkawa poświata padająca ze sklepienia. Dziwny kolor był efektem przesączenia się światła przez wielosążniową warstwę wody. Promienie słoneczne z najwyższym trudem przenikały na tę głębokość. Powietrze w całym kompleksie przesycił intensywny, słodko-kwaśny zapach, podobny do tego, jaki Vixa pamiętała z niektórych świątyń. Szybko też dostrzegła kadzielnice wiszące pomiędzy wykładanymi macicą perłową kolumnami korytarza. Wokół kadzielnic krzątały się napełniające je jakąś woskowatą substancją Dargonestyjki w szkarłatnych, mnisich szatach. Korytarz wił się łukiem wokół najwyższego poziomu i kończył w pomieszczeniu pełniącym chyba funkcję antykamery. Pod ścianami stali tu chudzi i wysocy osobnicy w kapłańskich szatach, którzy rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Gdy do komnaty wszedł Coryphen, wszyscy umilkli i nisko się skłonili. - Przyszedłem na wezwanie Jej Boskości - oznajmił Protektor. - Jesteś oczekiwany - odparł przystrojony muszlami kapłan. Coryphen kiwnął głową słudze stojącemu u wewnętrznych

drzwi. Ten podniósł młoteczek i uderzył w kurant zestawiony z różnych muszli - rozległy się dźwięczne i miłe dla ucha tony. Gdy drzwi zaczęły się rozsuwać, kapłani i przybocznicy odwrócili się do nich tyłem. - Pamiętaj! - syknął Coryphen. - Nie patrz Jej Boskości w twarz! Vixa opuściła wzrok na swoje białe stopy. Piękne mi traktowanie członka królewskiego rodu Qualinostu, pomyślała, gotując się ze złości. W jej żyłach płynęła krew Kith-Kanana i Silvanosa! Dlaczego nie wolno jej spojrzeć w twarz tej podmorskiej... króliczki?

Całą komnatę przyjęć wypełniały nieustannie przemierzające się smugi zielonkawej poświaty. Protektor opadł na jedno kolano, dając znak Vixie, że powinna zrobić to samo. - Boska Królowo, twój sługa, Coryphen, przybywa na twe żądanie - powiedział morski elf. Vixa nawet nie drgnęła. Qualinestyjskie księżniczki uginają kark jedynie przed Mówcą. Coryphen szarpnął ją silniej, Vixa straciła równowagę i padła - dość niezgrabnie - na oba kolana. - Czy to ta lądowa panna, o której mi mówiono? - rozległ się wysoki i dość cichy głos. - Tak, o Boska. - Byli wszak z nią i inni, czy nie tak? - Owszem, o Boska. Razem pięcioro. Jeden utonął, trzej pozostali tkwią w pieczarze Nissii i zajmą się robotą przy Murze. Nastąpiła chwila ciszy. Vixa usłyszała oddech królowej. W końcu rozległo się kolejne pytanie. - Jesteś... mała. Czyżbyś była dzieckiem? - Odpowiedz! - Coryphen ponaglił ją kuksańcem w zębra. - Nie jestem dzieckiem, Wasza Wysokość - odpowiedziała Vixa. Głupio się czuła, mówiąc z oczami skierowanymi na posadzkę. - Moi ziomkowie uważają mnie za niezwykle wysoką. - Widzę, że Dargonestyjczycy znacznie przerośli suchawców... i przewyższają ich siłą - stwierdził spokojny głos. - Wszystko to dzięki naszej mądrości i boskiej łasce. Co za pycha! Vixa miała już powiedzieć Jej Boskości, co sądzi o wyższości Dargonestyjczyków, kiedy usłyszała polecenie: - Zbliź się! Coryphen wstał i podniósł księżniczkę na nogi. Zrobili sześć kroków i znów opadli na kolana. Przed Vixą rozpościerał się teraz rozległy fragment polerowanego bazaltu. Widać w nim było niewyraźne odbicie Jej Boskości. Księżniczka zmrużyła oczy, próbując rozróżnić rysy królewskiej twarzy. - Kto włada twoim krajem, dziewczyno? - Mówca Słońca, Silveran, Królowo. - Czym jest synem? - Wielkiego Kith-Kanana. Jego matką była Kagonestyjka o imieniu Anaya, która będąc brzemienną, zmieniła się w drzewo... i urodziła syna wiele, wiele lat później. Nastąpiła chwila ciszy, po której padło pytanie: - Cóż to takiego, owo drzewo? Pytanie tak zdumiało Vixę, że niewiele brakło, a podniosłaby głowę. Powstrzymała się jednak i wyjaśniła krótko, czym są na lądzie drzewa. - A... rozumiem. To coś jak nasze korale... Powiedz mi, co wiesz o Silvanesti? Zmiana tematu znów zaskoczyła księżniczkę. Coryphen ponaglił ją kuksańcem i dziewczyna odpowiedziała: - Królowo..., nigdy tam nie byłam. Silvanestyjskie elfy niemal z nami

nie rozmawiają. - Dlaczego? Vixa zaczęła opowiadać o Wojnach Zabójców Rodu i sporze pomiędzy Kith-Kananem i jego bliźniaczym bratem, Mówcą Gwiazd, Sithasem. Długo to trwało, bo księżniczka nie była miłośniczką historii i wielu szczegółów po prostu nie pamiętała, opowieść zaś była długa i skomplikowana. W końcu jednak dobiegła do końca i wydało jej się, że zadowolona podmorską władczynią. Wreszcie, zebrawszy się na odwagę, zadała własne pytanie: - Królowo..., kiedy mnie i moim towarzyszom wolno będzie wrócić do domu? Potężny, ogłuszający niemal cios, który bez najmniejszego ostrzeżenia trafił ją w skroń, powalił Vixę na posadzkę. Kiedy padała, pękł jej pas i maleńkie koraliki rozprysnęły się na wsze strony! - Nie do ciebie należy stawianie pytań! - warknął Coryphen. Mówił cicho, ale jego głos przepelniała wściekłość. Tego było już za wiele! Dostosowała się do idiotycznych miejscowych zwyczajów i pełzała po posadzce jak robak... a teraz zadała tylko jedno, uprzejme pytanie! Błyskawicznie porwała się na nogi i skoczyła na Coryphena, wymierzając mu solidnego kopniaka w zębra. Zaskoczony Protektor padł jak długi. Zanim księżniczka zdążyła zadać kolejny cios, ze wszystkich stron chwyciły ją liczne ramiona i odciągnęły od ofiary. Szarpała się, ale przeciwników było co najmniej trzech, szybko więc powalili ją na kolana i

przycisnęli jej twarz do zimnych płyt posadzki. - Dość! - rozległ się spokojny i niewzruszony głos królowej. Coryphen usiłował podreperować jakoś swoją nadszarpniętą godność, co nie było łatwe, zważywszy, że klęczał przed swoją królową z pochylonym łbem. Na rozkaz Uriony strażnicy puścili Vixę i księżniczka powoli się podniosła. Rozmyślnie patrzyła w posadzkę, choć całe jej jestestwo przepełniała teraz gorąca chęć spojrzenia w oczy królowej. - Pochodzisz z rasy Pierworodnych... ale jest oczywiste, że twoi ziomkowie popadli ponownie w barbarzyństwo - stwierdziła Uriona. - Dowodzi tego twoje zachowanie. Zgodnie więc z wolą bogów, nadszedł czas, by połączyć nasze ludy w jeden wielki naród. - Co takiego? - nie wytrzymała Vixa. - Wiedz więc, dziewczko, że jam jest Uriona, wybranka bogów i władczyni tego miasta - oznajmiła królowa. - Przed pięciuset laty mój sen nawiedzili bogowie Abbaku i Kisla. Polecili mi opuścić głąbiny Watermere i założyć to miasto. Od samych jego początków wielokrotnie śniłam o srebrnej wieży, wznoszącej się wysoko ponad wodami. Bogowie zaś obiecali mi, że kiedy zostanę ukoronowana w Wieży Gwiazd, pokłoni mi się cały lud elfów i wszystkie złożą mi hołd poddaństwa.

Vixa poczuła, że cała jej natura buntuje się przeciwko takiej pysze i próżności. Silvanestyjczycy nawet nie wpuszczą Uriony do świętej Wieży Gwiazd, co zaś mówić o koronacji! Czy ta... wiedźma naprawdę myśli, że uda jej się zbrukać ich niepokalane miasto? Królowa wciąż przemawiała, chełpiąc się, że kiedy zbierze armie i ruszy na Silvanost, zostanie natychmiast obrana władczynią wszystkich elfich narodów. Mówiła, jakby dokonanie tego było sprawą tak prostą i nieuchronną, jak cięcie miecza. Vixa lekko zmieniła niezbyt wygodną pozycję i natychmiast poczuła rozkazujący nacisk ostrza włóczni, które przyłożono jej do grzbietu. Miała w głowie okropny zamęt, myśli gnały jak szalone. Teraz zależało jej nie tylko na wolności - dla siebie i przyjaciół - ale czuła również, iż jej obowiązkiem jest uprzedzić Silvanost o szalonych planach Uriony. Jak jednak stąd uciec? Jak ostrzec Silvanestyjczyków? Ona sama miała mniej więcej jednakowe szanse na dotarcie do Silvanostu jak ta zwariowana podmorska wiedźma. Dziwna, zielonkawa poświata zalewająca komnatę nieustannie zmieniała swe natężenie. W pewnej chwili rozjaśniła się na tyle, iż Vixie udało się po raz pierwszy dostrzec nagle odbicie sylwetki i oblicza Uriony w polerowanej powierzchni bazaltowej płyty, na którą wolno jej było patrzeć. Morska królowa rozsiadła się na kamiennej ławie, której oba końce lekko wygięto w górę. Była odziana w jasną szatę - uszytą najpewniej z tej samej tkaniny, z jakiej wykonano togi kapłanów. Z jej twarzy o wyjątkowo intensywnej, błękitnej barwie patrzyły na Vixę wielkie oczy królowej. Włosy zaś miała - w przeciwieństwie do swych poddanych - śnieżnobiałe. Opadały pyszną kaskadą na ramiona i luźno spływały aż na podolek władczyni. Mgliste odbicie nie pozwalało na określenie wieku Uriony, jej głos zaś nie należał do osoby starej - ani młodej. W oczach Uriony błysnęło coś zielenią. W pierwszej chwili Vixa pomyślała, że jest to zwykła gra świateł, po chwili jednak rzecz się powtórzyła raz i drugi... - Zuchwała z ciebie dziewczka - mruknęła królowa. Z jej oczu raz jeszcze oślepiająco błysnęło zielenią. Strumień blasku odbił się od posadzki i trafił Vixę w twarz. Dziewczyna nie zdążyła osłonić oczu dłonią i jej głowę przeszyły tysięczne ostrza bólu. Krzyknęła przeraźliwie i padła na twarz. Zieleń pod sklepieniem jej czaszki rozplynęła się w czerń i księżniczka pogrążyła się w pustce... *** Gdy tylko naprawiono wyłom w murze, niewolników ponownie pognano do Groty Nissii. Praca trwała kilka godzin. Harmanutis i Vanthanoris przebrnęli jakoś ponad leżącymi na spągu groty towarzyszami niedoli i dotarliszy do krańca, opadli na stos szmat. Armantaro - choć widział dwakroć więcej zim niż obaj młodszy razem wzięci - był chyba w lepszej kondycji... ale też

uprzejmości Coryphena zawdzięczał wcześniejszy, całkiem niezły posiłek. Garnath podszedł do beczułki skrywającej jego brata i wymierzył jej kopniaka. Coś stęknęło wewnątrz, krasnolud jednak nie wychylił nawet głowy. Garnath skrzywił się i wyrznął w klepki swą potężną pięścią. - Obudź się,

braciszku! - ryknął. - Czas wstawać! Z beczułki wyturlał się zaspany Gundabyr. - Co... co jest? - Dawaj beczułkę! - warknął Garnath. - Jesteś mi winien dwa dni pracy. - Na Reorxa! - ziewnął Gundabyr. - Nie mogłeś z tym poczekać do rana? - Właśnie jest rano - Garnath odepchnął brata. - Dobrej nocy! Gundabyr westchnął i łypnął okiem wzdłuż mrocznego tunelu. Udręczeni niewolnicy zasypiali tam, gdzie stali. Grota przypominała usłane ciałami poległych pole bitwy. Jediną osobą, która jakoś trzymała się na nogach, był Armantaro. Podjął nawet próbę ułożenia sobie przyzwoitej pryczy, wykorzystując znalezione w rumowisku siennik i kawałki koców. Gundabyr ziewnął jak układający się do drzemki Lewiatan, przeciągnął aż coś trzasnęło mu w stawach i podszedł do elfa. - Witaj, przyjacielu. Jestem Gundabyr, krasnolud. - Owszem, słyszałem - kiwnął głową Armantaro. - Twój brat ma płuca, co się zowie. - Zgadza się... to cecha rodzinna. Niełatwo jest przekrzyczeć zgiełk kuźni w Thorbardinie. Nie mogę go natomiast oduczyć darcia paszczy tutaj. Odrętwiały ze zmęczenia legat ułożył się na sienniku i oparł skołataną głowę na łokciu. Opowiedział jednak krasnoludowi, kim jest i jak się nazywa, dodał też historię pojmania i późniejszej jego wizyty w mieście. - Mogłem się tego domyślić - mruknął Gundabyr. - Oni mi już sporo opowiedzieli. - Wskazał kciukiem leżących nieruchomo Harmanutisa i Vanthanorisa. - A wasza księżniczka... jest tu gdzieś z wami? - Nie... i mocno się o nią niepokoję. Coryphen zatrzymał ją przy sobie. - Nigdy wcześniej tego nie robił - zamyślony Gundabyr szarpał palcami kosmyki swej brody. - Błękitnoskórzy dawniej w ogóle się nami nie interesowali. - Jestem pewien, że ma wobec niej jakieś plany. Z pewnością domyślił się, że ona jest kimś więcej niż tylko moją kuzynką. Księżniczka z rodu Kith-Kanana może być łakomym kąskiem dla ambitnego watażki. - Armantaro mówił to ze szczerą troską, ale jego oczy mimo woli zaczęły się zamykać. Oddychał coraz wolniej i bardziej miarowo. Zanim zamknął powieki, zdążył jeszcze dodać: - Ale może się okazać, że dostanie od lady Vixy więcej, niż się spodziewa. Jeden moment nieuwagi i księżniczka otworzy mu serce na świat... dosłownie...

I dzielny Armantaro zasnął snem może nie sprawiedliwego, ale z pewnością do cna zmordowanego. Krasnolud wzruszył ramionami i przeszedł do rumowiska za beczułką. Ta pozornie bezwartościowa zbieranina potrzebnych przedmiotów była jego narzędziownią. W wolnym czasie i kiedy Garnath spał, niespokojny Gundabyr badał rubieże Groty Nissii. Z luźnych kamieni, zgiętych gwoździ i kawałków drewna porobił sobie niezbyt eleganckie, ale funkcjonalne narzędzia. Głęboko w zakamarkach groty krył swoją kolekcję minerałów. Pieczara nie powstała w wyniku erozji, ale była dziełem sił wulkanicznych. Jej ściany kryły w sobie sporo takich związków, jak siarczany, azotany i olej skalny, który sączył się ze szczelin w najniższej położonych partiach jaskini. Teraz Gundabyr poutykał narzędzia po kieszeniach i ruszył w mrok. Jego największym pragnieniem - oprócz wolności, oczywiście - była odrobina światła, które mógłby zabierać ze sobą na wyprawę. Dargonestyjskie świetliste sfery były mocno przytwierdzone do sklepienia i źle się kończyły próby ruszenia ich z miejsca. Krasnolud prowadził więc swoje poszukiwania, opierając się na dotyku i smaku, często zaś dla ostatecznej identyfikacji musiał przynosić próbki do oświetlonej części groty. Zagłębiwszy się dziś w tunel zaledwie na sto kroków, usłyszał jakiś dziwaczny hałas. Zamarł w bezruchu i po chwili usłyszał ów dźwięk jeszcze raz. Jakby drapanie... i to dość odległe. Wszyscy więźniowie spali, poza nimi zaś w grocie nie było nikogo. Ująwszy w dłoń prymitywny czekan, który cierpliwą obróbką ukształtował z potężnego, okrętowego ćwieka, podrapał ostrożnie skałę przed sobą. Długo nasłuchiwał, ale ów tajemniczy dźwięk już się nie powtórzył...

Rozdział 8 - Dar Ognia Vixa śniła. Była oto zamknięta w przejrzystej, kryształowej kuli, otoczonej przez wodę. Woda pełna była morskich elfów gapiących się na nią bezczelnie i wskazujących ją długimi, błoniastymi paluchami. Wcale się nie odzywały... patrzyły tylko i wytykały

ją palcami. - Przestańcie! Natychmiast przestańcie! - krzyczała na gapiów. - Jestem księżniczka Vixa Ambrodel i pochodzę z rodu Kith-Kanana. Precz mi stąd! Wyglądało na to, że członkowie morskiego ludu w ogóle jej nie usłyszeli - albo usłyszeli i wcale się nie przejęli tymi rewelacjami - bo nadal gapili się na nią spokojnie, nie okazując żadnych emocji. Ich oczy lśniły jednak dziwnym blaskiem. Rozwścieczona Vixa zaczęła walić pięściami w krystaliczną ścianę. Poraniła sobie kłykie - ale w kryształach pojawiły się pęknięcia. Po przejrzystej ścianie więzienia rozbiegła się pajęczyna szczelin i do środka zaczęła sączyć się woda. Gniew księżniczki zmienił się w przerażenie - oto sama wydała na siebie wyrok i sama stała się swoim katem! Szczeliny rozprzestrzeniały się coraz szybciej. Po kilku uderzeniach serca woda sięgała jej już do kostek. Jeszcze chwila i księżniczka stała w wodzie po kolana... Po upływie może połowy minuty unosiła nad wodą podbródek i musiała wspiąć się na palce. Co robić? Podniósłszy w górę dłoń, zmacała kopułę nad głową. Właśnie zamykała się tam sieć srebrnych szczelin. Nad księżniczką zwarła się powierzchnia wody. Vixa kilkakrotnie uderzyła w sklepienie pięścią. - Nie... dam się utopić w tej... jamie! To... być nie może! Usiadła raptownie, zachłystując się powietrzem. Leżała na niskiej kanapie w dość słabo oświetlonym pomieszczeniu. Zielonkawy kolor ścian i posadzki podpowiedział jej, że nadal znajduje się gdzieś wewnątrz pałacu. Nogi miała zaplątane w dargonestyjską suknię. Szybko się uwolniła i spuściła stopy na posadzkę. Komnata zawirowała i księżniczka przyłożyła dłoń do czoła. Po kilku sekundach zawrót głowy minął. Usłyszawszy z tyłu jakiś cichy dźwięk, porwała się na nogi, obracając się jednocześnie ku jego źródłu. Komnatę dzieliły przejrzyste zasłony i za nimi dostrzegła jakąś siedzącą postać. - Ktoś ty? - spytała. - Pokaż się! Postać wstała i podeszła bliżej, rozsuwając zasłony. I objawiła się jako zmiennokształtny Naxos, herold Coryphena.

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

- Wybacz, proszę - powiedział tonem, w którym nie było śladu prośby. - Przyszedłem zobaczyć, czy dobrze się czujesz. Nie zdradź mnie, dobrze? - Zdradzić cię? - Przed Coryphenem. Nie powinienem tu przychodzić. Młody mężczyzna odziany był w prosty kilt ze skóry rekina. Jego akwamarynowe włosy podtrzymywała przepaska wycięta z krwistego koralu. Potężna budowa fizyczna, swobodne maniery i przytłaczająca wysokość sprawiały, że samą swoją obecnością budził niepokój księżniczki. Vixa, która nawykła do tego, że na większość bliźnich spoglądała z góry, teraz musiała cofnąć się o krok, by nie zadzierać w górę głowy do rozmowy. - Co mi zrobiono? - spytała. - Byłaś nieprzytomna cały dzień. Chciałem zobaczyć, czy udało ci się ujść z życiem... co w przypadku audiencji u Uriony samo w sobie jest wyczynem. - Myślę, że niewiele brakowało... Naxos uśmiechnął się szeroko. Jego uśmiech okazał się zaraźliwy - i Vixa również się roześmiała. - Coryphen o królowej wyraża się zupełnie inaczej... Nie uważasz jej za bóstwo? - Znałem Urionę od czasów, kiedy była... ot, taka - olbrzym podniósł dłoń na wysokość czoła księżniczki i znów się uśmiechnął. - Daleko jej do boskości. - Wydaje się, że jest trochę... roztargniona - zaczęła Vixa ostrożnie. - Jest po prostu szalona - padła śmiała i prostolinijna odpowiedź. Naxos usiadł na łożu i oparł się na odsuniętych w tył rękach. - Wygląda na to, że nikt nie pokwapił się, by opowiedzieć ci tę historię, tak więc myślę, że padło na mnie... - Uriona jest czwartą córką Keduracha Takaluriona, Mówcy Księżyca i władcy Watermere. Jako taka nie miała przed sobą zbyt radosnych widoków... poza poślubieniem jakiegoś szlachetki, którego pomoc i poparcie byłyby potrzebne jej ojcu. Taki los wcale jej nie odpowiadał i zwróciła się ku studiom nad sztukami czarnoksięskimi... Osiągnęła niemalą biegłość... a jednym z pierwszych efektów było to, że opuścili ją wszyscy konkurenci do jej ręki. Uriona jednak nadal studiowała zaciekle i zanim ukończyła pierwszą setkę lat, stała się najpotężniejszą czarodziejką w Watermere. Vixa wspomniała efekt, jaki wywarło na niej spojrzenie królowej i uwierzyła bez trudu. - Tak się jednak stało, że wzrost potęgi ograniczył jej rozsądek - ciągnął Naxos. - Doszła do wniosku, że została wybrana przez Abbaku, by połączyć wszystkie elfy pod jedną władzą i scalić rozdzielone plemiona w jeden lud. To przesłanie trafiło do serc wielu ambitnych Quoowahbów, których nudziła monotonia życia w Watermere.

- Taki był na przykład Coryphen? - Owszem... przyznać też muszę, że i ja dałem się złapać na piękne słowa Uriony. Pragnąłem badać odległe morza, wędrować po suchym lądzie i pod promieniami słońca poznawać jego cuda. - Na urodziwej twarzy młodzieńca wykwitł uśmiech, którym Naxos drwił z własnej naiwności. - Związałem się ze sprawą Uriony. Uwierzyło jej kilkuset młodzieńców i dziewcząt... dwieście lat temu opuściliśmy pod jej wodzą Watermere, by założyć nowe królestwo. Naxos spojrział na Vixę z ukosa, jakby pragnął ocenić efekt, jaki jego kolejne słowa miały wyrzucić na księżniczkę. - Wiesz, ona miewa wizje. W jednej z nich ujrzała wielkie podmorskie miasto otoczone ochronnymi ścianami ognia. Moi morscy bracia i ja znaleźliśmy takie miejsce - tę dolinę pomiędzy dwoma wulkanami. Tu więc Uriona założyła swój gród. Vixa usiadła na łożu obok zmiennokształtnego. - Ale ty już w nią nie wierzysz... - powiedziała. - Jej marzenie przywiodło wszystkich do zła - wyjaśnił Naxos. - To robota Coryphena. Płonie w nim żądza władzy i to władzy samodzielnej... Widzi siebie jako gwaranta marzeń Uriony - i trwałości jej dynastii. Vixa spojrziała zdumiona: - On ją kocha? Tym razem Naxos uśmiechnął się... drapieźnie. - Desperacko i rozpaczliwie. Ona jednak oddaje się jedynie swoim wizjom i nie działają na nią komplementy ani zwykłe sposoby, jakimi uwodzi się kobiety... Pochylił się bliżej i Vixa poczuła, że młodzieńca otacza niemal namacalna aura... siły?... magii?... Nie umiała określić, ale niewątpliwie znalazła się pod jej

wpływem. - Ona przewidziała twoje nadejście, maleńka suchostopa - szeptał tymczasem Naxos. - Przewidziała, że pojawią się wśród nas elfy ze starego kraju. I oto jesteś. - Nie bez pomocy waszego krakena! - odparła księżniczka z urazą. - Ma'ela? Owszem, to służka Uriony. Tylko ona potrafi go kontrolować. Nasi wrogowie, chilkity, również są morskimi stworami, nie potrafią jednak pływać ani w połowie tak dobrze, jak Quoowahbowie. Kiedy Coryphen zażądał robotników do budowy muru w poprzek Bruzdy Mortas, by powstrzymać najazdy chilkitów, królowa zaczęła wysyłać Ma'ela, by topił statki suchawców... - Jeśli uważasz, że jest tak zła, dlaczego wykonujesz jej wolę. - Złożyłem przysięgę posłuszeństwa. Vixa złożyła ramiona i zmierzyła Naxosa krytycznym spojrzeniem. - Nie wyglądasz mi na elfa, który wbrew rozsądkowi i sumieniu ślepo wykonuje rozkazy szalonej monarchini! Naxos wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył błoniaste dłonie. - Moi bracia i ja sam przebywamy przeważnie poza wypełnioną powietrzem kopułą. Wkrótce odpłyniemy precz i Uriona nigdy już o nas nie usłyszy. - Pomóżcie mi więc! - Vixa ujęła młodzieńca za ramiona. - Ty i twoi morskcy bracia możecie nas uwolnić i odstawić na ląd! Naxos uwolnił się z uścisku. - Tego zrobić nie możemy... przynajmniej na razie. Nie jesteśmy dość liczni, by pokonać jej wojowników, ani dość silni, by oprzeć się jej magii. Przyjdzie jednak czas, kiedy i jedno, i drugie się zmieni... Wtedy - ale nie wcześniej! - morskcy bracia porzucą Urionę. - Ale ja też mogę wam pomóc! Mam w Qualinoście potężnych przyjaciół, którzy potrafią osłonić ciebie i twoich druhów! - Jakby wbrew sobie samej, rozejrzała się ostrożnie, choć komnata była zupełnie pusta. - Jestem księżniczką z domu Kith-Kanana - dodała konspiracyjnym szeptem. - Mój wuj jest Mówcą Słońca! - Wiem. Księżniczka szarpnęła się w tył - poraziła ją prostota tego stwierdzenia i spokój, z jakim je wypowiedziano. - Skąd wiesz? - Kiedy byłaś nieprzytomna, Uriona odczytała twoje wspomnienia. Coryphen - ale to tak przy okazji - jest wściekły, żeś go oszukała. Chciał cię odesłać do groty niewolników, Uriona jednak poleciła przywieść cię tutaj. Podejrzewam, że ona ma wobec ciebie jakieś osobliwe plany. Vixa poczuła zaciskającą się na jej sercu obręcz strachu. Uriona wtargnęła do jej umysłu! - Jak głęboko zapuściła się w moje wspomnienia? - spytała księżniczka z nieźle udaną obojętnością. Czekaając na odpowiedź, udawała, że rozgląda się beztrosko po komnacie, Naxos jednak dobrze pojął wagę pytania. - Nie trap się, księżniczko - odpowiedział po prostu. - Sięgnęła płytko i delikatnie. Owszem, potrafiłaby sięgnąć głębiej, to jednak wymagałoby od niej sporego wysiłku... i mogłoby się okazać, że po czymś takim... przestałaś być dla niej użyteczna... Za zasłoną dał się słyszeć odgłos kroków. Naxos błyskawicznie zerwał się z łoża. - Nie daj się, księżniczko. W życiu nie ma nic pewnego... a przyszłość jest tylko przyszłością..., dopóki sami nie przekujemy jej w rzeczywistość. Wypowiedziawszy tę wcale nie przynoszącą pociechy kwestię, dał nura za zasłony. Vixa opadła na poduszki i zamknęła oczy. Serce waliło jej jak młotem, choć nie była pewna i nie umiałaby powiedzieć, czy przyczyną tego było czyjeś nadejście czy odejście irytującego ją Naxosa. Zasłony szarpnięte dłonią Coryphena szybko się rozsunęły. - Widzę, że już się obudziłaś, księżniczko... - ostatnie słowo powiedział tak, jakby wypluwał z ust truciznę. Dziewczyna udała, że jest zasnana i niełatwo jej się ocknąć. - Nie sądziłam, że będzie mi dane znów się obudzić - odpowiedziała, ziewając szeroko.

- Nie zdarzyło się jeszcze, żeby jakiś lądowiec spojrzął w oblicze Jej Boskości i pozwolono mu potem żyć. Oddychasz jedynie dlatego, że nasza boska władczyni przejrzała twe mizerne oszustwo... Nie rozleje ona krwi Kith-Kanana - oznajmił Coryphen. - Ale ty, panie... dałaś się zwieść, mojemu - jak to nazywasz - mizernemu oszustwu... Palce Coryphena zwały się mocniej na rękojęści zatkniętego za pas sztyletu. Vixa poznała w nim broń należącą jeszcze niedawno do Armantaro. - Zabierzcie ją! syknął Coryphen, zwracając się do towarzyszących mu przybocznych. Vixę otoczył krąg potężnych gwardzistów. Qualinestyjska księżniczka nie miała najmniejszej ochoty na rezygnację

z oporu i wszystko w niej kipiało na myśl o rezygnacji z walki, wiedziała jednak, że jeśli do niej dojdzie, zostanie brutalnie ogłuszona. Widać było, że Coryphena aż świerzbiała palce z ochoty porwania jej za gardło. Vixa zdecydowała, że nie da mu powodu ani okazji - przynajmniej nie teraz. Wstała dumnie i przyglądała tylko suknię. Coryphen, gotując się z tłumionej furii, ruszył przodem, za nim wyszli z komnaty otaczający Vixę strażnicy. Protektor powiódł ją siecią mocno splątanych korytarzy i wyprowadził na plac. Ustawieni w kwadrat stali tam wszyscy jego gwardziści - był to oddział liczący może z pięć setek głów. Vixę wprowadzono w środek i powiedziano ku ustawionemu tam stołowi - wielkiej płycie z miki na czterech wspornikach z koralu. Błat stołu pokryto zmyślnie wyprawioną i zabarwioną na białą skórą jakiejś morskiej bestii. Coryphen zatrzymał się po jednej stronie, Vixę ustawiono po drugiej. Na zalegającej stół skórze naszkicowano mapę. Pięknie i szczegółowo zaznaczono na niej wszystkie detale otaczającego Urione dna morskiego, dalsze jednak rejony były już nakreślone mniej precyzyjnie. Na jednym z brzegów księżniczka ujrzała ciągłą linię, za którą nie było już nic. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że patrzy na tak dziwnie zaznaczony brzeg Ansalonu. - Pokaż na tej mapie, gdzie leży Qualinost! - zażądał Coryphen. Vixa skrzyżowała ramiona na piersi i nie odpowiedziała ani słowa. - Wiemy, że Silvanost leży nad rzeką Thon-Thalas... jak daleko w głębi lądu? - Dziewczyna patrzyła nań, milcząc i zaciskając usta. - Jak głęboka jest ta rzeka? Równie dobrze mógłby wypytywać posąg. Jego błękitną twarz zaczęła zalewać fala granatu. Przez długą chwilę oboje spoglądali na siebie - błada i zdeterminowana dziewczyna i coraz bardziej wściekły mężczyzna. Obedrę cię ze skóry! - zagrzmiął w końcu. - I nie usłyszysz ode mnie ani słowa! - odpowiedziała równie wściekła księżniczka. Coryphen porwał w dłoń rękojeść sztyletu Armantaro i uniósł oręż nad głowę. Vixa przez ułamek sekundy była pewna, że zginie na miejscu - broń jednak śmignęła w dół i utkwiała pośrodku

mapy. Furia Coryphena była tak wielka, że głównia weszła niemal do połowy w blok miki! Protektor puścił rękojeść i sztylet został w płycie, drgając jeszcze przez chwilę. Zwykła barwa wracała na twarz Coryphena dość powoli. W końcu jednak odezwał się znacznie spokojniejszym tonem: Pani, znam twoich ziomków. Brutalne traktowanie tylko wzmacnia wasz upór. Doskonale. Przekonajmy się, jaki wpływ na twoją determinację wywrze kilka dni w Grocie Nissii. - Niemal plunął rozkazem i ośmiu wojowników natychmiast otoczyło księżniczkę zwartym pierścieniem. - Do groty z nią. Niech pracuje razem ze swymi sługami. Jeśli jej nie złamią chłód i wilgoć, może wpłynie na nią towarzystwo chilkitów. Szybko i sprawnie założono księżniczce kaptur na głowę i związano jej dłonie z tyłu. Niczego nie widząc, księżniczka potykała się przez całą drogę i musiała polegać na pchnięciach strażników. Vixa kilka razy przy różnych okazjach przemierzyła już centralną, krętą pochylnię i teraz usiłowała zapamiętać drogę. Rozpoznała kadzidlany zapach świątyni i rybią woń targowiska. Kiedy wreszcie ściągnięto jej kaptur z głowy, przekonała się, że stoi nad sadzawką - dokładnie taką samą jak ta, przez którą wprowadzono ją po raz pierwszy do grodu. W wodzie krążyły delfiny i Vixa łudziła się przez chwilę, że to Naxos przybywa jej na ratunek. Trwało to jednak tylko chwilę. Opamiętała się i wzięła w garść, zanim zdjęto jej więzy. Nie mogła liczyć na to, że ją samą i jej przyjaciół uratuje ktoś z zewnątrz. Mogą (i muszą) polegać wyłącznie na własnych siłach. Przybocznicy Coryphena obciążyli ją pasem, wcisnęli jej w dłoń muszlę z powietrzem i popchnęli w dół ku pochylni. Obrzuciwszy pływające wokół niej delfiny ostatnim spojrzeniem, księżniczka wstąpiła do wody. Zaraz potem nad jej głową zwarła się chłodna fala. Snowi w jaskini zawsze towarzyszyły kaszle i jęki więźniów. Zimno i wilgoć nieustannie i nieubłagane podkopywały ich siły. Wielu gryzły troski, inni byli wycieńczeni głodowymi racjami. Niedługo przyjdzie czekać, aż rozchorują się pozostali. Podmorcy nie wiedzieli (albo wcale o to nie dbali), że aby przeżyć, suchawcy potrzebowali ciepła. Armantaro leżał zwinięty w kłębek na swojej pryczy, na której przez

całą noc szczełkał zębami. Musiał przyznać, że pierwszy dzień niewoli zniósł gorzej, niż się spodziewał. Ciężka harówka przy murze połączona z troską i niepokojem o losy księżniczki sprawiły, że było mu ciężej niż innym. W nocy śnił o swojej komnacie w Qualinoście: o zastawionych księgami regałach i wysokich, wąskich oknach, które tak lubił otwierać podczas letnich nocy. Jego krewniacy zawsze skarżyli się, że pomieszczenie było pełne przeciągów. W jego wspomnieniach zdało mu się to teraz rajem.

Nagle ocknął się z nozdrzami pełnymi cudownej woni, od której jego usta wypełniły się śliną. Otworzył oczy, spodziewając się, że zapach rozwieje się z ostatnimi oparami snu - i stwierdził, że woń jedynie zgęstniała. Był to zapach pieczonej ryby! Po ścianach jaskini pełzały i skakały cienie, rzucane przez płonący gdzieś niedaleko ogień. Armantaro siadł i przypomniał sobie Harmanutisa i Vanthanorisa. Ich prycze były puste. Elf skoczył ku rozległemu stosowi śmieci, który oddzielał zamieszkałą część grotty od mroczniejszych jej głębin. Jego towarzysze siedzieli po drugiej stronie. Skupili się wokół wesoło trzaskającego ogniska! Vanthanoris właśnie wsuwał doń jakąś deskę. Do deski przypięto rybi filet. Tymczasem Harmanutis zauważył obecność starego legata i powitał go salutem. - Skąd ten ogień? - spytał Armantaro, wyciągając ku płomieniom zgrabiałe dłonie. - To dzieło Gundabyra - wyjaśnił Vanthanoris. - Ale nie rozniecił go żadnym ze znanych mi sposobów. Armantaro pochylił się i wyciągnął dłonie nad ogniem. Krasnolud zgromadził kilkanaście płaskich kamieni i uformował z nich nieregularne palenisko, pośrodku którego kipiał kociołek, a w nim płonął jakiś żółtawy płyn. Dawał niewiele płomieni, ale wydzielał sporo ciepła. Armantaro natychmiast zauważył, że pod garnkiem nie było żadnych polan ni ognia - żółty płyn palił się sam z siebie! - Co to jest, u licha? - Gnomi ogień - odpowiedział Vanthanoris. - Gundabyr próbował nam to wyjaśnić, ze wszystkiego jednak została mi tylko nazwa. Zza kręgu światła wyłonił się rzeczony krasnolud obładowany glinianymi garnkami. Harmanutis pomógł mu pozbyć się brzemienia. Ubranie Gundabyra poplamione było najróżniejszymi glinkami i kurzem. Wyglądał tak, jakby wpadł do młyna, w którym jacyś wariaci melli kolorową mąkę. Armantaro spytał go o palący się płyn w garnku. - Gnomi ogień to mieszanka często używana przez wyspiarzy z Sancrist - odpowiedział krasnolud, otrzepując dłonie. - Na zboczach Góry Nieważne nie ma zbyt wielu drzew, gnomy wymyśliły więc miksturę, która płonie bez drewna. Jej skład poznałem w młodości, kiedy odwiedzałem dziedziny gnomów. Garnath zwykł mawiać, że gnom nigdy nie wymyśli niczego pożytecznego, ale dla nas to świństwo. w garnku może oznaczać różnicę między życiem i śmiercią. - Gnomi ogień - mruknął jakby do siebie Vanthanoris. - Wyobrażacie sobie te wszystkie nieudane próby, przez jakie musiał przejść wynalazca, zanim udało mu się odkryć właściwe proporcje składników? - Gnomy z Wyspy Sancrist słyszeły na cały Ansalon ze swoich

niesamowitych i niemal zawsze bezużytecznych wynalazków. - Jest cudowny... - rozmarzył się Armantaro. - A jakie są składniki? - spytał, ulegając praktyczniejszej stronie swej natury. - Siarka, niegaszone wapno, skalny asfalt i saletra... a także szczypta tego i kapka tamtego. Myślałem o nim już wcześniej, ale dopiero wczoraj dotarłem do odpowiednio dużego złoża asfaltu. Na Reorxa, tam niżej są tego tony! - A jakżeś to zapalił? Żaden z was przecie nie ma krzemienia. Błękitne oczy krasnoluda zaświeciły tryumfalnym blaskiem. - W tym cała sztuka! Wystarczy tylko... - Cyt! Mamy towarzystwo! - ostrzegł go Vanthanoris, podrywając się na nogi. Zapach pieczeni obudził setki więźniów. Niewielkie ognisko otoczyli nieszczęśnicy, z rozrzewnieniem i tęsknotą patrzący na płomienie. Na widok opiekanej ryby wszyscy pootwierali gęby i zaczęli oblizywać spierzchnięte i popękane wargi. Widok jedzenia i poczucie ciepła przemogły apatię i wszyscy stłoczyli się wokół elfów. - Wystarczy dla wszystkich? - spytał Armantaro Gundabyra. - Jest tego dość, by upiec wszystkich Daewarów! - Czekażcie! Czy ten ogień nie pozbawi nas powietrza? - spytał Harmanutis. - Nie sądzę - krasnolud

potrzaśnął głową. - W tej jaskini jest nas trzy setki więźniów, ale - jeżeli się nie mylę - błękitnoskórzy jakoś dostarczają świeże powietrze z zewnątrz. Tak czy owak, postanowiono - ze względu na bezpieczeństwo - ograniczyć ilość palenisk do pięciu. Ludzie pospiesznie zaczęli wyłamywać skały z podłoża i szybko zbudowano obłożone kamieniami jamy. Gundabyr przechodził od jednej do drugiej, mieszał w woreczku jakieś proszki, potem wszystkie wsypywał do gęstego asfaltu w ustawionych pospiesznie kociołkach i wreszcie - rozbełtawszy je starannie - poprosił o odrobinę wody z sadzawki. Gdy tylko na powierzchnię czarno-żółtej pasty w pierwszym kociołku padły pierwsze krople wody, nad kociołkiem pojawił się pióropusz dymu! I cała mikstura z radosnym sapnięciem stanęła w ogniu. Ujrzawszy to, jeden z ludzi nie wytrzymał: - Jesteś czarodziejem! - Nie... tylko mistrzem cechowym z Thorbardinu... co, jak się okazuje, niekiedy jest wiele warte! - odciął się krasnolud. Wkrótce cała Grota Nissii wypełniła się światłem i ciepłem. Ludzie zgromadzili się wokół ognisk, przy których rozgrzewali zesztywniałe członki i piekli swe porcje ryby. Wszyscy wielbili pomysłowość Gundabyra. Po raz pierwszy też Armantaro usłyszał tryskające tu i tam strumyczki śmiechu. Tym, który wypowiedział na głos nurtującą wszystkich troskę, okazał się Vanthanoris: - A

co na to powiedzą podmorcy? - Nie sędzę, by się sprzeciwiali - odpowiedział Armantaro. - W końcu ciepło i gotowana żywność przedłużają życie niewolnikom, prawda? Elfy usiadły razem, przyglądając się radości, z jaką pozostali więźniowie powitali wynalazek Gundabyra. Omówili też po cichu przebieg toczony poprzedniego dnia utarczki z chilkitami. - Te stwory nie mają pojęcia o taktyce i wojennym rzemiośle - stwierdził Harmanutis. - Gdyby wdarły się na mur w kilku miejscach, Dargonestyjczycy nie zdołaliby ich powstrzymać. - Cieszymy się, że nie ty im przewodzisz - rzucił żartobliwie Vanthanoris. - Ale to prawda - wtrącił się Armantaro. - Z tego Coryphena taki strateg, jak z koziej du... no... nieważne. On po prostu odpiera siłę siłą i tyle. Nie potrafi dokonywać żadnych manewrów. Przewagę osiąga jedynie dzięki sporej ilości wydartego suchawcom lepszemu oręża i to wszystko. - Stary żołnierz zmarszczył brwi. - Nawet mi odebrano sztylet. - Czy błękitnoskórzy nie mają własnych kuźni? - spytał Harmanutis. - Nie, bo i skądże. Owszem, mają trochę srebrnych i złotych ozdób... aaa... i miedziane guziki. Tymczasem Gundabyr wrócił ze swej ogniotwórczej misji i ciężko klapnął na kamienny spąg. - Błeee! To mi robota. Van, zostało jeszcze trochę tego dorsza? - Owszem, schowałem dla ciebie najlepszy kąsek. - O... dziękuję, mości elfie - wystękał krasnolud pełnymi ustami i przez zmierzwioną brodę, co stworzyło niejaki kłopoty w zrozumieniu treści przekazu. - Budzimy twego brata? - Nie... nie trzeba. Niech sobie pośpi. Wyrzekał okropnie na tę podwójną zmianę i nie zamierza raz jeszcze słuchać, jak znowu biadoli, że go obudzono... nawet jeśli chodzi o ciepłe żarcie. Gundabyr jadł, Armantaro zaś wypytywał go o to, dlaczego Dargonestyjczycy tak zabiegają o każdy skrawek stali i żelaza, jaki znajdą. - Bo nie mają własnych kuźni, oto dlaczego. Nie da się obrabiać żelaza pod wodą. - Ale przecie mają miedź i złoto! - Ba! Te metale da się obrabiać i na zimno. - Krasnolud zamyślił się dość niespodziewanie. - Te wulkaniczne szczeliny..., można by w nich chyba topić miękkie metale. Może błękitnoskórzy znają ich obróbkę. Armantaro przesunął dłoń po czarnej powierzchni ściany. - Czy nie powiedziałaś, że ten tunel jest częścią systemu komina wygasłego wulkanu? - Gundabyr. z paszczą pełną dorsza, kiwnął

tylko głową. - Cóż... może jakoś udałoby się tędy uciec... - Jakim sposobem, milordzie? - spytał Harmanutis. - Wulkany ze swej natury przebijają się ku powierzchni wód. Gdybyśmy znaleźli szyb, który wiedzie w górę... - Przykro mi, legacie, ale nic z tego nie będzie - przerwał krasnolud. - Zadbali już o to błękitnoskórzy. Możesz być pewien, że dokładnie sprawdzili tę pieczarę. Jedyne wyjście wiedzie tamtędy - kiwnął grubym kciukiem ku sadzawce. Qualinestyjczycy pograżyli się w smętnym milczeniu. Gundabyr kończył swoją porcję, kiedy uderzenia kamienia o kamień

zasygnalizowały, że stojący na czatach więzień spostrzegł jakiś ruch przy wejściu. Elfy szybko stłumiły zwirom swoje palenisko -- jak to pokazał im krasnolud. Zaledwie w jaskini zapanowały dawny mrok i cisza, z sadzawki wyłoniła się grupka morskich elfów. Zaraz potem ukazała się księżniczka Vixa. Armantaro porwał się na nogi i skoczył ku niej, by ją powitać. Za nim pospieszyli Harmanutis i Vanthanoris. - Kuzynko! - zawołał legat. - Nic ci nie jest? Jeden ze strażników odebrał księżniczce muszlę. - Legacie, nie ma już potrzeby ukrywania mojej tożsamości - odparła Vixa. - Oni wiedzą, kim jestem. - Skrzywdzili cię? - Nie. Ale spotkałam się z ich królową. Posługując się magią, wtargnęła do mojego umysłu. Armantaro łypnął okiem na stojących obojętnie pod ścianą gwardzistów Coryphena. - Jeśli wiedzą, kim jesteś, pani, po cóż cię tu przywiedli? - Królowa Uriona uroiła sobie, że zostanie władczynią wszystkich elfów. Coryphen usiłował skłonić mnie, bym opowiedziała mu o armiach Qualinostu i Silvanostu, ja jednak odmówiłam. Dlatego zesłano mnie tutaj. - Zmarszczyła nos i przez chwilę łowiła zapachy unoszące się w powietrzu. - Wiesz, mój legacie, dałabym głowę, że czuć tu pieczoną rybę. - Och, prosimy tędy, Wasza Wielmożność - wtrącił szybko Vanthanoris. - Zrobiliśmy ci tu miejsce, pani... Vixa podniosła rąbek swej dargonestyjskiej szaty, by wydostać się z sadzawki. Srebrzysta tkanina wysychała w kilka minut po opuszczeniu wody. W tejże chwili morski elf stanął przed Vixą, zamykając jej drogę. - Więźniowie mają natychmiast uformować grupy robocze - rozkazał. - Już? - spytała zdumiona księżniczka. - Przecież dopiero co się tu dostałam! Chudy podmorzec nie zwrócił nawet uwagi na jej sprzeciw. - Powstań dla wszystkich! Więźniowie mają natychmiast zameldować się na swoich stanowiskach! Niewolnicy schodzili ze swoich prycz wolniej niż zwykle. Gdy nadzorcy zajęli się

ustawianiem więźniów, szef nadzorców zaczął majstrować przy muszli Vixy. Dargonestyjczyk miał na szyi wisior z wielkiego kryształu akwamarynu. To akurat nie było niezwykle. Morskie elfy uwielbiały obwieszać się kształtnymi muszlami i klejnotami. Teraz jednak podmorzec dotknął kryształem muszli dziewczyny. Vixa szeroko rozwartymi oczami przyglądała się, jak blask klejnotu blednie, sam kamień zaś staje się zupełnie nieprzezroczysty. Po kilku sekundach morski elf opuścił klejnot na pierś. Vixa zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem tego, co zobaczyła, w tejże jednak chwili z sadzawki wyłoniły się inne elfy. Te trzymały w dłoniach kosze pełne muszli. Znużeni więźniowie odbierali muszle z rąk swoich ciemiężców i jeden po drugim zanurzali się w wodzie. - Widziałeś, legacie? - szepnęła księżniczka, pokazując dłonią Dargonestyjczyka z wisiosem. - Owszem, pani. Gdyby udało się nam zdobyć gdzieś taki naszyjnik... Na końcu do szeregu więźniów dołączył Gundabyr zastępujący swego bliźniaka. Harmanutis przedstawił go księżniczce. Przeciskając się ku koszom z muszlami, Vixa stwierdziła: - Jeżeli Coryphen sądzi, że złamie mnie, posyłając tu do pracy, to się grubo myli. Nie wiem, jak spędzają czas dargonestyjskie księżniczki, ale mnie ciężka praca nie przestraszy. Jeden ze strażników kazał jej zamilknąć. Vixa i Armantaro wzięli swoje muszle. Pierwsi z szeregu niewolników znikali już w głębi sadzawki. Gdy stali, czekając na swoją kolej, stary legat klepnął księżniczkę po ramieniu. - Może nie powinnaś pani tak zdecydowanie ogłaszać wszem wobec o swojej decyzji. O wiele łatwiej uda nam się zachować życie i zdrowie, jeśli Coryphen będzie przekonany, że w końcu będzie miał z nas jakiś pożytek. Vixa kiwnęła głową. Po chwili zaś odpowiedziała: - Pewnie masz rację, legacie. Ale zastanawiam się, jak długo chilkity będą zagrożeniem, dla którego Uriona zrezygnuje - choć na jakiś czas - ze swoich szalonych planów?

Rozdział 9 - Ciężka praca Pod kopułą kryształowego dachu grodu wśród świetlnych sfer i ustawionych starannie zwierciadeł siedziała na poduszkach królowa Uriona. Opromieniona ze wszystkich stron intensywnymi strumieniami światła, chroniła twarz za maseczką ze skóry rekina. Za kręgiem zwierciadeł czekał cierpliwie Coryphen. Z boku stali też kapłani i dwórki królowej. Wszyscy osłaniali twarze przed światłem wylewającym się zza zwierciadeł. - Wiesz, o Boska, że

nigdy nie ośmieliłem się kwestionować twoich decyzji - odezwał się Coryphen, starannie dobierając słowa. - Jakże jednak mogę szykować inwazję na stały ląd, kiedy nie uporaliśmy się jeszcze z chilkitami? - Te stwory zostaną pokonane. Widziałam to w swojej wizji. Pomogą nam w tym słoneczne elfy. - Przemawiając, Uriona odwracała zamaskowaną twarz, aż wreszcie spoglądała wprost ku szczelinie, za którą stał Coryphen. Wrażliwość królowej bywała niekiedy mocno irytująca. - Jakimże sposobem to się stanie, o Boska? - To nie ma znaczenia. Ważne, że tak będzie i basta. - I stanie się to już wkrótce? Mam zwoływać armię? - Lordzie Protektorze, wszystko zrobisz we właściwym czasie. Powiemy ci o tym... ja i inni bogowie. Głębokie przekonanie, bijące ze słów królowej, uspokoiło Coryphena. Pozostała tylko jeszcze jedna kwestia: - A jeśli Qualinestyjka nie zechce mówić? Muszę znać siły armii, z jaką przyjdzie nam walczyć. - Cierpliwości, mój Protektorze. Powie nam wszystko, co trzeba ci wiedzieć. Tymczasem pošlij Naxosa i heroldów ku brzegom Silvanostu. Może podpatrzą coś ważnego? - Natychmiast, Boska. Ale któż będzie dawał baczenie na chilkity? - Tym razem, kiedy chilkity zaatakują, zniszczycie je ostatecznie. Będzie to pierwszy krok ku naszemu wspaniałemu zwycięstwu nad suchawcami. Wyślij Naxosa. Jeszcze dzisiaj. Coryphen wyczuł podniecenie w głosie swej władczyni. Natychmiast zaczął się zastanawiać, czy za odesłaniem Naxosa i jego morskich braci nie krył się jakiś szczególniejszy cel. Od dawna podejrzewał wodza zmiennokształtnych o nielojalność. Bywały chwile, gdy dałby wiele za to, żeby jego boska królowa swoje ostrzeżenia wyrażała bardziej bezpośrednio. - Rozsuńcie zwierciadła. Na dziś skończone. Na znak Coryphena, słudzy rzucili się do usuwania kręgu zwierciadeł. Wszyscy robili to z zamkniętymi oczami - obawiali się zarówno blasku, jak i spojrzeń w twarz swojej władczyni.

Lustra szybko znikły i oto pośrodku sali, otoczona siejącymi blask sferami, ukazała się leżąca na poduszkach królowa. - Dlaczego to sobie robisz? - spytał delikatnie Coryphen. On jeden miał prawo spoglądać w oblicze władczyni i zobaczył - jak zawsze po tych świetlnych sesjach - że Uriona splywa potem i bliska jest omdlenia. - Dlaczego dręczysz się tym światłem? - Jeżeli któregoś dnia mam zasiać na tronie w Wieży Gwiazd, muszę umieć znosić światło słoneczne. - Uriona drżącą dłonią zdjęła maskę. - Nie mogę znieść cierpień, jakie sobie zadajesz. - Protektor postąpił krok do przodu. - To nic, doprawdy... nic. Coryphen wziął jej maseczkę, przytrzymując przez chwilę dłoń Uriony w swoich palcach. Królowa zatrzepotała rzęsami, ale nie cofnęła dłoni. - Czy Naxos nas zdradzi, o Boska? - spytał Coryphen półgłosem. Wzrok Uriony zamglił się niespodziewanie i jej ciało opadło bezwładnie na tron. Coryphen szybko pospieszył na pomoc władczyni i podtrzymał ją ramieniem, nie pozwalając, by zsunęła się na posadzkę. Natychmiast też podbiegły służące i kapłani, patrzący na Protektora z przestrachem w oczach. - Precz! - syknął Coryphen zjadliwie. - Nasza boska Pani raczy cierpieć ze względu na nas. Idźcie i przygotujcie łoże w jej sypialni; sam ją tam zaniosę. Służące skoczyły wykonać polecenie. Coryphen ujął bezwładne ciało władczyni w swoje krzepkie ramiona. Kapłani aż się zachłysnęli na tę niesłychaną zuchwałość i poufałość, Protektor jednak czule i łagodnie przeniósł królową do drzwi sali audiencyjnej. - Szambelan! Szambelan! - zawołał. - Tak, panie? - U boku Coryphena zjawił się bezszelestnie szambelan królowej, który właśnie przed chwilą zażył odświeżającej kąpieli w morskiej wodzie. - Z rozkazu Jej Boskiego Majestatu niech natychmiast stawią się przede mną Naxos i morscy bracia! - Szambelan skłonił się nisko, roniąc na posadzkę krople wody. - W tejże chwili, wielki Protektorze! Szereg więźniów dreptał wolno ku miejscu codziennej pracy. Obciążone kamieniami pasy pozwalały im utrzymać się na dnie. Morze rozjaśniło się do barwy czystego szmaragdu i wedle miar dargonestyjskich był jasny dzień. Gdy więźniowie wyszli na otwartą przestrzeń, Vixa dostrzegła w oddali łańcuch szczytów. Góra, która kryła w sobie Grotę Nissii, była ostatnia w długim grzbiecie. Niektóre szczyty były płaskie i

rozległe, inne wznosiły się ku górze stromo i urwście. Księżniczka zaczęła się zastanawiać, jak blisko jest od nich do powierzchni. Więźniowie weszli do szerokiego jaru, którego ujście oczyszczono z koralu i wycięto w

kamieniu, tworząc dość rozległą płaską dolinę. Wszyscy wzięli w dłonie dłuta i kamienne kliny, po czym zaczęli formować kamienie, tworząc z nich spore prostopadłości. Uformowane bloki składano w rozłożone na dnie sieci. W rogach każdej sieci umieszczono pozszywane zręcznie i napełnione powietrzem rybie pęcherze. Wszystko to razem unosiło bloki ku szczytowi muru, gdzie inni więźniowie układali je w odpowiednich miejscach. Nie używano zaprawy - kamienie trzeba było układać i obrabiać bardzo dokładnie. Harmanutisa i Vanthanorisa skierowano do grupy, która przeciągała surowe głązy ku kamieniarzom. Armantaro wzmocnił grupę wkładającą obrobione bloki do sieci, Vixę zaś wysłano na górę, do układaczy. Dziewczyna zaczęła zdejmować pas, by podplłynąć ku szczytowi ściany, ale jeden ze strażników zatrzymał ją i skierował do otworu u podstawy muru. Zanim weszła do środka, jeden z więźniów posmarował jej ramiona jakąś lepką, jasnozieloną substancją. Vixa mocno się zdziwiła, kiedy jednak znalazła się wewnątrz, okazało się, że powlekająca ramiona pasta emituje łagodne, zielonkawe światło. Wnętrze ściany było pustą, mroczną jamą. Przed nią przesuwały się widmowe kształty innych robotników. Z muszlą w ustach nie sposób było zadawać pytania, Vixa więc po prostu ruszyła za tymi, którzy byli przed nią. Zaraz też potknęła się o stopień i... ruszyła schodami w górę. Poruszanie się w kompletnych ciemnościach rozjaśnionych tylko nikłą, migającą tu i ówdzie poświatą było niesamowitym doświadczeniem. Schody kilkakrotnie skręcały i wznosiły się coraz wyżej. Mur musiał mieć chyba sześć dziesiątek stóp wysokości. W końcu księżniczka wyszła na szczyt - i na otwartą przestrzeń. Pełno tu było robotników ustawiających kamienie na ich miejscach. Kilku chwyciło Vixę za ramiona i pociągnęło ją ku krawędzi. Mogła stąd doskonale dojrzeć lśniący w oddali gród Uriony. Nagle poczuła pchnięcie nurtu, które niemal zbiło ją z nóg. Frunęła wstecz, osuwając się wzdłuż ściany. Zdołała jakoś chwycić się blanków i zapobiec upadkowi - niewiele brakło, a poleciałyby w dół. Nikt nie przyszedł jej z pomocą. Gdy stanęła na nogach, przekonała się, że powodem zamieszania było pojawienie się kolejnego kamiennego bloku, który uniesiony przez powietrzny pęcherz, rozepchnął po prostu wodę wokół siebie. Wokół sieci stłoczyli się natychmiast robotnicy, którzy sprawnie opuścili niemal sześćdziesięciostopowy masyw na szczyt muru. Vixa spróbowała włączyć się do pracy, ale jej bosa stopy dawały nikłe oparcie o gładkie kamienie. Nikt nie nosił tu obuwia, ale pozostali więźniowie - bardziej doświadczeni - radzili sobie znacznie lepiej, a stopy podmorców najwyraźniej były jakoś do tego przystosowane. Mieli - jak u dłoni - długie i połączone błoną pławną palce. Blok z łoskotem opadł na swoje miejsce. Uwolniona od ciężaru sieć z pęcherzami uniosła

się w górę i zawisała kilkanaście stóp nad głowami robotników - zakotwiczona na dnie długą liną z plecionych wodorostów. Obraz wiszącej w górze sieci nagle zaintrygował Vixę. Spojrzała w górę i ponownie zaczęła zastanawiać się nad odległością do powierzchni. Jak się okazało, nie jej jedynej przyszła do głowy myśl o ucieczce. Przez rzeszę niewolników nagle przedarł się jakiś chudy, żyłasty człowiek, który błyskawicznie zrzucił swój pas i skoczył przez kamienny parapet. Trafiał w sieć i wczepił się w nią niczym pająk. W jednej dłoni trzymał ostry, klinowaty kawałek kamienia, którym teraz gorączkowo zaczął przecinać linę kotwiczną. Wśród więźniów natychmiast zaroili się nadzorcy, którzy bezceremonialnie zaczęli tłuc niewolników tarczami i drzewcami włóczni. Uciekinier tymczasem zdołał już przepiłować linę i sieć wolno popłynęła ku górze. Vixa z całego serca miała ochotę dodać mu okrzykiem otuchy - nie mogła jednak odjąć od ust przeklętej - i życiodajnej zarazem - muszli. Jeden z Dargonestyjczyków cisnął za uciekinierem włócznią. Chybił. Drugi przyłożył do warg ustnik muszli i zadał - rozległ się beklivy dźwięk i ku górze pomknęła struga pęcherzyków

powietrza. I nagle wodę przeszły setki świstów i kliknięć. Morze zaroilo się od delfinów. Natychmiast wszystkie śmignęły za zbiegiem. Były szybkie - ale nie mogły sprostać rwącemu w górę pęcherzowi. Człowiek leciał ku wolności ze zdumiewającą prędkością. Z góry sączyło się światło słoneczne. Na jego tle człowiek i wznosząca się sieć były już nikłymi, szybko się zmniejszającymi plamkami czerni. I nagle wszystko znikło w kotłowaniu srebrzystych pęcherzyków, po chwili zaś czekający w dole usłyszeli grzmot czterech zlewających się w jedną eksplozji. Trzasnęły rozprężające się pęcherze. Człowiek zaplątany w sieć zaczął opadać w dół. Wokół jego ciała krążyły poświstujące żalobnie delfiny. Sieć minęła Vixę i księżniczka zachnęła się, ujrawszy powód smutku delfinów. Opadające w odległości pięciu stóp od niej ciało nie przypominało już w niczym zdeterminowanego człowieka, który jeszcze przed momentem rwał się ku wolności. Z uszu i nosa nieszczęśnika sączyły się strugi gęstej krwi. Całe jego ciało było wykręcone, jakby rozdarte okropnym bólem, członki powyginały się pod dziwaczными kątami ~- odrzucona w tył głowa i szeroko rozwarte usta świadczyły o okropnej męce, jakiej doświadczył przed śmiercią. Vixa oburącz wczepiła się w kamienny blok i napiąwszy mięśnie, spróbowała go przesunąć. W jej głowie niemal wrzało - usiłowała rozwikłać zagadkę tajemniczej śmierci biedaka. Co go zabiło? Był już u progu wolności. Delfiny me zdołały się doń nawet zbliżyć. Czyżby ktoś posłużył się magią? Słyszała już szepty wśród więźniów, którzy mówili pomiędzy sobą, że każdego

ładowca, który podejmie próbę ucieczki, dopadnie szybka śmierć. Aż do tej chwili nie dawała tym gadkom wiary. Dalsza część dnia minęła bez szczególniejszych wydarzeń. Wszystkich więźniów dręczyło pragnienie - ironia losu, bo przecież pławili się w wodzie. Dłonie i stopy nabrzmiewały od wysiłku. Vixa odkryła, że jest wdzięczna losowi za dargonestyjską szatę. Nie darła się ani nie nasiąkała, mimo kilku godzin przebywania pod wodą. Odkryła również, że nabrzmiałe stopy lepiej trzymają się kamiennych parapetów. Jeden z morskich elfów uderzył w kryształowy gong, oznajmując wszystkim koniec pracy. Pracujący na murze, wyczerpani i osłabieni, opuścili się na dno ku swoim towarzyszom. Otumaniony pracą umysł Vixy zdobył się jednak na wysiłek, by zastanowić się, jak to się dzieje, że nie brakuje jej powietrza w muszli, mimo że używa jej już od wielu godzin. Wydostawszy się z wody, Qualinestycjczycy z radością powitali mrok Groty Nissii. Armantaro nawet podał księżniczce ramię, ona jednak odmówiła - stary legat wyglądał na bardziej od niej zmęczonego i wyczerpanego. Wszyscy byli piekielnie głodni. Praca była ciężka, a opór wody podwajał wysiłek konieczny do wykonania najprostszych choćby czynności. Niewolnicy mieli więc apetyty co się zowie. Nadzorcy odebrali wszystkie muszle, cisnęli na spąg kilkadziesiąt niedawno złapanych ryb i poszli. Elfy zwały się na swe posłania, a Gundabyr żwawo się zajął przygotowywaniem paleniska. Garnath, który tymczasem wyłonił się ze swej kryjówki, wyglądał na dobrze wypoczętego. - Jak dziś poszło? - spytał radośnie. Gdyby wzrok mógł zabijać, krasnolud padłby natychmiast zabity pięcioma spojrzeniami. - Nie wolno tak traktować żołnierza - westchnął Harmanutis. W wielu miejscach na jego dłoniach popękała skóra, z otarć zaś sączyła się krew. - Nawet gdyby dano mi teraz miecz, nie wiem, czy potrafiłbym go użyć. - Nikogo nie wolno tak traktować - warknął Gundabyr. - Nie cierpię ryb - mruknął Vanthanoris. Och, ileż bym dał za polec pieczeni i kufel parującego nektaru albo gęstą, ostrą korzenną zupę okraszoną... - i nie dokończywszy, zachrapał cicho. Armantaro po prostu siedział i dygotał. Vixa obserwowała go z troską i niepokojem - stary legat nie bardzo się już nadawał do ciężkiej pracy. Twarz miał bladą i dziewczyna obawiała się, że dopadła go jakaś choroba. Gundabyr rozniecał ogień w całej grocie. Jego bliźniak zajął się oczyszczaniem ryb, które przynieśli prześladowcy. - Mości Garnath... - odezwała się księżniczka - Dlaczego pęcherz zbliżający się do powierzchni eksploduje gwałtownie, choć w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go przebić? - i opisała próbę ucieczki więźnia, której była świadkiem. - Hm... - mruknął krasnolud. - Wygląda mi to

na przypadek Prawa Chmur. - Księżniczka spojrzała nań tak, że zaraz pospieszył z wyjaśnieniami - Wedle Prawa Chmur w miarę wznoszenia się coraz wyżej, powietrze zwiększa swoją objętość. Gotów byłbym się więc założyć, że pęcherz na dnie wypełniony powietrzem z pewnością rozpuknie się, zanim dotrze do powierzchni. A człowiek, jako że po części również wypełniony jest powietrzem, też... eee... pęknie, chyba że podczas wznoszenia się będzie powoli wypuszczał powietrze z płuc. - Ale nawet jeśli oddycha jak należy, to i tak nic by mu z tego nie przyszło, gdyby jego balony pękły przy powierzchni. - Nic podobnego! - zaperzył się krasnolud. - Powinien tylko porobić niewielkie dziurki w pęcherzach, tak żeby nadmiar gazu mógł się ulatniać i jakoś dotarłby na górę. Vixa spojrzała nań z namysłem i splekaną dłonią potarła podbródek. - Ale czy wystarczyłoby mu powietrza, by dotrzeć do powierzchni? - zastanawiała się na głos. - A jeśli zapas skończy się wcześniej... Rozmyślanie księżniczki przerwał jęk, który mimo woli wydał Armantaro. Vixa natychmiast wyszukała kawał żaglowego płótna, którym przykryła legata, choć ten protestował, mówiąc, że nic mu nie dolega. Dziewczyna łagodnie pchnęła go na posłanie. - Trzeba nam coś wymyślić - stwierdziła z pozornym spokojem, odsuwając wilgotne jeszcze włosy z pooranej zmarszczkami twarzy starego żołnierza. - Siłą albo fortelem musimy jakoś się stąd wyrwać. - To niemożliwe - przerwał jej Gundabyr. - Nie ma sposobu - zawtórował mu bliźniak. - Ależ jest... musi być... - upierała się księżniczka. - Po prostu jeszcze go nie odkryliśmy. Garnath potrząsnął głową. - Pani, to beznadziejna sprawa. Ja i Gundabyr łamiemy sobie nad tym łby od kilku tygodni. Powiadam ci, nie masz dla nas nadziei. Ogarnięta złością i pragnieniem jej rozładowania, Vixa chwyciła najbliższy przedmiot i rąbnęła nim o ścianę. Był to gliniany pojemnik, który Gundabyr napełnił ogniodajną mazią. Glina pękła, zderzywszy się z kamieniem, a spływające po ścianie krople spowodowały zapłon masy. - Hej! - wrzasnął Vanthanoris, podrywając się na nogi, by uniknąć ognistych kropli. Wystarczyło, że jedna z nich padła na jego posłanie i prycza natychmiast zajęła się ogniem. Harmanutis i Vanthanoris, sypiąc piaskiem równie obficie jak przekleństwami, dopiero po dłuższej chwili stłumili żarłoczne płomienie. - Pani, musisz uważać - wytknął jej Gundabyr. - Raz zapalonego gnomiego płomienia

praktycznie nie da się ugasić. Vixa patrzyła przez chwilę na zwęglone posłanie. - Mości Gundabyrze - spytała - czy możesz zrobić tego więcej? Krasnolud łypnął oczami. - Zrobiłem już ze dwie beczki. Ile tego wam potrzeba? - Potrzebuję wszystkiego, co zdołasz zrobić, przyjacielu. Dosłownie wszystkiego... Coryphen czekał na Naxosa w służbie. Po wyznaczonym terminie minęło już półtorej godziny, a zmiennokształtny się nie pojawiał. W końcu Coryphen - wściekły na nieposłuszeństwo, które poczytywał sobie za osobistą obrazę - wysłał przybocznych, by przeszukali morze i choćby siłą przywiedli doń niesfornego drania. - Jeśli będzie trzeba, to go zwiążcie, ale natychmiast przyprowadźcie go do pałacu! - krzyknął. Przyboczni ruszyli co tchu, by wykonać rozkazy pana. Do pałacu Coryphen wrócił pieszo, zostawiając z tyłu sapiących nosicieli z lektyką. Nie zwracał nawet uwagi na radosne okrzyki pospólstwa. Odesławszy gniewnym warknięciem tragarzy, przekroczył magiczną barierę i sam jeden przeciął rozległy plac przed pałacem królowej. I tam natknął się na Naxosa, opartego niedbale o jedną z malachitowych kolumn. - Ty tutaj?! No... toś się doigrał! Jak śmiałeś kazać mi czekać? - zawrzał gniewem wódz. Twarz Naxosa była równie nieczytelna, jak powierzchnia kolumny, o którą się opierał. - Ja, panie? Kazałem tobie czekać? To ja czekam tutaj na ciebie... i to od dawna. - Co takiego? - Kazano mi stawić się przed tobą, eskcelencjo. Gdzież indziej miałbym się udać, jak nie do rezydencji królewskiej? Nie śmiałem nawet przypuszczać, że na spotkanie ze mną, pójdziesz, panie, do służby. Tłumaczenie było rozsądne i uśmierzyło nieco wściekłość podmorskiego watażki. Coryphen przyłożył dłoń do skroni. Wyszły mu skrzela i teraz odczuwał ból głowy. Ujrzawszy słabość wodza, Naxos nachylił się nad najbliższą

fontanną i napełnił muszlę wodą. Gdy Coryphen spryskał głowę i barki słonawą cieczą, jego gniew zaczął słabnąć. Przez chwilę Protektor sycił się rozkoszą, jakiej doznawał, gdy życiodajny płyn obmywał jego skrzela. Po chwili przemówił prawie zupełnie spokojnym głosem: - Jej Boski Majestat ma dla ciebie i morskich braci zadanie szczególnej wagi. - Jakie, ekscelencjo? - Macie udać się do Silvanostu i zbadać tamtejsze okolice. Błękitnozielone brwi Naxosa uniosły się w górę. - Czy mogę znać powód, dla którego obarczono nas tak niezwykłym zadaniem?

- Dostatecznym powodem jest wola Jej Boskości! Ruszajcie natychmiast! Zmiennokształtny skłonił się tak zamasyście, że gest graniczył niemal z drwiną. Odwrócił się i odszedł, po czterech krokach jednak się zatrzymał i spojrzał przez ramię na Coryphena. - Czy ten rozkaz wiąże się w jakiś sposób ze schwytanymi Qualinestyjczykami? - Zadajesz zbyt wiele pytań. To rozkaz królowej. Więcej nie trzeba ci wiedzieć. - Nie kwestionuję Jej Boskiej woli... gdzieżbym śmiał... - odparł spokojnie Naxos. - Zastanawiam się tylko - ekscelencja zechce wybaczyć mi zbytnią zuchwałość - dlaczego Jej Majestat ciekawia brzegi Silvanostu, a nie wody otaczające Qualinost? Na twarzy Coryphena pojawił się zimny uśmiezek. - Ponieważ los zesłał nam gości właśnie z Qualinostu, nawet dla ciebie winno być jasne, że wieści o tej krainie możemy zdobyć bez waszej pomocy. - A... dziękuję waszej lordowskiej mości, żeś zechciał mnie oświecić - odparł Naxos z uśmiechem, w którym nie było śladu wesołości. - Wdzięczny jestem za każdy strzęp mądrości, jaki Protektor łaskawie raczy mi cisnąć ze szczytów swego niebotycznego intelektu. Ruszam natychmiast... Zmiennokształtny odszedł niezwłocznie. Gdy Coryphen został sam, odkrył, że obie dłonie ma zaciśnięte na rękojeści miecza. Do kata z tym Naxosem! Jego pozorna uległość była okropnie irytująca. Za każdym razem, gdy się spotykali, dochodziło do słownych utarczek i Coryphen zawsze zostawał na pobitym polu. Idąc ku pałacowi, Protektor zabawiał się myślą, że już wkrótce bezczelność zmiennokształtnego wpakuje go w nieuniknione kłopoty. To zaś wielce uraduje Coryphena. Lord Protektor nie mógł wprost doczekać się tej chwili...

Rozdział 10 - Ogień i woda Czwartego dnia pobytu Vixy w Grocie Nissii przydarzyło się coś dziwnego. Z nadejściem ranka - o ile w ogóle na głębokości dwustu sążni można było mówić o poranku - nie pokazali się nadzorcy, którzy mieli poprowadzić więźniów do roboty. Ludzie budzili się, przecierali zaczerwienione oczy... a na brzegu sadzawki nie było widać poganiaczy z ich muszlami... i nie było słychać wrzasku rozkazów. Mijały godziny i nikt się nie pojawiał. - To podejrzane... - rzekł wreszcie Harmanutis. - Coś mi tu śmierdzi. - Nie trzeba być mędrce, by dojść do podobnego wniosku - odparł Armantaro. - Sęk w tym, że nie wiemy, co się dzieje... Z głębin jaskini wyłonili się pokryci kurzem Garnath i Gundabyr. Garnath oznajmił, że zrobili już cztery spore beki ognistej mazi, brak im jednak garnków i pojemników. Zamiast wypełnić kilka dużych beczulek, Vixa upierała się, że pastą trzeba wypełniać całe tuziny niewielkich pojemników. Elfy i krasnoludy znalazły blisko trzydzieści garnczków. Wypełniono je po brzegi kleistą mazią i ustawiono wzdłuż ścian jaskini. Przyjrząwszy się podejrzanie zakurzonym bliźniakom, Armantaro spytał: - Gdzie was nosiło całą noc? Ledwo trzymacie się na nogach. - I tak bym nie zasnął. To te roboty górnicze sprawiają, że jeszcze jakoś się trzymam -- mruknął Gundabyr. Rozejrzył się po całej grocie: - A gdzie to nasi poranni goście? Quoowahbowie jeszcze się nie pokazali? - Nie, jeszcze nie - odparł ziewający bezceremonialnie Vanthanoris. - Czekałże... mówiłeś coś o jakichś robotach górniczych, o jakich mianowicie? - zaciekawiała się Vixa. - Tam na zewnątrz ktoś coś kopie - odezwał się Garnath. - Myślę, że dogrzebali się do nowego złoża wapienia na bloki. Elfy wymieniły zdziwione spojrzenia. - Nikt dziś nie wychodził do roboty - stwierdził Harmanutis. - A właściwie to coście słyszeli? - spytała Vixa. Gundabyr pogładził się po brodzie. - Nie umiem rzec dokładnie... ale oni ciągle jeszcze coś tam kują. - Pokaż nam to miejsce! Szybko powiadomiono pozostałych więźniów i poproszono ich

o ukrycie nieobecności

Qualinestyjczyków na wypadek, gdyby raczyli pokazać się nadzorcy. Wziąwszy me sobą jedną lampę z gnomim ogniem, elfy i bliźniacze krasnoludy szybko ruszyły w głąb jaskini. Po przejściu dwudziestu kroków zanurzyli się w mrocznym tunelu z surowym i nierównym spągim. W czarnej ścianie wulkanicznej lawy tu i ówdzie błyskały jakieś kryształy. Po przejściu dalszych trzydziestu kroków trafili do rozleglejszej komory, gdzie ze sklepienia nieustannie sączyły się krople wody. Tu było główne źródło, z którego korzystali więźniowie Nissii. Aby powstrzymać innych, którzy mogliby przeszkadzać im w poszukiwaniach, bliźniacy poustawiali pod naciekami wiele glinianych wiader i muszli, w których zbierała się woda. Garnath uniósł lampę nad głowę. - Słuchajcie! - syknął scenicznym szeptem. I rzeczywiście, w zalegającej grocie ciszy elfy usłyszały regularne jak uderzenia serca dźwięki - klink, klink, klink. Brzmiało to jak odgłosy z kopalnianego przodka, stłumione grubą warstwą skały. Ktoś we wnętrzu góry prowadził jakieś roboty górnicze! - Jak sądzicie... to Dargonestyjczycy? - spytała Vixa przyciszonym głosem. - A po cóż mieliby to robić? - rzeczowy Gundabyr wzruszył ramionami. - Przecie kiedy zechcą, mogą nas wywlec za łby przez sadzawkę. - I owszem... a zresztą gdyby istotnie pojawiła się potrzeba przekopania jakiegoś nowego tunelu, możemy być pewni, że zwaliliby to na nas - dodał Vanthanoris. Tymczasem Armantaro bez słowa okrążył komorę. - W tym miejscu te dźwięki są najgłośniejsze - stwierdził po chwili. - Co jest z tamtej strony? - Harmanutis, Vanthanoris i krasnoludy wszczęli krótką i dość głośną sprzeczkę. - Cisza! - syknęła Vixa. - Tam jest Bruzda Mortas! Uderzyło to w nich jak grom. Żaden podmorzec nie ośmieliłby się zapuścić do tej bruzdy. Głęboka morska rozpadlina była rejonem, który bez reszty opanowały... - Chilkity... - wyszeptał Harmanutis. - Przekopują się tędy, by obejść mur Coryphena! - pierwszy domyślił się Vanthanoris. Odskoczył od ściany i wpadł tyłem na Gundabyra. Krasnolud usiadł w kałużę wody. Vanthanoris zaczął przeproszać, Gundabyr utyskiwał - urwał jednak nagle i pochylił się, by powąchać wodę. Potem wetknął w nią palec. - To nie z nacieku - sapnął zdumiony. Morska woda! Wszyscy natychmiast rzucili się ku zamieszkaney części jaskini. Armantaro wspiął się na wystający zrąb skalny i głośnym okrzykiem skupił na sobie uwagę niewolników. - Słuchajcie! - zawołał. - Znaleźliśmy dowody świadczące o tym, że chilkity przekopują się przez skały do tego tunelu. - Wśród więźniów wybuchła pełna okrzyków przerażenia wrzawa. Armantaro uniósł dłoń, a gdy to nie pomogło, zagrzmiał ponownie: - Spokój! Musimy zbudować tu

barykadę. - Jeśli te stwory potrafią przebić się przez skałę, jakże możemy liczyć na to, że zatrzymamy je zaporą ze starych desek i rupieci - biadał jakiś człowiek. - Potrzebujemy trochę czasu - sprzeciwiła się Vixa. - Żeby się stąd wydostać, musimy zdobyć muszle z powietrzem. Ktoś musi wyjść i powiadomić Dargonestyjczyków! - To samobójstwo! - Lepiej się utopić, niż samotnie walczyć z chilkitami - trafił w sedno inny z niewolników. - Kto tu jest najlepszym pływakiem? - spytał Armantaro. Wszyscy milczeli i nikt nie wystąpił przed kompanów. W końcu przed tłumek niechętnie wyszedł Vanthanoris. Stary legat łypnął ponuro na najmłodszego z ziomeków. - Ty, Van? Elf wzruszył ramionami. - A któżby inny? - Jeśli chilkity przebijają się przez zbocze, jaskinia prawdopodobnie zostanie zalana wodą - ostrzegł Gundabyr resztę więźniów. W powietrze wzbił się chór lamentów i złorzeczeń. Armantaro zeskoczył na dół i pokazał więźniom, jak rupiecie spiętrzyć w barykadę wzmocnioną kamieniami, zwojami lin i resztkami posłań. Gundabyr i Garnath zgromadzili za barykadą swoje zapasy baryłek gnomiego ognia. Na szczycie szybko rosnącej zapory stanęła Vixa, która pilnie wpatrywała się w mrok. - Przygotujcie kilka z tych garnków - poradziła krasnoludom. - Mogą nam się przydać do zniechęcania chilkitów... Nie zdążyła nawet dokończyć zdania, kiedy po spągu jaskini potoczyła się pierwsza, nikła jeszcze fala wody. Niektórzy z więźniów zaczęli stękać i jęczeć ze strachu. - Van, gotuj się - zawołał Armantaro. Młody elf stał już nad

sadzawką. Nagle rozległ się głośny łoskot i do wnętrza tunelu buchnęła chmura kurzu. Zaraz za nią runęła wysoka do kolan fala, która uderzyła o pospiesznie wzniesione umocnienia. Część barykady zmyło, jakby odwieczny Skryba zmazał ją gumką. Więźniowie porwali za kamienie i prowizoryczne maczugi z co większych polan i belek. Vixa, której serce waliło jak młotem, ustawiła się na szczycie wału z desek i porozbijanych skrzyń. Z głębi tunelu doleciały nowe, głośniejsze hałasy, towarzyszące rozbijaniu skał. Przez barykadę zaczęła się przesączać woda, której poziom podnosił się powoli, lecz stale. obrońcy barykady usłyszeli też nowy, bardziej złowrogi dźwięk - człapanie łap chilkitów. W głębi jaskini ukazały się przerażające, mroczne kształty. - Pomóż nam, Astro! - szepnął Armantaro. I wznosząc głos do okrzyku, zawołał: - Ruszaj, Van!

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

Vanthanoris zniknął pod wodą. Więźniowie ustawili się za rozniesioną na poły barykadą i pilnie wypatrywali wroga. Człapanie łap chilkitów było coraz głośniejsze. - Aaa! Tam! Wszyscy spojrzeli w kierunku wskazanym przez Vixę. Przy sklepieniu grotu czaił się chilkit. Widok ten wzbudził panikę wśród niewolników, Armantaro jednak głośnym okrzykiem przypomniał wszystkim, że mają zostać na miejscach. Władczy głos starego legata, nawykłego do wydawania komend, zatrzymał nawet najbojaźliwszych. Chilkit ostrożnie wstąpił w krąg światła, rzucanego przez nikłe, dargonestyjskie świetliste sfery. Jego długie czułki cięży powietrze niczym bicze. Bestia wyglądała na skonfundowaną i zbitą z tropu. Nieco bliżej na lewej ścianie pojawił się następny potwór. Trzeci wyłonił się z mroku na poziomie spągu. - Dalejże! Na nich! - zagrział Armantaro. Na potwora uczonego sklepienia runęła ulewa kamieni i bestia musiała się cofnąć. Rozpaczliwie machając kleszczami, odbiła kilka pocisków, reszta jednak ugodziła ją w korpus. Tymczasem chilkit, który dotąd czaił się przy ścianie, z zaskakującą szybkością ruszył ku barykadzie i wbił się w sam jej środek. Na wszystkie strony sypnęły się połamane polana i szczątki belek, które unieruchomiły kilku ludzi. Skrzynie, na których stała księżniczka chybnęły się w bok i dziewczyna zwała się na dół. Chlupnęła z impetem w sześciocalowej głębokości wodę i oparła się o coś twardego. Były to łapy chilkity. Księżniczka wylądowała po niewłaściwej stronie barykady, tuż przed potworem, który nacierał dnem grotu. Przez kilka sekund, które Vixie wydały się wiecznością, bestia przyglądała się jej atramentowymi gałkami oczu. Jeden z czułek lekko musnął jej twarz. Vixie przemknęła myśl, że stwór może nie ma złych zamiarów - i wtedy chilkit podniósł rozwarte kleszcze. Wewnętrzne, tnące krawędzie nożyc były białe i kontrastowały z jasną czerwienią reszty szczypiec. Księżniczka błyskawicznie przeczołgała się pomiędzy łapami stwora, aż znalazła się dokładnie pod nim. Kleszcze zamknęły się na kamieniu tuż obok jej stopy. Vixa pomogła sobie łokciami - tuż nad nią, na wysokości kilku cali wisiało obrzydliwie miękkie, ociekające wodą podbrzusze potwora. Och, gdybyż teraz miała sztylet Armantaro! Chilkit szybko się odwrócił i odsunął w bok, odsłaniając Vixę. Jedną z jego cienkopalcych łapek zamknęła się na jej kostce. Księżniczka wrzasnęła rozpaczliwie i wierzgnęła, by się uwolnić. Gdzieś z boku podbiegł czerwonobrody mężczyzna i trzasnął chilkitę prowizoryczną

maczugą. Po trzecim uderzeniu wilgotne drewno pękło. Potwór uderzył zamkniętymi kleszczami i niczym włócznią trafił nimi człowieka w pierś, przesywając go na wylot. Bez wysiłku też uniósł nieszczęśnika w powietrze i odrzucił go na barykadę. Grotę wypełniała kakofonia dzikich wrzasków, jęków, trzasku pękającego drewna i łoskotu kamieni uderzających o ciała. Wszędzie było pełno chitynowych pancerzy. Vixa szamotała się w płytkiej wodzie, usiłując ujść trzymające. Mu ją chilkitowi - i wtedy do walki wmieszał się krzepki Garnath. Uniósłszy w górę odłamek skały, ważący niewiele chyba mniej od samej księżniczki, trzasnął nią potwora pro. sto w staw łapy, którą bestia trzymała dziewczynę. Purpuro. wy pancerz pękł jak skorupa jajka - i Vixa nagle poczuła że jest wolna - jeśli nie liczyć czteropalczego kikuta, nadal trzymającego ją za kostkę. Dzielny Garnath niedługo jednak cieszył się zwycięstwem. Choć szarpany drgawkami bólu, chilkit zdołał jednak walnąć go na odlew kleszczami. Cios doszedł do celi z okropnym chrupnięciem. Zdumiewające było to, że Garnath zdołał utrzymać się na nogach, choć ustami puściła mu się krew. Vixa złapała pierwszą rzecz, która wpadła jej w dłoń - kawałek wiosła. Rąbnęła nim chilkitę, ale bez widocznego efektu. Potwór otworzył kleszcze i powoli zbliżył je na szyi krasnoluda. Garnath usiłował rozewrzeć je dłońmi, ale okropne nożyce zamknęły się ze złowrogim zgrzytem i chrupnięciem. Głowa śmiałka

opadła na zalany krwią spąg jaskini. Vixa wrzasnęła strasznie i jednym szarpnięciem oderwała łapę chilkitą od swojej stopy. Błyskawicznie wdrapawszy się na barykadę, chwyciła jeden z glinianych garnków, na pełnionych pastą Gundabyra. Trafiła w sam środek celu Pierś i łeb zabójcy Garnatha, pokryła kleista maź. Tymczasem nieustanny deszcz kamieni i drewnianych pocisków strącił wreszcie bestię nacierającą po sklepieniu pieczary. Bydlę odpadło z trzaskiem i runęło na grzbiet, bezradnie przebierając łapami. Trzeci potwór wspinający się po lewej ścianie przedzierał się ku barykadzie, zabijając każdego, kto znalazł się w zasięgu jego strasznych kleszczy. Vixa otarła dłonią łzy rozpaczy i wściekłości. Wspiąwszy się ponownie na barykadę, obserwowała uważnie, jak jednołapy obecnie chilkit, którego oblała pastą Gundabyra, cofał się w głąb jaskini, ciągnąc za sobą ciało krasnoluda. Z przednich nóg bestii spływały w dół żółtawe strumyczki kleistej cieczy. Po kilku sekundach jeden z nich odnalazł nieustannie przybierające strugi wody. Nastąpił zapłon. Potwór puścił ciało Garnatha i zaczął wirować w miejscu, usiłując zgasić ogarniające go płomienie. Tym szybciej pogrążył się w nich do reszty. Zanurzył się w wodzie, próbując stłumić nieubłagany żywioł. Płomienie buchnęły jeszcze zwawiej. Ginąca bestia zaczęła wydawać niesamowite, bulgoczące dźwięki. Pozostałe dwa potwory przerwały wysiłki i podeszły, by posłuchać swego towarzysza.

- Walcie w nich garnkami! - zawołała Vixa. - Morska woda wywoła zapłon! Dalejże! Atak poprowadzili Armantaro i Harmanutis. Po ich stronie barykady złożono wcześniej cały zapas przygotowanego przez Gundabyra gnomiego ognia, nie brakło im więc amunicji. Okazało się też zaraz, że Harmanutis ma równie krzepkie ramię, co celne oko. Trafił najbliższego Chilkitę dwa razy pod rząd. W wąskim przejściu buchnęły w górę płomienie i więźniowie musieli się cofnąć. Chilkit, którego cielsko przypominało kłęb ognia, runął na spąg. Bestia z jedną łapą, poważnie okaleczona i poparzona, cofała się chwiejnie. Patrzącym na to wydawało się już, że uda jej się uciec, kiedy celnie i daleko ciśnięty garnek rozbił się o sklepienie nad niedopałkiem i zielonkawa pasta oblała łeb potwora. Chilkit runął na kamieniste dno jaskini, płonąc jak ognisko w noc letniego przesilenia. Ostatni z potworów wycofał się, zostawiając kompanów na pastwę płomieniom. Grota zatrzęsała się od okrzyków tryumfu. Niektórzy z ludzi, brodząc w wodzie, przeleźli przez barykadę i dobili zdychające bestie pałkami. - Wracać! Natychmiast wracać! - zagrzmiał Armantaro. - Wody przybywa! Musimy dostać się gdzieś wyżej! Bezpośrednie zagrożenie ze strony chilkitów minęło - ale pojawiło się niebezpieczeństwo utonięcia. Armantaro zwoływał więźniów - wewnątrz grotty jednak nie było nigdzie wyższego miejsca - przeciwnie, cała jaskinia opadała ku sadzawce. Wszyscy więźniowie zbrali się wokół niej. Z głębi jaskini wciąż napływała woda. Wszędzie pływały garnki i dzbany z gnomim ogniem. Gundabyr z zakrwawioną twarzą przypomniał o niebezpieczeństwie. Jeśli gnomi ogień zamoknie... - Gdzie Quoowahbowie? - wrzasnął któryś z więźniów. - Zostawia nas tu na pastwę losu? - zawył drugi. - Może Van nie zdołał się przedostać - odezwał się ponuro Harmanutis. Lewe ramię przyciskał do piersi. Jeden z chilkitów mocno go okaleczył. W głębi jaskini buszowały płomienie gnomiego ognia. Przy ich blasku i nikłej iluminacji dargonestyjskich sfer trzy setki więźniów gapily się bezradnie na siebie i na otaczające ich skały. - Ratusz nas, E'li! Wracają! Przy ruinie pierwotnej barykady ukazały się cztery chilkity. Nie podchodziły bliżej - czuły respekt przed glinianymi baryłkami - ale zwawo usuwały rupiecie tamujące drogę wodzie napływającej z głębi. - Teraz przydałby się jakiś dobry pomysł - mruknęła Vixa, wpadając na Gundabyra. - Nie pytaj o to krasnoluda. Ogluszyło mnie i ogłupilo. - Gundabyr otarł z twarzy krew i sadze. Rozejrzył się i powiódł wzrokiem po pływających wokół więźniach. - Gdzie mój braciszek? Hej! Garnath! Vixa położyła mu dłoń na ramieniu i potrząsnęła głową. Jej pogrążona w smutku twarz

powiedziała mu więcej, niż chciałby usłyszeć. Na widok chilkitów niektórzy z więźniów podjęli desperackie próby ratunku. Nabierali powietrza w płuca i dawali nura, wypływając na zewnątrz.

Mogli tylko liczyć na to, że podmorcy odnajdą ich, zanim zbraknie im tchu w piersiach. Vixa pozostała w pieczarze, wściekle młóćąc wodę stopami. Nie chciała powierzać życia tak wątpliwej nadziei. Jeszcze nie. Tunelem ku więźniom następowały cztery chilkity, ośmielone obecnością trzech nowych przybyszów. Coraz liczniejsi więźniowie znikali pod wodą, opuszczając grotę. Nagle w jaskini rozległ się przeraźliwy kwik jeden z chilkitów trafił nogą na gliniany garnek i przewrócił go w wodę. Zawartość garnka natychmiast stanęła w ogniu i bestię ogarnęły płomienie. Jej towarzysze niezwłocznie rzucili się do ucieczki. Podnoszący się poziom wody i płomień gnomiego ognia zmniejszały stale ilość powietrza w grocie. Coraz trudniej się oddycha! - wycharczała Vixa. - Pani! - świszczał Armantaro. - Zaszczętem było służenie pod twoimi... - Legacie, oszczędzaj powietrze! Chilkity przegrupowały się gdzieś w głębi i tym razem natarły, uzbrojone w tęgie polana, które zaciskały w kleszczach. Delikatnie odpychały nimi wszelkie pływające garnki. Ogarnięty płomieniami stwór wolno spływał wraz z głównym strumieniem, ciągnąc za sobą pióropusz dymu. Smród płonącej chityny był gorszy niż wszystko, czego Vixa doświadczyła do tej pory. Księżniczka niczego też niemal nie widziała. gryzący dym zasnuwał jej oczy, wyduszając z nich strumienie łez. - Myślę, że już lepiej się utopić! - powiedziała. krztusząc się i wstrzymując oddech. Gundabyr, który nie otrząsnął się jeszcze z rozpacz po śmierci brata, nie odpowiedział, a Armantaro zgodził się z księżniczką: - Musimy zaryzykować - zawołał. - Raz, dwa, trzy! Zaczepnawszy w płuca ile tylko się dało stęchłego powietrza, Vixa dała nura w mroczne wody. Żwawo pracując rękoma i nogami, wkrótce przebiła się przez wylot groty. Morze pełne było ludzi - walczących, pływających i tonących. Przed grodem zebrała się chyba cała armia Dargonestyjczyków. Vixa spojrzała ponad Bruzdą Mortas ku murowi, to zaś, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi. Cała środkowa część pracownice wznoszonej budowli zapadła się i runęła, a na szczycie rumowiska kłębiły się chilkity. Były ich dosłownie setki, krwiście czerwoną masą wylewające się na przedmiejską równinę. Nagle coś ją potrafiło. Odwróciwszy się w wodzie, ujrzała unoszące się bez życia ciało jednego z więźniów. Długie, ciemne włosy nieznajomego pływały w wodzie, spowijając jego twarz w żałobny całun.

Woda uciskała jej pierś niemiłosierną obręczą. Księżniczce brakło już tchu. Rozpaczliwie rozglądała się za towarzyszami, w mroku jednak nie sposób było odróżnić ich od innych. Jej ręce i nogi płonęły, jakby zanurzyła je w gnomim ogniu. Coraz trudniej też było nimi poruszać. Powoli zaczęła opadać na dno. Okryła ją chmura błota, która otuliła ją jak miękki koc. Poczula, że jest jej ciepło i przytulnie. Otworzywszy usta, księżniczka pozwoliła, by do jej płuc wtargnęła zimna morska woda.

Rozdział 11 – Transformacja - Jak do tego doszło? - szalał z wściekłości Coryphen. Przed nim preżył się nieruchomo kapitan jego przybocznej gwardii, Telletinor. Wojownik odniósł kilka pomniejszych ran, stał jednak dumnie i patrzył prosto przed siebie. - No? - dopytywał się Coryphen. - Jak zdołały zwalić ścianę? - Zrobiły podkop, ekscelencjo. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wtedy, gdy runął cały środek. - Jakże są straty? - Polegli prawie wszyscy z regimentu Srebrnobokich. Regimenty Konia Morskiego i Orki Jej Królewskiej Mości stały dalej od muru, więc straty wśród nich są niewielkie. - I nikt nie widział, że nadciągają, bo sam odesłałem Naxosa i morskich braci by przepatryli dalekie wybrzeża! - Coryphen porwał swój ciężki hełm i włożył go na głowę. - Poderwijcie wszystkie oddziały! Gwardię poprowadzę ja sam! I... Do komnaty wpadł lekko odziany młodzieniec, broczący obficie zieloną mazią z rozcięcia na czole. Niemal roztrącił zebranych wokół Coryphena oficerów. - Ekscelencjo... wróg... przedarł się do Nabrzeża Czterech Ośmiornic! - A niechże ich Zura! Są już w grodzie! - zagrzmiął Coryphen. - Kantren, zbierz armię na plantacji wodorostów - zwrócił się do kolejnego z oficerów. - Oddaję ją pod twoją komendę. Ja z gwardią

wyprzemy nieprzyjaciół z Nabrzeża Ośmiornic. - Oficer oddał honory i czym prędzej ruszył wykonać rozkaz. Gród rozbrzmiewał sygnałami dętymi na muszlach i tupotem stóp. Coryphen zebrał swe uzbrojone w stal oddziały na rybim targu. Pospolici mieszkańcy wcześniej już poznikali w domach, barykadując wejścia i okna. Zaledwie przybocznicy Protektora zdążyli ustawić się w szyku, powietrze rozdarły przeraźliwe wrzaski. Coryphen odwrócił się w miejscu i ujrzał, że na skraju placu rozgorzał zacięty bój. Od jednej z uliczek przebijał się oddziałek sześciu chilkitów. Drogę do rynku zamykało im dwunastu Dargonestyjczyków, wśród których kilku w ogóle nie miało broni. Tyłuż rybaków, uzbrojonych w sieci i bosaki, broniło własnych domów. Z wychodzących na uliczkę okien sypał się na bestie grad kamieni, garnków i niemal deszcz sporych muszli. Uparci najeźdźcy nacierali jednak zajadle, nie zważając na przeszkody. - Naprzód! - zagrział Coryphen. W powietrzu błysnęło pięć setek żelaznych i stalowych, zebranych wśród wraków mieczy.

- Zewrzeć szyki! - skomenderował wódz. - Razem tarcze! Pierwszy szereg, za mną! Reszta zostaje na miejscu. Poprowadził przez plac szarżę pięćdziesięciu wojowników. Zdesperowani obrońcy, mocno już przeredzeni, cofali się w nieładzie. Niewprawni w walce cywile ponosili największe straty, gdy chilkity napierały szeregiem. I wtedy na scenie pojawiła się grupa uderzeniowa lorda Protektora. Coryphen nie opuścił swego miejsca na czele oddziałku, który wciąż się w szyk chilkitów niczym grot strzały. Prowadzący natarcie lord odbił na odlew cios kleszczy pierwszego potwora i ciął go qualinestyjską głównią Vixy. Chitynowy pancerz poddał się od pierwszego razu. Bestia cofnęła się i śmignęła czułkami, usiłując oślepić Coryphena, ten jednak zdążył odwrócić dłoń i jednym płaskim cięciem odrąbał oba złowrogie wąsy. Chilkit zachwiał się i wpadł na swego towarzysza z prawej. Ten podjął próbę odepchnięcia Protektora, rzucając się całym cielskiem wprost na jego tarczę. Coryphen cofnął bukiel i podstawił sztych - pancerz chilkita poddał się z ponurym chrzęstem. Protektor wydał zwycięski okrzyk i pchnął mocno, aż ostrze wyłoniło się z grzbietu bestii. Aby je wydobyć, lord musiał oprzeć stopę o pierś ofiary. Stwór padł bez życia, wstrząsany groteskowymi drgawkami. Rozejrzawszy się dookoła, Coryphen spostrzegł, że poza sześcioma przeciwnikami żadnych innych chilkitów nie widać. Domyślił się, że ma do czynienia z grupą dywersyjną, której zadaniem było powstrzymać jego główne siły i izolować je od miejsca decydującego natarcia. Trzeba wydostać się na zewnątrz! Doszedł do tego wniosku w tej samej chwili, w której chilkity ponownie wzięły się w garść i podjęły desperacki atak. Dwa z nich przedarły się przez łańcuch dargonestyjskich mieczy. Pozostałe trzy nacierały od czoła. Coryphen wydał rozkaz cofnięcia się ku głównemu ugrupowaniu. - Ekscelencjo! Czy wezwać resztę gwardii? - wysapał jeden z adiutantów. - Po co? Jest ich tylko pięć! Chilkity atakowały kolejno - najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Jeden z podmorców został wyrwany z szeregu. Inni gwardziści rozjuszeni tą stratą ruszyli na wrogów bez rozkazu. Dwa chilkity ugrzęzły pomiędzy grupą gwardzistów i domkami rybaków. Trzeba było trzech lub czterech elfów, by uporać się z jednym chilkitem, obie bestie zostały jednak rozdzielone i poszatowane. Coryphen wyrzucił jedną bestię w tępy łeb rękojeścią miecza. Gdyby to był ciepłokrwisty nieprzyjaciół, miałby już dość, chilkit jednak walczył dalej, choć jego ruchy stały się chaotyczne. Wywijając łapami, obalił dwu przybocznych. Coryphen przyjął na tarczę tak potężny cios kleszczami, że choć była wykonana ze spojonej podwójnie żółwiej skorupy, pękła,

rozszczepiając się niemal na dwoje. Lord Protektor zwałił się na ziemię. Obserwujący wszystko z głębi placu kapitan Telletinor ujrzał, że jego wódz pada. - Zewrzeć szeregi! - zawołał przeraźliwym głosem. - Podwójnym krokiem, do ataku ...aaarsz! Na pozostałe w rynku Chilkity obruszyła się fala błękitnoskórej furii. Bestie zmieciono precz, po czym Telletinor i jego towarzysze odnaleźli Coryphena - nieco sfatygowanego, ale bez poważniejszych obrażeń. Chilkit w ostatnim

podrygu zwałił się na Jego Lordowską Dostojność, a ponieważ był zbyt ciężki, Protektor nie mógł o własnych siłach wydostać się spod wielkiego cielska. Znużeni bojem i podsuszeni już wojownicy zgromadzili się przy fontannach, by zwilżyć skrzela. Ujrzawszy to, Coryphen poderwał się na nogi. - Do szeregów! Do szeregów, powiadam! Wkrótce będziecie mieli aż nadto wody! Poprowadził przybocznych do śluzy i wywiódł ich w morze. Gdy odeszli, ze swoich domków wyszli rybacy i zaczęli oglądać miejsce niedawnej potyczki. Na placu leżał tuzin Dargonestyjczyków. Podniesiono ich delikatnie i zabrano do domów, gdzie mieli zostać przygotowani do pochówku. Bruk starannie zmyto morską wodą. Potem rybacy sięgnęli po topory i zaczęli rąbać martwych wrogów. Chilki były skorupiakami - niemalże takimi samymi jak kraby czy krewetki. Morskie elfy zjadały chilki - i dokładnie to samo robiły chilki z pokonanymi elfami. W mroku, który spowijał Vixę Ambrodel, mignęła nikła iskierka. Migotały nad nią drobne świetlne punkciki --- jak gwiazdy, na które spoglądała z okna w domu Mówcy. Unosiła się bezwładnie pod baldachimem gwiazd. Na horyzoncie pojawił się wielki czerwony dysk niczym śledzące ją bacznie oko - nie... był to czerwony miesiąc, Lunitari. Spróbowała się poruszyć i ból przeszył jej piersi. Zaczepnęła tchu, odetchnęła świeżym, chłodnym powietrzem i wypluła z gardła morską wodę. Była na powierzchni oceanu! Jak się tu dostała? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była ucieczka z zalewanej wodą Groty Nissii - i to, że się topiła! Poszła na dno! - Spokojnie. Oddychaj. Nie bez trudu - kark miała sztywny i obolały - odwróciła głowę. Obok niej pojawiła się twarz Naxosa. Podtrzymał ją ramionami i unosił jej głowę nad powierzchnią wód. - Naxos... - zachrypiała. - Zachowaj spokój - powtórzył łagodnie. - Kiedy cię znalazłem, byłaś prawie martwa. Przełykając ślinę, poczuła ból w krtani. - Gdzie. moi towarzysze? Zmiennokształtny potrząsnął głową. - Nie wiem. Byłaś pierwszą, którą zobaczyłem. Żeby

bezpiecznie wynieść cię na powierzchnię, musiałem posłużyć się magią mojego naszyjnika. Dziwnie było poczuć znów na twarzy powiewy wiatru. Ból w piersiach i pod czaszką w końcu zelżał, Vixa była jednak tak osłabiona, że Naxos musiał stale ją podtrzymywać. - Jak potoczyły się losy bitwy? - spytała. - Już po bitwie, przynajmniej na razie. Chilki przedarły się przez mur. Wiele setek bestii zajęło tereny wokół miasta. Coryphen zdołał wyprzeć je z granic grodu, brak mu jednak sił, by je pokonać i odpędzić. - Oblężenie. - Owszem. Ale ty i ja mamy własny, odrębny problem. Ty i ja, to ciekawe. - Jaki mianowicie? - Coryphen wysłał morskich braci na wybrzeża Silvanostu, by przepatrzyli drogi, którymi będzie można dokonać inwazji. Ja zostałem odwołany i zdążyłem w porę, by zobaczyć chilki nacierające na miasto na równinie i mieszkańców lądu, którzy uciekają z grot. Nic w tym zresztą dziwnego - z jednej strony chilki, z drugiej wybuchający wulkan... - Wulkan? Jaki wulkan, u licha? - No, ten w grocie. Z wylotu jaskini buchał ogień. Przez chwilę Vixa gapiała się na zmiennokształtnego, nie pojmując, o czym on mówi. I nagle sobie przypomniała. - Oczywiście! Gnomi ogień! No tak... płonie pod wodą! Założę się, że nigdy czegoś takiego nie widziałeś. - Nie mylisz się. Właśnie przy jego świetle zobaczyłem cię leżącą na dnie. Niewiele brakowało, a twoja dusza opuściłaby ciało... jedyne, co mogłem zrobić, to zabrać cię na powierzchnię. Naxos patrzył na nią z wyrazem twarzy, który trudno było odgadnąć - szczególnie przy nikłym blasku czerwonego miesiąca. Vixa była lekko stropiona. - Powiedziałaś, że mamy problem... - Urione jest zbyt głęboko, by dotrzeć tam bez muszli, a magia mojego naszyjnika już się wyczerpała. - A nie możesz zmienić się w delfina i dopchać mnie jakoś do brzegu? - No... to przeszło dwieście lig... a nawet gdybym mógł to zrobić... zostawiłabyś swoich przyjaciół? A więc poznał ją choć na tyle. Vixa nie mogłaby zdobyć się na to, by porzucić Armantaro i pozostałych. Musiała się dowiedzieć, jaki spotkał ich los i co się z nimi stało. - To co zrobimy? - spytała bezradnie. Na twarzy zmiennokształtnego znów pojawił się ów nieodgadniony wyraz. - Istnieje pewien

sposób. byś mogła dotrzeć do Urione - powiedział. Z jego tonu znikły wszelkie nutki kpiny i prześmiewek. - Ale do tego trzeba, abyś dokonała trudnego wyboru... musisz podjąć decyzję. której skutki nie dadzą się odwrócić. Chłodny wiatr sprawił, że dostała gęsiej skórki - Jakiż to wybór? - spytała w końcu. - Przy mojej pomocy możesz stać się jedną z nas, morskich braci - na twarzy Naxosa na ułamek sekundy pojawił się jego przekorny uśmiezek. - A właściwie, powinienem rzec... morskich sióstr. - To znaczy... stać się zmiennokształtną... ze skrzelami? - Zmiennokształtną... tak. Ale w swej drugiej postaci zostaniesz Qualinestyjką. Choć sam pomysł był dość niezwykły, by nie powiedzieć zdumiewający, Vixa odkryła, że idea ta dziwnie ją pociąga. Przez dość długą chwilę leżała na falach i rozmyślała o wszystkich możliwych aspektach przemiany. - Czy ta zdolność będzie trwała? - spytała w końcu. - Kiedy raz rzucę zaklęcie, zawsze będziesz mogła to robić. - A jak zdołam kontrolować przemianę? - Aby przybrać kształt delfina, musisz znaleźć się w morzu. Po prostu trzeba ci tylko wywołać w myślach kształt delfina... jeśli się na nim skupisz, przemiana nastąpi sama. - A jak odzyskam moje elfie ciało? - Tak samo... musisz przywołać swój dawny wizerunek... z dwiema nogami. Zmiana nastąpi niezależnie od tego, czy będziesz sucha, czy mokra. Wszystko - przynajmniej na pozór - było dość proste. Jakiż zresztą miała wybór? W przeciwnym razie nie zdoła dotrzeć do grodu... nie umiała zaś zostawić przyjaciół w potrzebie. Cóż innego mogła zrobić? - Zgoda! Naxos wbił w nią spojrzenie swoich złotych oczu. - Dobrze się zastanów! To nie zmiana sukni. Nigdy potem nie będziesz już tą samą osobą! - Jestem żołnierzem i nawykłam do podejmowania decyzji! - najeżyła się dziewczyna. - Już raz ci odpowiedziałam. - Jak sobie życzysz. Z przywiązanego do pasa niewielkiego mieszka Naxos wyjął jakiś mały przedmiot. Przy rudawym świetle miesiąca Vixa zobaczyła, że jest to wycięta z białego, lśniącego kamienia rzeźba przedstawiająca delfina. Naxos kazał jej położyć się płasko na wodzie. Dziewczyna wyprostowała się i lekko zsunęła nogi, zmiennokształtny zaś podtrzymał ją jedną ręką, którą podsunął jej pod plecy. Szepcząc jakieś słowa w morskim języku, Naxos dotknął dziobem figurki nos dziewczyny.

Potem sięgając ponad nią, dotknął prawą płetwą jej prawej ręki, drugą zaś lewej. Dziewczyna poczuła przeszywający ją dreszcz. Patrząc w gwiazdy, pozbyła się obaw i lęków. I poczuła ogarniająca ją falę ciepła, które miało swe źródło w jej sercu. Zamknęła oczy i napięła mięśnie. Ramiona mocno przylgnęły do jej boków, ona zaś poczuła chwilową obawę, kiedy zdała sobie sprawę z faktu, że nie może już nimi poruszać. Naxos kontynuował zaśpiew. Dziewczyna poczuła ogarniające ją oszołomienie... jakby opadała w dół lub tonęła... Chciała powiedzieć Naxosowi, by ją podtrzymał, i zamiast słów z jej ust wydobył się przeraźliwy skrzek! Święty Astro! Vixa otworzyła oczy. Świat wokół niej wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Gwiazdy i księżyc płonęły niezwykle jaskrawo - jak w dzień! Naxos nie młócił już wody obok niej. Dziewczyna przewróciła się na grzbiet i zanurzyła oblicze w morzu. Obok niej kołysał się smukły, szary kształt. Naxos. - Witaj w morzu - powiedział. Jego pysk wcale się przy tym nie poruszył - zmiennokształtny mówił do niej owymi kliknięciami i świstami morskiego języka. Ona zaś doskonale go rozumiała, jakby użył najczystszej qualinestyjskiej. - Naxos? Czy... czy ja zmieniłam postać? - ona również intuicyjnie użyła tego dziwnego języka. - Oczywiście, niemądra suchostopa. Vixa nie umiała się z tym oswoić. Przemiana była niezwykła. - Jesteś równie potężny jak Uriona! - wykrzyknęła. Mogłaby przysiąc, że delfinie oblicze Naxosa zmarszczyło brwi. - Nie - odparł szorstko. - To moje prawo i przywilej... jestem wodzem morskich elfów. Nie porównuj tego z mocą Uriony i jej złymi czarami. - Przetoczywszy się na bok, rozkazał: - Nabierz tchu w płuca... i za mną! Naxos dał nura w głąb oceanu. Swój długi pysk skierował niemal pionowo w dół i pomógł sobie potężnymi uderzeniami płetwy ogonowej. Vixa spróbowała pójść za jego przykładem - początkowo bojaźliwie i bez przekonania, szybko jednak odkryła, że jej nowe ciało było daleko zwinniejsze i silniejsze od

poprzedniego. Błyskawicznie zanurkowała w głębiny. Odwróciwszy spojrzenie wstecz, ujrzała własny, giętki ogon. Grzbiet miała czarny, boki i podbrzusze śnieżnobiałe. Przyłączył się do nich inny delfin. - Kios! - zawołał Naxos. - Czy inni bracia wrócili z Silvanostu? - Usłyszeliśmy o wielkim boju i wróciliśmy do domu. A któż to taki? - spytał przybysz, patrząc na księżniczkę.

- Vixa, z elfów lądowych. Stała się jedną z nas. Kios zanurkował pod brzuchem Naxosa i zbliżył się do Vixy z drugiej strony. Choć mknęli wśród wód ze sporą prędkością, Kios poruszał się lekko i wykonywał skomplikowane manewry bez najmniejszego trudu. - Mieszkanka lądu, która przyłączyła się do morskich braci? Czegoś takiego nie widziano od tysiącleci! - wypalił przejęty przybysz. - Gdzie reszta braci? - spytał Naxos. - Na polach sargassowych, na wschód od miasta. Chilkity otoczyły cały gród. Od wczoraj żaden z mieszkańców miasta nie wychylił nosa poza obręb kopuły. - Popłyn do nich i poleć im, by się do mnie przyłączyli. Czas poprosić Coryphena o pewne dla nas ustępstwa. Bez pomocy morskich braci mieszcuchy nie odeprą natarcia chilkitów. Kios szybko się oddalił - ale Vixa długo jeszcze go słyszała, choć jego kształt dawno już przepadł w mroku. Morze wokół nich rozbrzmiewało nieustanną i urokliwą symfonią dźwięków. Księżniczka skupiła się na wytrzymaniu tempa większego i szybszego Naxosa. Jakaż to niezwykła rzecz - być delfinem! Dziewczyna czuła głębię wód, wśród których mknęła niczym strzała. Jeden potężny haust powietrza, które zaczerpnęła na powierzchni, w zupełności jej na razie wystarczał. Nie czuła jeszcze naporu wody i palącej potrzeby zaczerpnięcia oddechu. Czy zwykłe delfiny potrafią tak długo wytrzymać pod wodą? Trzeba będzie spytać o to Naxosa. Zanim jednak zdążyła to zrobić, pod nimi ukazała się poświata Urione. Naxos zwolnił. Vixa, nie mogąca się nacieszyć swym nowym ciałem i jego ruchliwością, z nadmiernego zapału okrążyła towarzysza dwukrotnie. - Na co czekasz? - zaterkotała. - Zastanawiam się - odpowiedział. Po minucie, podczas której Vixa wciąż pływała dookoła towarzysza, Naxos rzekł spokojnie: - Coryphen nie może się dowiedzieć o twojej transformacji. Powinnaś dostać się do miasta w swoim dawnym kształcie. Ja pokażę się później i pogadam z Protektorem. - A co zamierzasz zrobić? - Jeśli chilkity zostaną pokonane, poprowadzę morskich braci przeciwko Coryphenowi i Urionie. Po tych słowach rozstali się. Vixa powoli popłynęła ku promieniującej światłem kopule grodu. W dali widziała wciąż buchającą ogniem Grotę Nissii. Z tym zapasem gnomiej mieszanki, którą zebrał Gundabyr, grotą mogła gorzeć jeszcze kilka dni. Widok jaskini przywołał w jej myślach wizerunki przyjaciół. Podniecenie zmianą kształtu ustąpiło obawie o Armantaro i pozostałych. Szybko zanurkowała ku najniższemu poziomowi grodu

i przemknęła ku słuzie. Wychyliwszy z wody swą delfinią paszczkę, ujrzała strzegących pochylni podmorców. Niedobrze. Cofnęła się ku innemu wejściu - po to jedynie, by znaleźć jeszcze większą grupę czekających na wroga wojowników. Dopiero przy piątej próbie znalazła pustą pochylnię. Dwoma uderzeniami ogona wydobyła się z wody i wskoczyła na kamienną rampę. W jednej chwili poczuła różnicę - wypór wody już nie podtrzymywał jej masywnego ciała. Smukłe wrzeciono zrobiło się nieznośnie ciężkie, szybko też poczuła ogarniającą ją falę upału. Trudno też było oddychać. Spróbowała przypomnieć sobie instrukcję Naxosa i wyobraziła sobie siebie samą stojącą przed wielkim zwierciadłem. W umyśle wytworzyła wizję krzepkiej, długonogiej wojowniczkii o krótko przyciętych jasnych włosach i miodowej barwy oczach. Upał był już niemal nie do wytrzymania. Dziewczyna jęknęła i przegnała z umysłu wszystkie myśli, prócz tej jednej - jestem elfem, elfem... elfem... Vixa Ambrodel, Qualinestyjska księżniczka i wojowniczkka... Otom ja... Nagły dreszcz, który przeszył jej całe ciało sprawił, że zaszczękała zębami. Musiała sięgnąć dłonią i podeprzeć szczękę. Dłonią? Spojrzała na swoje ramię. Ciemna barwa delfiniej skóry zbladła i ciało Vixy nabrało zwykłego odcienia złocistego brązu. Znów była elfką! Usiadła. Przed chwilą czuła się jak krasnolud w kuźni pod koniec zmiany, teraz wstrząsały nią zimne dreszcze. Podciągnęła kolana do piersi. -

Hola, ty tam, lądowa dziewczko! Co tu robisz? Podniosła wzrok i zobaczyła gapiącego się na nią spod wiodącego ku grodowi przejścia jakiegoś wojownika. - J-ja przyplłynęłam tu z Gr-Grot-ty N-Niissii! - powiedziała, z trudem wymawiając słowa roztrzęsionymi wargami. - Hej, nie możesz ot, tak łązić sobie po mieście! Chodź ze mną! - Zi... zimno miii! Dargonestyjczyk kazał jej wstać, ona jednak ani drgnęła. Morski elf potrząsnął głową z niesmakiem i rozpiąwszy swą opończę, szorstkim gestem cisnął ją dziewczynie. Vixa owinęła się ciepłym materiałem, po czym wstała i ruszyła za nim w głąb miasta. Jak się okazało, trafiła na rybi targ znajdujący się po przeciwnej stronie grodu. Plac był pełen Dargonestyjczyków. Pośród rzeszy rannych i okaleczonych krążyli jacyś osobnicy w błękitnych szatach i leczyli obrażenia. Dziewczyna domyśliła się, że muszą to być klerycy Quen, bogini uzdrowień. Wojownik poprowadził ją wzdłuż długiego szeregu leżących na ziemi rannych. Dla wielu z nich nie starczyło uzdrowicieli. Kilkudziesięciu wojowników wiło się z bólu, jaki sprawiały im

otwarte rany lub oderwane członki. Dziewczyna szła za swym przewodnikiem, aż dotarli do niewielkiego pawilonu ustawionego pośrodku placu. Pod płóciennym baldachimem zasiadał tam Coryphen w otoczeniu kapłanów i wojowników. Na widok Vixy i jej przewodnika tłum się rozstał. Zbliżywszy się do Protektora, dziewczyna ujrzała, że jego pancerz był pocięty i poznaczony szramami od uderzeń kleszczy strasznych skorupiaków. Jakiś kapłan pochylał się też nad raną na lewym przedramieniu Coryphena. - Ten czerwoniak przeciął moją najlepszą tarczę - rzekł Coryphen, ujrawszy dziewczynę. Rana w przedramieniu była głęboka; Vixa usłyszała opinię kapłana, mówiącego, że jeszcze cał i Protektor utraciłby ramię. - Tak, tak... - odpowiedział z lekką zniecierpliwioną Coryphen. Zwracając się zaś do Vixy, powiedział: - To, że żyjesz, jest dla mnie sporą niespodzianką. - Dla mnie samej również. Czy są jakieś wieści o moich towarzyszach? Usta Coryphena ścisnął kurcz bólu - uzdrowiciel przemywał jego ranę kawałkiem gąbki. Protektor szybko zapanował nad sobą. - Niewielu z nich przeżyło. Twarz Vixy zbieleła, a wnętrzości skrzył jej korkociąg obawy. - Kto ocalał? - Dwaj młodsi wojownicy nie żyją. Ciemnowłosa utonął. Drugi zginął, walcząc z wrogiem. Harmanutis i Vanthanoris. - Kto jeszcze? Coryphen znów się skrzywił - uzdrowiciel przyłożył mu do rany pęk wilgotnych, brązowych wodorostów. - Ostrożnie, bałwanie! - syknął. Kapłan cofnął się z przestrachem. Protektor opanował gniew i polecił mu opatrzyć ramię. - Ten młodsi, białowłosa., jak się nazywał! - Van... - Vixę złapał skurcz w gardle. - Vanthanoris. - Ostrzegł oddziały na lewym skrzydle, że chilkity wdarły się do groty. Dano mu muszlę z powietrzem, ale nie chciał wrócić do miasta. Podjął leżącą na dnie włócznię i zginął, zabijając jednego z wrogów. Dzięki jego ostrzeżeniu mogłem wycofać armię na bezpieczniejszą pozycję, co zapobiegło klęsce. Twój Vanthanoris zginął jak bohater. Czy wśród Qualinestyjczyków znajduje się więcej takich jak on? Dziewczyna pogrążona w rozpacz skinęła tylko głową. - Rozumiem... - Po chwili namysłu Coryphen kiwnął głową jednemu ze swoich adiutantów. Szepnął mu coś do ucha i młody elf oddalił się pospiesznie. Podenerwowany uzdrowiciel usiłował tymczasem zawiązać luźne końce bandaża wokół przedramienia Protektora. Coryphen zacisnął pięść i poczekał, aż kapłan zawiąże węzeł. - Dość! Precz! - Kapłan skłonił się i cofnął ku swoim akolitom. - Ekscelencjo - spytała Vixa z sercem pełnym obaw.

- Czy są jakieś wieści o trzecim z moich towarzyszy, legacie Armantaro? - Uszedł z życiem. Wraz z innymi suchawcami jest w Zbrojowni. - Smutek Vixy rozświetlił promyk radości. Coryphen wziął do ręki puchar. Jeden z przybocznych podszedł i napełnił go zielonkawym płynem. Coryphen wychylił trunek, a gdy oderwał puchar od ust, widać było rumieniec na jego obliczu. - A co z tobą, księżniczko? - spytał niespodziewanie. - Jak udało ci się uciec chilkitom i tak długo przeżyć w morzu? - Ktoś mi pomógł - odparła Vixa ostrożnie. - Jakiś Dargonestyjczyk dał mi muszlę. Odplłynęłam ku otwartemu morzu i poczekałam, aż bitwa się skończy. Coryphen ujął luźne końce

bandaża w palce drugiej dłoni. Vixa umilkła, Protektor zapytał zaś obojętnym tonem, wpatrując się w węzeł: - Czy to był Naxos? Dziewczynę zaskoczyło to pytanie, odparła jednak z udanym zdziwieniem: - Naxos? Twój herold? Nie, Ekscelencjo. To nie był delfin. Coryphen kiwnął głową, najwidoczniej rad z jej odpowiedzi. W tejże chwili wrócił młody elf wysłany gdzieś wcześniej. Trzymał w dłoniach kilka sztuk różnorodnej odzieży. Coryphen skinął dłonią i posłaniec podał wszystko Vixie. - Co tam się stało w grocie? - spytał Protektor. - Ogień, który z niej buchnął, nie pochodził z wulkanu. Czy to była jakaś sztuczka chilkitów? Vixa nie widziała powodu, dla którego miałyby kłamać - była zresztą na to zbyt zmęczona. - Ekscelencjo, to gnomi ogień. Jeden z więźniów, biegły w sztuce kowalskiej krasnolud, zrobił go z minerałów, które znalazł w głębi jaskini. Niewolnicy używali go, by się trochę ogrzać. Gnomi ogień płonie nawet w wodzie... właściwie to woda go zapala. Zabiliśmy w ten sposób kilka chilkitów. - Czy ten krasnolud może zrobić tego więcej? - spytał Coryphen, nie kryjąc nagłego podniecenia. - Myślę, że tak... o ile został wśród żywych - odpowiedziała smętnie Vixa. - Ruszaj więc do Zbrojowni. Znajdź mi tego krasnoluda. Jeżeli zdoła zrobić więcej tej substancji, może uda nam się pobić odwiecznych wrogów. Zechciej, pani, wziąć pod uwagę, że jeśli pokonamy chilkity, nie będziemy już potrzebowali suchawców do pracy. Słowa Coryphena sprawiły, że otrząsnęła się z otępienia. - Czy to znaczy, że wypuścicie nas na wolność? - Przekonajmy się pierwszej, na co stać owego przemysłnego krasnoluda. - Odwróciwszy się, zawołał jednego ze swoich przybocznych: - Egriun! Z szeregu towarzyszy wystąpił elf o szmaragdowych, z odcieniem błękitu włosach. -

Zabierz ją do Zbrojowni - polecił Coryphen. - Znajdź tego krasnoluda i sprawdź, czego mu potrzeba, by mógł robić ten... ten... - Gnomi ogień - podsunęła Vixa. Egriun wezwał Vixę gestem, by ruszyła przodem. Gdy dziewczyna wyszła z pawilonu, oboje poszli przez plac ku spirali rampy centralnej. - Jak myślisz, żołnierzu -- spytała księżniczka - możecie pokonać chilkity? - Jeden Dargonestyjczyk wart jest dziesięciu czerwoniaków - odpowiedział Egriun. Potem rozejrzał się po placu, pełnym rannych i kalek. - Coraz mniej jest wśród nas wojowników zdolnych do walki. - Powinniście uzbroić pospólstwo. - Tę tłuszczę? Brak im ducha do walki! - Jeżeli się ich podszkoli... - Z równym skutkiem mogłabyś pani ćwiczyć halibuta przed podaniem go na stół. Chilkity rozniosą ich w pył i kurz.

Rozdział 12 – Obietnica W jednej z pustych bocznych uliczek Vixa włożyła zieloną kurtkę i krótką spódniczkę, jakie dał jej Coryphen. Osiem poziomów nad rybim targiem Egriun sprowadził ją ze spiralnej pochylni. Ruszyli oboje ku przysadzistemu, prostokątnemu budynkowi, którego wieżyczki wchodziły w pułap tego poziomu. Za Vixą i jej towarzyszem zamknęła się natychmiast brama - wykonana w formie dysku o dziesięciostopowej średnicy. Vixa potrafiła rozpoznać fortecę, kiedy ją do niej wprowadzano - ta była dodatkowo więzieniem. Egriun poprowadził ją długim korytarzem, w którym panował mrok gęstszy jeszcze niż w Grocie Nissii. Ściany i posadzkę wykonano tu z płytek jakiegoś ciemnobłękitnego minerału pochłaniającego wszelkie światło, jakie nań padło. Gdzieś niedaleko ktoś walił młotem w kowadło. Było tu bardzo ciepło i księżniczka zaczęła się pocić. Przejście zawiodło ich do okrągłego pomieszczenia, z którego promieniście wychodziły i inne korytarze. Kamienną posadzkę pokrywała mieniąca się tęczowymi łuskami skóra jakiejś ogromnej morskiej bestii. Ze ścian zwisały skórzane proporce ozdobione muszlami i klejnotami. Dookoła ustawiono zestawy zbroi wykonanych z grubego szylkretu, rekiniej skóry i płytek brązu. Na podłodze zaś rozsiedli się zbiegowie z Groty Nissii. Nie było ich więcej niż trzy dziesiątki. Vixa natychmiast spostrzegła siedzącego w głębi Armantaro i porzuciwszy Egriuna, podbiegła, by uściskać starego towarzysza broni, którego nie spodziewała się już zastać wśród żywych. - Hola, legacie! - zawołała. - Wasza Miłość! Księżniczka objęła ramionami starszego elfa. - Myślałem, że nie żyjesz! -

wykrzyknął, gdy się rozdzielili. - Ale wyglądasz, pani, całkiem dobrze! - Ty zaś wyglądasz, jakbyś walczył ze smokiem. - Było to prawdą. Odzienie legata w wielu miejscach zostało nadpalone, miał też wiele płytkich ran na twarzy i ramionach. - Jestem już za stary na takie zabawy - odpowiedział ponuro, sapiąc i świszcząc przy każdym oddechu. - Dwieście lat temu pognałbym tego Coryphena kopniakami stąd do Bruzdy Mortas i nawet bym się nie zasapał! Uśmiech Vixy rozpląnął się w grymasie smutku. - Wiem już o losie Vana i Harmanutisa - powiedziała miękko. - Wczoraj zginęło wielu porządných chłopaków. Morskie elfy utrzymują, że nie miały czasu, by sprawdzić, co dzieje się z więźniami. - W głosie starego legata brzmiała nuta gorczy.

Vixa mocniej uściśnęła ramię towarzysza broni. Nie było sposobu, by go ukoić - sama zresztą też nie umiała się pozbierać. Powoli, jakby bojąc się, że znów usłyszy złe wieści, zapytała: - Czy Gundabyr uszedł z życiem? - A i owszem! - Armantaro odwrócił się, by wzrokiem przeszukać komnatę. - O, tam go masz. - Gundabyr leżał przy ścianie, odwróciwszy się grzbietem do pozostałych. - Biedaczysko... ciężko przeżywa śmierć brata. Vixa i Egriun podeszli do krasnoluda. Księżniczka delikatnie musnęła dłonią ramię przyjaciela. - Obudź się. Jesteś potrzebny w kuźni. Gundabyr odwrócił głowę, by sprawdzić, kto przerywa mu rozmyślenia. - Hej, księżniczko, witaj - mruknął niezbyt radosnym tonem. - I ty mi witaj, Gundabyrze. Krasnolud dopiero teraz spostrzegł stojącego nad księżniczką Egriuna. - A co tu robi ten morski wymoczek? - Lord Coryphen chce cię widzieć - wyjaśniła Vixa. - Wie już o gnomim ogniu. Chce, żebyś zrobił tego więcej... przeciwko chilkitom. Krasnolud odwrócił brodą ku ścianie. - Powiedz mu, pani, żeby się pocałował w... fontannę. - Posłuchaj, uparciuchu! - Vixa mocno potrząsnęła ramieniem krasnoluda. - Trafia ci się okazja - wszystkim nam trafia się okazja - wsparcia podmorców i uratowania naszych karków. Gród jest otoczony przez chilkity. Trzeba położyć kres oblężeniu. Jedyńm sposobem na to jest ten twój gnomi ogień! - No i co? - w głosie krasnoluda nie było żadnych emocji. - A niech sobie te skorupiaki wezmą całe miasto. My, więźniowie, i tak nigdy nie zobaczymy słońca, jest więc obojętne kto zwycięży. Vixa znów szarpnęła go za ramię i odwróciła ku sobie. - Widziałam, co się stało z Garnathem! - szepnęła z pasją. - Czy chcesz, abyśmy wszyscy zginęli taką samą śmiercią? Coryphen wspomniał, że jeśli gnomi ogień odeprze chilkity, pozwoli nam odejść! Nasz los jest w twoich dłoniach. Garnath uratował tylko moje życie. Ty możesz uratować nas wszystkich! - Księżniczka wstała i spojrzała na krasnoluda z góry. - Pokaż tym błękitnoskórym wymoczkom, co potrafi mistrz kowalski z Thorbardinu! Gundabyr długo patrzył w twarz księżniczki. Nagle westchnął szybko i porwał się na nogi. Krocząc wielkimi - jak na jego krótkie, krępe nóżki - krokami, minął Vixę i czekającego cierpliwie Egriuna.

- No dobra... - zwrócił się do morskiego elfa. - Na co czekamy? Zaprowadź mnie do twego Protektora. Jeśli chce mu się gnomiego ognia, dam go wam tyle, że do końca życia będziecie mogli wcinać tylko zupę z krabów! Zanim jeszcze butna przechwałka krasnoluda skończyła pod sklepieniem sali, on sam i jego eskorta znikli w jednym z wyjść. Wtedy dopiero Vixa pozwoliła sobie na luksus ugięcia roztrzęsionych kolan. Opadła na posadzkę. W końcu poddała się grozie i podnieceniu, w jakich przeżyła ostatnią dobę. Oczami duszy oglądała Harmanutisa, Vanthorisa, kapitana Esquelamara i innych, którzy zginęli podczas tej podróży. A miało to być proste zadanie: znaleźć ambasadora - jakże on się nazywał? Quenavalen? - i przewieźć go bezpiecznie do Qualinostu. Od wielu już dni ani jednej nawet myśli nie poświęciła ambasadorowi czy wojnie domowej w Ergoth. Ile to już dni? Brak zmiany dnia w noc ogromnie utrudniał obliczanie czasu - przeszkadzał zresztą w wielu innych sprawach. Osłabiona i znużona księżniczka przez kilkanaście długich chwil usiłowała obliczyć, ile właściwie czasu spędziła już w grodzie morskich elfów. Doszła do wniosku, że zmiennokształtni przywiedli ją do miasta - po raz pierwszy - przed mniej więcej pięcioma dniami,

choć wydawało się, że tkwi tu już znacznie dłużej. Czowała ogromne znużenie i powoli zaczęły jej opadać powieki. Armantaro podszedł i usiadł u jej boku, ona zaś oddała się drzemce, podczas której stary legat czuwał nad opartą o jego ramię dziewczyną i obserwował przychodzących i wychodzących ciemniejszych. Podmorcy powyciągali stojaki z bronią, którą sprawnie rozdzielili pomiędzy tych, którzy utracili ją w poprzedniej bitwie. Reperowano i wydawano hełmy. Byłych niewolników pilnował tylko jeden wojownik - a i on nie miał zbyt wiele do roboty. Żaden z wyczerpanych, zabiedzonych nieszczęśników nie byłby zdolny do buntu i ucieczki - a gdyby któryś mimo wszystko znalazł w sobie dość siły, by uciekać, pozostawała jeszcze kwestia przedarcia się przez otaczający gród pierścien skorupiaków. Vixa spała dość krótko, obudził ją bowiem kaszel Armantaro. - Jesteś chory? - spytała sennym jeszcze głosem. - Oczywiście, że nie! Nałykałem się tylko więcej morskiej wody niż przystoi to porządnemu elfowi. Dziewczyna mimo woli się uśmiechnęła. - Przeciwności nigdy cię nie zmoją, prawda, legacie? - Pani... - spytał Armantaro ciszej, pomijając milczeniem uwagę dziewczyny - jak udało ci się uciec? - Mogę ci opowiedzieć... ale nigdy w to nie uwierzysz. - Ja? - Armantaro spojrzał na nią z udanym oburzeniem. - Miałbym nie uwierzyć mojej

księżniczce i wodzowi? Dziewczyna usiadła samodzielnie, ziewnęła i przeciągnęła się. - Myślałam, że już po mnie - odpowiedziała w końcu. - Ale ktoś mnie podtrzymał, wyniósł na powierzchnię i przywrócił życiu. - Jediną reakcją legata było podniesienie brwi. - Naxos, herold delfinów - szepnęła księżniczka. - Na Astrę! - To nawet nie połowa rewelacji. Nie było sposobu, żebym mogła wrócić do Urione, bo nie miałam muszli... Naxos podsunął mi więc pewną... możliwość. - Kiedy przyszła pora, by o tym opowiedzieć, poczuła pewne skrępowanie. - Armantaro wzrokiem błagał, by mówiła dalej. - Naxos powiedział, że mogę stać się podobna do niego... Legat zbladł jak kreda. - Do niego? Znaczący... do delfina? Vixa kiwnęła głową, obserwując krążących wokół nich Dargonestyjczyków. - To był jedyny sposób... - Pani! Wybornie pływasz! Mogłaś ruszyć ku lądowi! - Chcesz powiedzieć, że mogłabym przepłynąć dwie setki mil? A zresztą, czy uważasz, legacie, że zostawiłabym ciebie i pozostałych? To tak kształciłeś oficerów... tak według ciebie powinien zachować się dowódca? - Nie... zechciej mi wybaczyć, pani. Żadne z dzieci Verhanny Kanan nie zostawi swych oddziałów... Uwaga Armantaro przywiodła Vixie na myśl jej matkę. Księżniczka zaczęła się zastanawiać, co też teraz dzieje się w Qualinoście. Czy wiedzą tam w ogóle o jej zaginięciu? W jakiś niezwykle sposób wspomnienia jej jasnej, otulonej liśćmi ojczyzny zbladły i odsunęły się w myślach księżniczki na dalszy plan... jedyną rzeczywistością, jakiej należało stawić czoło, był teraz podmorski gród, chilkity i czekająca wszystkich walka na śmierć i życie. - Czy kiedykolwiek opowiadałem ci o moim synu, Vintarellinie? - spytał Armantaro. - Nie - odpowiedziała zdumiona księżniczka. - Nie wiedziałam nawet, że masz syna. - Moje jedyne dziecko... jest może starszy o dwadzieścia lat od ciebie, pani. Właśnie -- nie wiadomo czemu - przypomniałem sobie o nim teraz i tutaj... Kiedy był młody, przyszedł raz do mnie i poprosił o pozwolenie przyłączenia się do kapłanów Astry. Nie interesowała go żołnierka - chciał pójść drogą liścia i łodygi... Wybór piękny i godny pochwały... - Wtedy tak nie myślałem - westchnął ciężko Armantaro. - Wszyscy członkowie rodu Ramantalusów w młodości zajmowali się wojaczką, potem zaś, osiągnąwszy wiek dojrzały, zostawali doradcami Mówców. Powiedziałem więc Vintarellinowi, że pierwszej musi poznać trudy życia obozowego...

Gorycz w głosie Armantaro była czymś, co Vixa słyszała chyba po raz pierwszy. - I co, zostałem żołnierzem? - A... owszem. Posłałem go na pewien posterunek w północnym Qualinoście. Stał się wspaniałym łucznikiem... i myśliwym. Jego towarzysze powiadali, że potrafi trafić w oko sokoła nurkującego ku zdobyczy. Ale... rozsmakował się we krwi i gorączce łowieckiej..., wzięły nad nim

górze niskie instynkty... Pokochał łowy i zaczął polować nie dla mięsa... zabijanie stało się dlań celem życia... Vixa nie bardzo wiedziała, co rzec. - Jakże mi przykro, legacie - zdołała w końcu wykrztusić. - Ciężko mi to rzec... ale zacząłem pogardzać moim synem i w końcu poczułem do niego odrazę. Nie gadaliśmy ze sobą od trzydziestu lat z górą. Żyje gdzieś w głuchej puszczy jako wyrzutek, którego wszyscy się boją i nienawidzą go z całej duszy... Oczywiście, wszystko to moja wina... Powinienem był mu pozwolić pójść za głosem serca... - Może ta żądza krwi była w nim już wcześniej. Teraz zaś przynajmniej zaspokaja ją w puszczy, nie zaś kosztem swoich towarzyszy czy ziomków. - Rodzice często się skarżą, że ich dzieci postępują głupio. Tłumaczą to ich młodością - powiedział cicho Armantaro. - Ja zaś myślę, że wina leży w nas samych... bo jesteśmy starzy. Zapomnieliśmy już, jak to jest być młodym. - Rodzice i dzieci zawsze się spierali, tak było od początku świata. - Vixa poklepała starego legata po poznaczonej wojennymi bliznami dłoni. - Spójrz choćby na mnie i moją matkę. Jestem jedną z najślawniejszych wojowniczek qualinestyjskich, znaną daleko i szeroko... ale żadne z moich dokonań nie wywarło na niej zbyt wielkiego wrażenia - w głosie księżniczki brzmiały teraz nutki nieklamanej goryczy. - Ona powiada, że brak mi ognia w duszy. Jestem pewna, że rozmyśla, czy w istocie jestem jej córką. Teraz z kolei stary legat zaczął pocieszać księżniczkę. - Podejrzewam, że te myśli podsunął twojej matce mistrz lutnista - powiedział szybko. - Przypominam sobie, że często napomykał, iż jesteś - jak to było? A, tak - zbyt żywiołowa i gwałtowna, by zajmować się sztuką. Wspomnienie to przywołało uśmiech na usta księżniczki. - Słyszałaś o tym? Och, ależ był z niego kwasigęba! - Nie wątpię... szczególnie po tym, jak rozbiłaś mu lutnię na głowie. Co on ci zrobił, żeś tak się rozjuszyła? - Powiedział, że nie mam wycucia rytmu! - padła pełna oburzenia odpowiedź. Armantaro parsknął śmiechem.

Grupa Dargonestyjczyków w wyreperowanych zbrojach opuszczała właśnie zbrojownię. Na ich miejsce chwiejnym krokiem weszli nowi wojownicy. Byli bladzi i mieli panikę w oczach. Ze strzępów rozmów, które do nich docierały, Vixa i Armantaro pojęli, że spory oddział morskich elfów został przez chilkity zwabiony w pułapkę i doszczętnie wybity. - Tak dłużej być nie może - stwierdził Armantaro. - Coryphen musi zaryzykować i poderwać ludzi do ostatniej walki. Jeśli będzie siedział z założonymi rękoma, chilkity otoczą miasto i wyłuszczą ich po kolei, jak rybak wybiera ryby z saka. Vixa wiedziała, że stary strateg ma rację. Lepiej by było, gdyby Gundabyr nie zwlekał i szybko wyprodukował nowe baryłki z gnomim ogniem. W całym grodzie zapadła pełna napięcia cisza. Pod osłoną pięknej muszli sto tysięcy podmorców czekało na rezultat niezwykłego wyścigu. Kto będzie pierwszy - krasnolud czy chilkity? Niepewność ta najbardziej dręczyła Vixę. Przez cały następny dzień wspólnie z Armantaro siedziała w Zbrojowni i nie wiedziała, co się dzieje na zewnątrz. Potem pojawił się jakiś wojak i zabrał ich na plac Rzemieślników, gdzie pracował krasnolud. Wydawało się, że mieli pomagać mu w robocie, stary legat jednak domyślił się, że chodziło o to, by swoją obecnością uspokajali podczas pracy swarliwego krasnoluda. . Na placu Rzemieślników, gdzie skupiały się wszelkie miejskie warsztaty, Gundabyrowi oddano nadzór nad wszystkimi podmorskimi mistrzami rękodziela - nawet nad tymi najlepszymi, wybranymi z wybranych. Wszyscy pracowali gorączkowo, mieszając wskazane im przez krasnoluda minerały. Na szczęście, potrzebnych surowców w mieście nie brakowało. Dargonestyjczycy używali składników mieszanki do innych celów - masy asfaltowej używali na przykład jako lepiszcza w mozaikach - tak więc wszystko było pod ręką. Samo zrobienie mieszanki było najmniejszym z problemów, z jakimi musiał uporać się Gundabyr. Bardziej kłopotliwa była na przykład sprawa przetransportowania mikstury na pole walki. Ten właśnie problem zajmował obecnie umysł przedsiębiorczego i pomysłowego krasnoluda. Jak opryskiwać mazią wroga, by nie dostało się i obrońcom grodu? - Na lądzie kazałbym im po prostu rzucać dzbanami - warczał rozjuszony na nietypowe okoliczności Gundabyr. - Pod wodą impet

uderzenia nie wystarczy, by dzbany pękały - wytknął mu Armantaro. - Wiem, wiem... - kwasił się krasnolud. - A może by tak z katapulty? - podsunęła Vixa. Gundabyr zaczął coś kreślić na kredowej powierzchni stołu. Najlepsi z dargonestyjskich

19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

mistrzów wyciągali szyje, by podpatrzeć obliczenia krasnoluda. Potrząsali głowami i wymieniali zmartwione, zatroskane spojrzenia. Suchawiec był szalony.., całkowicie i bez reszty zwariował. - Gromy i błyskawice! - zagrzmiał krasnolud, wycierając napisy grzbietem dłoni. - Pod wodą nawet katapulta na nic się nie zda! Żadna wilgotna skórzana cięciwa nie utrzyma odpowiedniego napięcia skrętnego, nie mamy zresztą dość twardego drewna na ramy! A niech to najjaśniejsze gromy! Vixa złożyła ramiona na piersi. - Główna trudność polega na tym, że woda jest gęstsza od powietrza, prawda? - Nie inaczej - odparł szybko Gundabyr. - A jednak ryby poruszają się w niej bez trudu - pomyślała o swoim własnym, niedawnym doświadczeniu. - A delfiny niemal w niej latają. Dlaczego? Bo mają płetwy, ogon i odpowiednie mięśnie do ich poruszania. - Hm... może powinniśmy przywiązać garnki do jakiejś uprząży, nakładanej delfinom? - zaczął rozmyślać krasnolud. Liczne błękitne twarze zbieleły z oburzenia. Wielu zaś Dargonestyjczyków zaczęło głośno protestować. Vixa podniosła rękę, prosząc o ciszę. - Nie - zgodziła się natychmiast. - To okropny pomysł. Gundabyr skrzywił się, ale nie powiedział ani słowa. Armantaro łyknął nieco czystej wody z muszli. - Może za bardzo komplikujemy prosty w gruncie rzeczy problem - odezwał się po chwili. - Najprostsze rozwiązania zwykle okazują się najlepszymi. Jak walczylibyśmy z Chilkitami na lądzie? Wysłałibyśmy przeciwko nim konnicę zbrojną w długie lance. Stary legat wyjął Gundabyrowi z dłoni kawałek węgla i zaczął szybko kreślić coś na stole. - Gdybyśmy użyli długich drzewc, dłuższych i grubszych niż zwykle włócznie... i gdyby do jednego z końców przymocować garnek z ognistą mazią... - Moglibyśmy walnąć nią potwora z bezpiecznej odległości! - dokończył Gundabyr. Szybko dodał kilka kresek do rysunku legata. - Lanca będzie ciężka, do każdej trzeba więc przydzielić dwu wojów. Gratulacje, legacie! Wynałazłeś właśnie ognistą lancę! Rzemieślnicy szybko pojęli ideę i zaraz wykonano podstawowy model. Swoje włócznie morskie elfy robiły z pewnych gatunków wodorostów. Wysuszone i nasączone żywicami, pozostawały sztywne i sprężyste nawet w wodzie. Włókna te jednak nie były dostatecznie grube na drzewca ognistych lanc Armantaro. Problem ten jednak szybko rozwiązano - wystarczyło zwiększyć ilość splatanych włókien przed rozpoczęciem procesu usztywniania. - Ile mamy czasu? - spytał legat.

- Od ostatniego ataku chilkitów upłynęły dwie i pół doby - odpowiedziała Vixa. - Ciągłe zbierają się wokół miasta. Nie mamy chwili do stracenia. Do roboty zaprzęgnięto chyba każdego rzemieślnika w Urione. Do kształtowników i wyrabiaczy narzędzi przyłączyli się malarze i budowniczowie - wkrótce mocne, długie drzewca zaczęły pojawiać się tuzinami. Wszyscy pracowali wytrwale przez cały dzień, noc i kolejny dzień. Armantaro zdrzemnął się w jakimś garncarskim warsztacie - tutaj hartowano i wypalano glinę w ogniu wulkanu. Było to najbardziej ciepłe i suche miejsce w całym grodzie. Gundabyr cały czas pilnie nadzorował wytwarzanie ognistej mazi, sprawdzając kolejność i jakość domieszek. Vixa sprawdzała produkt końcowy, zanim napełniono nim garnki. Miały one kształt walca, zamkniętego z jednej strony posiadającym otwór dnem, z drugiej zaś szczelną pokrywą. Drzewce włócznie miało wnikać w dno i do środka cylindra, gdzie utrzymywały je trzy bolce z brązu. Do środka nalewano mazi, potem zaś zamykano wszystko pokrywą, którą uszczelniano wodoodpornym klejem wydobywanym z pewnego gatunku zgniecionych wodorostów. Tak otrzymywano ognistą lancę - dwudziestostopową broń, ważącą bez mała sto funtów. Podczas drugiej nocy nieustannej harówki Vixa została sama w zbrojowni, gdzie liczyła drzewca i garnki. I wtedy w warsztacie pojawił się Coryphen w towarzystwie tylko jednego przybocznego. Zatrzymawszy się w drzwiach, patrzył na księżniczkę, nie wchodził jednak, dopóki go nie zobaczyła. Dziewczyna

pochyliła głowę w żołnierskim pozdrowieniu. - Ekscelencjo... - Ile tego jest? - spytał. - Cztery setki i dwadzieścia siedem. Do rana powinniśmy mieć pięć setek. - Tyle musi wystarczyć. Morscy bracia donoszą, że chilkity pustoszą cały nasz kraj i mordują każdego, na kogo się natkną. Nie mamy już czasu. Muszę ratować mój lud! Ostatnie słowa powiedział z takim uczuciem, że Vixa obrzuciła go szybkim, zdumionym spojrzeniem. Podczas ostatnich kilku dni suchawcy i Dargonestyjczycy pracowali ramię w ramię i łatwo przyszło jej zapomnieć, że ona i jej przyjaciele w gruncie rzeczy nadal byli więźniami Coryphena i jego boskiej władczyni. Vixa pomyślała, że zaczyna choć częściowo rozumieć pobudki, kierujące Coryphenem w jego bezwzględny i uporczywy dążeniu do władzy. Przede wszystkim uważał się za patriotę dbałego o dobro swego ludu. - Jesteś pewna, że ogniste lance nas nie zawiodą? - spytał z naciskiem. Dziewczyna kiwnęła głową. Powiodła wzrokiem po rzędach drzewc, zakończonych cylindrycznymi, glinianymi pojemnikami.

- Pani... ja też żywię taką nadzieję - rzekł W końcu Protektor. - Jeśli dzięki tej broni pokonamy Chilkity, ty i wszyscy suchawcy odzyskacie wolność. Masz na to moje słowo. Wszedł, nie obejrzawszy się za siebie.

Rozdział 13 Eksterminacja Na rano Coryphen zwołał Radę Wojenną. Dowódcy gwardii i kapłani większych świątyń zebrali się razem, by wysłuchać planów, które mieli wyłożyć im on sam i boska Uriona. Plac przed pałacem wypełniły zwarte oddziały wojowników. Stali z posępnymi minami - niektóre oddziały były mocno przerzedzone, inne wycięto niemal w pień. Kapłani i kapłanki modlili się na swoich miejscach, błagając swoich bogów o ratunek przed bezlitosnymi chilkitami. Denerwowało to żołnierzy. Owszem, mówili sobie, oddajmy bogom, co boskie, ale przede wszystkim liczymy jedynie na Coryphena, Budowniczego Muru, Obrońcę Urione. Dla Królowej Uriony ustawiono podwyższenie otulone zasłonami. Pierwsze na plac weszły jej dwórki, które otoczyły podwyższenie ciasnym kręgiem. Wszystkie jak jedna pochyliły głowy i stojące na placu elfy uczyniły podobnie. Tymczasem na podwyższenie wkroczyła Uriona, ale wejścia władczyni nikt nie widział. Zaraz za nią ukazał się odziany w swą najlepszą zbroję Coryphen. Wodzowie i wojownicy unieśli ręce i cały plac zagrzmiał potężnym okrzykiem: - Coryphen! Quoowahb kadai! - Co oznaczało: „Dargonestyjczycy są z tobą!” - Uciszcie się wszyscy! - zawołał Coryphen. - Zaszczyciła nas swoją obecnością nasza boska władczyni, Uriona Pierworodna! Nad setkami i tysiącami zgromadzonych na placu podmorców rozsnął się całun ciszy. Z osłoniętego podwyższenia popłynął głos Uriony. Jej słowa docierały wyraźnie do uszu każdego ze słuchaczy. - Mój wiemy ludu - oznajmiła władczyni uroczyście - stanęliśmy oto u progu naszego przeznaczenia. Dziś rozprawimy się ze zniechęconymi wrogami. Poprosiłam bogów, by dali nam oręż, którym możemy pokonać obmierzłych nieprzyjaciół. I - jak zawsze przedtem - moi boscy bracia i siostry dali nam to, o co poprosiłam. Coryphen wetknął koniec ognistej lancy w przygotowany i ustawiony wcześniej przed podwyższeniem zbiornik w morską wodę. Coś zasyczało i zbiornik stanął w płomieniach! Kapłani odskoczyli w tył, wielu zaś żołnierzy poruszyło się niespokojnie na widok czegoś, co dla mieszkańców głębin było rzeczą niespotykaną - otwartego płomienia. - Z tym orężem w ręku nie możemy przegrać - ciągnęła tymczasem Uriona. - Widziałam nasze zwycięstwo! Będzie wielkie i wspaniałe! - Uriona! - ryknął Coryphen. - Quoowahb kadai! Tłum podjął okrzyk i ryk grzmiał, dopóki Protektor podniesieniem ręki nie poprosił o ciszę. - Armia zbierze się na równinie koło plantacji

wodorostów - rozkazał wódz. - Ogniste lance obsadzą lewe i prawe skrzydło. Kiedy rozgorzeje bitwa, lansjerzy natrą, dopóki nie przerwą frontu, potem zaś skrzydła zejda się ku środkowi, zamykając pierścień okrążenia. Żaden wróg nie może ująć z pola bitwy! Nie szczeni nikogo! Raz jeszcze musiał uciszyć wybuch niewczesnego entuzjazmu. - Uważajcie na głowice lanc - ostrzegł. - Żółtawa ciecz zapala się w zetknięciu z wodą. Jeśli płomień rozgorzeje za wcześnie lub

przypadkowo, jedynym sposobem ugaszenia go jest zasypianie ogniska piaskiem. Czy to jasne? - Wojownicy odpowiedzieli potężnym łomotem włóczni i oszczepów o tarcze. Coryphen podniósł głos do krzyku. - Żołnierze, znacie swoje zadanie! Ku zwycięstwu zatem! Ku zwycięstwu! - Ku zwycięstwu! - zagrzmiało nad placem. - Prowadź nas, Coryphenie! Quoowahb kadai! Uriono! Quoowahb kadai! Dowódcy skierowali się ku swoim oddziałom. Kapłani i kapłanki poczekali jeszcze chwilę, potem skłonili się nisko i odeszli w milczeniu. Uriona wezwała do siebie swego wodza. - Coryphenie! Protektor szybko cofnął się ku podwyższeniu. Uriona rzadko wymawiała jego imię. Usłyszawszy je teraz, u progu największego ze swoich zwycięstw, dumny elf poczuł, że całe jego ciało przeszywa dreszcz podniecenia. Ukłąkł przed zasłonami. - Tak, Boski Majestacie? - Uważaj na siebie, Coryphenie. Jesteś narzędziem, którym wykuję nasze przeznaczenie. Bądź dzielny, waleczny... ale i ostrożny. - Pod twoją boską opieką nic mi się stać nie może. - Zwycięstwo jest pewne, widziałam je, ale... - Nieco rozmyta sylwetka Królowej zmieniła położenie. Uriona poruszyła się na swoim ozdobnym tronie. - Nie da się jednak przewidzieć, jaki los czeka każdego z osobna, rozumiesz? - Owszem, Boski Majestacie. Rozumiem i podziwiam twoją mądrość... Wstał. Zanim zdążył zrobić choć krok ku wyjściu, Uriona ponownie otworzyła usta. - Po bitwie trzeba jeszcze coś zrobić... Tylko tobie ufam na tyle, że mogę ci powierzyć to zadanie, mój Coryphenie... - Wystarczy, że powiesz, moja Królowo. - Ładowcy muszą umrzeć. Wszyscy, bez wyjątku... Jeśli któreś przeżyje, wystawi to na szwank naszą wyprawę na Silvanost. Choć Coryphen był bezgranicznie oddany swej władczyni, ten rozkaz zdumiał go i wstrząsnął nim do głębi. - Wszyscy? Nawet ta qualinestyjska księżniczka? - Ona przede wszystkim! Także stary legat i ten krasnolud. Coryphenie, oni są bardzo niebezpieczni. I.. musi zginąć ktoś jeszcze. Jeden z naszych ludzi... Tym razem Protektor bez trudu domyślił się, o kogo chodzi. - Naxos! - Owszem. Zdradził już nas na rzecz suchawców. Spiskuje z nimi, by nas zniszczyć. On chce zniszczyć mnie! - Boski Majestacie, daję ci słowo, że nie przeżyje tej bitwy! - Strzeż się go! Moi boscy bracia zechcą go pewnie chronić. - Cóż mnie obchodzą inni bogowie, nie boję się żadnej mocy, prócz mojej Boskiej Królowej! - wypalił z zapalem Coryphen. Ku jego zdumieniu, Uriona wysunęła dłoń przez zasłonę, podając mu palce do ucałowania. Ujął je, wpatrując się tak, jakby chciał zapamiętać rys każdego z nich do końca życia. Skóra Uriony była jedwabiście gładka, a błona spinająca długie, smukłe palce błękitna i niemal przejrzysta. Powoli i z najwyższą czcią Coryphen podniósł dłoń władczyni do ust. - Jestem Twoim niewolnikiem, o Pani - wyszeptał. Rączka się cofnęła, Uriona zaś nie rzekła już ani słowa. Coryphen wstał i ruszył ku wyjściu przez opustoszały już plac. Jego serce niemal ulatywało mu z piersi, nadawszy się słusznym i prawym zapalem. Dzisiejszy dzień zakończy się wśród fanfar i huku bębnow. Dziś wreszcie Dargonestyjczycy pokonają znieawidzonych wrogów. Dargonestyjscy wojownicy szeregami maszerowali przez rynek ku bitwie. Po obu stronach zebrały się masy pospólstwa, które wiwatowały gromko i pozdrowiały udających się w bój żołnierzy. Niektórzy posunęli się do tego, że spryskiwali idących wonnościami - znak niezwykłego zapachu i entuzjazmu, jaki opanował tłumy gapiów. Opuszczając rynek, wojownicy rozdzielili się na pomniejsze kolumny, które ruszyły ku przystaniom. Tylko trójka ładowców pozostała na placu, by obserwować żołnierzy ruszających na bój z chilkitami. Vixa, Armantaro i Gundabyr stali obok siebie. Legat wyprężył się niczym drzewce kopii - jakby przyjmował defiladę idących na bitwę oddziałów. Vixa oparła się jednym ramieniem o niewysoki murek i liczyła szeregi. W ciągu kwadransa minęło ją pięć tysięcy wojowników. - I ciągle jeszcze idą - zdumiewała się. - Skąd ten Coryphen tyłu ich nabrał? - Może wychodzą z miasta, okrążają je, wchodzą przez inną bramę i przechodzą tędy ponownie - podsunął z kpina w głosie Gundabyr. Na jego brodatej gębie wyraźnie było widać ślady, jakie pozostawiły po sobie trzy pod rząd nieprzespane noce. - Wiesz... to może i nie do końca takie głupie... chodzi o to, by podnieść ducha w

pospolitakach. - Mylisz się, mości krasnoludzie - rzekł Armantaro. - Ani jeden z tych wojowników nie przeszedł tędy po raz drugi. - Wspaniała postawa i jastrzębie rysy twarzy starego legata ściągnęły uwagę dargonestyjskich żołnierzy. Od pewnego już czasu przechodzący wojownicy zwracali ku niemu głowy, bez komendy wykonując wzorowe „na prawo patrz!” - Wielu z tych chłopaków to rekruci. Popatrzcie, jak trzymają broń. Młode to wojsko... - zauważył Armantaro. Przyjrząwszy się uważniej defilującym oddziałom, Vixa musiała przytaknąć legatowi. Włócznie nie wznosiły się nad oddziałami pod jednym kątem, tak jak to się dzieje u weteranów. Hełmy były albo zbyt duże, albo zbyt ciasne. Niektórzy z wojowników mieli u boków puste pochwy - jakby zabrakło dla nich oręża. Akurat przeciągał przed nimi oddział ognistych lanc, które wojownicy dźwigali po dwu na ramionach. Byli to najtężsi ludzie Coryphena, dobrani ze względu na siłę i wzrost. Wielu z nich wcześniej służyło w gwardii przybocznej Protektora. Zważywszy jednak na liczbę i rozmiary nieprzyjaciół, którym mieli stawić czoło, wydawało się, że oddziałek jest bardzo nieliczny. Widok niedoświadczonych młodzików idących w bój głęboko poruszył księżniczkę. - idę z nimi! - oznajmiła nagle. - Co takiego? Nie wolno ci, pani! - Mam stać na uboczu, podczas gdy inni będą ginąć za mnie? Na to nie mogę przystać! - A ja mogę - odparł spokojnie Gundabyr. - Wzięli mnie siłą i pognali do niewolniczej pracy, przez nich też zginął mój brat. Zrobiłem to, czego chcieli, i dałem im ten gnomi ogień. Teraz, Wasza Wysokość, niech sobie radzą sami - to ich walka. - Jeśli pójdziesz się bić, pani, wiedz, że stanę przy tobie - odezwał się stary legat. Vixa ujęła go za rękę. - Nie, przyjacielu. Nie chcesz się pogodzić z prawdą, więc ja ci to powiem - jesteś chory. Ten twój kaszel z każdym dniem brzmi gorzej i głośniej... Gdy to mówiła, Armantaro daremnie usiłował stłumi kolejny atak kaszlu. - To drobiazg - wychrypiał w końcu. - Legacie... zostaniesz tutaj, i basta. I tak zresztą nie daliby ci muszli. - A co z tobą, pani? - spytał zjadliwie Gundabyr. - Skąd ty weźmiesz powietrze? - Ja... mam swoje zapasy - i z tymi słowami Vixa zrobiła krok, by dołączyć do jednego z mijanych szeregów. Armantaro chciał ruszyć za nią, ona jednak powstrzymała go, kładąc mu dłoń na pierś. - Legacie... to rozkaz - odezwała się oficjalnym tonem. - Mówi to twoja księżniczka i przełożona... - Ale... Wasza Miłość... - Nie, legacie. To rozkaz... i moja prywatna prośba - zostań w mieście. Jeśli... jeśli coś by mi się przytrafiło... powiedz mojej matce... - zmarszczyła brwi i umilkła, niepewna, co rzec. Legat zasalutował sprężysto. - Powiem jej, że zginęłaś z honorem, pani! - Nic podobnego! - zachnęła się Vixa. - Powiesz im, żeby każdego lata, w dzień

Przesilenia, choć jeden z nich odwiedzał brzeg morza. To właśnie im powiedz... - i z uśmiechem przyłączyła się do jednego z mijanych szeregów. Armantaro szybko stracił ją z oczu. - Co za dziwny pomysł - zdumiał się Gundabyr. - Żart, przyjacielu, nic więcej. - Legat jednak wcale nie wyglądał na rozbawionego. Nagłe zgiął się w pół ogarnięty ponownym atakiem kaszlu. Odwrócił się od maszerujących elfów i oparł o ścianę. Gundabyr dostrzegł krew, spływającą po palcach, którymi stary wojak osłaniał usta. Stojący przy nabrzeżu oficer kierował wojowników ku wodzie. Vixa ukrywała się wśród innych - udawało jej się to dość dobrze, dopóki nie podeszła bliżej. - Hej ty! Co ty tu robisz? - Wychodzę - odparła z godnością. - Zwariowałaś? Oni idą do bitwy! - Wiem. Szereg żołnierzy zaczął znikać już w wodzie. Większa część służby była już pusta. Vixa odwróciła się, skoczyła i łukiem weszła w wodę. - Głupia dziewczko! - ryknął oficer. - Co ty sobie wyobrażasz? Hej tam, żołnierze! Brać ją! Vixa pracując mocno ramionami i nogami, płynęła ku przejściu na otwarte wody. Musiała dostać się pod łuk! Niestety, poczuła, że mocne dłonie chwytają ją za kostki. Złapało ją równocześnie trzech wojowników. Nie było sposobu, by się od nich uwolnić. Księżniczka przegnała więc z umysłu wszelkie myśli, skupiając się na pamięci swego delfiniego kształtu. Oczami wyobraźni znów ujrzała siebie jako czarno-białe, smukłe wrzeciono... Natychmiast poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Zimna woda nagle stała się ciepła i przyjazna. Księżniczka zapragnęła

kilkoma wierzgnięciami uwolnić się od trzymających ją za kostki dłoni, ale jej nogi złączyły się razem i zeszywniały. Ramiona, jakby kierowane własną wolą, przyłgnęły do jej boków. Poczwała nagłą panikę, gdy zrozumiała, że Dargonestyjczycy ciągną ją w tył. Cały świat zachybotał się... Trzymający ją podmorcy nagle wrzasnęli jednym głosem i odskoczyli jak oparzeni. Okazało się, że nogi, w które się wczepili, są w rzeczy samej muskularnym ogonem delfina. Znali zmiennokształtnych jako członków własnego ludu - ale nagła transformacja suchawca kompletnie ich zaskoczyła. Vixa trzepnęła wodę ogonem i pomknęła ku wiodącemu na wolność otworowi. Zaraz też śmignęła w górę, wzbijając się niczym ptak. Wodę wokół niej wypełniały głosy morskich braci. - Dalejże! Spieszmy! - wołały delfiny. - Do bitwy! Vixa popłynęła w stronę dźwięków. Mknęła przez wodę jak ryba, roztrzając w pędzie ławice małych żyjatek. W mrocznej wodzie zbierały się także inne delfiny. Wkrótce dziewczyna przyłączyła się do atakującej wrogów całej

chmury dargonestyjskich zmiennokształtnych. Cały ocean pełen był odgłosów bitwy. Z dołu dolatywały okrzyki Dargonestyjczyków wzywających na pomoc wszystkie delfiny. Obejrzawszy się za siebie, Vixa ujrzała, że na zew sprzymierzeńców odpowiedziały setki mieszkańców mórz. W dole chilkity utworzyły potężny półksiężyc, rogami skierowany ku grodowi. Morskie elfy ustawiły się w szyk, składający się z czterech oddziałów. Dwa środkowe cofnęły się głęboko pod naporem wrogów. Jak do tej pory, nigdzie, nie było widać błysku gnomich płomieni. Vixa zaniósła modły do wszystkich morskich bogów, by wytworzona przez Gundabyra substancja spełniła pokładane w niej nadzieje. Wszystko przygotowano w takim pośpiechu! Jakiś delfin okrzyknął księżniczkę z daleka. Nie poznała go, dopóki się nie przedstawił. Kios, zmiennokształtny, którego spotkała wcześniej. Księżniczka podążyła za nim i przyłączyła się do setki innych delfinów zmierzających ku bitwie. Nieopodal miasta, chilkity zepchnęły aż do koralowych ogrodów najeżony włóczniami prostokąt dargonestyjskich wojów. Walczące w zwartym szyku skorupiaki tłoczyły się zajadle, włączając niekiedy jeden na drugiego, byle tylko dopaść wroga. Stopy i łapy przeciwników wznieciły chmury wolno opadającego piasku. Wszędzie też były widoczne smugi krwi. Kios wydał wysoki, przeraźliwy tryl i niczym pocisk ugodził łbem w grzbiet chilkita. Ułamek sekundy później i Vixa znalazła swego wroga. Wstrząs zderzenia poczuła, nawet w ogonie, ale czerwona skorupa trzasnęła jak gnieciony orzech. Sprężyste pracując płetwami, dziewczyna cofnęła się z zasięgu kleszczy, zatoczyła niewielki łuk i uderzyła ponownie. Obok niej śmignął kolejny zmiennokształtny i wyprzedzając ją nieco, runął na ten sam cel. Chilkit stawiał mu czoło i odparł natarcie strasznymi szczypcami, które z niemiłosiernym zgrzytem zamknęły się na smukłym czarno-białym korpusie. Na chwilę obu przeciwników przesłoniła chmura krwi - po czym Vixa zobaczyła martwe ciało zmiennokształtnego opadające wolno na dno. Wstrząśnięta śmiercią towarzysza i tym, że sama o włos nie została zmiażdżona, dziewczyna skierowała pysk ku górze. Ogarnięta ślepą trwogą gnała ku górze, aż jej białoczarny łeb przebił powierzchnię, wzbijając fontannę skrzących się w słońcu tęczowo kropli. Dziewczyna miała w głowie okropny zamęt - i oślepiło ją słońce. Okręciła się wokół osi, przeszukując horyzont i wypatrując jakiegoś lądu. Niestety, dostrzegła tylko bezkresne fale. Nieskazitelnie gładkiej linii dzielącej morze i niebo nie brukała żadna plamka czerni znamionującej ląd. Wiedziała, że znajduje się gdzieś na rozległym oceanie południowym, zwanym Turbidusem. Jeżeli będzie płynęła prosto na północ, w końcu natknie się na ląd. Dzięki jej nowemu wcieleniu będzie to dość łatwa wyprawa - choć może okazać się długotrwała. Czy powinna teraz

uciec? Ciężył na niej przecież obowiązek ostrzeżenia narodów żyjących na Ansalonie przed inwazją podmorców i - co ważniejsze - przed szaleństwem Uriony, która zamierzała podbić wszystkie plemiona elfów. A co z jej przyjaciółmi? Coryphen przysiągł uwolnić ich po zwycięskiej bitwie. Oto była jej pierwsza powinność! Nie mogła po prostu zostawić bliskich na pastwę losu.

Księżniczka zaczerpnęła tchu i ponownie dała nura w głąb oceanu. Opadając ku miastu, zatoczyła łuk i zbliżyła się do pola bitwy z boku. Do dzikiej kakofonii wrzasków dołączyły się okrzyki Dargonestyjczyków. Ze swego miejsca księżniczka zobaczyła, że chilkity przebiły się już przez koralowe ogrody i dotarły do samej kopuły grodu. Skrzydła dargonestyjskiego wojska trzymały się jakoś, tak więc szyki chilkitów przypominały teraz gigantyczną podkowę. Na co, u licha, czekał Coryphen? Był już przecież najwyższy czas na gnomi ogień! Odrzuciwszy wszelką ostrożność, księżniczka zanurkowała ku centrum dargonestyjskich szeregów. Łatwo jej przyszło odnalezienie Coryphena - stał w pierwszej linii, otoczony resztkami swej gwardii. Jego wysoki, ozdobny hełm wystawał ponad głowy żołnierzy. Księżniczka rzuciła się ku niemu przez wodę i głośno zawołała jego imię. Protektor nie odpowiedział - właśnie toczył zajadły bój z jakimś skorupiakiem. Vixa zwinęła się jak sprężyna i rąbnęła jego wroga w grzbiet. - Hola, ty tam! Morski bracie! Okrążyła go, patrząc nań bystro i uważnie. - Dziękuję za pomoc! - zawołał w podwodnym języku. - Czy ja cię znam? - Dlaczego nie używacie ognistych włóczy? - Na otchłań! Kim ty jesteś, że dajesz mi taką radę? - pod osłoną hełmu, Coryphen zmarszczył brwi. I nagle obie uniosły się w górę w bezbrzeżnym zdumieniu. - Ależ tak! Vixa Ambrodel! Co... co ty tu robisz pod tą postacią? Dziewczyna zignorowała to pytanie. - Wkrótce będziecie musieli wycofać się do grodu! Dlaczego nie używacie ognistych lanc? Inni morscy bracia zaczęli zadawać Coryphenowi to samo pytanie, przyniesione od dowódców skrzydeł. - Mało macie wiary w geniusz swej Królowej - odpowiedział im posępnym tonem. - Ale niech i tak będzie - zdecydował w końcu. - Ogniste lance naprzód! Do ataku! Vixa śmignęła ku lewemu skrzydłu i zaniósła tam rozkaz Coryphena, wykrzykując go w języku delfinów. Woda daleko zaniósła jej słowa. Zanim księżniczka dotarła na miejsce, długie drzewca z glinianymi, tępymi grotami były już gotowe do użycia. Chilkity najwyraźniej zlekceważyły nową broń. Zwarły szeregi i ruszyły do zwycięskiego natarcia.

- Teraz! Kopijnicy pierwszej linii ugodzili kilkudziesięciu wrogów swoim orężem. Gliniane groty pękły w zderzeniu z twardym pancerzem skorupiaków i morska woda wdarła się do wnętrza pojemników. Bez mała setka chilkitów stanęła natychmiast w płomieniach. Pierwsze szeregi w obu wrogich armiach cofnęły się natychmiast. Ci, którzy do niedawna zaciekle walczyli, ze zgrozą obserwowali teraz ogarnięte ogniem ofiary pomysłowości niepozornego, zgorzkniałego krasnoluda. Gnomi ogień płonął gwałtownie, nie wydzielając pod wodą dymu. Zamiast niego wszędzie widać było wielkie bąble gazu, które wydobywały się z ognistej pasty. Pęcherze powietrza uderzały równie mocno i skutecznie jak kowalskie młoty - były gorące i twarde, o czym szybko przekonały się chilkity i kilka nieostrożnych delfinów. Jeden z nich uderzył Vixę w brzuch - właściwie musnął ją tylko, ale starczyło, by wyprzeć jej dech z płuc. Dziewczyna szybko śmignęła ku miastu i wynurzyła się przy jednej z bocznych przystani. Zaczepiwszy powietrze, wróciła na pole bitwy. Linia chilkitów odstępowała na obu skrzydłach. Ognisty lud napierał niezmordowanie, wspomagany przez ciężkozbrojnych podmorców. Stojący pośrodku ugrupowania Coryphen wezwał korpus rezerwowy. Z wykopanych wcześniej w piaszczystym dnie dziur wyskoczyły tysiące nowych wojowników. Linie chilkitów zachwiały się i pękły jak pod uderzeniem młota. Pojedyncze potwory łatwo były zabijane przez liczniejszych i szybszych dargonestyjskich oszczepników. Gdziekolwiek zaś chilkity usiłowały stawić zorganizowany opór, natychmiast pojawiali się nieubłagani ogniści kopijnicy. Nowe płomienie ogarnęły kolejne setki potworów. Vixa śmigająca wokół, uderzając taranem i ratując Dargonestyjczyków, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony ciągle groźnych pojedynczych skorupiaków. W pewnej chwili usłyszała, że przez zgiełk bitwy ktoś wywołuje jej imię. Znieruchomiała, czując ukłucie niepokoju. - Do mnie, morscy bracia! - zawołał ów głos. Vixa ku swemu zdumieniu odkryła, że odwraca się, by popłynąć do wołającego. Nagle na jej drodze pojawił

się większy delfin. - Kios? - Wybuch śmiechu przekonał ją, że się myliła. - Naxos! Wódz zmiennokształtnych kiwnął głową. - Jak ci się podoba bitwa, suchostopa? Nie jest to lepsze niż wysysanie powietrza ze starej muszli? - Naxos... nie słyszysz wołania? - To tylko Coryphen. Nie zwracaj na to uwagi. - Nie mogę! - poskarżyła się z przerażeniem. - Wiąże mnie jakiś przymus! - Mówiła prawdę - zew Protektora był dla niej potężnym magnesem, przyciągającym ją ku sobie z nieodpartą siłą. Naxos okrążał ją powoli. - To czary, którymi on posługuje się w stosunku do istot o słabszej woli. Opieraj się. Jesteś wolną istotą!

- Morscy bracia! Do mnie! Rozkazuję wam! - Napór woli Coryphena spotężniał i odciągnął ją od Naxosa. - Muszę być posłuszna! - zawołała z rozpaczą w sercu. Opór był niemożliwy. Naxos płynął obok niej. Nad środkowym odcinkiem pola bitwy zebrała się spora grupa delfinów. Manewrując w kotłującej się wodzie, Vixa podążała ku Coryphenowi. Protektor i jego najbliżsi oficerowie dosiadali delfinów niczym koni. Coryphen właśnie wspinał się na grzbiet Kiosa. - Poszli w rozsypkę! - zawołał uradowany Coryphen, używając wodnego języka. - Nadszedł czas, by na zawsze skończyć z chilkitami i pogrążyć je w mroku, z którego wypełzły! Tryumf brzmiący w jego głosie i zwycięskie okrzyki innych Dargonestyjczyków - delfinów i elfów - spowodowały, że i w Vixie zaczęła burzyć się krew. Przyłączyła się do kilkudziesięciu zmiennokształtnych, którzy samotnie i bez jeźdźców krążyli wokół Protektora. - Jestem jedną z was! - zaćwierkała. Coryphen odrzucił swoją tarczę. Jeden z przybocznych podał mu trzy oszczepy. Dzierżąc je razem, Protektor uniósł oręż nad głowę. - Śmierć wrogom Urione! Nie ma pardonu! Nie ma pardonu! - zagrzmiął. W ostatniej szarzy na cofającego się już wroga wzięło udział bez mała tysiąc wojowników na delfinach, które runęli na chilkity z góry niczym jastrzębie. Atak poprzedziły harce pojedynczych delfinów, które również bezlitośnie dręczyły zdziesiątkowanych nieprzyjaciół. Skorupa chilkitów była na grzbiecie znacznie cieńsza i łatwo poddawała się pchnięciom oszczepów. Coryphen osobiście zabił sześć stworów, zanim pękła pierwsza z jego trzech włóczni. Zaraz też chwycił w garść drugą. - Dalejże! Dalej! - nawoływał zajadle. - Nie oszczędzać żadnego! Vixa śmigała między potworami, pomagając morskim braciom dopaść każdego chilkita, którego dostrzegli. Ocean wypełniły gęste chmury krwi skorupiaków - woda nabrała słodkawego posmaku. W dali pojawiły się zarysy powalonego muru nad Bruzdą Mortas. Vixa przyspieszyła i przepłynęła przez wyłom. W dole, pod nią, ogarnięte paniką czerwone skorupiaki uciekały w dół mrocznego zbocza przed zemstą morskich elfów. Coryphen jednak nie zamierzał pozwolić im na ucieczkę. Wezwał wszystkich delfinich jeźdźców - którzy poszli w rozsypkę, by wygodniej ścigać pierzchających wrogów - i zebrał wokół siebie ostatni manipuł ognistych lansjerów. Całą tę siłę rzucił za uciekającymi chilkitami. Zmęczeni, lecz radośni podmocy podążyli za wodzem, kwitując rozkaz wiwatami. Vixa pływała już wyłącznie dzięki instynktowi. Wyczerpanie i znużenie wzięło górę nad jej

wolą. Delfiny - obarczone jeźdźcami bądź samotne - zanurzały się coraz głębiej w mroczne wody. Od czasu do czasu któryś z chilkitów odwracał się i stawiał czoło prześladowcom, którzy szybko i sprawnie rozprawiali się z takim zuchwalcem - opóźniało to jednak pościg za resztą. Vixę zdumiewała brawura stworów, ponieważ aż do tej pory uważała je za okrutne i bezmyślne bestie, którymi - jak widać - nie były. Pomagały też rannym towarzyszom, osłaniając ich przed napaściami. Przetriebiono je jednak tak skutecznie, że teraz akcje tego rodzaju były próbami niemal samobójczymi. Gdziekolwiek zaś zebrały się choćby trzy lub cztery, pojawiali się ogniści lansjerzy - i chilkity ginęły w płomieniach. Wkrótce dno bruzdy oświetlały tuziny małych palenisk. Vixa raz tylko opuściła pole - po to, by nabrać w płuca powietrza. Zanurzając się ponownie i opadając na dno, spostrzegła z góry, że czerwony blask wylewający się z zakrętu Bruzdy - który intrygował ją już wcześniej - nie pochodził od gnomich płomieni. Dno podmorskiego jaru pękło i ze szczeliny

wyływała lawa. Czerwony wąż wypełniał rozpadlinę na długości kilku mil. Nagle u jej boku pojawił się Naxos. - Coryphen chce wytrzebić chilkity do ostatniego! - zawołał. - Ale po co? Bitwa już wygrana. - Opanowała go żądza zniszczenia. Chilkity są całkowicie rozbite, on jednak jest pijany zwycięstwem. Morscy bracia są bezzasadnie i niepotrzebnie narażani na niebezpieczeństwo. - Postaram się go przekonać - obiecała i odpłynęła ku szeregom tryumfujących elfów. Nie bardzo wiedziała, jakich użyć argumentów, musiała jednak spróbować. Płynęła teraz wolno wśród ciepłych, rozświetlonych wód podmorskiej bruzdy, unosząc się nad szeregami spieszonych Dargonestyjczyków. Wkrótce znalazła delfina, na którego grzbiecie puszył się zwycięski Coryphen. - Dzień należy do nas, księżniczko! - zawołał na jej widok rozpromieniony Protektor. - Ekscelencjo, rozbiłeś ich ostatecznie i bez reszty. Przerwij tę rzeź. Coryphen potrząsnął głową. - Wszystkie muszą zginąć, wszystkie... Któregoś dnia mogłyby zagrozić naszym dzieciom. - Więc ułóżcie się z nimi. Zawrzyjcie pokój. Nie ma potrzeby, by ginęli kolejni Dargonestyjczycy. - Paktować z tymi potworami? Widziałas, jak walczą! Czy myślisz, że one wiedzą, co to litość czy miłosierdzie? Vixa, przekonawszy się o daremności swoich wysiłków, odpłynęła w bok. Tymczasem ostatnie chilkity przyparto do strumienia lawy. W tej sytuacji wrogowie podjęli bohaterski, choć próżny i skazany z góry na niepowodzenie wysiłek i zwarłszy szyki, ruszyli na podmorców. Ta desperacka szarża kosztowała życie wielu morskich elfów, które niepotrzebnie zginęły w już i tak

wygranej bitwie. Coryphen odparł atak ognistymi lancami. Pozostałe chilkity wycofały się na niewysoki podmorski pagórek, który wkrótce został otoczony strumieniami lawy. Coryphen odwołał wojowników dopiero wtedy, gdy lawa zaczęła zalewać ostatnie sążnie jego powierzchni. Otoczone lawą Chilkity stały spokojnie i - słowo to natarczywie wciąż nasuwało się Vixie na myśl - z godnością czekały na śmierć. W końcu znikły pod ognistą pokrywą. Usatysfakcjonowany Coryphen nie mógł zbyt długo sycić się widokiem klęski wrogów - woda była bliska wrzenia i musiał dać rozkaz do odwrotu. Rozciągająca się pomiędzy Bruzdą Mortas i Urione równina przedstawiała sobą ponury obraz. Na wieść o klęsce chilkitów z miasta wyległy tysiące Dargonestyjczyków. Wszyscy rozbiegli się po równinie i rozprawiali się z rannymi wrogami za pomocą pałek, toporów, bosaków i kamieni. Odrąbывano szczypce - jako jadalne trofea - pozostałości zaś ciskano w nadał gorejące zarzewia gnomiego ognia. Pływające wyżej delfiny nie dopuszczały rekinów, niżej zaś trwała bezlitosna rzeź. Coryphena dostrzeżono natychmiast, gdy tylko wyłonił się z głębin jaru. Dziesięć tysięcy ramion uniosło się w tryumfalnym salucie. Dziesięć tysięcy gardzieli podniosło radosną wrzawę. Protektor odpowiedział na tę fale uwielbienia, dziarsko wymachując ostatnią z włóczni. Wspaniałość powitania zepsuł nagle Naxos, który pojawiwszy się nie wiedzieć skąd, jednym ruchem potężnych płetw strącił napuszonego Protektora z grzbietu Kiosa. - Zdrajca! - syknął rozwścieczony Coryphen. - Świętokradca i bluźnierca! - I kogóż to zdradziłem? Ciebie? - Zdradziłeś swoją prawowitą władczynię... zadając się z lądowcami! Zbluźniłeś przeciwko naszej Boskiej Królowej i podzieliłeś się naszymi najświętszymi sekretami z suchostopą! Oto ona... tam ją masz! Wymierzył grot włóczni w Vixę. Zakłopotana dziewczyna nie wiedziała, jak się zachować, patrzyła więc na obu i milczała. Wokół Coryphena zebrały się grupki jego zwolenników. - Ekscelencjo... nie mieszaj do tego swojej gwardii - zadrwił Naxos. - Jeśli masz dość odwagi, spróbuj rozprawić się z morskimi braćmi osobiście. Tymczasem setki Dargonestyjczyków zaczęły wykrzykiwać obelgi pod adresem samotnego zmiennokształtnego. Ku swojemu zdziwieniu, Vixa zorientowała się nagle, że żaden z morskich braci nie zamierzał stanąć w obronie ich przywódcy. Nawet Kios, jego zastępca i do niedawna przyjaciel, najwidoczniej wolał opowiedzieć się po stronie Coryphena. - Mam się rozprawić z morskimi braćmi? - zadrwił z kolei Coryphen. - Ha! Widzę tylko samotnego zdrajcę... który nie ma żadnych braci!

Naxos udając nonszalancję, płynął kilkanaście sążni nad Coryphenem. I nagle, niczym szara błyskawica, runął na Protektora. Ten jednak był gotowy na odparcie ataku - stał spokojnie z włócznią wetkniętą pod ramię. Delfin tak rosły jak Naxos mógł, uderzając taranem, rozbić skorupę chilkita. Gdyby trafił, Protektor nie uszedłby z życiem. Vixę tak zafascynował pojedynek, że zapomniała o czujności. Chwyciło ją jednocześnie kilku wojowników. Szarpała się przez chwilę, ale była zbyt wyczerpana, dała więc za wygraną. Coryphen tymczasem oparł tępy koniec włóczni o piętę prawej stopy i potężnym kopniakiem cisnął broń w Naxosa. Zmiennokształtny zrobił unik, grot jednak trafił go w grzbiet, tuż za płetwą. Naxos opadł na dno i zwinął się kilkakrotnie, przetaczając po piasku i próbując uwolnić się od białego żelaza - czemu Protektor przyglądał się beznamiętnie i spokojnie. Drzewce nie wytrzymało i trzasnęło - grot jednak pozostał w ranie. Naxos rzucił się do ucieczki, ciągnąc za sobą smugę krwi i wznecając chmury piasku - płynął bowiem tuż przy dnie. - Zostawcie go - polecił Coryphen. - Niech zajmą się nim rekiny - po ich kuracji nie będzie skarżył się na nic. Protektor rozejrzał się wokół siebie. Kios i inne delfiny rozpierzchły się na wsze strony - a z nimi także możliwość, że udzielą jednak poparcia swemu przywódcy. Na scenie swego największego zwycięstwa został jedynie Coryphen, Budowniczy Muru, którego władzy nad grodem nikt już nie ośmieliłby się kwestionować.

Rozdział 14 – Zdrada Czterej wojownicy powlekli Vixę ku grodowi. Wyciągnęli ją z wody i cisnęli na bruk przystani. Gdy tylko jej płetwy dotknęły kamieni, poczuła ciężar swego ciała. Skup się - powiedziała sobie, choć ogarnęło ją ogromne znużenie. Pomyśl o sobie jako o elfiej pannie. Przy braku chłodnej wody, poczuła ogarniającą ją falę ciepła. Wzdrygnąwszy się, spróbowała znowu oczyścić umysł ze wszystkiego prócz pragnienia powrotu do elfiej postaci. Poczuła dziwne napięcie - i pierwsze oddzieliły się od jej ciała ramiona, potem nogi. Zaraz też jej ciało odczuło chłód. Po skórze, która jeszcze zmieniała barwę z czarno-białej, delfiniej, na znacznie jaśniejszą ludzką, zaczęły przebiegać dreszcze. Posadzka, na którą Vixę ciśnięto, była zimna niczym płyta lodu. Z sadzawki wychynął Coryphen. Dopiero teraz Vixa dostrzegła liczne rany i obrażenia, jakich Protektor doznał w bitwie. Cały korpus i ramiona wodza pokrywały zadrapania, siniaki i skaleczenia. Coryphen skinieniem dłoni wezwał stojącego nieopodal elfa, który szybko podał mu obszerną pelerynę. Dziewczynę ogarnęło zdumienie, kiedy Protektor narzucił opończę nie na swoje, lecz na jej ramiona. Wciąż jednak przeraźliwie szczekała zębami. Nogi też się pod nią uginały, Coryphen więc podtrzymał ją jednym ramieniem. - Jestem chora... - wymamrotała załóżnie. - Nie... po prostu twoje ciało nie jest przygotowane do przyjmowania delfiniego kształtu - odpowiedział Coryphen. Dziewczyna wyrwała ramię z podtrzymującego ją uścisku. - Jaką to karę dla mnie planujesz? Coryphen westchnął głęboko, odsuwając dłonią opadające mu na twarz włosy. - Pani... jestem zmęczony. Teraz zaś muszę zanieść naszej boskiej władczyni wiadomość o zwycięstwie. - Cofnąwszy się o krok, obrzucił ją spojrzeniem, z którego niczego nie zdołała wyczytać. - O twoim losie zdecyduję później. - Z tymi słowami odwrócił się i odszedł. - I jakże będzie... Protektorze Grodu... dotrzymasz swego słowa i uwolnisz mieszkańców lądu? - zawołała za nim Vixa. Coryphen żadnym znakiem nie zdradził, że usłyszał pytanie dziewczyny, tylko równym krokiem podszedł ku przejściu, gdzie jego żołnierze formowali już zwarty szyk. Rozciągająca się dalej uliczka po brzegi była nabita rozhisteryzowanymi podmorcami, którzy oszaleli ze szczęścia na wieść o klęsce odwiecznych wrogów. Przed wejściem w uliczkę Coryphen wziął się w garść,

wyprostował lekko przygarbione ramiona i dumnie się wyprężył. Wkroczył pod łukowate przejście otoczony swymi wojownikami. Natychmiast też rozległ się entuzjastyczny ryk tłumów. Qualinestyjska księżniczka ciaśniej owinęła ramiona ciepłą opończę i słaniając się na nogach, ruszyła do Zbrojowni. Zwycięstwo nad chilkitami całkowicie zmieniło status Gundabyra i

Qualinestyjczyka. Znikła gdzieś pogarda, jaką im okazywano - wszyscy dowiedzieli się, że zwycięstwo nad skorupiakami w dużej mierze jest dziełem suchawców. Wrogość przemieniła się w otwartą przychylność. Armantaro i krasnolud nie mogli wysunąć nosa na ulicę, by natychmiast nie otoczyła ich grupka elfów, dziękujących im wylewnie i wręczających drobne dowody sympatii i wdzięczności. - Pękne z hukiem, jeżeli zjem coś jeszcze! - stęknął Gundabyr. Istotnie, guziki jego obszernej przecie kurtki wpijały się w opięte brzuszysko krasnoluda. Stoły w Zbrojowni prawie całkowicie zakrywała warstwa jadalnych podarków - suszonych i wybornie wędzonych ryb, egzotycznych sosów i konfitur warzonych z wodorostów, a w szklanych pojemnikach żwawo pluskały się homary i krewetki. Oczywiście nie brakło też pękatek dzbanów z trunkami... Armantaro sprawiedliwie podzielił wszystko pomiędzy pozostałych przy życiu więźniów - żaden z nich od bardzo dawna nie jadł równie dobrze i obficie. Zajęty własnymi myślami Armantaro patrzył przed siebie i nie odpowiadał, Gundabyr powtórzył więc swoją skargę. - No to przestań się tak obzerać! - uciał rozeźlony legat. Sam zjadł niewiele. Uczucie pieczenia w piersiach osłabiało jego apetyt. Martwił się też o swą nieobecność księżniczkę. - Co, w imię Otchłani, się z nią stało? - zapytywał sam siebie. Ostatni raz widział Vixę przed dwoma dniami. Po ostatniej bitwie wróciła do Zbrojowni milcząca i tak wymizierowana, że z trudem utrzymywała się na nogach. Przespawszy całą noc i połowę następnego dnia, odeszła, nie powiedziawszy nawet legatowi, dokąd idzie. Wszelkie wieści o wielkiej bitwie przekazywali chciwie czekającym na nią w Zbrojowni cudzoziemcom przechodzący akurat żołnierze. Vixa nie powiedziała im niczego. Wiedzieli tylko, że walczyła jako delfin. Dowiedzieli się i tego, że wódz morskich braci, Naxos, sprzeciwił się Coryphenowi i zginął w pojedynku z Protektorem. - Może dziewczyna jest z Coryphenem - podsunął legatowi Gundabyr. Armantaro wstał nagle. - Jeśli ten drań ją skrzywdzi... - zaczął złowrogo. - Ale dlaczego miałby to robić? Ona też miała swój udział z zwycięstwem.

- Jeśli spróbuje z nią jakichś sztuczek, dam mu tak do wiwatu, że wolałby trafić w kleszcze chilcita! - Zajadłość tego stwierdzenia zdumiała krasnoluda; nie zdawał sobie sprawy z głębi ojcowskich uczuć, jakie żywił wobec księżniczki stary legat. - Jeśli potrafiła uporać się z kupą czerwoniaków, da sobie radę i z jednym niebieskurczybykiem - odpowiedział kpiąco Gundabyr. - Jako delfin też świetnie sobie radziła. Armantaro zmarszczył brwi. Ta sprawa też mu się nie podobała. Legat podejrzewał, że Naxos celowo postawił Vixę w sytuacji, w której musiała przystać na przyłączenie się do morskiej braci. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej wszystko to go złościło. Krocząc nieco sztywno, zostawił krasnoluda i ruszył ku wyjściu. - Dokąd idziesz? - zawołał za nim krasnolud. - Muszę znaleźć moją księżniczkę. Gundabyr, który właśnie otwierał następny pojemniczek z kawiozem, westchnął ciężko. -- Wiesz, jacy teraz są ci Quoowahbowie. Pełen uwielbienia tłum stratuje cię z nadmiaru zapału, zanim zdążysz zrobić pięć kroków. Temu Armantaro nie mógł zaprzeczyć. Zaczął więc grzebać w stosie darowanej im odzieży zgromadzonej na środku sali. Dość szybko znalazł piękną opończę z rekiniej skóry, pokrytą ozdobnymi srebrnymi łuskami. Założył ją na ramiona i naciągnął kaptur na głowę. - Udam jednego z nich - mruknął z pewnością w głosie większą, niż odczuwaną w rzeczy samej. - Powinni zostawić mnie w spokoju. - O tak... niewysoki Quoowahb albinos..., takich jest przecie między nimi całe mrowie, prawda? Wiesz, legacie, że uparty z ciebie pryk? Podmorcy nareszcie zaczynają traktować nas w miarę przyzwoicie, a ty chcesz nastawić przeciwko nam ich przywódcę - jegomościa, który ma mniej więcej tyle cierpliwości, co smok z wetkniętym pod ogon płonącym wiechciem. Legacie... przypomnij sobie Grotę Nissii. Chcesz tam wylądować jeszcze raz? - Cóż... nie wiem jak ty, mój poczciwy krasnoludzie, ale ja nadal czuję się jak więzień. Owszem... nie da się zaprzeczyć, że lepiej karmiony i odziewany... ale przecież więzień. Z tymi słowami Armantaro opuścił Zbrojownię. Przy wyjściu nie

było straży, nikt go więc nie zatrzymał. Świętowanie zwycięstwa wreszcie się zakończyło, więc ulice niemal opustoszały. Armantaro naciągnął kaptur głęboko na twarz. Zbrojownia była o jakieś dwadzieścia poziomów poniżej pałacu. Wędrówka w górę po spiralnej pochylni prawie zupełnie wyczerpała siły starego wojaka. Kilkakrotnie musiał przysiąść, by złapać oddech. Dotarłszy na poziom znajdujący się tuż pod pałacem, legat opuścił szlak główny. Nie widział powodu, dla którego miał iść prosto ku bramom - magiczna bariera Coryphena z pewnością ostrzegłaby go, że ktoś usiłuje wtargnąć do

pałacu. Na tym poziomie znajdowały się zbrojownie, koszary gwardii Protektora, magazyny żywności i trunków dla królewskiej rezydencji i dargonestyjski skarbiec. Armantaro ominął dobrze z pewnością strzeżone skarbiec i koszary - zamiast tego przemknął chyłkiem ku pogrążonym w ciszy magazynom. Gdzieś tu niewątpliwie musi być jakieś tylne wejście do pałacu. I rzeczywiście, w głębi uliczki, przy której znajdowały się kamienne magazyny, odnalazł wiodące w górę schody. Wytarte stopnie świadczyły o tym, że służba używała ich na co dzień. Stary legat ostrożnie ruszył w górę. Wyczuwał zapach gotowanych i pieczonych potraw - co bardzo go zaskoczyło, ponieważ Dargonestyjczycy prawie wszystko jedli surowe lub suszone. Stopnie wiodły w górę przez płaski otwór w granitowej płycie. Armantaro trafił do pałacowej spiżarni. Jedyne światło docierało tu przez uchylone drzwi. Słysząc też było dobiegający gdzieś z drugiego pomieszczenia łoskot garnków i odgłosy rozmowy. Legat przemknął ukradkiem dalej i zajrzał do środka. Dwaj Dargonestyjczycy myli brudne talerze w kociołku wody. Obaj krzywili się przy tym, demonstrując odrazę. - Ale smród! - warknął jeden z nich. - Co ten Protektor wyprawia? Drugi obrzucił talerze wzrokiem, który powinien był wypalić w nich dziury, i odpowiedział kwaśno: - Nie nam kwestionować rozkazy Jego Ekscelencji. Śmierdzi jednak rzeczywiście okropnie. Armantaro opuścił się na czworaki i chyłkiem przekradł się za długi stół. Służący stali odwróceny doń tyłem i nawet go nie usłyszeli. W następnym pomieszczeniu legat wstał na nogi - choć te mocno mu drżały. Zobaczył przejście zamknięte zasłonami, którymi poruszał jakiś przeciąg. Rozsunął lekko kotary, zobaczył pusty korytarz i ruszył dalej. Zbliżywszy się do jego końca, ujrzał z prawej strony salę audiencyjną Uriony. Vixa dokładnie opisała mu to miejsce - i wszystkie wydarzenia, towarzyszące jej spotkaniu z podmorską władczynią - legat bez trudu poznał więc pomieszczenie. Z lewej zobaczył mniejszą komnatę, umeblowaną jak jadalnia. Stał tam Coryphen - przed nim zaś, w kamiennym tyglu ustawionym na spiżowym trójnogu, płonął gnomi ogień. W górę unosiła się cienka smużka dymu. Lord Protektor wkładał do tygla płat jakiegoś białego mięsiwa. W głębi, kilka kroków dalej, ustawiono małą kanapkę, na której wyciągnęła się sama królowa. Armantaro zatrzymał się jak wryty. Po raz pierwszy ujrzał Urionę na własne oczy i musiał przyznać, że pobieżny opis księżniczki nie oddał władczyni należnej jej sprawiedliwości. Uriona miała błękitną, matową cerę, na tle której dwoje oczu lśniło jak dwa ametysty. Srebrne włosy

królowej miały metaliczny połysk, jakiego legat nigdy wcześniej nie widział. Otaczały one twarz Uriony miękkimi falami, odsłaniając jej piękne elfie uszy. Królowa siedziała, włosy zaś grubym warkoczem, w który wpleciono perły i pyszne muszle, opadały aż na posadzkę. Miała wysokie, pięknie rzeźbione policzki i wąski, lekko zadarty na końcu nosek. Wyglądała na osobę zaczynającą dopiero trzecią setkę lat - miała też postawę i kształty godne bogini. Niestety, słowa, które padły z jej pięknie wykrojonych ust - a które Armantaro usłyszał dzięki wybornemu jeszcze słuchowi - nie licowały wcale z jej pięknym wyglądem. - ...dobrze zrobiłeś, bez reszty wytrzebając to robactwo! - mówiła właśnie. - Nie mogliśmy pozwolić, by choć jedna bestia przeżyła. Z pewnością wróciłyby kiedyś, by nas napastować. - Jest możliwe, że niektóre przetrwały gdzieś na odleglejszych głębinach - przypomniał jej Coryphen. Uriona machnęła niedbale smukłą dłonią. - Już nigdy nie sprawią nam

kłopotu. Patrzyłam w przyszłość i nie dostrzegłam w niej Chilkitów. - Podniosła ku wargom piękny puchar z muszli i pereł. - Połóż na ogień następne porcje, Coryphenie - poleciła. Protektor włożył w ogień kolejny polec białego mięsiwa. - Okropnie to śmierdzi, Boska Królowo - powiedział. Jego twarz była teraz równie nieczytelna, jak kamienne płyty posadzki - co świadczyło o jego niesmaku. - Jeżeli mam władać lądem, powinnam przyzwyczać się do jedzenia przyrządzanego na ogniu. Te chilkity są dość... smaczne. Zrób jeszcze kilka porcji. Coryphen odciął spory kawałek - sztyletem Armantaro! - i położył go na talerz z pysznej muszli. Mięso było przypalone po obu stronach, wewnątrz jednak zostało surowe. Pachniało doskonale - w końcu wycięto je z wielkiego kraba - Armantaro poczuł jednak, że brzuch ściska mu fala odrazy. Wojownik nie zjada zabitego wroga - nawet jeśli tym wrogiem był wielki skorupiak. Staremu legatowi za bardzo przypominało to kanibalizm. Coryphen podał Urionie talerz gestem, jakiego nie powstydziliby się kapłan składający ofiarę swemu bogu. Królowa wybrała kęs swoimi długimi, smukłymi paluszkami. Bez słowa ugryzła drobny kawałek. - Boska? - Słucham. - Czy... czy zabicie tej... księżniczki jest naprawdę konieczne? Słowa te przeszły serce starego legata jak bezlitosny oszczep. Powstrzymał oddech, by dalej słuchać argumentów Coryphena. - Ona przystała do morskiego bractwa. Teraz, po śmierci Naxosa, hołd złożył mi Kios. Wierzę, że Vixa Ambrodel stanie się jedną z twoich wiernych sług... podobnie jak inni morscy bracia...

Uriona uśmiechnęła się lekko. Była naprawdę niezwykle urodziwą osobą. Ale blasku, który lśnił w głębi jej pięknych oczu nie zrodziła mądrość, odwaga czy miłość. Armantaro widział w oczach królowej jedynie szaleństwo. - Podziwiasz ją, czy nie tak? - mruknęła półgłosem. Błękit na twarzy Coryphena pogłębił się nagle. - Chcesz jej dla siebie, prawda? - Wiesz, Pani, że miłuję tylko ciebie! Nie istnieją dla mnie inne! - wypalił Protektor. Odwrócił się ku skwierczącemu palenisku. Po chwili dodał spokojniejszym tonem: - Naxos był nieposłusznym, wrednym draniem. Wcale mi go nie żal. Stary suchawiec też może zdychać, czuję jednak, że nie będzie sprawiedliwie, jeśli zabijemy księżniczkę i krasnoluda. To dzięki nim możemy dziś świętować zwycięstwo. Udawany spokój Uriony nagle ulotnił się w wybuchu wściekłości. Wstała i jednym ruchem dłoni zrzuciła ze stołu zastawę. - Głupcze! - zawołała. - Wasze zwycięstwo zawdzięczacie mnie, Królowej Mórz! Jak śmiesz umniejszać mój honor i dzielić go z lądowcami! Coryphen natychmiast opadł na jedno kolano i zaczął błagać o przebaczenie, Uriona odwróciła się jednak i odeszła w przeciwległy kąt komnaty, gdzie została, odwrócona do wielbiciela tyłem. Armantaro dużo dałby za to, by mieć teraz w dłoni swój sztylet. Protektor wstał i okrążył stolik. Zatrzymał się w odległości paru stóp od rozjuszonej władczyni. - Nikt, o pani, nie służył ci lepiej i wierniej ode mnie - odezwał się głosem cichym i napiętym. - Kocham cię od pierwszego dnia, w którym zobaczyłem cię na dworze ojca w Watermere. Z powodu tej miłości dokonywałem dla ciebie różnych czynów - niektóre na zawsze splamiły mój honor, ale to mój wstyd i sam muszę go dźwigać. Jesteś mi jednak coś winna, Uriono! - podszedłszy bliżej, ujął królową za ramiona. - Daj mi tych dwoje! Oszczędź ich! - Puść mnie! - syknęła, zdumiona jego zuchwałością. On jednak nie posłuchał. Królowa uniosła więc dłoń i skierowała ją wnętrzem ku wodzowi. I nagle strzelił z niej strumień mocy, który dotarł nawet do stojącego w ukryciu Armantaro. Poczuł się tak, jakby ktoś obok otworzył drzwi hutniczego pieca krasnoludów. Ciało legata spowiła fala gorąca. Qualinestyczyk zdumiał się, że Coryphen potrafił to wytrzymać - a stał przecież znacznie bliżej od niego. - Zabij mnie, jeśli chcesz - stwierdził spokojnie Protektor. - Nie ustąpię. W tejże chwili Armantaro, który nie mógł już dłużej powstrzymać duszącego go kaszlu, zacharczał, zatoczył się i oparł o ścianę. Cofnął się natychmiast ku kuchni, nie zdążył jednak zrobić i trzech kroków, kiedy chwyciły go czyjeś mocarne łapy. - Aaa! To tak? Ośmielasz się szpiegować Jej Boski Majestat? Coryphen bez wysiłku wciągnął osłabionego legata do komnaty i cisnął go na posadzkę.

19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

Qualinestyjczyk rozkaszał się potężnie i spluwając krwią, splamił marmurowe płyty. Gdy atak kaszlu minął, legat zdołał jakoś unieść się na czworaki. - Widzisz, Coryphenie? - tryumfowała Uriona. - Ładowcy ośmielają się wtargnąć do mojego sanktuarium! Oto kogo chcesz oszczędzić! Nigdy nie będziemy bezpieczni z takimi jak ona. - Durniu! - warknął Coryphen, który podniósł legata bez wysiłku, chwyciwszy go za opończę na karku. Mówił tonem zimniejszym od głębin oceanu. - Gdybyś został tam, gdzie cię osadzono, może udałoby mi się uratować księżniczkę. Twoje przeniewierstwo także ją skazało na śmierć. - Wasze plany skazane są na klęskę! - wycharczał Armantaro. - Żaden śmiertelnik nas nie zatrzyma! - Z tymi słowy Coryphen wyciągnął sztylet zza pasa. - Moja królowa włada przeznaczeniem! Przyniosłeś tu narzędzie swojej śmierci. Teraz ci je zwrócę. Krzepa nie opuściła jeszcze stalowych niegdyś mięśni starego legata. Nie zwisał on bezradnie w uścisku Coryphena. Teraz chwycił oburącz rękojeść sztyletu - czym zdumiał i zaskoczył Protektora - i wyrwał mu oręż. Coryphen zareagował jak doświadczony wojownik i rzucił się w tył poza zasięg ramion legata. Legat natychmiast zaatakował nie chronioną - ale bynajmniej nie bezbroną! - królową. Uriona wyciągnęła dłoń przed siebie - nie po to, by się bronić, ale po to, by zaatakować na swój własny sposób. Armantaro poczuł, że w pierś uderza go fala niemiłosiernego żaru. Jakaś siła uniosła go w powietrze i rzuciła w tył. Nadal trzymał w dłoniach rękojeść sztyletu, ale jego głownia znikła. Na posadzce leżało kilka stopionych skrawków żelaza - świadectwo niszczącej mocy Uriony. - Skończ z nim - poleciała królowa niedbale. Coryphen chwycił legata za gardło i podniósł go w górę. Jego potężne, ujęte pławną błoną palce zwarły się na szyi Qualinestyjczyka. Armantaro poczuł, że krew tętni mu w skroniach i zaczyna go otaczać czerwona mgła. W tejże chwili do komnaty wpadł jeden ze sług, który natychmiast po wejściu rozpląszczył się na posadzce, dokładając niemałych starań, by przypadkiem nie podnieść wzroku na władczynię. - Najłaskawsza z bogiń! - wystękał. - Lord Kios, przywódca morskich braci, błaga o natychmiastową audiencję u Lorda Protektora! Sługa odwrócił uwagę Coryphena i ten rozluźnił śmiertelny uścisk ma gardle starego legata. Armantaro zwałił się na posadzkę, gdzie zaczął charczeć, rozpaczliwie łapiąc oddech. Coryphen również odetchnął głęboko raz i drugi. Jego skrzela nadęły się i sflaczały. - O Boska, nie byłoby rzeczą właściwą, gdybym zabił tego nędznika w twej przytomności - oznajmił. - Wezmę go na zewnątrz i usunę razi na zawsze.

Skinął na służącego, który wywlókł pozbawionego sił legata z sali. Coryphen ruszył za nimi. - Nie pozwolę ci odejść! - rzekła Uriona ostrym głosem. - Ja zaś o pozwolenie nie prosiłem. Wysłucham Kiosa i pozbędę się suchawca. Potem wrócę, Pani. Wyszedł, dumny i niezłomny. Zostawiona samej sobie Uriona uśmiechnęła się z satysfakcją. Włożyła w to sporo wysiłku i długo to trwało, ale w końcu Coryphen zaczął podejmować własne decyzje. Jeśli ma zostać jej królewskim małżonkiem - co było gorącym życzeniem królowej - musi nauczyć się myśleć samodzielnie i przestać być wyłącznie wykonawcą jej woli. Vixa płynęła wolno tuż nad dnem, sondując otaczający ją mrok. Bruzda Mortas nigdy nie była szczególnie urokliwym miejscem, nawet w najlepszych czasach. Po zakończeniu ostatniej bitwy zaczęła przypominać piekło. W mroku myszkowały tu mureny, rekiny i inne drapieżniki żerujące na martwych skorupiakach. Dziwacznym zrzędzeniem losu po śmierci chilkity traciły swą karmazynową barwę - ich skorupy stawały się upiornie białe. Od dwu dni księżniczka szukała Naxosa, przepatrując pogranicze grodu i okolicę. Początkowo fakt, iż nie mogła znaleźć jego ciała, dodawał jej otuchy, potem jednak nadzieja zaczęła ustępować miejsca rozpacz. Nigdzie nie mogła go znaleźć. Plantacje wodorostów i koraliby były puste. Nie natknęła się

też na żaden ślad poprzedniego wodza morskich braci na farmach krewetek, w stoczniach ani na wysypiskach muszli, na które Dargonestyjczycy wyrzucali wszelkie rybie odpadki. W końcu zostało jej jedno tylko miejsce do przeszukania - Bruzda Mortas. Wiedziała już, że kiedy przyoblekała ciało delfina, jej najczulszym zmysłem stawał się słuch. Płynąc wolno nad dnem Bruzdy, słyszała nie milknący zgiełk, żaden z tych głosów nie przypominał jednak dźwięków wydawanych przez rannego delfina. Zawołała go. Żadnej odpowiedzi. Zawołała głośniejsze. Jedynym dźwiękiem, jaki odebrała, był szum wody w pieczarach wycięty w skałach przez chilkity. Kilkakrotnie przepłynęła nad sporym otworem w zboczu góry. To musiał być tunel, który wyrąbały chilkity, by dostać się do Groty Nissii. Ostrożnie wpłynęła w głąb czarnej jamy. Jakies drobne stworzonka rzuciły się do panicznej ucieczki. Morze zaczynało egzekwować już swoje prawa wobec tego terytorium. Nad głową zobaczyła drżenie fal, które świadczyło o bliskości powierzchni. Po chwili wynurzyła pysk z wody. Trafiała do małej, wypełnionej powietrzem pieczary. szerokiej może na dziesięć kroków. Z otwartego pyska buchnęła jej para. Vixa ruszyła w koło, badając otoczenie i

brzezi. Znaki na ścianach pokazały jej, że i tę komorę wycięły chilkity. Nagle zobaczyła coś pomiędzy kamieniami. Podpłynęła bliżej. Stopa... ludzka stopa! Cofnęła się i trąciła ją pyskiem. Ku jej radości i zdziwieniu, stopa drgnęła. - Co... u licha? - spytał ktoś w elfim języku. Dziewczyna odpowiedziała szybkim trybem. Pomiędzy skałami ukazała się blada twarz. Naxos! - Vixa Ambrodel... Cóż za miłe spotkanie... - powiedział tak spokojnie i zdawkowo, jakby spotkali się na przechadzce w miejskim parku. Dziewczyna szybko przybrała ludzką postać. Choć kilkakrotnie już poddawała się transformacji, uczucie towarzyszące metamorfozie ciągle ją zdumiewało. Jej nogi i ramiona rozciągnęły się niepomierne - i cały świat wokół niej całkowicie się zmienił. Potężną muskulaturę delfina zastąpiła smukła sylwetka elfiej panny. Wkrótce płynęła żabką i dygotała z zimna. Nie bez trudu wciągnęła się na wąską skalną półkę. - Wybacz, że nie wstaję - Naxos wskazał swoją ranę. Włócznia Coryphena ugodziła go w biodro. Rana była czysta - ale dość rozległa. - Dzięki niech będą Astrze! Żyjesz! - wykrzyknęła dziewczyna. - Szukałam cię od kilku dni! - Szukałaś mnie? - Twarz Naxosa nagle spochmurniała. - Dla Coryphena, jak sądzę? Niewiele brakło, a z oczu Vixy sypnęłyby się skry. - Jak śmiesz! Coryphen sądzi, że nie żyjesz, ty głupcze! - Wybacz, księżniczko. - Naxos uśmiechnął się lekko. - Obawiam się, że ból i głód pozbawiły mnie całego mojego nieodpartego wdzięku. Leżał na nagiej, twardej skale i wyglądało na to, że nikt - jak dotąd - nie zajął się jego raną. Vixa nie mogła uwierzyć, że w tym zimnym, wilgotnym miejscu przetrwał trzy dni. Uklękła szybko obok niego. - Coryphen uważa mnie za nieboszczyka? Oby ta pomyłka okazała się dlań fatalną - mruknął cicho Naxos. Skrzywił się, zmieniając pozycję. - Kios w imieniu wszystkich morskich braci złożył przysięgę wierności Naxosowi i Urionie. - Ot, braciszku... - westchnął Naxos, ale w jego głosie nie było sarkazmu. - Teraz, kiedy cię znalazłam - ciągnęła Vixa z nadzieją - wszyscy możemy uciec. Ty i ja możemy zabrać na brzeg Armantaro i Gundabyra. Naxos jednak wskazał na swoje biodro. - W tym stanie nigdzie się stąd nie ruszę. Jeśli zacznę krwawić w wodzie, rekiny szybko skończą to, co zaczął szlachetny Protektor. Przez chwilę patrzeli na siebie oboje i zastanawiali się, co począć w tej sytuacji. Gdzieś z

góry sączyła się woda. - Przyniosę ci żywność i jakieś opatrunki - powiedziała Vixa. - Wyleczymy twoją ranę, a potem uciekniemy. - Nie. - Jak to? - Coryphen szybko spostrzeże się, że wypływasz i gdzieś znikasz. Jeśli zaczniesz podejrzewać, że żyję, on i ta jego wiedźma szybko odnajdą mnie za pomocą magii. Usiadł, rozciągając ranę - i jęknął głośno z bólu i wściekłości. Zaciśnąwszy zęby, opanował się jednak i po chwili odezwał się niemal spokojnym głosem: - Posłuchaj, księżniczko. Wiesz, gdzie w mieście znaleźć świątynię Zury? - Dziewczyna kiwnęła głową. - W tejże świątyni znajdziesz sadzawkę, do której wlewa się strumień wody wypływający z ust posągu boga.

Udasz się do niej, napełnisz amforę wodą z tej sadzawki i przyniesiesz mi ją. - Po co? Czy to cię uzdrowi? - Tak... Owszem, uzdrowi mnie... - Czy jej się zdawało, czy też naprawdę do jego głosu zakradła się nutka niepewności? - Jeszcze coś? - spytała z wahaniem. - Nie... to wszystko. Przynieś mi tę wodę, ale zanim tu przyplyniesz, upewnij się, czy amfora jest szczelnie zamknięta. Nie dopuść, by woda Zury zmieszała się z morską. Vixa ześlizgnęła się do sadzawki i przybrała delfinią postać. Złapawszy kilka drobniejszych rybek, przyniosła je Naxosowi, który zjadł je z apetytem. Działając wedle jego instrukcji, znalazła też w morzu kilka długich pasm wodorostów. Razem zrobili z nich gruby okład, którym osłonili ranę zmiennokształtnego. - Księżniczko, dostarcz mi wodę ze źródła Zury, a uciekniemy jeszcze tego samego dnia! - obiecał jej Naxos. Dziewczyna kilkakrotnie prychnęła w wodzie i dała nura do tunelu wiodącego ku morzu.

Rozdział 15 - Woda Zury Z biegiem dni trzydziestoosobowa grupka niewolników, którzy przeżyli zatopienie Groty Nissii, zaczęła się kurczyć. Bezczyność i znużenie przemagały stopniowo ich strach przed podmorcami i pojedynczo lub dwójkami coraz częściej opuszczali Zbrojownię i wychodzili do miasta. Gundabyra zastanowiło to, że sam nigdy nie spotkał żadnego z nich podczas swoich wędrówek po mieście - i żaden z tych, co raz wyszli, nie wrócił do Zbrojowni. Szóstego dnia pozostała przy nim tylko garstka ludzi. Wszyscy bez wyjątku byli zbyt chorzy lub ciężko ranni i nie mogli wychodzić. Przed trzema dniami ruszył na poszukiwanie księżniczki legat Armantaro - i też nie wrócił. Z pałacu przybył posłaniec z wieściami, że stary wojak dla dwu powodów zdecydował się tam zamieszkać. Postanowił po pierwsze zostać z księżniczką, po drugie - w pałacu były podobno lepsze warunki do leczenia jego dolegliwości. Jakkolwiek by było, Gundabyr poczuł się ostatnio trochę jak ów dowódca kawaleryjskiego pułku kenderów ze sławnej historyjki. - Na wroga! - ryknął wódz i pięć setek jego podwładnych podcięło swoje kucyki, ruszając na poszukiwania swoich osobistych wrogów, nieświadom zaś tego faktu pułkownik zaatakował nieprzyjaciół w pojedynkę. Wreszcie Gundabyr postanowił sam odszukać Armantaro i Vixę. Wszystko było lepsze niż samotne siedzenie na tyłku w Zbrojowni, w której nic już nie miał do roboty i gdzie nie było do kogo otworzyć gęby. Musiał czymś zająć myśli - inaczej mógłby zwariować, wspominając nieszczęsnego Garnatha. W mieście, gdzie przeciętny mieszkaniec miał siedem stóp wzrostu, nie sposób było ukryć przysadzistą, krasnoludzką sylwetkę Gundabyra, tak więc nawet tego nie próbował. Większość Dargonestyjczyków wróciła już do swoich zwykłych zajęć, towarzyszący Gundabyrowi tłumek składał się więc głównie z dzieci. Gdy wyszedł ze Zbrojowni, otoczyło go kilkunastu „maluchów” - z których niektórzy wyżsi byli odeń przynajmniej o głowę - i wszyscy ruszyli za nim, gdy skierował się ku centralnej rampie. Dzieci nie miały oczywiście złych intencji, krasnoludowi jednak zdążyło się już sprzykrzyć to, że wszyscy się na niego gapią. Odwrócił się więc i wrzasnął gniewnie: - Do domu... a kysz! Przestraszone dzieci rzuciły się do ucieczki, Gundabyr zaś ruszył na poszukiwania przyjaciół. Kiedy dotarł na najwyższy poziom, ze zdumieniem odkrył, że zwykłe blokująca tu przejście

magiczna bariera została usunięta. Za rampą widział lśniący zielenią pałac. Nigdzie też nie dostrzegł żadnej straży. Krasnolud ruszył przez plac i doznał kolejnego wstrząsu. Cały dziedziniec zatłoczony był rynsztunkiem - ustawiono tu tysiące stojaków na włócznie i oszczepy, w dal ciągnęły się rzędy worków z suchym prowiantem, dalej dostrzegł całe komplety pancerzy, hełmy i - najbardziej intrygujące ze wszystkiego - szeregi glinianych pojemników, takich samych jak te, które wymyślił na ogniste lance. Podmorczy uzupełniali wyposażenie armii - ale po cóż mieliby to robić? Zagrożenie ze strony chilkitów należało już do przeszłości. Słyszał, że gdzieś w głębi poruszają się Dargonestyjczycy, ale pole widzenia ograniczały mu stosy zapasów. Spróbował precyzyjnie się wśród tych dóbr, którymi można by wyekwipować ze dwie armie, i wkrótce dotarł do stołu, gdzie rozłożono jakieś papiery - morskie elfy wytwarzały całkiem niezłe karty z wodorostów. Krasnolud szybko

przebiegł wzrokiem pierwszy z dokumentów. Była to mapa. Gundabyr nie potrafił odczytać pochyłego, dargonestyjskiego pisma, bez trudności jednak rozpoznał południowe obszary Silvanostu. - Hej ty! Suchawcze! Zostaw to i nie ruszaj się! Takim tonem nie zwracano się doń już od dość dawna. Nie wiedzieć skąd zjawili się czterej strażnicy, którzy wyrwali mu mapę z dłoni i niemal siłą wywlekli na zewnątrz. - Wywalcie tego suchawca z królewskiej rezydencji - powiedział oficer złowróżbnym tonem. Trzej żołnierze ruszyli na Gundabyra, ten zaś nagle zacisnął pięść - a nie różniła się ona rozmiarami ni wagą od skrzynki na gwoździe - i niemal bez rozmachu wyrzucił oficera w brzuch. Smukły elf prawie uniósł się w powietrze, frunął ku swoim podwładnym i cała czwórka zwała się na kupę. Leżąc na ziemi, przedstawiali sobą miły oku krasnoluda widok, łoskot bosych stóp powiedział mu jednak, że nadciągają posiłki. Nie było to miejsce dla samotnego mistrza rzemiosł, nade wszystko miłującego pokój! Gundabyr capnął mapę, wsunął ją sobie pod kurtkę i rzucił się do ucieczki. To, że nie chcieli, by przyjrzał się tej mapie, wydało mu się niezwykle ważne. Zgromadzone wszędzie zapasy żywności i oręża sprawiły, że plac przekształcił się w prawdziwy labirynt. Gundabyr przemknął jednym krętym korytarzem, potem dał nura w drugi - ale nieustannie natykał się na podmorców. W końcu zdecydował, że sam sobie otworzy drogę. Poczęstował stojak z włóczniami kopniakiem i rzucił się na przelaj przez szeregi uzbrojenia. Po całym placu rozniosły się pełne wściekłości okrzyki - ktoś nawet cisnął za nim oszczepem, który nieszkodliwie wylądował na posadzce. Gundabyr pochylił głowę i wpadł na szereg tarcz. Zawadził o coś krzepkimi nóżkami i runął na ziemię. Tarcze zwały się na niego, przykrywając go dokładnie

i szczelnie. Przez chwilę leżał cicho. Gdzieś niedaleko miotali się poszukujący go Dargonestyjczycy. Kiedy w końcu usłyszał, że się oddalają, wyczołgał się spod rumowiska tak ostrożnie i cicho, że zawstydziłby wracającego do domu po pijatyce węża. Po pięciu jardach natknął się jednak na blokujący mu przejście jakiś pakunek. Spróbował odsunąć go na bok, paczka była jednak dość ciężka. Odpychając zawiązany wór, mimo woli musiał zbadać dłoń kształt jego zawartości. Poczul jakby... Rzuciwszy pospieszne spojrzenia na boki, zaczął rozwiązywać liny i sznurki. Rozerwał też boczną powierzchnię wora i zrobił z niej dziurę - z której wysunęła się sękata ludzka dłoń. Po co, u licha, ktoś miałby ukrywać tu na placu martwego człowieka? Dopiero teraz dostrzegł, że nieopodal leży jeszcze kilkanaście takich worków. Opanowała go zimna, mordercza wściekłość. Nic dziwnego, że żaden z niewolników nie wrócił już do Zbrojowni. Coryphen kazał ich tu po prostu pozabijać! Każdy z prowizorycznych całunów obciążono kamieniem. Krasnolud przeklął w duchu Coryphena tak, że gdyby życzenia miały jakąś moc, Protektor w tejże chwili wyciągnąłby kopyta. Po tym, jak ładowcy pomogli w pogromie chilkitów, Coryphen nie mógł ot tak, po prostu ich ścinać czy utopić. Nie... łajdak pozwolił niewolnikom hołubić złudzenie wolności, a potem kazał swym zaufanym sekretnie ich pomordować! Oby Reorx wypalił mu ślepią! Dał przecież słowo! Jeden worek był nieco dłuższy od pozostałych. Gundabyr przełknął ślinę, podczołgał się bliżej i rozdarł tkaninę. Armantaro. Krasnolud poczuł prawdziwy strach. Od kilku już dni nie widział księżniczki Vixy. Może i ona była już wśród martwych. Mogło się okazać, że oprócz kilku rannych i chorych, co zostali w Zbrojowni, Gundabyr pozostał jedynym ładowcem w Urione. - Godzi się zauważyć, że przyszłość naszego młodego krasnoludzkiego zucha rysuje się w ciemnych barwach - mruknął kwaśno. Delikatnie i ze czcią przykrył twarz starego legata. Armantaro był dobrym towarzyszem, dzielnym wojownikiem i mądrym elfem. Gundabyr pomodlił się do Reorxa, prosząc go, by przemówił za legatem u Astry, najwyższego bóstwa elfów. Potem pomodlił się za siebie samego. Bez boskiej pomocy nie wyniesie stąd całej skóry. Poczłgał się dalej, używając całej swej niemałej w końcu krzepy ramion. Szybko dotarł do okalającej plac kolumnady. Tu nie gromadzono już żadnych dóbr, nie miał się za czym skryć, więc się zatrzymał. Gdzieś z tyłu dobiegał go jakiś rumor i

przekleństwa - żołnierze nadal przeszukiwali stopy i stojaki. Uznał, że najwyższy czas zmiatać.

Kryjąc się w cieniu ściany, ruszył dalej tak żwawo, jak pozwalała mu na to krępa budowa i krótkie nogi. Musiał przy tym mijać liczne drzwi - nie wiedząc, czy któreś się nie otworzą i czy nie wyjdzie z nich ktoś, kto podniesie wrzask. Minawszy szóste z kolei, zatrzymał się i przywarł do ściany niemal tak płasko, jak - dość gruba - kartka papieru. Gdzieś z przodu doleciał go odgłos rozmowy. Z bocznego korytarza wyłonił się Coryphen w towarzystwie dwu żołnierzy - cała grupa zatrzymała się pod portykiem. - Zabierajcie się do szukania! - warknął Protektor. - I znajdźcie mi tego krasnoluda... a żywo! - A księżniczka? - spytał jeden z Quoowahbów. Coryphen obejrzał się w stronę, z której przyszli. - Ona nic już nie zdołała. Do roboty! Ona! Mogła to być tylko Vixa Ambrodel! Więc jeszcze żyje! Gundabyr odczekał chwilę i - gdy tylko Protektor poszedł swoją drogą - wślizgnął się w opuszczone przezeń przejście. W głębi było widać kilkoro drzwi i Gundabyr wstrzymując oddech, zbadał wszystkie. Na samym końcu korytarza znalazł drzwi, których powierzchnię szpecił zamek. Rygiel był wprawdzie podniesiony, ale - jako że był to pierwszy zamek, na jaki krasnolud natknął się w całym grodzie - wszystko to zaciekało go niezmiernie. Przyłożył ucho do granitowej płyty. Nie usłyszał żadnego dźwięku. Postanowił spróbować szczęścia. Pchnął drzwi i zajrzał do środka. Wewnątrz, plecami do drzwi, na ciężkim i solidnym fotelu siedziała Vixa Ambrodel. Miała wprawdzie na sobie zieloną, dargonestyjskiego kroju suknię, ale dla złotych włosów dziewczyny nie można było pomylić z żadną mieszkanką mórz. Gundabyr szybko wsunął się do komnaty. - Wypuść mnie stąd, Coryphenie! - zawołała Vixa, usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi. - To tak odwdzięczasz się tym, którzy ci pomogli? - Cyt, pani, to ja! Gundabyr Ironbender, do usług. - Gundabyr! Uwolnij mnie od tego! Zaszedłszy księżniczkę od przodu, krasnolud ujrzał dziwny widok. Vixa nie była skuta ani w żaden sposób związana. Siedziała jednak w fotelu sztywno i nieruchomo, patrząc ku ścianie. W powietrzu zaś, wisząc poziomo o włos od piersi dziewczyny, tkwił nieruchomo dargonestyjski oszczep. W połowie jego drzewca migotał złotem zwykły pierścień. - A cóż to takiego? - Żart Coryphena... który dawno już zwiertzał! Z tym pierścieniem związał zaklęcie! Jeżeli go dotknę, oszczep przeszyje mnie na wylot! - A jeżeli usunę oszczep? - Nie! Nie ruszaj go! Jedyne, jaką możesz zrobić, to zdjęcie pierścienia! Zsuń go wzdłuż drzewca, ale nie dotknij nim oszczepu! Kiedy pierścień zniknie, zaklęcie zostanie złamane.

- Zdjąć pierścień, nie tykając oszczepu? - skrzywił się krasnolud. - Niełatwa to rzecz, księżniczko! Nie dziwota, że Coryphen nie zasunął rygla na zewnątrz. - Gundabyrze, możesz tego dokonać! Masz zręczne palce i nerwy wytrzymalsze od stali, którą obrabiasz. - Nie martwię się o swoją biegłość czy nerwy, pani. Niepokoi mnie natomiast grubość moich paluchów... - Do dzieła, Gundabyrze! Musi ci się udać! Znalazłam sposób, by nas stąd wydostać... znam drogę do domu! Krasnolud kiwnął głową i kilkakrotnie wytarł dłonie o portki. Wyciągając przed siebie prawą dłoń, zgiął też parę razy swe krótkie, sękate palce. Zbliżywszy je na cal do pierścienia, nagle się cofnął. - Nic z tego, pani! Powiadają ci. Mam za grube paluchy! Zginiesz, jeżeli dotknę pierścienia... - Jeśli zaś tego nie zrobisz, śmierć czeka nas oboje... Gundabyr przysiadł na piętach i uważnie przyjrzał się pierścieniowi i włóczni. Nie było sposobu, by usunąć pierścień, nie tykając drzewca. Gdyby miał przy sobie piórko... mógłby je wetknąć pomiędzy drewno i metal... Nie miał jednak piórka, narzędzi... nie miał niczego. Westchnął ciężko. Pierścień zadrżał lekko - i jakby przesunął się nieznacznie w tył. Czyżby... Szybko wyjaśnił Vixie swój pomysł. Twarzyczka księżniczki spłynęła potem - ale dziewczyna zgodziła się, że trzeba spróbować. Gundabyr stanął tuż za nią. Przechyliwszy się przez jej ramię, dmuchnął na pierścień. Cienki krąg metalu zadrżał, ale nie ruszył się z miejsca. Krasnolud chnął mocniej... i pierścień przesunął się dwa cale w tył. - Hura! - ucieszyła się Vixa. - A widzisz? Możesz to zrobić! - Owszem... ale sporo się nadmuchałam! Gdy Gundabyr przerywał znużoną

robotę dla zaczerpnięcia tchu, księżniczka pospiesznie opowiadała mu o tym, jak I stała się delfinem, jak znalazła tunel chilkitów i o dokonanym tam odkryciu. Gundabyr zdążył do tego czasu przesunąć pierścień na połowę dystansu. - Aaa... więc on żyje? - krasnolud sapał tak, że mógłby zagłuszyć miechy w swej kuźni, a głowę miał czerwoną jak głęboko zawstydzony chilkit. - Miło mi to słyszeć. Wszystko, co może pokrzyżować plany tego nadętego, kłamliwego dupka, sprawia mi osobistą satysfakcję. Gdy po kilkunastu minutach sapania i dmuchania pierścienia był parę cali od końca drzewca, Gundabyr zrobił sobie przerwę i objaśnił księżniczce, co działo się w mieście po bitwie. Kiedy w swej opowieści dotarł do odnalezienia ciał pomordowanych i przygotowanych do wyrzucenia w

morze towarzyszy, Vixa zbladła jak płótno. - Armantaro też? - spytała szeptem. Krasnolud kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z pierścienia. Zaczął znów dmuchać, starając się nie widzieć łez w oczach dziewczyny. - On był chory... Zmarł od kaszlu... czy go zamordowano? - Pani... inni nie byli chorzy... i też trafili do tych worków. - Ale Coryphen dał słowo! Obiecał, że nas uwolni! - Najwyraźniej się rozmyślił! Vixa poczuła ogarniającą ją falę nienawiści. Armantaro nie żyje! Jak Harmanutis, Vanthanoris, kapitan Esquelamar i wszyscy, których знаła. Wszyscy, z którymi wyruszyła na „Wieczornej Gwieździe”, zginęli. Zabici przez Coryphena lub za sprawą jego szalonej królowej. - Nie ruszaj się, pani! - syknął krasnolud. Vixa zmusiła się do bezruchu, odsuwając rozpacz i żalobę na potem. Teraz niewiele mogła zdziałać. - Zabiję oboje! - rzekła cicho do siebie samej. Jej głos drżał od zimnej, przepełniającej ją nienawiści, było w nim też tyle determinacji, że Gundabyr na chwilę przerwał dmuchanie i spojrzał na nią z przestachem. Twarz księżniczki - uważana w Qualinoście za „ludzką” ze względu na to, że w żyłach dziewczyny płynęła czwarta część krwi ludzkiej - zmizerniała bardzo z powodu udręk losu, które stały się udziałem Vixy. Kiepskie jedzenie i chłód wyostrzyły jej rysy i niemal pozbawiły ją barwy. Krasnolud widział jednak wyraźnie nieposkromioną wściekłość płonąca we wzroku dumnej dziewczyny. - Księżniczko, już prawie skończyłem - powiedział w końcu. - Jesteś gotowa? - Owszem. Nadał policzki i dmuchnął potężnie. Pierścień pofrunął w górę i odbił się od ściany. W tejże chwili unieszkodliwiony oszczep spadł na posadzkę. Vixa natychmiast zerwała się z krzesła i porwała oręż w dłoń. - Dziękuję, przyjacielu! Ruszajmy! Krasnolud powstrzymał ją dłonią. - Uciekamy, księżniczko, nieprawdaż? Nie nacieszysz się zemstą, jeśli wcześniej dasz się zabić. Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli dobiegający z zewnątrz gwar głosów. Vixa natychmiast ponownie siadła na krzesło. Gundabyr skoczył w odległy róg komnaty i skrył się za kamienną kolumną. Do komnaty wszedł Coryphen, zostawiwszy dwu przybocznych na korytarzu. - Witaj, księżniczko! - odezwał się uprzejmie, acz nie bez ironii. - Ty ciągle tutaj. jak widzisz? - Z miejsca, w którym się zatrzymał, nie mógł dostrzec, że uwolniona od zaklęcia Vixa siedzi na fotelu z własnej woli. - Kiedy dotrzymasz słowa i mnie wreszcie uwolnisz? Zanim odpowiedział, Protektor jakby

zawahał się na moment. - Już niedługo... - odparł szybko. - W tej chwili moi wojownicy szukają tego krasnoluda... Gundabyra. Myślałem, że mógłby tu jakoś trafić... - Niestety... los zrzucił inaczej. Czy Armantaro jest gdzieś niedaleko? Chciałabym z nim pomówić. - To niestety niemożliwe. Boski Majestat wydał inne rozkazy. Vixa z nie małym trudem stłumiła chęć przeszywania zdrajcy oszczepem. Powstrzymała ją świadomość, że gdyby dała upust nienawiści, naraziłaby także Gundabyra - który musiałby stawić czoło dwu zostawionym na korytarzu przybocznym. - Coryphenie, Coryphenie... i ty mówiłeś o honorze? Czy Quoowahbowie nie potrafią dotrzymywać obietnic? - Pani... radziłbym ci, żebyś... nie budziła mojego gniewu. Żyjesz tylko dzięki... - i nagle przerwał. - Tak? No, dalejże, Coryphenie! Z jakąż to prawdą omal się nie zdradziłeś? Protektor zacisnął pięści. - Żyjesz tylko dlatego, że sprzeciwiłem się woli mojej boskiej władczyni. Ona domaga się twojej śmierci, Vixo Ambrodel, ale ja chyłkiem kazałem moim przybocznym zawieść cię tutaj! - Jakież to miłe z twojej

strony! Dlaczego to uczyniłeś? - Bo Protektor Urione wie, co to honor! Vixę zaczęło już boleć ramię, w którym podtrzymała oszczep tuż poniżej grotu. - Ale co mi z tego przyjdzie? - Gdy zdobędziemy już Silvanost i Uriona zostanie ukoronowana jako władczyni wszystkich elfów, każę cię uwolnić. Może nawet nadasz się na namiestnika Qualinostu, gdzie będziesz rządzić w imieniu Jej Boskości? Zdumienie niemal pozbawiło Vixę tchu w płucach. Coryphen, który widocznie sądził, że ona przyjmie na siebie rolę powolnego narzędzia zdobywców, musiał być równie szalony, jak jego władczyni. Jakże mało znał Qualinestyjczyków! - Ufam, że w swoim czasie i ty uznasz władzę Jej Boskości - ciągnął Protektor. - Moja władczyni jeszcze będzie mi wdzięczna za to, że uchroniłem cię od śmierci! - Pani! - W drzwiach ukazał się jeden z przybocznych. - Straże meldują, że w Zbrojowni wybuchły jakieś zamieszki! - Jakie znowu zamieszki? - Spór - a właściwie bójka - pomiędzy ocalałymi suchawcami i morskimi braćmi. Coryphen zmełł w ustach sążniste przekleństwo i wypadł na korytarz. W tej samej chwili Gundabyr wysunął się zza kolumny, Vixa zaś z westchnieniem ulgi puściła oszczep, pozwalając

mu opaść na posadzkę. - Oby szczęście! - wściekała się, rozcierając zdrętwiały nadgarstek. - Słyszałeś? Powiedział, że byłby ze mnie dobry namiestnik w Qualinoście! Co on sobie wyobraża? Uważa mnie za naiwną idiotkę, którą można kupić pozorami władzy? - Pani, czas nam ruszać! - ponaglił krasnolud. . Gdy znaleźli się pod kolumnadą, Vixa coś sobie przypomniała. - Musimy zajrzeć do świątyni Zury. Naxos potrzebuje wody ze znajdującej się tam fontanny.. bez niej nie wyzdrowieje. Część drogi wypadała im przez centralną, wijącą się ślimakiem w dół pochylnię. Vixa opadła na czworaki i zaczęła czołgać się przez plac. Zgromadzone do wojny zapasy ukryły ich przed wzrokiem strażników - aż dotarli do zejścia. Gundabyr przeturlał się pierwszy, za nim podążyła Vixa. Droga była wolna. Z dolnych poziomów dobiegła ich wrzawa głosów. Skradając się w dół, Vixa i krasnolud zastanawiali się, co też działo się niżej. - Bunt? Nie wierzę... - zastanawiał się Gundabyr. - Jedyńi lądowcy, jacy zostali w Zbrojowni, są zbyt słabi by chodzić... a niektórzy i z mową mają problemy. Żadną miarą nie mogli wszcząć zamieszek! - Tak czy owak, zdarzyło się to w samą porę. - Vixie przyszło na myśl, że może wcale nie był to zbieg okoliczności. Intensywny zapach kadzidła przypomniawszy jej, że znaleźli się na poziomie świątyni. W głębi mogli dostrzec odzianych w powłóczyście szaty kapłanów i kapłanki, którzy kręcili się tu w sprawach boskich - lub własnych. Wyglądało na to, iż niepodobieństwem jest, by Vixa i krasnolud prześlizgnęli się, nie zwracając na siebie uwagi. Praktyczny Gundabyr wyciągnął zza węgła łapę i niczym pajak muchę, złapał ze swego ukrycia przechodzącego mimo akolitę. Solidne uderzenie kantem dłoni za ucho wystarczyło, by młody kapłan pograżył się w przymusowej drzemce. Mieli już szatę. - Jesteś za niski, by udawać podmorca - zwróciła się Vixa do krasnoluda. - No... bez obrazy, ale ty też, pani. Vixa przez chwilę rozmyślała o całej sytuacji i nagle uśmiechnęła się jak mała dziewczynka, która zamierza spłatać komuś figla. Pochyliwszy się, powiedziała coś szeptem Gundabyrowi - i na brodatej gębie krasnoluda również pojawił się przewrotny uśmieszek. W chwilę później do snujących się po okolicy akolitów dołączył wysoki, zakapturzony mnich w szarym habicie. Od kolegów różniło go jedynie to, że uważnie przyglądał się inskrypcjom przy wejściach rozmaitych sanktuariów. - Potrafisz to przeczytać? - rozległ się nieco stłamszony głos dobiegający gdzieś z okolic

brzucha przybysza. - Sza! Nogi nie mówią! Powiem ci później! Siedząca na ramionach krasnoluda Vixa lekkim kopnięciem lewej pięty skierowała „obarczonego” nią Gundabyra ku wąskiemu zaułkowi. Dziewczyna oczywiście nie czytała pisma Dargonesti, tu jednak, w rejonie świątyni, posługiwano się nadal staroelfickim, jaki przed tysiącem lat był w użyciu również w Silvanoście. Oczywiście litery i słowa należały do - delikatnie mówiąc - wycofanych z obiegu, ale Vixa, która lubiła czytać starożytne kroniki, niezłe się w nich rozeznawała. Teraz okazało się, że

przechodzi obok świątyń poświęconych bóstwom zwanym El- ai, Rybak i Ke-en. Dziewczyna szybko doszła do wniosku, że są one dargonestyjskimi odpowiednikami E'li, Błękitnego Feniksa i Quen. Zbiegowie dotarli do mniejszego, kolistego dziedzińca, wokół którego rozstawiono trzy świątynie. Poświęcono je bóstwom o imionach Matheri, Estarin i Zura. - O co chodzi? - wystękał krasnolud, gdy Vixa westchnęła ze zdziwienia. - Ci Dargonestyjczycy to lud dziwaków - odpowiedziała dziewczyna. - Właśnie pojęłam, że bóstwami czczonymi w tych trzech świątyniach są Mantis od Róży, Astra i Zeboim. - Ostatnie imię mocno zdumiało krasnoluda. W Thorbardinie znano, owszem, boginię Bhezomix, nie wznoszono jej jednak żadnych świątyń. Po cóż rasa zamieszkująca wnętrza gór miałaby czcić morskie bóstwo? Cóża złej bogini Takhisis, Zeboim znana była jako osoba kapryśna, łatwo wpadająca w gniew i bardzo, bardzo niebezpieczna. - Chcesz powiedzieć, że uwielbiają tu po równi bogów złych i dobrych? - spytał Gundabyr Vixę. - Na to wygląda. Teraz rozumiem, dlaczego Naxos był taki zdenerwowany, kiedy opowiadał o wodzie Zury. W odpowiedzi na to, Gundabyr stęknął boleśnie. - Pani... hyyy! Nie chciałbym się skarżyć... głos masz jak słowik... ale wagę znacznie większą! Możemy ruszać dalej? Vixa kiwnęła głową. - Musimy. Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić. Ruszyli ku świątyni Zury. Budowlę tę wzniesiono jako piramidę o świątym wierzchołku, wykonaną z układanych na przemian warstw jadeitu i krwistego koralu. Wedle opinii księżniczki całość robiła wrażenie przesadnej ostentacji. Zewnętrzne ściany świątyni pokrywały płaskorzeźby, które przedstawiały najrozmaitsze formy niszczących sił morza - grzywaczy przyływu, wałów przyboju i wysokich niczym góry fal wywołanych trzęsieniami dna morskiego. Nieopodal pojawiła się para kapłanów. Każdy miał na szyi medalion z morskim żółciem, godłem Zury - a raczej Zeboim. Gdy podeszli bliżej, Vixa z trudem powstrzymała zdumione sapnięcie - zamiast zwykłej dla podmorców błękitnej cery, wychylające się spod kapturów oblicza

kapłanów były szare, jakby skosiła ich śmierć. Oczy też mieli mętne, ołowiane i bez wyrazu - jak powierzchnia oceanu w pochmurny, bezwietrzny dzień. Szli drobnymi kroczkami, w dziwny sposób ciągnąc za sobą stopy, i wcale nie poruszali ramionami. W ogóle też nie zwrócili uwagi na wysokiego akolitę, który ruszył za nimi. Wnętrze samej świątyni było wilgotne i pachniało zgnilizną. Nikłego światła dostarczały jedynie smugi fosforyzującej pleśni, porastającej ściany. Stojący w przodzie obaj kapłani na przemian kiwali głowami. Vixa w pierwszej chwili pomyślała, że patrzy na jakiś tajemniczy obrządek, potem jednak doznała uczucia, że coś chłodnego przelotnie musnęło jej czoło. Podniósłszy głowę, dostrzegła cienkie smugi dymu, które unosiły się w powietrzu niczym macki widmowej ośmiornicy. Nie poczuła bólu, ale w jej nozdrza uderzyła fala smrodu zgnilizny i rozkładu. Obaj kapłani znikli w jakimś bocznym przejściu. Vixa i Gundabyr ruszyli przed siebie. Dziewczyna uważnie wypatrywała smużek mgły i baczyła, by ich unikać. W końcu dotarli do środkowej części. Główna komnata również przypominała kształtem ściętą piramidę. Pośrodku, zamiast ołtarza, ustawiono fontannę. Woda tryskała tu z ust Zury, którą wyrzeźbiono z solidnego bloku białego onyksu. Przedstawiona jako morski elf Zura miała twarz, która mogłaby być uosobieniem czystej złośliwości. W oczy bogini wprawiono dwa błękitno-zielone jadeity. - Potrzebny mi jakiś dzban - powiedziała Vixa. - Obróć się, Gundabyrze. - Krasnolud wykonał pełny obrót dookoła osi. - Hej! Nie tak żwawo! Jeszcze raz, tylko wolniej. W ścianach nawy wykuto głębokie nisze. Ustawiono w nich amfory z białej glinki. Vixa wyciągnęła jedną z nich i przekonała się, że jest pusta. Mniejsza niż amfory qualinestyjskie, mogła pomieścić w sobie może kwartę płynu. Powinno to wystarczyć Naxosowi. Wylot amfory zamknięty był kamienną zatyczką, którą trzymała ta sama kleista pasta z wodorostów, jaką pieczętowano pojemniki z gnomim ogniem. Wokół szyjki upleciono uchwyt - również z wodorostów, tym razem suszonych. Gundabyr tymczasem zaniósł ją ponownie do fontanny. Korzystając z tego, że wokół nie było nikogo, rozsunał poły habitu i

zaczepnął tchu. Rozejrzył się przy okazji - jego wzrok padł na posąg bogini. Na widok onyksowej rzeźby, krasnolud szeroko rozdziawił swą brodatą gębę. - Mam nadzieję, że jej gdzieś tu nie spotkamy - sapnął z przejęciem. - Sza! Pochyl się, żebym mogła napełnić dzban! Krasnolud oparł dłonie na krawędzi basenu i pochylił się ku przodowi. Gdy Vixa zanurzała amforę w wodzie, Gundabyr zobaczył, co leżało na dnie basenu. Czaszki. Wiele czaszek. - Ehem.. księżniczko, czy jesteś pewna, że to dobry pomysł? Spójrz na dno. Niewiele brakowało, a Vixa byłaby wypuściła amforę z dłoni. - Na Astrę! Skąd to się tu

wzięło? - Może to jakieś ofiary? Albo... resztki tych, co napili się tej wody. Vixa wzdrygnęła się z odrazą. - Miejmy nadzieję, że Naxos wie, co robi - odpowiedziała, ponownie zanurzając dzban w wodzie. - Powiedział, żeby mu dostarczyć ten płyn, więc go dostanie. Zakorkowała amforę, rozsmarowała brązowy żel wokół zatyczki i podała naczynie Gundabyrowi. Krasnolud przełożył pleciony uchwyt przez ramię i poprawił szatę. Kilku przechodniów obrzuciło ich kosymi spojrzeniami, kiedy przecinali plac i opuszczali świątynny zaułek, ale nikt nie próbował ich zatrzymać. Przy spiralnej pochylni zrzucili szatę i Vixa ponownie odsłoniła ukryty wcześniej oszczep. Zeszli kilka poziomów niżej i okazało się, że dotarli w rejony przeznaczone dla najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli miasta. Domy były tu okazałe i stały w dużej odległości od siebie, teraz zaś cały poziom był niemal pusty. - Są tu i boczne zejścia - powiedziała Vixa, spiesząc przodem. - Jeśli będziemy schodzić w dół, trafimy w końcu do wody. Krasnolud lekko się zasapał, ale dzielnie trzymał w ramionach smukłą amforę. - Nie żebym się czepiał... ale woda jest chyba wszędzie wokół... choć może się myłę. Vixa zatrzymała się nagle, a jej twarz zapłonęła wstydem. - Masz rację! Przegoniłabym nas przez całe miasto tylko dlatego, żeby je opuścić tą samą drogą... - Ale mamy też prawdziwy problem, pani. - Jakiż to? - Wiem, że jeśli zmienisz się w delfina, możesz zatrzymać oddech choćby do południa. Ale mnie zabrakło tchu już na tych krętych schodach... Dziewczyna klepnęła się dłonią w czoło: - Potrzebna nam muszla z powietrzem! - Nie inaczej. Oboje szybko skryli się w zaułku pomiędzy dwoma pięknymi budynkami. Przez otwarte okna mogli widzieć poruszających się wewnątrz mieszkańców. Słyszeli też ciche dźwięki jakiejś muzyki. - Rozważmy sprawę logicznie - szepnęła Vixa. - Taka muszla to w końcu tylko pojemnik na powietrze. Nie ma sposobu, żeby któreś z nas umiało też określić, ile powietrza zawiera jedna muszla. Prawda? - Prawda. I co z tego wynika? - Pojemnik na powietrze... - powtórzyła Vixa, mówiąc jakby sama do siebie i patrząc gdzieś w dal. - Gundabyrze... - spytała nagle. - Ile razy w ciągu minuty nabierasz tchu w płuca?

- Niech mnie powiesz, jeżeli wiem! Dziewczyna koniecznie chciała się tego dowiedzieć. Krasnolud zaczął więc oddychać normalnym tempem, a Vixa liczyła upływający czas. - Stop! - Trzydzieści jeden oddechów! - zameldował Gundabyr. - I co z tego? Powiedzmy, że będę potrzebowała czternaście..., nie, liczymy lepiej piętnaście minut na dostanie się do pieczary Naxosa z tobą na grzbiecie. Potrzebujemy więc dla ciebie powietrza na - szybko porachowała, kreśląc liczby palcem na zakurzonej kamiennej płycie chodnika - czterysta sześćdziesiąt pięć oddechów! Dokonawszy tych obliczeń, wstała i poruszając się na palcach, ostrożnie przemknęła w głąb zaułka, aż ku jego ślepemu końcowi. Przedtem zdążyła wyjaśnić krasnoludowi, że zamierza poszukać beczułki lub jakiegoś wora - czegokolwiek dość pojemnego, by można było zamknąć w tym powietrze, które powinno wystarczyć na drogę do pieczary Naxosa. Gundabyr po prostu będzie łykał powietrze z pojemnika, tak jak podczas podmorskich robót czerpał je z muszli. Krasnolud wzniosł oczy do niewidocznego nieba. Koniec zaułka był zasypany rupieciami. Szybko znaleźli tu kilkanaście wypełnionych śmieciami worków. Jedne były z tkaniny wodorostowej, co czyniło je bezużytecznymi dla Vixy i krasnoluda, przepuszczały bowiem powietrze - inne jednak okazały się uszyte z rekiniej

skóry. Vixa przerzuciła kilka z nich - aż znalazła taki, który miał odpowiedni rozmiar. Szybko opróżniła go ze śmieci. - Ten wystarczy - oznajmiła. Gundabyr spojrział na worek dość podejrzliwie. Ponownie przekradli się ku ulicy. Na jej drugim końcu ujrzeli kilku mieszkańców grodu, nikt jednak nie zwrócił uwagi na dwoje przybyszów. Po przeciwnej stronie wzniesiono ścianę z różowego granitu, będącego budulcem, z jakiego wzniesiono zewnętrzną kopułę całego miasta. W ścianie tej nie dostrzegli żadnych łukowatych otworów, które widywali na wyższych poziomach. Szczęście odwróciło się od nich, co mocno denerwowało Vixę. Czas upływał, oni zaś nie znaleźli jeszcze drogi ucieczki. Martwiła się o Naxosa od chwili, w której ujęli ją żołnierze Coryphena. A jeśli już skończył i w zimnej jaskini znajdują tylko jego trupa? - Hej, księżniczko, tutaj! Stojący kilka kroków dalej krasnolud pokazywał schody wiodące na niższe poziomy. Oboje szybko zeszli w dół. Vixie wydało się, że dostrzega na ścianach roztańczone błyski charakterystyczne dla światła odbijających się od powierzchni wody. U celu powitał ich miły oczom widok. Na tym poziomie, co kilkanaście metrów, rozmieszczono morskie baseny. Vixa przysiadła na brzegu pierwszego z nich i zwróciła się do

towarzysza: - Kiedy zmienię się w delfina, nie będziesz rozumiał mojego języka. Gdy to nastąpi, napełnij worek powietrzem i wskakuj mi na grzbiet. Szybko ześlizgnęła się do wody i wyobraziła sobie, że jest delfinem. Czarno-biały, wrzecionowaty kształt stał się jej równie zwyczajny, jak przedtem elfi. Nie czuła już obawy, gdy jej ciało zeszywniało. Szybko znikła pod powierzchnią. Niemożliwość ruchu ustąpiła, kiedy jednak księżniczka wysunęła pysk z wody, ujrziała, że sytuacja na brzegu zrobiła się dramatyczna. Ku basenowi biegła pędem cała drużyna Dargonestyjczyków - wszyscy z włóczniami w dłoniach, trzymanymi jak do szarży. Od czasu ucieczki z groty, Gundabyr cieszył się nieustannie, że nie musi moczyć się w wodzie - jak wszystkie krasnoludy nie cierpiał wilgoci. Teraz jednak nie zawahał się ani chwili i dał nura. W następnej sekundzie siedział już na grzbiecie księżniczki i mocno obejmował jej boki kolanami. Wywijał też trzymanym nad głową workiem, napełniając go powietrzem do oddychania. - Jazda! - wrzasnął, uderzając piętami, jakby siedział na grzbiecie rumaka. Dziewczyna przechyliła głowę w bok i wzrokiem wskazała mu amforę, nadal leżącą na brzegu sadzawki. - Reorxie, bądź miłościw! - stęknął krasnolud. Porwawszy pleciony uchwyt, przełożył go sobie przez szyję. Podmorcy byli o dwadzieścia kroków i nadciągali niczym stado rozjuszonych byków. Trzymając worek jedną dłonią, Gundabyr drugą złapał za płetwę grzbietową Vixy. - Ruszajże wreszcie! - ryknął. Vixa natychmiast zapadła się pod wodę. Z tyłu dobiegły ją głośnie pluski - to żołnierze skakali strzałką do sadzawki. Dziewczyna miała trudności z wyborem kierunku i poruszaniem się - żaden z morskich braci nie pływał z krasnoludami na grzbiecie! Po przepłynięciu pod łukiem śluzy znaleźli się w morzu. Dziewczyna usłyszała liczne okrzyki, którymi żołnierze wzywali ją do zatrzymania się i nawoływali innych morskich braci, by ją pochwycili. Płynąc szybko jak tylko mogła, skierowała się ku wyłomowi w murze nad Bruzdą Mortas. Dziękowała przy tym wszystkim bogom za to, że pod wodą rzuty oszczepami są prawie niemożliwe. Nieopodal mignął jakiś szarawy kształt. Morscy bracia! Vixa uporczywie płynęła ku Bruździe. Obok niej i nad nią pojawiły się inne wrzecionowate kształty. Co oni wyprawiają - zaczęła się zastanawiać. Przy ich zręczności i szybkości łatwo mogli ją zmusić do powrotu - wyglądało jednak na to, że wcale im na tym nie zależy... - Do czego zmierzacie? - spytała w morskiej mowie. - Nie musisz krzyczeć - rozległ się w pobliżu przyjazny głos. Od wschodu podpływał do niej Kios. - Gonicie mnie czy nie?

- Siostrzyczko... - odpowiedział z pobłażaniem w głosie Kios. - Gdybyśmy chcieli cię ująć, już byśmy cię mieli. - To po co to wszystko? - Ot, udajemy... by oszukać popleczników Coryphena. Powiemy im, że udało ci się uciec. No, ale dość gadania. Zaprowadź mnie do Naxosa. Dziewczyna zwiększyła szybkość. Nie bardzo wierzyła Kiosowi, nic jednak nie mogła na to poradzić. Z

Gundabyrem na grzbiecie nie myślała nawet o ucieczce morskim braciom. Sześć delfinów niczym pociski przemknęło przez wyłom, w murze - Vixa, za nią Kios i jeszcze czterech braci. Vixa popłynęła prosto ku tunelowi wiodącemu do kryjówki Naxosa. Cały czas modliła się w duchu, by nie okazało się, że przyprowadziła Naxosowi katów. Krasnolud aż stęknął z radości, kiedy jego głowa wynurzyła się z wody. Vixa podpłynęła z nim do krawędzi podmorskiego i podziemnego stawu, Gundabyr zaś szybko wylazł na kamienisty brzeg. Wkrótce dołączyła doń księżniczka i Kios - inni zmiennokształtni zostali w wodzie jako delfiny. Naxos był chyba nieprzytomny. Jego skóra zbladła okropnie, leżał też zupełnie nieruchomo. Vixa szybko znalazła się u jego boku. - Co jest w tej butli? - spytał Kios, gdy dziewczyna zaczęła się mocować z zatyczką amfory. - Woda Zury - odpowiedziała Vixa. - On powiedział, że to go uleczy... - Owszem, uleczy jego ranę. I przekształci go w nieumarłego... stanie się jednym z Cieniów Zury... Zaskoczona Vixa wetknęła zatyczkę na miejsce. Przypomniła sobie nieruchome, pozbawione wyrazu twarze kapłanów w świątyni. Naxos stałby się taki jak oni! - Co możemy dla niego zrobić? - jęknęła. Naxos poruszył się niespokojnie. - Vixa... - wymamrotał. - I Dawca Ognia. Kto jeszcze jest z wami? - Ja, Kios. - Przyszedłeś, by ze mną skończyć, braciszku? - No... mógłbym, i owszem. Gdybym przyniósł twoją głowę Coryphenowi, obsypałby mnie bogactwami. - Zdrajca! - Naxos powiedział to głosem cichym i słabym, ale nabrzmiął gniewem. - Ot, pleciesz, co ci ślina przyniesie na język. Naxosie, gdzie twój sławny spryt? A ja dałbym głowę, że będziesz się targował z samą Śmiercią, kiedy przyjdzie po ciebie... - Jestem zbyt osłabiony, by się targować. Zabij mnie albo daj mi wodę Zury. Ból i zimno tak mi dojadły, że ledwo żyję.

Kios wziął amforę z dłoni księżniczki i zdecydowanym ruchem rozbił pojemnik o ścianę pieczary. Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał sam Kios: - Nie godzi się, by wódz morskich braci przystawał do nieumarłych. - Wódz? - spytał Naxos ochryplym szeptem. - Nadal jestem wodzem? - Nigdy nie przestałeś nim być. - Kios podszedł do sadzawki i wydał rozkazy pozostałym w wodzie zmienno-kształtnym. Cztery delfiny znikły w odmětach. Kios zanurzył dłonie w wodzie i spryskał nią wyschnięte skrzydła Naxosa. Vixa i Gundabyr natychmiast zrobili to samo. - Posłuchaj, mój bracie - zaczął Kios, gdy dwójka łowców zakrzętała się wokół Naxosa. - Sprzeciwiłeś się Coryphenowi na polu walki, gdzie otaczały go tysiące oddanych mu żołnierzy. Na Rybaka, Naxosie! Przecie on dopiero co powiódł ich do ostatecznego zwycięstwa nad chilkitami! Musiałem okazać mu lojalność! Na moim miejscu też zrobiłbyś to samo. - Coryphen nie dałby się zwieść mojemu hołdowi - mruknął Naxos. - Ale mnie uwierzył bez zastrzeżeń. Gdybym mu się tam sprzeciwił, oznaczałoby to natychmiastowy wybuch wojny domowej. Pora nam nie sprzyja, ale to się wkrótce zmieni. Coryphen i jego królowa opuszczają miasto. - Opuszczają? zdumiał się Naxos. I dokąd zamierzają się udać? - Ruszają na Silvanost - domyśliła się Vixa. - Uriona utrzymuje, iż objawiono jej, że jeśli zostanie ukoronowana w Wieży Gwiazd, stanie się władczynią wszystkich elfich narodów. - Bądź pozdrowiona, bogini Uriono! - zakpił Naxos. Kios potrząsnął głową. - Nie myśl, że jest szalona - ostrzegł wodza. - Byłem świadkiem przygotowań. Do ataku na siedzibę naszych przodków poprowadzą dziesięć tysięcy wojowników. Uriona namówiła też cztery tysiące Mieszkańców Raf, by przyłączyli się do jej armii. Naxos prychnął z pogardą. - Tym dirmenestyjskim włóczęgom nie można ufać. - Owszem, można... jeśli ofiaruje im się udział w kipach. - Jakie oddziały powiedzie ze sobą Coryphen? - spytała Vixa. - Sześć tysięcy pikinierów, dwa tysiące sieciarzy, tysiąc ognistych lansjerów i liczący tysiąc wojowników doborowy oddział uzbrojony w miecze odebrane potopionym suchawcom. W tym oczywiście i jego straż przyboczna. - Wyłącznie piesi - zastanowiła się Vixa. - Nie macie oddziałów jazdy? - W starym kraju mieliśmy kompanie Ujeżdżaczy Fal dosiadających hipokampów, żadna z nich jednak nie poszła na wygnanie za Urioną. Armia składa się wyłącznie z

piechurów. Oczywiście, z wyjątkiem morskich braci. - Kios uśmiechnął się szeroko i Naxos, choć osłabiony, odpowiedział przewrotnym uśmieszkiem. - Co was tak rozbawiło? - spytała Vixa.

- Coryphen chce, byśmy byli jego zwiadowcami - wyjaśnił Naxos. - I kiedy ruszy w drogę, przekona się, że morscy bracia go opuścili - zakonkludował Kios. Zastępca Naxosa zatarł dłonie. - A my tymczasem wrócimy i zajmujemy miasto! - Nic z tego nie będzie - Naxos potrząsnął głową. - Nie możesz liczyć na to, że uda ci się utrzymać gród przeciwko armii Coryphena. Lepiej już się rozproszyć i zniknąć w oceanach. Gundabyr, który podczas całej tej rozmowy siedział cicho, w końcu jednak nie wytrzymał: - Hej, a co ze mną? Jak przedostaniemy się do domu? - Wysłałem braci po bandażę i uzdrawiające maści dla Naxosa - powiedział Kios. - A dla ciebie, mały zuchu, przyniosą muszlę z powietrzem. Nasza siostra dostarczy cię na ląd. Pomogli Naxosowi dźwignąć się na nogi. Vixa podparła go z jednej, Kios z drugiej strony. Ranny zmiennokształtny ciążył księżniczce niczym pień dębu. Wyprostowali go oparli o głąz leżący przy brzegu sadzawki. Jeden z morskich braci wrócił z wielką muszlą i zaciśniętym w pysku workiem. Kios wziął Gundabyra na bok i pomógł mu dopasować ustnik muszli. Na chwilę Vixa i Naxos zostali sami. - Wyzdrowiejesz? - spytała cicho dziewczyna. - Owszem, dzięki pomocy braci. Vixo, muszę ci powiedzieć, że uratowałaś coś więcej niż tylko moje życie. Wyrwałaś morskich braci z pęt, jakie szykowali im Coryphen i Uriona. - Naxos pochylił się i złożył na policzku dziewczyny delikatny pocałunek. Vixa zdumiona podniosła dłoń i potarła policzek miejscu, w którym musnęły go wargi morskiego elfa. Jej twarz zapłonęła nagle rumieńcem. - Ja... ja chciałabym tylko, żeby Armantaro i inni... dożyli tej chwili i mogli uciec wraz ze mną - wyjąkała. - Ja też bym tego chciał, księżniczko. W tej samej chwili woda w sadzawce zakotłowała się i na brzeg wyskoczyli czterej morscy bracia - trzej, których Kios wysłał po lekarstwa, i przybyły z nimi uzdrowiacz. Szybko zmienili kształty i otoczyli Naxosa. Ta muszla pozwoli ci na spędzenie pod wodą pełnych dwu dni - objaśniał Kios Gundabyrowi. - Ale dla pewności, nasza siostra powinna - jak tylko będzie to możliwe - wynieść cię na powierzchnię. - Dziękuję, mistrzu Kiosie - rzekł Gundabyr. - Dawca Ognia zasługuje na znacznie więcej. Nadszedł czas rozstania. Vixa ześlizgnęła się do wody. Zanim zmieniła postać, do sadzawki podszedł Naxos. - Jeszcze się zobaczymy, moja suchostopa! - Jego uśmiechnięte złote oczy spoważniały nagle.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła wrócić. Wypadło mi żyć na lądzie. Naxos uśmiechnął się - nie swoim zwykłym zuchwałym uśmieszkiem, ale tak, jakby dzielił z Vixą jakąś tajemnicę. - A jednak powiadam ci, Vixo Ambrodel, że jeszcze się zobaczymy! Vixa zmieniła się w delfina. Gundabyr rozsiadł się na jej grzbiecie, trzymając w zębach ustnik muszli i poklepał ją piętami po bokach, na znak, że jest gotów. Naxos pomachał im na pożegnanie i po chwili przepadli pod wodą.

Rozdział 16 - Morska siostra Gdy Vixa i odprowadzający ją zmiennokształtni wyłonili się z mroków Bruzdy Mortas, zobaczyli unoszące się nad równiną kłęby błocka. Dno morskie pomiędzy zrujnowanym murem a bramami grodu pełne było maszerujących dziarsko w kolumnach Dargonestyjczyków. Vixa natychmiast śmignęła ku powierzchni. Z wysoka doskonale widziała oddziały, maszerujące równoległe do muru i oddalające się od grodu. Każdy składał się z dwustu żołnierzy i wszystkie rozciągnęły się w długą kolumnę. Nad głowami piechurów pływały delfiny. Vixa zauważyła, że jej morscy bracia niepostrzeżenie przyłączają się do innych. Ona sama płynęła nieco wolniej niż potężniej zbudowani zmiennokształtni i wkrótce przesunęła się na tyły formacji. Jedna z kompanii błękitnoskórych opuściła oręż na dno i wszyscy jej członkowie zaczęli się pilnie rozglądać dookoła. Vixa obejrzała się i zobaczyła, że Dargonestyjczycy nagle poderwali się w górę i żwawo ruszyli żabką w jej stronę. To jej wystarczyło. Wezwała swoją eskortę. - Do mnie, morscy bracia! Jesteście potrzebni! Nikt jej nie odpowiedział. Vixa oderwała przestraszone spojrzenie od płynących ku niej elfów. Jej eskorta znikła - nigdzie w pobliżu nie widziała zmiennokształtnych.

Pomknęła w górę tak szybko, jak tylko mogła. Podmorcy okazali się zaskakująco dobrymi pływakami - mieli wszak tylko płetwiaste dłonie i stopy. Vixa, dźwigająca na grzbiecie krasnoluda, zdołała tylko utrzymać stałą odległość - zresztą pomna losu samotnego uciekiniera, nie mogła wynurzać się zbyt szybko. Ponownie wezwała morskich braci. I nagle rozpętała się wokół niej zawierucha szarych cielsk i wściekle bijących wodę płetw ogonowych. Vixa słyszała dobiegające z tyłu ciężkie łupnięcia, gdy zmienno- kształtni zaczęli taranować Dargonestyjczyków. Ci ostatni znaleźli się w opałach, bo poodkładali włócznie, by szybciej płynąć. W podwodnych zapasach nie mogli sprostać morskim braciom i szybko poszli w rozsypkę, opadając na dno. Jeden z delfinów wyrwał się z kipieli i podpłynął do Vixy. Kios. - Coryphen szybko się o tym dowie - zaświstała Vixa, gdy mknęli obok siebie przez wodę. - Domyśli się, żeście go zdradzili. - A... bierz go lichu! - odpowiedział Kios. Nagle dziewczyna spostrzegła, że on i pozostali morscy bracia zaczynają wykonywać serie dziwacznych uników. - Co wy wyprawiacie? - zdumiała się dziewczyna. - Sieciarze! - zakrzyknął Kios. - Strzeż się sieciarzy!

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

Przed nimi rozciągały się szeregi unoszących się w wodzie Dargonestyjczyków. Każda para trzymała pomiędzy sobą sieć. Ukośne promienie słońca przecinające głębiny ukazywały złowrogie haki i ciężarki na krańcach każdej sieci. Gundabyr kopnął Vixę piętami. - Widzę ich! Widzę! - zaskrzeczała Vixa i popłynęła szybciej. - W bok! Rozsypać się! - zawołał Kios. Osłaniająca Vixę tarcza zmiennokształtnych nagle pękła. Dargonestyjscy sieciarze, biegli w chwytaniu wielkich ryb, takich jak tuńczyki czy marliny, władali sieciami z dużą wprawą i zręcznością. Morscy bracia byli jednak równie zwinni i szybko odciągnęli sieciarzy od Vixy i Gundabyra. Woda pojaśniała, księżniczka bowiem zbliżała się już do powierzchni. Zielone głębiny ustąpiły jaśniejszym odcieniom; znacznie też się ociepliło. Jasna plama słońca nieodparcie wabiła Vixę ku sobie. Czarno-biały delfin coraz mocniej uderzał wodę potężnymi płetwami, zapomniawszy zupełnie o sieciarzach. W końcu Vixa przebiła powierzchnię i frunęła w powietrze ośmiostopowym skokiem. Gundabyr z całych sił przywarł do płetwy grzbietowej. Gorące promienie słońca niemal parzyły wilgotną skórę księżniczki. Wydawszy wysoki, przenikliwy tryl radości, Vixa z impetem opadła w fale. Wstrząs, jaki temu towarzyszył, cisnął Gundabyra w powietrze. Krasnolud na łeb, na szyję poleciał w fale, wypuszczając z dłoni muszlę. Choć natychmiast zaczął rozpaczliwie machać rękoma i nogami, poszedł jednak pod wodę niczym kamień. Nim zdążył zanurzyć się o parę sążni, wyrósł pod nim ciemny kształt. Gundabyr poczuł, że coś podnosi go w górę, twarz zaś owiewa mu mgiełka oddechu Vixy. - Phew! - wytarł twarz dłonią. Siedział na grzbiecie Vixy tuż za jej grzbietową płetwą. - Uważaj, jak sapiesz! Vixa świetnie go zrozumiała, ale jej jedyną odpowiedzią był przenikliwy, modulowany gwizd. - Przeprosiny przyjęte - powiedział krasnolud, nie wiedzący o tym, że księżniczka kazała mu zamknąć gębę i skończyć utyskiwania. Ruszyła z wiatrem, co spowodowało, że grzywacze łamały się nad głową Gundabyra, zamiast chlustać mu pianą w twarz. Krasnolud osuszył się dość szybko i zbadał horyzont, mrużąc oczy, gdy patrzył pod słońce. - Tam! - powiedział pewnym głosem. Vixa odpowiedziała, Gundabyr jednak potrząsnął głową. - Nie musisz skrzeczeć na mnie i popiskiwać. I tak nie zrozumiem. Ruszaj w tę stronę. To kierunek północny i płynąc tam, trafimy w końcu na jakiś ład.

Księżniczka frunęła przed siebie i Gundabyr niemal wywinął kozła. - Hola! - zawołał, chwytając rozpaczliwie za płetwę grzbietową Vixy i ściskając jej boki kolanami. Vixa zanurzyła się pod wodę i wyprysnęła w górę wdzięcznym łukiem - jakby od urodzenia nie robiła niczego innego. Nieszczęsny krasnolud zamknął oczy i przez następne kilka godzin pozostawał przy życiu. Znajdujące wysoko na niebie słońce grzało niemiłosiernie, Vixa jednak z niemałą uciechą skakała z fali na falę. Gdy jej głowa zniknęła pod wodą, słyszała tysięczne dźwięki: świsty wydawane przez przemykające obok ryby, szczęknięcie kleszczy łączących po dnie krabów i odległe pohukiwania wielkich wielorybów. Odkryła również, że morska woda ma rozmaity smak - w głębinach była chłodna i krystalicznie czysta, tuż pod powierzchnią zaś tętniła życiem i światłem. W pewnej chwili obok niej śmignął młody łosoś i Vixa natychmiast zanurkowała w pościgu za srebrzystym łupem. Łosoś desperacko usiłował umknąć, księżniczka jednak sunęła za nim jakby prowadzona na niewidzialnej nici. Wreszcie klapnęła zębami i połknęła zdobycz w całości. Dopiero wtedy poczuła, że coś wali ją po bokach. Na Astrę! Zanurzyła się na trzy sążnie, kompletnie zapomniawszy o tym, że ma pasażera! Natychmiast śmignęła ku powierzchni. - Bardzo proszę... hyyy... nie rób tego więcej! - wychrypiął krasnolud, gdy zdołał odzyskać oddech. Tym razem w poświstywaniu Vixy zabrzmiały nutki przeprosin. Przez resztę dnia trzymała się powierzchni, zmierzając ku północy. Kiedy w końcu

poczula zmęczenie, Gundabyr ulżył jej trochę, zsuwając się dc wody i trzymając pletwy grzbietowej. Trochę ją to odciążyło, ale musiała wówczas zwolnić. Ograniczyli takie przerwy do minimum. Pod wieczór dostrzegli jakiś statek idący ostro na wiatr. Vixa skierowała się ku dwumasztowcowi. - Ahoj! - zawołał śpiewnie Gundabyr. Nad wysokim relingiem pokazała się głowa jakiegoś żeglarza. - Ahoj! Kto woła? - Tutaj, w dole! Vixa podpłynęła ku Burcie statku. Ujrawszy krasnoluda dosiadającego czarno-białego delfina, marynarz otworzył gębę i przez chwilę gapił się na niezwykle widok. Wreszcie udało mu się przełknąć ślinę. - A niech mnie krab kopnie! - stęknął. Przyjacielu... na imię Ramy... co ty tam robisz? - Jadę sobie na delfinie, a co? Vixo, zwolnij, jeśli łaska, chciałbym zamienić kilka słów z tym jegomościem. Delfin zwolnił i dostosował swą szybkość do szybkości halsującego statku. - Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy? - spytał grzecznie Gundabyr. - Osiem dni drogi do Baliforu - odpowiedział marynarz, wznosząc oczy do nieba.

- Dokąd trafimy, jeśli będziemy nadal płynąć tym kursem? - Do Silvanostu... ale tam ci się nie spodoba. kolego. Oni nie lubią obcych. - Słyszałaś? Dopłyniemy do Silvanostu! Vixa świsnęła z zadowoleniem. - Co... ona... powiedziała? spytał zdumiony żeglarz. - Nie mam pojęcia - odparł Gundabyr, wruszając ramionami. - Haynar, leniu śmierdzący! - zagrzemiał ktoś w głębi pokładu. - Z kim ty tam gadasz? Marynarz odwrócił się ku wołającemu. - Nie uwierzy pan, kapitanie! W wodzie jest krasnolud jadący wierzchem na delfinie i... Vixa tymczasem wyprzedziła wolno płynący statek i okrążywszy dziób, oddaliła się od przeciwległej burty. Nie zobaczył ich nikt, poza pierwszym marynarzem. Vixa spróbowała sobie wyobrazić, jak biedaczysko usiłuje przekonać kapitana, że na pełnym morzu naprawdę widział krasnoluda na delfinie. Pomyślawszy o reakcji szypra, nie mogła powstrzymać śmiechu. Późnym wieczorem trzeciego dnia wiatr zmienił kierunek na wschodni i podróżnicy ujrzeli ciemne chmury piętrzące się nad horyzontem. Z zapachu powietrza Vixa wywnioskowała, że leje tam deszcz. Wkrótce ujrzeli też rozpinającą się pomiędzy chmurami i morzem siatkę jaskrawych błyskawic i usłyszeli głos gromów. - Wygląda na to, że nie da się tego ominąć - zaćwierkała Vixa ze znużeniem w głosie. - Wygląda na to, że nie da się tego ominąć - mruknął Gundabyr. Wokół nich piętrzyły się już coraz wyższe fale, dał też coraz potężniejszy wiatr - a jego powiewy były na przemian gorące i chłodne. Zaczął też padać deszcz, który z każdą chwilą siekł coraz gwałtowniej. Gundabyr uniósł ku niebu piekącą od soli gębę i otworzywszy szeroko usta napełnił je słodką wodą. Czynność tę powtórzył kilkanaście razy. - Deszcz! - stęknął z zadowoleniem. Potężny grzmot przerwał jego radosne westchnienie. Deszcz walił już gęstymi strugami - Vixa zaś odkryła, że coraz trudniej jej płynąć wśród fal miotanych w najróżniejsze strony potężnymi podmuchami wiatru. Szarpnęła głową w bok i wydała ostrzegawczy kwik - chciała uprzedzić Gundabyra, że niestety musi się zanurzyć. - Co? Co mówisz? - dopytywał się karzeł. Zrozumiał, gdy woda podniosła się do wysokości jego podbródka. Nabrał powietrza w płuca i zacisnął palcami wydatny nochal. Vixa zanurzyła się na jakieś dwa sążnie, przez czas może dwudziestu uderzeń serca płynęła ku północy, potem wynurzyła się na chwilę, dając Gundabyrowi okazję do nabrania tchu. Nie za bardzo mu się to udało. Wiatr podrywał już grzywacze na wysokość ośmiu i dziesięciu stóp. Vixa z najwyższym trudem przebijała się przez rozszalałe fale.

- Neeee-lichy sztorm! - wrzasnął Gundabyr. Vixa potwierdziła kiwnięciem głowy. Od rana niczego nie zjadła - a i wtedy było to tylko kilka mizernych rybek, które przypadkiem wpadły jej w paszczę. Nieustanny wysiłek mocno ją wyczerpał. Czowała się tak, jak mógłby się czuć potężny łuk, który zbyt długo pozostaje napięty. A jednak zaciekle walczyła z wyjąłym szkwałem. Gdzieś niedaleko uderzył grom. W powietrzu rozszedł się gorzkawy zapach, szybko zmyty przez siekące ukośnie strugi deszczu. Wokół zrobiło się ciemno niby w nocy. Mrok przecinały jedynie jaśniejsze smugi piany na szczytach fał, rozświetlane błyskawicami. Vixa zupełnie straciła poczucie kierunku.

Kipiel mogła ją nieść w dowolną stronę świata. Przypomniała sobie, że kiedy rozpełtała się burza, miała wiatr od wschodu, dmący z prawej strony. Postanowiła, że tego się będzie trzymała. Po jakimś czasie woda zmieniła smak i barwę. Pojawiło się w niej rozmyte błoto. Vixa przechyliła się w prawo i łypnęła okiem w wodę. Nie dostrzegła dna, ale pod nią unosiły się gęste tumany wznieczonego przez ruch wody piasku. Czyżby trafiła na jakąś płyciznę? Każde uderzenie ogona cięło wodę jak bicz. Coraz trudniej było jej oddychać. Gundabyr siedział cicho - co też nie było dobrym znakiem. Czowała uderzenia jego serca, wiedziała więc, że krasnolud żyje, zaciskał też kurczowo dłonie na jej płetwie grzbietowej - ale od dłuższego już czasu wcale się nie odzywał. W pewnej chwili poczuła, że jej ogon o coś uderzył. Po chwili jej pysk utknął w piasku. Ziemia! Dotarli do lądu! Chyba - ta myśl spowodowała, że po jej grzbiecie przebiegł zimny dreszcz - że Coryphen znów obudził krakena. Pała do przodu, aż jej brzuch zaczął szorować o piach. Fale łagodniej już obmywały ją samą i krasnoluda. Rozbryzgi przyboju siekły ją po oczach, ale zdobyła się n~ jeszcze jeden wysiłek i rzuciła się w przód. Podchwyciła ją fala - i księżniczka wylądowała na plaży. Zmyło z niej Gundabyra, a powracający nurt cisnął go ponownie w morze. Vixa nie miała nawet sił, by za nim zawołać. Uderzyła w nią kolejna fala i przetoczywszy ją w wilgotnym piasku, cisnęła księżniczkę na kupę mokrego drewna. W jaskrawym świetle błyskawicy Vixa ujrzała nieopodal kępę drzew. Na grzbiecie krakena nie było żadnej roślinności! Dotarli do lądu! Zamknęła oczy. Była tak wyczerpana, że nie potrafiła niemal myśleć, zmusiła się jednak do transformacji. Wypełniła umysł swoim prawdziwym wizerunkiem, na który składały się ręce, nogi i oczywiście elfia twarz. Wydało jej się, że przemiana trwa całą wieczność. Ogromne znużenie utrudniało jej koncentrację. Delfia krew była tak gorąca, że prawie wrzała w jej żyłach. W końcu poczuła przeszywający ją dreszcz i wkrótce mogła już poruszyć rękoma i nogami. Tryumfalny tryl

przeszedł w okrzyk radości - i natychmiast poczuła przeszywające ją ostrza chłodu. Ostatnim wysiłkiem wyciągnęła przed siebie rękę i zamknęła palce na leżącym niedaleko drewnianym bierwionie. Zaraz potem zamknęła oczy i zapadła w mrok nieświadomości. Nad leżącą na brzegu morza dziewczyną zahuczał grom. Ocknęła się, kiedy w oczy zaświeciły jej ostre promienie słońca, a uszy rozdarły wrzaski mew. Odwróciwszy głowę, spostrzegła, że leży w odległości paru kroków od łagodnie połyskujących fal. Usiadła i rozejrzała się dookoła. Znajdowała się na rozległej, pustej plaży. Okazało się, że stos drewna, gdzie znalazła schronienie, był jakąś częścią wraku, do połowy zagrzebanego w piasku. Zaczęła rozmyślać, co też się stało z Gundabyrem - i w tym momencie ujrzała kurtkę krasnoluda leżącą o parę kroków od niej. No... kiedyś mogła to być kurtka - teraz była rozdarta na połowy. Spod lnianej powłoki oddarto też i zabrano bawełnianą podszewkę. Dziewczyna podniosła oba kawałki i przyjrzała im się z uwagą. Po chwili uśmiechnęła się lekko... i bez dalszych namysłów użyła ich jako dość skąpego przyodziewku. Zaraz potem zobaczyła wiodące w las ślady bosych stóp. Najwyraźniej krasnolud pierwszy odzyskał przytomność i poszedł zbadać teren. Dobrze by było, gdyby znalazł coś do jedzenia! I jakiś napój. Dziewczyna czuła, że jej gardło wyschło na pieprz. Gdyby ktoś ofiarował jej teraz solidny dzban zimnej wody, oddałaby mu połowę wszystkich skarbów świata - nieważne, ile by ich było i co byłyby warte. Drugą połowę wymieniłaby na dobrze wypieczonego wołu. W tej samej chwili - jakby wywołany smakowitymi pragnieniami księżniczki - z lasu wylazł Gundabyr obładowany owocami. Kiwnąwszy głową na powitanie, cisnął Vixie do stóp kilka kiści dzikich winogron i dorzucił parę garści dzikich śliwek i rajskich jabłuszek. - Jeżeli jesteś tak głodna, jak ja byłem jeszcze chwilę temu, to wcinaj, moja panno - powiedział wesoło. - Ja już się nasyciłem, racz się więc nie krępować. Vixa wzięła do każdej dłoni po jabłku i zaczęła gryźć je na przemian, aż słodki sok puścił jej się po brodzie. Nigdy przedtem nie jadła tak pysznych owoców. - Owszem, są smaczne - mruknął Gundabyr, kwitując pełne zadowolenia westchnienie dziewczyny.

Dziewczyna przerwała posiłek, by spytać: - Wiesz, gdzie nas zaniósł? - No... chyba jesteśmy gdzieś na brzegu Silvanostu... Albo w pobliżu gór Kharolis. Widziałem dym w tamtej stronie - wskazał dłonią ku wschodowi - więc powinniśmy tam chyba znaleźć jakąś chatkę rybacką. Vixa zjadła wszystkie jabłka, cztery śliwki, większość winogron i dopiero wtedy odważyła

się wstać. Nadal czuła się kiepsko, zdumiała się jednak, jak skutecznie pokrzepiły ją owoce. - Cóż... czas się przedstawić gospodarzom - powiedziała, wskazując dłonią wschód. Ruszyli plażą - Vixa nadal żuła winne grona. Prawdopodobnie nie było to bezpieczne przedsięwzięcie - dwoje przybyszów idących ku pierwszej osadzie, jaką znaleźli na obcym brzegu. Jeśli w istocie trafili do Silvanostu, nie natkną się na rozbójników czy handlarzy niewolnikami, ale też i sami Silvanestyjczycy nie słynęli z gościnności - osobliwie zaś nie lubili krasnoludów i elfów z Qualinostu. Przybysze mieli jednak ważne informacje dla Mówcy Gwiazd. Za kilka dni na Silvanost miała wyruszyć inwazja Coryphena. Może zresztą od najazdu dzieliły kraj godziny... Przed sobą na plaży dostrzegli jakieś ciemniejsze obiekty. Gdy podeszli bliżej, Vixa poznała w nich leżące na piasku dwie niewielkie łodzie. Ozdoby i kształt świadczyły o tym, że ich budowniczymi były elfy. Pomiędzy przewróconymi do góry dnem kadłubami wzniesiono drewniane stojaki, na których wyłożono do wysuszenia złowione niedawno ryby. Spod niedalekich drzew sączył się wonny dym. - Hej! - zawołała Vixa. - Jest tam kto? Spod drzew wyłoniła się jakaś wysoka figura. Ostro zakończone uszy i jasne włosy, zebrane na karku w węzeł, świadczyły o tym, że nieznajomy jest elfem. Przybysz osłonił dłonią oczy i spojrzał na Vixę i Gundabyra. - Kenthrin! - zawołał, odwracając głowy ku drzewom, spod których wyszedł. - Dannagel! Chodźcie no tutaj! Zza drzew wyszły jeszcze dwa elfy. Niewątpliwie wszyscy trzej byli Silvanestyjczykami. Mieli jasną cerę, słomianej barwy włosy i ostre rysy twarzy, charakterystyczne dla elfów ze Wschodu. Odziani byli w białe, luźne szaty do kolan. - A cóż to jest, w imię wszystkich nieśmiertelnych? - spytał zdumiony jeden z nich. - Mamy chyba pewne podstawy do tego, by sądzić, że to dziewczyna - odpowiedział drugi. - Czyżbyś tego nie spostrzegł, bystry Kenthrinie? Pierwszy z Silvanestyjczyków puścił się biegiem ku przybyszom. - Rozbiliście się? - spytał, zatrzymując się obok Vixy. - Dobrze się czujecie? - Nie - odpowiedział Gundabyr w tej samej chwili, w której Vixa odpowiedziała: - Tak. Elf zrobił zdziwioną minę, nie zdążył jednak zadać kolejnych pytań. - Macie wodę? - jęknęła Vixa. Silvanestyjczyk zdjął z ramienia skórzany bukłak i podał go księżniczce. Vixa napiła się do woli i podała bukłak Gundabyrowi. Tymczasem podeszli do nich dwaj pozostali mieszkańcy wybrzeża. Jeden z nich -

młodzieniec o nieco zuchwałym spojrzeniu - uśmiechnął się z aprobatą, ujrawszy skąpy przyodziewek księżniczki. Twarz Vixy, która podczas kilkugodzinnej drzemki w słońcu zdążyła się już okryć lekką czerwienią opalenizny, oblał intensywny rumieniec. Pierwszy z elfów łypnął groźnie na towarzysza i zdjął z ramion własną, krótką opończę. Podał ją księżniczce i pomógł jej się nią okryć. - Samcadaris, syn Palindara - przedstawił się. - A to moi przyjaciele, Kenthrin i Dannagel. - Vixa Ambrodel. - Gundabyr, mistrz kowalski z klanu... - Czekażże! - wtrącił się Dannagel. - Ambrodel? Powiedziałaś: Ambrodel? - Vixa, która ponownie przypięła się do bukłaka z wodą, kiwnęła głową. - Z rodu Tamaniera Ambrodela? Dziewczyna przełknęła wodę. - Był moim dziadkiem. - Ona jest z Qualinostu! - oznajmił Dannagel głosem przepojonym bezbrzeżnym zdumieniem. - Mnie możecie nazywać po prostu Gundabyrem, jak wszyscy - odezwał się krasnolud, zły, ponieważ nikt nie zwrócił nań uwagi. - Nie ma znaczenia kim lub czym są przybysze - oznajmił Samcadaris. - Wpadliście w tarapaty, prawda? - Nie da się zaprzeczyć - oznajmił gniewny Gundabyr. - Jestem córką Kemiana Ambrodela i Verhanny Kanan - wyjaśniła Vixa. - Mistrz Gundabyr i ja - każde oddzielnie - podróżowaliśmy morzem i oboje zostaliśmy schwytani i uwięzieni. Trzej Silvanestyjczycy czekali na dalsze wyjaśnienia. - Przez kogo - spytał w końcu

Kenthrin. - Przez Dargonestyjczyków. Trzej goście wymienili zdumione spojrzenia. - Przez kogo, proszę?- spytał Samcadaris. - Przedstawiciele rasy elfów, mieszkających na dnie oceanu - wyjaśniła Vixa. Nastąpiła chwila ciszy, potem Silvanestyjczycy parsknęli śmiechem. - Ona ma źle w głowie! Dobrze sobie! Córnka wodza qualinestyjskiej armii, ha! Elfy, żyjące na dnie morza. Dajcie spokój, przyjaciele. Dziewczyna zwariowała! Wyraz twarzy Kenthrina świadczył o współczuciu, jakie żywi dla Vixy, czemu jednak zaprzeczyły jego słowa: - Dargonestyjczycy są po prostu postaciami ze starych legend. Powiedz nam lepiej prawdę - jak się tu znalazłaś? - Posłuchajcie - upierała się Vixa. - Naprawdę jestem członkiem królewskiej rodziny Qualinostu. Jeżeli mi pomożecie, zadbam o to, by godziwie was wynagrodzono.

- Złoto nam nie potrzebne - odparł spokojni Samcadaris. - Choć na to nie wyglądamy, nie jesteśmy wcale zwykłymi sobie rybakami. Jesteśmy członkami Domu Ochrony - i służymy w osobistej straży przybocznej Mówcy Gwiazd! - To musicie mnie zabrać do Silvanostu! Mam pilne wieści dla Mówcy! - A cóż ty możesz wiedzieć o tym, co zainteresuje Jego Majestat? - spytał Kenthrin. - Z pewnością interesują go wiadomości o grożącej wam wojnie! Podmorcy szykują się do zdradzieckiej napaści! Jej oświadczenie nikogo nie poruszyło. Dannagel i Kenthrin okazywali jawną niewiarę, Samcadaris nie zdradził swojej opinii, polecił jednak jej i Gundabyrowi, by udali się z nimi do obozowiska gwardzistów. Tam, w lesie nieco powyżej plaży, Silvanestyjczycy upiekli w żarze ogniska swoją zdobycz i poczęstowali nią przybyszów. Gundabyr zbladł, jakby ujrzał śmierć. - Nie! Nie! Od tygodni jadłem ryby! Nic oprócz ryb! Usiadłszy na kłodach rozłożonych wokół niewielkiego ogniska, Vixa i Gundabyr opowiedzieli kolejno swoje historie. Qualinestyjska księżniczka niczego nie zamierzała ukrywać. Opisała szczegółowo wojnę z chilkitami, wynalazek gnomiego ognia i zabójstwo legata Armantaro - któremu wraz z pozostałymi więźniami Coryphen obiecał wolność. Utrzymujesz więc, pani, że płynęłaś tu - jako delfin - przez trzy dni, a krasnolud cały czas tkwił na twoim grzbiecie? - Samcadaris sporo wysiłku włożył w to, by w jego słowach nie było słyhać niedowierzania. - Nie inaczej. - I że dziesięć tysięcy oddychających wodą elfów uzbrojonych w garnki, które płoną bez powietrza, zamierza podbić Silvanost? Vixa zagryzła wargi. - Tak - powiedziała cicho. Istotnie, nawet jej samej teraz zabrzmiało to głupio. Wpatrzyła się w ogień, jakby szukając w nim pomocy. - Zabiorę was do Thonbec - oznajmił Samcadaris, zdumiewając tą decyzją swoich towarzyszy w równej mierze, jak przybyszów. - Niechże dowódca garnizonu sam zdecyduje, czy trzeba niepokoić Mówcę tak nieprawdopodobnie brzmiącą opowieścią. - Jego przyjaciele chcieli się spierać, on jednak dodał: - Dajmy szansę Axarandesowi... niech sam oceni prawdziwość tej historii. Czy wolno nam zlekceważyć choć cień możliwości, że jest prawdziwa i że w istocie grozi nam najazd wrogów? Powiadam, niech decyduje generał Axarandes. - Oni powariowali - upierał się Dannagel. - Albo są qualinestyjskimi szpiegami - podsunął inną możliwość Kenthrin. - Tak czy inaczej, najlepiej zrobimy, jeżeli zabierzemy ich do twierdzy Thonbec. Cudzoziemcom nie wolno włóczyć się swobodnie po kraju. Jeśli okażą się szpiegami, to się ich

zamknie, ku ogólnemu zadowoleniu. Jeśli zaś mówią prawdę... - Samcadaris nie dokończył, pozwalając, by jego towarzysze sami przemyśleli implikacje tej możliwości. Zajrzawszy do swojego żołnierskiego worka, wyjął zapasową opończę dla Vixy. Dziewczyna przyjęła ją z wdzięcznością. - Natychmiast zwijamy obozowisko - powiedział jej. - Przy płynęliśmy tu łodzią, nurtami Thon-Thalas... i wrócimy tą samą drogą. Silvanestyjczycy szybko się spakowali i stłumili ognisko. Podczas zwijania biwaku, Vixa i Gundabyr siedzieli na swojej kłodzie i przyglądali się wszystkiemu beczynnym. Bukłak z wodą oddali Samcadarisowi, opróżniwszy go uprzednio. - I co powiesz na to wszystko, księżniczko? - spytał krasnolud. - Mamy pewną szansę - odpowiedziała Vixa. - W końcu rozmawiamy z wojownikami. Musimy tylko przekonać tego generała Axarandesa o tym, że mówimy

prawdę. - A mamy szansę? - Musimy - powtórzyła dziewczyna, ściskając go za ramię.

Rozdział 17 – Thonbec Trzej Silvanestyjczycy załadowali swój skromny ryszunek do łódek i zepchnęli je do wody. Najroślejszy z całej trójki Kenthrin płynął samotnie - Gundabyr i Vixa mieli więc mu towarzyszyć. Silvanestyjczycy natarli na wiosła i wyprowadzili łodzie na obszar spokojniejszej wody, poza zasięgiem przyboju. Dannagel i Samcadaris skierowali dziób łódeczki na wschód, Kenthrin podążył za ich przykładem. Wiosłowali przez chwilę, potem na obu łódkach wzniesiono lekkie maszty i ruszyli z wiatrem. Po godzinie żeglugi ujrzeli ujście Thon-Thalas. Była to rozległa delta z wieloma odnogami otwierającymi się na morze. Główny kanał był szerszy niż pozostałe i ku niemu właśnie żeglarze skierowali swe łódki. Leżące w delcie wysepki były dość wysokie, porośnięte cedrami i sosnami. Stopniowo piaszczyste łąchy ustąpiły miejsca twardszemu gruntowi i pojawiły się ciemne, gliniaste brzegi z gęstymi dąbrowami i zagajnikami jesionów. Wreszcie ujrzeli sporą, szarawą cytadelę wzniesioną na wzgórzu nad wschodnim brzegiem rzeki. Pokonawszy jeszcze kilka zakrętów, łódeczki podpłynęły do fortecznych murów. Na szczycie dwu potężnych stołbów powiewały Silvanestyjskie proporce. - Otóż i Thonbec - oznajmił Kenthrin. - Nie ma tu w pobliżu żadnego miasta? - spytała Vixa. - Po przeciwległej stronie fortecy leży wioska Brackenost. Mury osłaniają rybackie chatki przed srogością wichrów dmących od morza. Z fortecy w rzekę wychodziły dwa solidne kamienne pomosty. Sama twierdza została wzniesiona na rozkaz i wedle planów słynnego generała kenderów, Balifa. Jej ściany spiętrzone z potężnych, przemyślnie wyciętych w kamieniu bloków, których nie spojono zaprawą - w owych czasach nie znano jeszcze tego sposobu. Zbudowano ją na planie owalu - dwie przysadziste okrągłe wieże połączono dwoma odcinkami muru. Główną bramę umieszczono pośrodku wznoszącej się nad rzeką ściany. Gdy łódki dobijały do pomostów, kilku tylko wojowników patrolowało mury. Pojawienie się Qualinestyjki i krasnoluda wywołało pewne poruszenie. Samcadaris polecił gońcowi powiadomić generała Axarandesa o ich przybyciu. Zanim zdążyli wyładować z łódek swój skromny ryszunek, pojawiła się dwunastoosobowa drużyna Silvanestyjczków pod bronią, którzy pędem zbiegli ze wzgórza ku przystani. - Nasz dowódca, Axarandes Magiteleran, rozkazuje, byście niezwłocznie się przed nim

stawili - wypalił dowodzący drużyną podoficer. Vixa spojrzała na Gundabyra i wzruszyła ramionami. - Prowadź! - poleciła. Samcadaris i jego przyjaciele ruszyli tuż za gośćmi. Oceniając twierdzę żołnierskim okiem, Vixa stwierdziła, że od dawna już żaden wróg nie poddawał jej poważniejszej próbie. Pozwolono na przykład, by krzewy i zarośla rosły tuż przy murach - co dawało osłonę napastnikom przy próbach zbliżenia się do fortecy. Zamurowano też ceglami strzelnice - niewątpliwie po to, by zmniejszyć przeciągi podczas zimy. Potężna brama tak długo już stała otworem, że zawiasy porosły grubą warstwą mchu. Załoga jednak wyglądała na sprawną i dobrze wyekwipowaną. Trochę to pocieszyło księżniczkę. Przechodząc przez bramę, zauważyła nie bez satysfakcji, że mury fortecy były grube przynajmniej na piętnaście stóp. Działanie zabudowano drewnianymi barakami, które wzniesiono dla wygody załogi. Pośrodku, na trawniku, wzniesiono podwyższenie, na którym teraz siedział samotny Silvanestyjczyk. Miał długie włosy, pożółkłe już ze starości, ale jego błękitne oczy zachowały młodzieńczą bystrość i czujność spojrzenia. Podoficer zatrzymał drużynę. Gundabyr i Vixa nadal jednak kroczyli ku platformie. Vixa oddała wojskowe honory na modłę qualinestyjską - podniosła zaciśniętą pięść ku sercu i lekko pochyliła głowę. Gundabyr wsparł się pod boki i powiedział krótko: - Witam waszmości. - Ha! - odezwał się generał Axarandes - Wygląda na to, że Samcadaris i jego chłopcy mieli niezły połów. W istocie... trafiła im się rzadka zdobycz. - Sir - zaczęła Vixa - Jestem księżniczką z królewskiej rodziny Qualinostu. Moje miano - Vixa Ambrodel. Jestem kuzynką Mówcy Słońca. - Tak powiadasz, pani - brzmiała odpowiedź. - Czy możesz poprzeć to dowodami? Dziewczyna rozłożyła ręce. - Niestety, nie.

Uwięziono mnie i zabrano mi wszystko, co mogłoby poświadczyć o prawdzie moich słów. - Kto cię uwięził? - Błękitnoskórzy - odpowiedział za nią Gundabyr. - Elfy, które żyją w morzu. Pośród gwardzistów rozległy się stłumione śmiechy. Brwi Axarandes uniosły się wyżej. - Nadzwyczajne! - zawołał. - Macie na to jakiś dowód? - A nie uwierzysz nam, panie, na słowo? - spytał zadziornie Gundabyr. - No... mógłbym wam podać kilka powodów, dla których wasza opowieść wydaje mi się wątpliwa. Prawo Silvanostu nie zezwala cudzoziemcom na pobyt w naszej ojczyźnie. Jeśli jesteś pani tą, za którą się podajesz, powinnaś o tym wiedzieć. Vixa z trudem już hamowała gniew. - Owszem, wiem o tym. Posłuchaj, generale. Nie jesteśmy szpiegami ani wariatami. Z podmorskiego miasta, zwanego Urione i odległego od brzegu

o dwieście mil, nadciągają elfy zwące się Dargonestyjczykami. Będzie ich z dziesięć tysięcy, pod wodzą niejakiego Coryphena - i ciągną prosto na Silvanost! Teraz już nikt się nie roześmiał. Axarandes podjął decyzję. - Dobrze więc - powiedział. - Moje żołnierskie doświadczenie mówi mi, że me wolno zlekceważyć takiego ostrzeżenia. Roześliśmy patrole, by przekonać się o prawdziwości twoich twierdzeń, pani. Dannagel? - Młody elf wystąpił przed towarzyszy. - Sformuj oddział konnych. Przepatrzcie brzegi w kierunku zachodnim, aż do Cypla Zary. Kenthrin, weźmiesz drugi oddział i zbadasz wybrzeże ku wschodowi. Nie zapuszczaj się poza Przylądek Piaszczysty. Obaj wywołani zasalutowali i oddalili się pospiesznie. - A ja? - spytał Samcadaris. - Ty zbierzesz resztę i zajmiesz się ćwiczeniami pospolitaków z Brackenostu. Chcę też, by na każdej wieży dzień i noc tkwili postrzegacze. - I to wszystko? spytała Vixa. - Nie zamierzacie posłać ostrzeżenia do Silvanostu? - I po cóż to robić, pani? Nie wiemy jeszcze, czy te wieści o inwazji są prawdziwe, czy nie. Nie zaryzykuję pięćsetletniej reputacji i nie poślę Jego Majestatowi fałszywych raportów, bo zawsze szczyłem się zdrowym rozsądkiem. Vixa wymieniła z Gundabyrem spojrzenia pełne bezsilnej wściekłości. - A co z nami? - zapytała. - Zostaniecie tu, pod strażą. - Jako więźniowie? - Dopóki nie potwierdzi się prawdziwość waszej opowieści, będziecie uważani za intruzów - i jako takim należy wam ograniczyć swobodę. - W następnej sekundzie przybyszów otoczyła zbrojna straż. - Otóż macie wdzięczność elfów! - zgrzytnął zębami Gundabyr. - Nie jestem okrutnikiem - odparł spokojnie Axarandes. - Ale prawo jest prawem. Po tych słowach Vixę i Gundabyra odprowadzono do przeznaczonej dla nich kwatery -- dość obszernej komnaty w południowej wieży. Zatrzaśnięto za nimi solidne drzwi, zasunięto rygiel... jednym słowem, Vixa i krasnolud znów zostali uwięzieni. - Nadal dopisuje nam szczęście - mruknął Gundabyr - ale wszystko się komplikuje. Powinniśmy dać sobie spokój i wracać do domów. - Nie... - westchnęła Vixa. - Postąpiliśmy słusznie. Trzeba powstrzymać Urionę i Coryphena. - Myślisz, że ten pocziwina generał sobie poradzi? - No... przedsięwziął pewne środki ostrożności - dobre i to. On jednak nie ma pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. - Dziewczyna westchnęła ponownie.

Gundabyr podsunął krzesło do wysoko umieszczonego wąskiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Promienie popołudniowego słońca oświetlały deltę Thon-Thalas i odległą wstęgę morza na horyzoncie. - Zastanawiam się - mruknął do siebie po chwili - ile czasu upłynie, zanim ujrzymy tych niebieskurczybyków wylażających szeregiem z wody? Vixa wzdrygnęła się, choć dzień był dość upalny. Otuliła się podarowaną jej opończą i usiadła w kącie, nie mówiąc ani słowa. Okazało się, że jako więzienna cela, ich komnata w Thonbec nie była taka zła. Silvanestyjczycy po pierwszym posiłku, kiedy to wrzaski protestu Gundabyra dotarły chyba do oceanu, karmili ich regularnie i nie rybami. Grube mury trzymały chłód podczas upalnych dni, w nocy zaś kamienie oddawały ciepło, wskutek czego w komnacie, mimo chłodnej bryzy dmącej przez wąskie okna, panowała umiarkowana temperatura. Trzeciego dnia po uwięzieniu w celi pojawił się gość. Był to Samcadaris, którego ponura mina nie wróżyła niczego dobrego. - Wrócili już Kenthrin i Dannagel - oznajmił. - Nie

dostrzegli nawet śladu wrogiej armii. Kiedy ci podmorcy mieli wyruszyć? - Przed pięciu lub sześciu dniami - obliczyła szybko Vixa. - Ale idą pieszo - albo płyną - i myślę, że dotarcie tutaj zajmie im trochę czasu. - Mówisz pani, że mają wyłącznie piechotę? I żadnych oddziałów konnych? - Konie kiepsko sobie radzą na głębokości czterdziestu sążni. - Samcadaris udał, że nie dostrzega sarkazmu krasnoluda i kiwnął po prostu głową. Nie zmienił też ponurego wyrazu twarzy. - Niewiele was pocieszy to, co teraz powiem, ale uważam, że trzeba ostrzec Silvanost. Nie sądzę, byśmy mogli pozwolić sobie na luksus nieufności w stosunku do waszej , opowieści. Generał jednak do reszty stracił wiarę i uważa was - w najlepszym razie - za bezczelnych łgarzy. Obawiam się, że już niedługo pośle was do lochów... - Pochodzę z rodu Kith-Kanana! - zawrzała gniewem Vixa. - Jeżeli to prawda, to powinniśmy potraktować cię z szacunkiem, pani. Wydaje się jednak, że nie ma sposobu, by potwierdzić twoje słowa. Gundabyr trzasnął się nagle w czoło otwartą dłonią z siłą, która skruszyłaby średnich rozmiarów orzech. - Księżniczko, wiem, co ich przekona! - zawołał. Pociągnąwszy ją za łokieć, szepnął jej kilka słów do ucha. Vixa uśmiechnęła się przekornie. - Dobra nasza! - i zwracając się do Samcadarisa, dodała: - Kapitanie, jeśli zechcesz zaprowadzić mnie nad rzekę, sadzę, iż będę mogła ci coś udowodnić. Gundabyr zostanie tutaj, jako

zakładnik. Jeśli mi się nie uda, w każdej chwili będziecie mogli osadzić nas w lochu... a ja nie poproszę po raz drugi. Samcadaris wahał się przez chwilę, ale spokój i pewność siebie, jakie okazywała księżniczka, rozwiały jego obawy. Wyprowadził oboje więźniów z komnaty na szczyt wieży. Było już kilka godzin po południu i dziedziniec twierdzy wrzał ruchem, ale ścieżka ku rzece była prawie pusta. Vixa, patrząc pomiędzy drzewami, dostrzegła kilka barek, nad którymi powiewały Silvanestyjskie bandery. Nad samym brzegiem kręciły się liczne, małe oddziały, wypatrujące nieprzyjaciela. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Vixa zapragnęła niemal, by w tejże chwili z wody zaczęły wyłaniać się szeregi najeźdźców, potwierdzając prawdziwość jej opowieści. Jak elfy z Silvanostu śmiały w ogóle pomyśleć, że ona i krasnolud są szpiegami! Albo wariatami. jeśli już o tym mowa! Podeszli do kamiennego mola. Vixa kilkoma kopnięciami zrzuciła ze stóp pożyczone sandały i zaczęła ściągać przez głowę opończę. - Co robisz, pani? - zdumiał się Samcadaris. - Muszę się znaleźć w wodzie - wyjaśniła mu. - Okaż trochę cierpliwości. Odziana jedynie w bawełniany podkoszulek weszła do wody. Nurt sięgał jej tu po szyję. Zamknęła oczy i rozpoczęła znany już jej dobrze proces przemiany - zaczynając od wyobrażenia sobie siebie jako delfina. Wypełniła umysł wizją czarno-białego, smukłego wrzeciona i przegnała precz wszystkie inne myśli. I nic się nie stało. Rozległo się tylko chrząknięcie Gundabyra. - No... hm... do roboty, panienko. Dziewczyna niemal spopieliała go spojrzeniem: - A jak myślisz, co ja robię? Zamknąwszy oczy, spróbowała jeszcze raz. Przypomniała sobie, jak to jest, kiedy mknie się wśród wód niczym błyskawica. Pomyślała o sprawności i wdzięku, z jakim poruszało się jej muskularne ciało - o pętlach i spiralach, jakie wykręcała wokół Naxosa po pierwszej transformacji. Wróciła też myślą do wyczerpującego przebijania się przez grzywacze. - Kapitanie... czy zechciałbyś mi wytłumaczyć, co to wszystko znaczy? Po kamiennej nawierzchni mola kroczył ku nim generał Axarandes. Samcadaris wyprężył się jak struna i oddał honory. - Sir! Lady Vixa oznajmiła, że ma sposób, by udowodnić nam prawdziwość swej opowieści, jeżeli zaprowadzę ją nad wodę... - Pani! - zagrzmiął generał. - Natychmiast zechciej wyleźć z wody! - Nie! - zdenerwowała się dziewczyna. - Jeszcze nie! - A czemu nic ci nie wychodzi? - spytał ją Gundabyr.

Dziewczyna potrząsnęła głową, niezdolna do wyjaśnienia przyczyn porażki. - Nie wiem... Ejże! Czekać! - Twarzyczkę Vixy rozjaśnił uśmiech. - Naxos powiedział, że to musi być w morzu! Kapitanie, zaprowadź mnie nad morze! Mogę wam pokazać jak... - Pani... natychmiast wyleź z wody! - rozległ się podejrzenie spokojny głos Axarandesa. Sypiąc protestami, Vixa zrobiła jednak to, co jej

kazano. Kiedy raz jeszcze zażądała, by odstawiono ją nad morze, Axarandes wyciągnął przed siebie dłoń. - No... jedna przynajmniej rzecz się wyjaśniła - powiedział łagodnie. Vixa w pierwszej chwili nie zrozumiała, do czego zmierzał, pojęła to jednak wybornie, kiedy ujrzała politowanie we wzroku wszystkich patrzących na nią elfów. Wzięli ją za wariatkę, której należy się troskliwa opieka i wyrozumiałość. - Nie zwariowałam! - wrzasnęła. - Gdybym tylko mogła znaleźć się w morzu... - W Silvanoście są uczeni, którzy potrafią ci pomóc, pani - powiedział łagodnie Axarandes. - Magia wiele może uczynić dla umysłu, który zabłąkał się na ścieżki nieskończoności... - Wcale się nie zabłąkała! Powiadam wam, że mogę poprzeć dowodem prawdziwość mojej opowieści! Kiedy jednak generał, nie zwracając uwagi na jej słowa, skinął dłonią na dwu strażników, polecając im odprowadzić ją do celi, cierpliwość Vixy pękła, niczym cięciwa zbyt długo i mocno napinanego łuku. Księżniczka rozstawiła stopy, tak jak ją uczyli instruktorzy w Qualinoście i pięknym prawym prostym trafiła najbliższego z wojowników w szczękę, po- walając go na ziemię. Drugiego chwyciła za koszulę i zręcznie przerzuciła przez ramię, posyłając go prosto w rzekę. Axarandes tylko westchnął. - Zabierzcie ich stąd - powiedział znużonym głosem. Gundabyr - nie bez uciechy w duszy - wydał bojowy okrzyk krasnoludów z Thorbardinu i zaczął wywijać pięściami. Dwaj najbliżsi żołnierze pofrunęli do ~ ody jak zbite kręgle, pozostali jednak unieszkodliwili go dzięki przewadze liczebnej - krasnoluda obalono i natychmiast unieruchomiono mu ręce i nogi. Vixa zdołała jakoś uniknąć napaści dwu kolejnych gwardzistów i skoczywszy ku Axarandesowi, chwyciła za rękojęść jego miecza. Niestety, okazało się, że w ramionach starego wojaka zostało więcej krzepy, niż Vixa myślała. Na jej nadgarstku zacisnął się żelazny uchwyt. Axarandes bez wysiłku zmusił ją do puszczenia rękojęści jego miecza, po czym wykręcił jej rękę na plecy. Ramię dziewczyny przeszył płomień bólu - i księżniczka znieruchomiała. - Pani... zachowaj spokój. Nie chcę wyrządzić ci krzywdy - Vixa raz jeszcze się szarpnęła i zrezygnowała ze stawiania oporu. - No... niech będzie - mruknęła, rozluźniając mięśnie. - Niczego w ten sposób nie dokażemy.

Vixę i Gundabyra otoczył zwarty pierścień ponurych żołnierzy - wszyscy pocierali obolałe szczęki lub próbowali rozprostować zeszywniałe palce. - Zabierzcie ich do lochów! - rozkazał Axarandes. - A osadźcie każde osobno. Podczas całego tego zamieszania Samcadaris stał spokojnie, a na jego twarzy wyraźnie malowała się rozterka. Teraz jednak pojawiła się na niej litość. Dziewczyna najwyraźniej popadła w jakieś szaleństwo. Axarandes tymczasem wydał mu polecenie: - Kapitanie, proszę odwołać patrole. Ta farsa posunęła się już za daleko. Usłyszawszy te słowa, Vixa wpadła w panikę. - Generale, musisz mi uwierzyć! Dargonestyjczycy naprawdę się tu zjawiają! Musicie się przygotować! Wracali do Thonbec otoczeni powszechną niechęcią. Gundabyr cały czas mrucał pod nosem: - Pięknie to wyszło, prawda? Teraz już są pewni, że oboje zwariowaliśmy - a przynajmniej ty, pani. Ja jestem tylko durniem, który ci uwierzył. - Och, zamknijże się wreszcie! - wycedziła Vixa przez zęby. I resztę drogi przebyli w milczeniu. Silvanestyjczycy osadzili ich w oddzielnych celach w fortecznych podziemiach. Lochy były suche i ciepłe - choć oczywiście znacznie ciaśniejsze niż komnata na wieży. Szczęk zasuwanych rygli zabrzmiał w uszach Vixy równie ponuro jak łoskot opadającego wieka trumny. Księżniczka przysiadła pod ścianą i oparłszy głowę na splecionych ramionach, pogrążyła się w posępnych rozmyślaniach. Obudziwszy się po jakimś czasie, stwierdziła, że nie wie, jak długo spała. Jedyne źródłem światła w celi było małe okienko w drzwiach. Wstała i podszedłszy do judasza, spróbowała wyrzeć przez kraty na korytarz oświetlony przez osadzone w żelaznych kunach pochodnie. Był pusty. Kilkakrotnie zawołała Gundabyra, nie otrzymała jednak odpowiedzi. Wszystko to było beznadziejnie głupie! Wiedziała, że z pewnością mogłaby się przetransformować, gdyby tytko ci durnie zaprowadzili ją nad ocean! Oto był powód niepowodzenia. Przemiana była możliwa tylko w morskiej wodzie. Ale czy w rzeczy samej? O ile

wiedziała, jej zdolności były tylko czasowe. Naxos wprawdzie powiedział „na zawsze”, ale mógł kłamać. Myśl ta sprawiła jej tyk. niemal bólu, co niedawne upokorzenie. Zrezygnowana, oparła głowę o framugę. I natychmiast poczuła dziwne drżenie zimnych kamieni. Odskoczyła zdumiona i wrażenie znikło. Przyłożyła ucho do ściany. Kamienie wyraźnie wibrowały. Czyżby cała załoga maszerowała po blankach? A może mury fortecy chłostała potężna burza? Po chwili ciszę lochów zakłócił coraz głośniejszy odgłos pospiesznych kroków. Vixa przycisnęła twarz do krat judasza. – Hej! - zawołała. - Czy jest tam kto? Wypuście

mnie! Zza rogu korytarza wypadł Samcadaris i podbiegł do drzwi jej celi. Księżniczka zobaczyła, że twarz kapitana pokrywa brud i niedawno zakrzepła krew. - Co się dzieje? - spytała. - Napadnięto nas! - kapitan podniósł rygiel, blokujący drzwi jej celi. - W godzinę po zmierzchu wyleźli spod wody! Ogromni wojownicy o błękitnej skórze - dokładnie tacy, jakich opisywałaś! - Zdobyli fortecę? - Nie! Axarandes poprowadził przeciwnatarcie i zdołał wyprowadzić z pogromu oddziały zablokowane na zewnątrz. Napadli jednak na Brackenost. Wioska płonie. Dziewczyna wyskoczyła z celi. - Gdzie Gundabyr? Trzeba go natychmiast uwolnić. Samcadaris poprowadził ją za róg korytarza. Kiedy obudzili Gundabyra i objaśnili mu, co się dzieje, krasnolud wstał, wzdychając ciężko. - Najpierw nazywają nas wariatami, potem chcą, żebyśmy za nich walczyli. Powiadam ci, moja panno, że nadal mamy to samo szczęście i jest ono... -...parszywe - dokończyła Vixa. - Kapitanie, potrzebna nam jakaś broń. - Otrzymacie wszystko, czego zażądacie - zapewnił Samcadaris. Poprowadził ich korytarzem, biorąc z kuny jedną pochodnię. Krasnolud, który musiał zwawo przebierać nogami, by dotrzymać kroku wyższym elfom, podczas biegu pomrukiwał pod nosem: - Nie spodziewaj się stary, że znajdziesz tu jakiś solidny topór. A przecież nie możesz walczyć tymi elfimi zabawkami! Trafili w końcu do kolistej komnaty u podstaw północnej wieży, pełniącej rolę fortecznej zbrojowni. W świetle pochodni widać tu było szeregi stojaków z włóczniami i oszczepami, obok wisały miecze, tarcze i ulubiona broń elfów - łuki. Wrzaski i bitewny łoskot docierały tu nawet przez grube mury stołbu. - Wybierzcie, co wam potrzebne - rzekł Samcadaris, wtykając pochodnię w kunę na ścianie. - Ja muszę wracać na mury. Vixa wybrała brązowy, szmelcowany napierśnik i hełm. Nie było czasu na wyszukiwanie naramienników, nałokietników i rękawic. Dziewczyna wcisnęła hełm na głowę i zaczęła wkładać kirys. Gundabyr nieufnie spojrzął na brązowe pancerze - i tak zresztą za wielkie na niego - i podszedł prosto do stojaków pod ścianą. Z jednego z nich wyjął halabardę na sześciostopowym drzewcu i kilkakrotnie wywinął nią w powietrzu. Oto znalazł wreszcie solidny oręż - może nieco nieporęczny, ale budzący zaufanie. - Chodźmy! - zawołała Vixa, podnosząc miecz. - Wedle rozkazu, księżniczko!

Wybiegli na dziedziniec twierdzy. Panował tu ogromny ścisk, a kamienny bruk usłany był rannymi i konającymi Silvanestyjczykami. Padający na to wszystko blask długich powtykanych w specjalne gniazda pochodni przydawał całej scenie grozy i niesamowitości. Na murach wrzał zaciekły bój. Po drugiej stronie umocnień płonęła wioska i blanki wyraźnie rysowały się na tle pożaru. Pośród Silvanestyjskich obrońców uwijali się też zaskakująco liczni błękitnoskórzy podmorcy. Niektórzy zepchnięci z muru wojownicy lecieli w dół w milczeniu, inni wydawali przeraźliwe wrzaski. - Najzacieklejszy bój rozpęta się przy bramie! - zawołała Vixa, przekrzykując wrzawę. - Tam właśnie staniemy! - i pobiegła ku wrotom. Gundabyr nie pozwolił zbyt szybko się wyprzedzić. Aby dotrzeć do bramy, musieli przeciskać się wśród zalegających dziedziniec rannych i konających. Dobiegli do wrót w chwili, kiedy szale boju przechylały się na korzyść obrońców. Dowodził tu - skutecznie i z rozwagą - generał Axarandes. Wzmocnił obronę, zebrał siły i czekał na sposobny moment. Vixa i Gundabyr rzucili się ku solidnym wrotom, zamykanym właśnie przez kilkunastu żołnierzy. Ujrawszy dziewczynę i krasnoluda, Axarandes kiwnął tylko głową. Po zamknięciu wrót wsunięto na miejsca

potężne, wycięte z pni dębowych rygle. Axarandes natychmiast rozkazał zająć się rannymi. Vixa i Gundabyr w ślad za generałem wspięli się na blanki. Księżniczka wrzała gniewem - gdyby wysłuchano jej ostrzeżeń, sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej. Ranni i martwi staliby teraz na murach, zamiast leżeć na dziedzińcu! - Zaraz po zapadnięciu zmierzchu wyleźli z rzeki pierwsi wrogowie i zajęli przystań - odezwał się Axarandes. - Połowa garnizonu była poza obrębem murów - na patrolach albo na przepustkach po służbie. Zanim zdołano ogłosić alarm, wróg był już na uliczkach Brackenostu. Rozpętali pożary... a ten ich ogień niełatwo ugasić. - Gnomi ogień - mruknął ponuro Gundabyr. - Obawiam się, że to moja sprawka. - Kapitan Dannagel był we wsi i zebrawszy garść wojowników, zorganizował obronę. Ale wrogowie wylazili setkami prosto z wody, wzdłuż całego brzegu. Dannagel zginął, broniąc otwartych wrót fortu. Wprowadziłem jego ludzi do środka i walcząc, z najwyższym trudem zdołaliśmy jedynie zamknąć bramy - czego byliście świadkami. Księżniczka potrząsając głową, spojrzała z murów na płonąca wioskę. Axarandes powinien był się domyślić, że podmorcy zaatakują z wody! Przecież mówiła mu o tym, że będzie miał do czynienia z rasą, której członkowie czują się w wodzie jak ryby! Dała jednak spokój jałowemu gniewowi. Teraz należało wspólnie zastanowić się, jak skutecznie bronić Thonbec i Silvanostu. - Posłano wieści do Mówcy? - spytała. Axarandes potrząsnął głową, szybko więc dodała: -

Ich celem jest Silvanost. Nie popełnij błędu, generale. Musicie ostrzec Mówcę Gwiazd, by zdążył przygotować stolicę do obrony. Zdumiała się odpowiedzią, jaką usłyszała. - Pani, wedle mojej opinii, przedwczesne to działania. Nieprzyjaciel nie zdobył jeszcze fortecy. W rzeczy zaś samej, teraz, kiedy nie powiodła im się napaść z zaskoczenia, nie sędzę, byśmy mieli powody do niepokoju. Przykro mi, że ci wcześniej nie uwierzył, pani... ale teraz jesteśmy przygotowani. Dziesięcioletni oddział piechoty nie może ciągnąć z sobą machin oblężniczych o rozmiarach niezbędnych do uporania się z fortecą taką jak Thonbec. Powinni wrócić w morze, by oszczędzić sobie niepotrzebnych strat. - Łatwo ci tak mówić, generale - mruknął Gundabyr. - Waść jednak nie wiesz, do czego zdolni są ci niebieskurczybykowie. Coryphen nie przyszedł tutaj po to, by ot, tak sobie zrezygnować. Bądź pewien, że jut on coś tam wymyśli przeciwko twojej twierdzy. Axarandes przyglądał się przez chwilę stojącej przed nim parze. W blasku płonącej wioski oboje doskonale widzieli jego orlą twarz. - Dobrze więc, niech i tak będzie - przystał wreszcie. - Poślę kuriera do Silvanostu. Czy zechcielibyście podjąć się tego zadania? - Nie! - odpowiedziała Vixa bez namysłu. - Nie, generale, dziękujemy za zaszczyt. Wątpię, czy okazaliby nam więcej zaufania niż ty sam i twoi podwładni. Axarandes kiwnął głową i odwrócił się, by odejść. Vixa i Gundabyr zostali na murach i z bezsilną wściekłością przyglądali się ogniom pochłaniającym to, co pozostało z Brackenostu.

Rozdział 18 - Upadek twierdzy Do wschodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu. Wioska całkowicie spłonęła i szare mury Thonbec ogarnął wreszcie mrok letniej nocy. Z wody ponownie chyłkiem zaczęli wylaniać się podmorcy, grupujący się na brzegu w spore oddziały. Na szczęście bystroocy wartownicy z wież dostrzegli ich w porę i natychmiast rozbrzmiały sygnały alarmowe. Pierwsi dopadli murów łucznicy. Garnizon Thonbec składał się z pięciuset wojowników, wśród których znalazło się trzystu najlepszych łuczników Silvanostu. Choć brzegi rzeki spowijały jeszcze nocne mroki, strzały szybko zaczęły zbierać żniwo śmierci wśród morskich elfów. Tylko połowa z napastników dotarła pod mury, a żaden nie dobrnął do wrót. - Dobra nasza! - zawołał z blanków młody wartownik. - Górą łucznicy! - I co w tym dziwnego? - spytała Vixa cierpkim tonem. - Tamci nie znają łuku ni strzały! - Powinniśmy to wykorzystać i zaatakować ich właśnie teraz - sapał podniecony wartownik. - Z setką mieczów moglibyśmy skutecznie... - ...zmniejszyć liczbę obrońców o stu - uciął Samcadaris. - Wracajcie na posterunek, żołnierzu. - Podmorcy na razie tylko próbują rozpoznać nieprzyjaciela - wyjaśniła Vixa. - Nigdy przedtem nie walczyli na lądzie. Wkrótce po

zachodzie miesiąca, jak to zwykle bywa przed świtem, zapadła cisza. Na murach pojawił się Axarandes, który zdążył już odpocząć - za co zresztą Vixa wcale go nie ganiła - i przyniósł pismo, jakie zamierzał wysłać do Mówcy Gwiazd. Poprosił Vixę, by zechciała rzucić okiem na jego treść i poprawić błędy rzeczowe, bo tych mógł się dopuścić w opisie nieprzyjaciół. Dziewczyna zgodziła się na wszystko, co napisał, pismo więc zapieczętowano i zamknięto w kopercie z jeleniej skóry. Potem Axarandes wezwał kuriera - którym był najlepszy biegacz „śród załogi. Pośtańcowi objaśniono powagę misji i opuszczono go na linie z murów. Biegacz oddalił się skrycie i zniknął w lesie. - Mam nadzieję, że się jakoś przedostanie - mruknęła Vixa. - Za parę godzin wyślemy następnego - uspokoił ją komendant twierdzy. - I jeszcze jednego po południu. Jeden przynajmniej powinien się przedrzeć. W tej samej chwili rozległo się wołanie postrzegacza wieży. - Odwróćcie się! Wszyscy ku wodzie! Coś się kotłuje w rzece! Wszyscy skierowali się ku zachodniemu murowi. Zanim Vixa i Gundabyr dopadli blanków,

zrobiło się już tam tak tłoczno, że krasnolud mógł oglądać jedynie elfie pośladki. - Co tam? Co widzisz, księżniczko? - dopytywał się grzmiącym głosem. Tego właśnie Vixa nie była pewna. Mroczne wody Thon-Thalas wyraźnie się podnosiły. Woda zaś napierała od strony delty, nie odwrotnie! Fale przelały się nad kamiennymi pomostami, zalały brzegi i zaczęły pełznąć ku wzgórzom. I nagle Vixa poczuła, że jej żołądek ściska zimna garść strachu. - Generale! - szepnęła. - Każ opuścić mury! - A to czemu? Jakież to czarnoksiężskie sztuczki szykuje nam nieprzyjaciel? - chciał wiedzieć Axarandes. - Później! Teraz każ opuścić mury! Sięgająca coraz wyżej woda kotłowała się gwałtownie, a na jej powierzchni pojawiła się jakaś galaretowata masa. Silvanestyjczykom wydało się nagle, że z wody wypelza zgraja wijących się węzów. Jeden z gadów podniósł się na wysokość murów. Patrzące na to elfy jęknęły ze zgrozą. Wąż - a raczej wielka macka, miała dobre sześć stóp grubości i porośnięta była żółtawymi przyssawkami. Choć nigdy nie widziała potwora z tej strony, Vixa natychmiast go rozpoznała. - Wezwali na pomoc krakena. Wyszepiane przez nią cicho zdanie niczym grom ugodziło Gundabyra. - Otóż to - powiedział na pozór obojętnym tonem, po czym odwrócił się i pobiegł, jakby smok przypalił mu piętę. Z wody zaczęła się wyłaniać reszta koszmarnego cielska. Pozbawiony kości korpus z trudem mieścił się w brzegach rzeki. Straszliwe macki chłostały brzegi i owijały się wokół pni drzew, szukając oparcia. Z rzeki wysuwało się coraz więcej białawej, na poły przezroczystej tuszy. Łucznicy z blanków zaczęli siec potwora gradem strzał. Z równym jednak skutkiem mogliby go obsypać pocałunkami. Drewniane brzechwy bez żadnego efektu grzęzły w gumowatym cielsku. Jedna z macek dosięgła muru i owinąwszy się wokół niego, pospiesznie się cofnęła. Jej miejsce zajęła druga, badająca mur delikatnie i zdumiewająco precyzyjnie, zważywszy na jej rozmiary. I nagle pojawiła się trzecia, która śmignęła nad blankami niczym bicz, strącając z murów kilkunastu łuczników równie łatwo, jak oni pozbyliby się mrówek, które oblaży ich rękawy. Vixa nie mogła nawet poruszyć ręką. Okropny widok sparaliżował ją swoją grozą i potęgą. Pośrodku rozległego cielska ukazało się pojedyncze oko - czarne jak sama Otchłań i dwukrotnie większe od bram fortecy. Ślepie błysnęło w świetle gwiazd - i nagle księżniczka spostrzegła, że zwraca się w jej stronę! Tymczasem ku przodowi wysunęło się już pięć macek, które chwyciły za mur. Silvanestyjczycy rzucili się rąbać je mieczami i halabardami - z nader nikłym, niestety, efektem.

Pod skórą macek sprężyły się potężne sploty mięśni i potwór jeszcze bardziej wysunął się z wody. Axarandes zagrzmiał wreszcie jak burza, wykrzykując rozkazy. Na jego polecenie ze szczytów wież zniesiono beczki z oliwą i opróżniono je, wylewając zawartość na macki. Śladem oliwy poszybowały w powietrzu pochodnie. Tu i ówdzie rozbłysły słabe ogniki - wilgotna skóra bestii nie chciała się zapalić. Wszyscy poczuli już zapach potwora. Okropny smród zgnilizny przywołał w

pamięci Vixy jej pierwsze spotkanie z krakenem. Wzdrygnęła się gwałtownie i nagle paraliż ustąpił bez śladu. Dziewczyna chwyciła generała za ramię. - Nie możecie walczyć z czymś takim. To bydlę jest za wielkie i potężne! Ogłoś odwrót, generale! Ratuj załogę! - krzyknęła mu prosto w twarz. Kamienne krenelaże już pękały, zgniecione w uścisku macek potwora. Kilku wojowników zostało zmiażdżonych, gdy potężna macka uderzyła w wieżę. Potwor wydzwignął się już do połowy zbocza i coraz liczniejsze jego macki wyciągały się ku twierdzy. Vixa schyliła się w sarną porę, gdy nad ich głowami niczym potworny bicz śmignęła gruba na osiem i długa na dwie setki stóp macka. Potężne bloki granitu sypnęły się jak dziecięce klocki, gdy gigant przywarł do muru. Axarandes dał wreszcie znak trębaczom. Rozległy się dźwięki sygnału „Przegrupować się i wycofać”. Silvanestyjczycy opuścili się z muru i szybko sformowali szyki po jego drugiej stronie. Vixa rozejrzała się za Gundabyrem. Potwór przedzierał się już na dziedziniec. Gwardziści usiłowali utrzymać szyk, ale groźba była zbyt wielka, i zdyscyplinowani dotąd żołnierze poszli w rozsypkę, rzucając się do ucieczki. Setki elfów co tchu biegło ku zwróconemu w stronę lądu murowi, by przez mniejszą i węższą bramę wydostać się na zewnątrz. Wokół księżniczki zaczęły się walić kamienne bloki. Niewiele brakowało, a zostałyby zmiażdżona przez blisko czterotonowy kloc. Niebo rozjaśniło się od wschodu - nadciągał świt - na tle brzasku księżniczka zobaczyła południową wieżę Thonbec w uścisku macek potwora. Gigantyczne przyssawki zgrzytnęły o kamienie - i rozległ się grzmot walących się murów. Na oczach zdumionej dziewczyny południowa wieża rozsypała się, jak uderzona kijem wieżyczka zamku, wzniesionego przez dziecko z piasku na plaży. Powietrze wypełniło się kurzem, łoskotem walących się bloków granitu oraz wrzaskami przerażonych i poranionych elfów. Vixa osłoniła nos i usta dłonią, by choć częściowo uchronić je przed wszechobecnymi drobinami piasku, i pobiegła ku bramie wartowni w połowie wschodniego muru. Na jej drodze legła potężna macka. Dziewczyna zebrawszy całą odwagę, ostrożnie wspięła się na mięsisty walec. W dotyku był zimny i miękki - Vixa odniosła wrażenie, iż wspina się na kupę wilgotnych i nie wyprawionych skór. Macka nie drgnęła nawet wtedy, gdy dziewczyna zaczęła zsuwać się po drugiej stronie. Tam też oczy Vixy natknęły się na ponury widok - pod

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

macką widać było ramiona i nogi zmiążdżonego żołnierza. Vixa odwróciła wzrok i puściła się biegiem ku zbawczym wrotom. Brama była częściowo zawalona kamiennym rumowiskiem. Qualinestyjskiej księżniczce udało się przecisnąć przez ten labirynt. Pod łukiem bramy, przygnieciony zimnym blokiem, leżał jakiś martwy elf. Pochylając się pod przejściem, dziewczyna spojrzała w twarz nieszczęśnika i poznała w nim Kenthrina - jednego z trzech, którzy spotkali ją na plaży. Przecisnęła się jakoś, kosztem kilku rozdarć opończy i zadrapań na twarzy. Odrzwia bramy stały rozwarte. Dziewczyna przeszła przez nie chwiejnym krokiem i wydostawszy się na zewnątrz, zobaczyła jedynie grzbiety licznych Silvanestyjczyków, gnających w panice ku zbawczemu mrokowi leśnych ostępów. Nigdzie jednak nie dostrzegła Gundabyra. Kraken tymczasem niszczył północną wieżę. Potykająca się nieustannie Vixa ujrzała, że potwór bezlitośnie owija swe macki wokół przysadzistej budowli - z tym samym, co przedtem rezultatem. Potężna twierdza Balifa, wybudowana z wielkim staraniem przed tysiącem lat, legła w gruzach pod naporem straszliwej morskiej bestii. Vixa dotarła w końcu do lasu, gdzie przystanęła dla złapania oddechu i obejrzała się za siebie. Ku szczytowi wzgórza tłoczyły się podmorskie, błękitnoskóre elfy. Podmorcy poowijali głowy i barki jakimiś podobnymi do turbanów, wilgotnymi zawojami. Wszędzie, gdzie tylko natykali się na uciekającego lądowca, natychmiast bezlitośnie go zabijali. Zgrzytając zębami z bezsilnej wściekłości, księżniczka zrzuciła niepotrzebny już kirys i hełm. Pozostawiona samej sobie nie mogła uratować żadnego z niechętnych sprzymierzeńców. Mogła zadbać tylko o własne życie. Ciężka zbroja jedynie zwolniłaby jej ucieczkę. Rozciągająca się na wschód od Thonbec puszcza była stara, rozległa i gęsto poprzątkana potężnymi dębami i cisami. Skąpe poszycie umożliwiało szybkie przebycie lasu. Vixa pognęła przed siebie i biegła, dopóki nie zbrakło jej tchu. Czuła też palący wstyd - z powodu ucieczki i z powodu haniebnej klęski, jaką zadała im bezrozumna bestia. Daleko na wschodzie niebo pojaśniało, a pierwsze promienie słońca oświetliły wielką chmurę szarego pyłu, która była wszystkim, co pozostało z potężnej niegdyś twierdzy Thonbec. Wczesną ucieczkę Gundabyra z murów podyktował nie tyle strach, ile praktyczna natura krasnoluda. Znał potęgę uścisku krakena. Wiedział, że w obliczu takiego potwora każdy okaże się bezsilny - i najlepsze, co można zrobić, to przenieść się w bezpieczniejsze miejsce. Krasnolud uparł się bowiem, że pożyje dostatecznie długo, by odplacić niebieskurczybykom za zniewagi i upokorzenia. Kiedy dotarł do północnej bramy, zatrzymał się na chwilę. Macki krakena rozrywały

właśnie nadrzeczny mur. Gundabyr zawahał się, rozdarty nagle pomiędzy chęcią powrotu do Vixy a serdecznym pragnieniem oddalenia się od morskiego potwora na jak największą odległość. Ze względu na krępą budowę ciała i grube kości był kiepskim pływakiem - jak niemal wszystkie krasnoludy. Na widok krakena ogarnęło go znane już uczucie przerażenia i zgrozy - przypomniał sobie, jak bestia porwała statek, na którym płynęli z Garnathem. Macki krakena strąciły z umocnień pierwszych elfów i wówczas Gundabyr przestał się wahać. Zbiegł ze wschodniego zbocza ku lasom. Okolica opustoszała, nie spotkał więc nikogo. Podmorcy nie zadali sobie trudu, by okrążyć Thonbec od strony lądu. Prawdopodobnie obawiali się, że mogą zostać odcięci od rzeki. Trzymając topór w dłoni, krasnolud skrył się w lesie. Potem zbiegł ze wzgórza i wspinał się na szczyt następnego. Gdy niebo na wschodzie rozświetliły pierwsze promienie brzasku, zatrzymał się na krótki odpoczynek. Dotarłszy do niewielkiej polanki wieńczącej szczyt kolejnego pagórka, odwrócił się ku twierdzy. Ze starej fortecy pozostał już tylko stos kamieni, z którego wznosiła się ku niebu potężna kolumna kurzu. Obok niej, niemal pionowo, wzbijała się ku niebu stosunkowo cienka smuga dymu z płonących

resztek wioski Brackenost. Dysząc ciężko, krasnolud oparł się na drzewcu topora. Dopiero teraz dotarło doń, że może ot tak po prostu uciec. Był na to zbyt dumny, poza tym polubił młodą elfią księżniczkę. Nie była tak zadufana w sobie, jak większość jej ziomków. Poza tym, jeśli się pozwoli Dargonestyjczykom zdobyć i zająć Silvanost, żaden kraj na Krynnie nie może spodziewać się pokoju. Trzeba mu zatem wracać i odnaleźć Vixę. Odzyskawszy dech, oparł halabardę o ramię i ruszył w dół po zboczu pagórka. Drogę powrotną pokonywał znacznie wolniej niż podczas poprzedniej ucieczki na oślep. Kiedy dotarł do skraju lasu, skąd mógł dostrzec wschodni mur, ruiny twierdzy kąpały się już w promieniach słońca. Nigdzie nie widział nieprzyjaciół. Na całym polu leżały natomiast trupy Silvanestyjczyków, pomordowanych podczas ucieczki. Krasnolud dokładnie przyjrzał się poległym i z niemalą ulgą stwierdził, że nie ma wśród nich Vixy. Kraken też zniknął - prawdopodobnie wrócił do morza - w powietrzu jednak wciąż wisiał paskudny smród bestii. Gundabyr ruszył ku twierdzy, starannie wybierając drogę przez rumowisko i wśród trupów. Dotarłszy do szczytu wzgórza, rozejrzał się na wszystkie strony. Wszędzie panowała niezwykła cisza, której nie zakłócały żadne dźwięki ni ruchy - znikły nawet zwierzęta i ptaki. Powoli i z niemalym mozolem przedarł się wzduż północnej krawędzi ruin, cały czas intensywnie rozmyślając i zastanawiając się nad zagadką, w obliczu której postawił go los. Dokąd poszli Dargonestyjczycy? Zdobyli fort - dzięki pomocy krakena - i oto opuścili miejsce swego

wielkiego tryumfu. Promienie nisko jeszcze wiszącego słońca niemal oślepiały dzielnego krasnoluda, który przepatrywał ruiny, szukając Vixy. Kiedy osłaniał oczy przed blaskiem, uderzyła go pewna myśl. Może właśnie dlatego Dargonestyjczycy tak spieszenie opuścili pobojowisko? Woleli pewnie schronić się przed palącym blaskiem słońca. Ciągnąc dalej te rozważania, Gundabyr doszedł do wniosku, że jest mało prawdopodobne, by pojawili się tu ponownie przed zmierzchem. Żyjący w głębinach oceanu nie mogli znieść upału i blasku promieni słonecznych nie przefiltrowanych przez wody morskie. Mogło się okazać, że Silvanestyjczycy zdołają obrócić to na własną korzyść - a Reorx świadkiem - potrzebna im była każda, najmniejsza choćby przewaga. Uradowało go to, że nie ujrzał Vixy także wśród zalegających dziedziniec twierdzy trupów. Teraz musiał ją tylko odnaleźć. Kiepsko orientował się w geografii - osobliwie zaś w geografii Silvanostu - wiedział jednak, że stolica leży w górnym biegu rzeki, na wyspie otoczonej nurtami Thon-Thalas. Przełożywszy topór przez ramię, ruszył na północ, starając się trzymać w pewnej odległości od brzegu rzeki. Nie było sensu kusić podmorców do ataku za dnia. Tuż przed południem, kiedy słońce zaczęło dotkliwie piec mu gołą głowę, zwęszył jakiś dym. Pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby trafił na ognisko przyjaciół. Wsunąwszy się zręcznie pomiędzy krzewy porastające brzegi rzeki, zaczął ostrożnie przesuwając się w stronę źródła zapachu. Musiał uważać - nie spodziewał się wprawdzie, by wśród podmorców zapanowała nagle moda na pieczone ryby, był jednak intruzem w Silvanoście i ostatnio oglądał zbyt wiele elfich lochów od środka. Przez gęstwinię usłyszał jakieś głosy. Ująwszy mocniej drzewce topora, poczuł się trochę raźniej. W tejże chwili dojrzał jakiś ruch na otwierającej się przed nim polance. Poczul też zapach pieczenia - i ślinka napłynęła mu do ust. - Już niedługo będą gotowe - rozległ się znajomy głos Samcadarisa. - Mam nadzieję. Z generałem jest źle. Potrzebne mu jakieś pożywienie, by choć trochę się wzmocnił. Vixa! Gundabyr wytknął łeb spomiędzy wierzby, wołając: - Jedno jabłko dla mnie, księżniczko! Nagłe pojawienie się krasnoluda zaskoczyło zgromadzone wokół ogniska elfy. Vixa, Samcadaris i czterej inni porwali się na nogi. Gundabyr odkrył nagle, że w jego beczkowatą pierś mierzy kilka strzał i dwa miecze. - Czekaście! - wrzasnął, podnosząc ramiona w górę. - To przecie ja! - Stać! - rozkazała Vixa. Wojownicy opuścili broń. Księżniczka potrząsnęła głową. -

Gundabyrze, dobrze jest zobaczyć cię znowu, ale takie skradanie się po krzakach możesz

przyplącić kiedyś życiem. - Przepraszam najgoręcej! -- Krasnolud wyszedł na otwartą przestrzeń. - Ja też jestem ogromnie rad, że was widzę. - Co z tobą było? Gundabyr zwięźle opisał to, co przytrafiło mu się od rana - wspomniał też o tym, że wrócił do Thonbec. - I nie zostawili nikogo przy życiu? - spytał ponurym głosem Samcadaris. Krasnolud potrząsnął przecząco głową. - A was tylko tyłu? - spytał z kolei on sam, zataczając ręką koło. - Rozproszyliśmy się, gdy wokół zaczęły walić się mury i wieże - wyjaśniła Vixa. - Tu znalazłam Samcę, a potem wspólnie odszukaliśmy innych... i generała Axarandesa. Dziewczyna rzuciła pełne troski i niepokoju spojrzenie na nieruchomą sylwetkę, leżącą na prowizorycznych noszach z żołnierskiej opończy i dwu wyciętych w gęstwinie drążków. Na głowie komendanta twierdzy widać było głęboką ranę. Vixa wyjaśniła, że generała okaleczył kawałek muru. - Wyżyje? - spytał szeptem Gundabyr. - Rana jest poważna i jeśli szybko nie znajdziemy mu jakiegoś uzdrowiciela... - głos dziewczyny załamał się nagle. - Widziałeś podmorców? - spytała, biorąc się w garść. - Nie dziś rano. - Powiedział im także, iż - wedle jego teorii - Dargonestyjczycy nie mogą znieść działania bezpośredniego i padającego na nich bez osłony światła słonecznego. Vixie wydało się to całkiem możliwe. - Zauważyliśmy oznaki świadczące o tym, że zapuszczali się na oba brzegi rzeki - oznajmił Samcadaris. - W ogóle zaś nie natknęliśmy się na rybaków ani wieśniaków. Obozowisko rozbito na skraju rozległych sadów, które otaczały Silvanost. W rzeczy samej, jedynym pożywieniem, jakie mogli zdobyć były zielone, rwane prosto z drzew jabłka. Żołnierze piekli owoce, by stały się „bardziej zjadliwe”. Grupa uciekinierów skupiła się wokół ogniska, wyciągając spieczone jabłka z popiołów - wszyscy zjadali je, nie czekając, aż ostygną. Gundabyr przez parę chwil spoglądał na Vixę. Rozmawiała z innymi, siląc się nawet na żarty i na wszelkie sposoby starała się podtrzymać ich na duchu - co wobec niedawnej klęski było im niezwykle potrzebne. Sama - zważywszy na to, co się stało - wyglądała zaskakująco dobrze. W końcu krasnolud nie wytrzymał i spytał o powód dobrego samopoczucia. - Jestem na lądzie - odpowiedziała mu po prostu. - Zdumiewające, jak ważna jest ta różnica. Z wszystkim innym można się jakoś uporać.

Samcadaris zmarszczył brwi. - Pani, chciałbym być pewien swego tak jak ty - powiedział. - Nie boję się tej błękitnoskórej hołoty, ale jeśli mają na swe usługi potwora z morskich głębin., wtedy wszystko przepadło. Vixa zatopiła zęby w ciepłym mięszu. Następnie wyciągnęła rękę ku widocznej między drzewami rzece, Wyglądającej z tej odległości jak błękitna wstążka wijąca się wśród wzgórz. - Samca... jak wedle twojej oceny szeroka jest ta rzeka? - Szeroka? Może ma ze dwieście jardów... no, najwyżej dwieście pięćdziesiąt. - Kraken jest dość pękaty i ma przynajmniej miłą szerokości. Wiem, bo łąziłam mu po grzbiecie, wzięwszy go za wyspę. Wątpię, by potrafił precyzyjnie się aż tutaj. Nawet w Thonbec rzeka była zbyt ciasna - i to bydlę zostało w rozleglejszej delcie. A jak tylko weszło słońce, wycofało się z podmorcami na głębsze wody. Myślę, że Silvanost nie musi się obawiać tej bestii. Samcadaris spojrział na odległą Thon-Thalas. - Dzięki niech będą Astarin choć za to. - To, czego potrzeba nam naprawdę, to konie - rzekła Vixa, wstając. Musimy jak najszybciej zanieść ostrzeżenie do Silvanostu. Kapitan uśmiechnął się nieznacznie, wstał i otrząpął dłonie z kurzu. - Coś się na to poradzi, pani. Poprosiwszy gestem Vixę i Gundabyra, by poszli za nim, podszedł do leżącego na prowizorycznych noszach Axarandesa. Szczupła pierś generała podnosiła się i opadała w rytm nikłego oddechu. Samcadaris przyklęknął i delikatnie położył dłoń na ramieniu swego dowódcy. - Sir? Lordzie Axarandesie? Powieki generała drgnęły i uniosły się powoli. - Samca... - wychrypiął ranny. - Sir, potrzebne nam konie. Musimy dostać się do Silvanostu tak szybko, jak to tylko możliwe. - Poślij... kurierów... - Owszem, sir... wiem. - Samcadaris był teraz samą cierpliwością i łagodnością. - Nie mamy jednak pojęcia, czy się przedrą do stolicy. A i tobie, milordzie, przyda się uzdrowiciel. Jesteś poważnie ranny... - Powiniennem był tam polec. Moja cytadela rozpadła się jak pasterski szałas... elfy... Silvanestyjskie elfy ogarnęła panika... Powinieneś

był, kapitanie, zostawić mnie na tamtym poboju. Po chwili obok generała przyklęknęła także Vixa. - Posłuchaj, mości generale. Żyjesz, będziesz żył i wiele jeszcze dokonasz. Czyżbyś zamierzał zawieść swój kraj w chwili, w której najbardziej potrzebuje on twoich talentów i umiejętności? Axarandes zmierzył ją baczny spojrzeniem nabiegłych krwawymi żyłkami oczu. -

Naprawdę jesteś pani księżniczką z rodu Kith-Kanana? Dziewczyna zeszywniała lekko i spojrzała nań z góry. - Jestem Vixa Ambrodel, wnuczka Kith-Kanana, pierwszego Mówcy Słońca. Na ustach Axarandesesa pojawił się nikły uśmieszek. - Żałuję, pani, że nie uwierzył ci od razu. Jest w tobie odwaga i niezłomny duch... jaki znajdujemy w prawdziwie książęcej krwi. Powinienem być to wiedzieć. - Sir, nie zamartwiaj się tym. Ja na twoim miejscu postąpiłabym dokładnie tak samo. Samcadaris przerwał tę wymianę uprzejmości, chrząkając znacząco. - Sir... konie. -A tak. Generał uniósł dłoń i rozsunąwszy poły koszuli, wyjął spod niej niewielki złoty medalion, zawieszony na rzemieniu. Medalion przedstawiał sobą pięknie wyrzeźbionego konia w galopie. Axarandes zamknął obie dłonie na figurce i zaczął jakby przemawiać bez słów. Gundabyr położył ciężką łapę na ramieniu Vixy i spytał scenicznym szeptem: - Co mu jest? Modli się, czy co? - Generał przywołuje konie - wyjaśnił spokojnie Samcadaris. - Niektórzy oficerowie Ochrony Domu posiadają zdolności wzywania - w razie potrzeby - rumaków z równin. Długie było zakłęcie, które musiał - bezgłośnie - wymówić Axarandes. Kiedy wreszcie talizman wypadł z jego palców, wyczerpany do cna generał stracił przytomność. Vixa i Samcadaris wstali. - I co teraz? - spytał niesforny krasnolud, na którym to wszystko nie zrobiło wrażenia. - Czekaj - rzekł Samcadaris. - Okaż trochę cierpliwości. Gundabyr wzruszył szerokimi ramionami i poszedł ku ognisku po kolejne jabłko. Zdołał zaledwie odgryźć kilka kęsów, kiedy w jego uszy wpadł odgłos odległego grzmotu. Wkrótce już można było rozpoznać tętent kopyt. Zaraz potem Gundabyr z radosnym zaskoczeniem ujrzał wpadające na polanę konie. Było ich ponad dziesięć, różnego wieku, maści i rozmiarów. Elfy potrzebowały tylko ośmiu rumaków, wybrano więc najlepsze, a resztę rozpuszczono. Żołnierze spieszenie wycięli z rzemieni cugle, a nosze z Axarandesem umocowano za jednym z krzepkich wiejskich ogierów. Stepowe sanie nie były wykonane wzorcowo - ranny jednak żadną miarą nie mógłby wsiąść na konia. Gundabyrowi podstawiono kucyka o wyraźnie złośliwym spojrzeniu. Zwierzę wyszczerzyło na krasnoluda poźółkłe zębiska i zaczęło drobić nerwowo w miejscu, gdy mistrz kowalski ujął cugle. Niespodziewanie dla wszystkich. Gundabyr przysunął twarz do pyska kucyka i sam wyszczerzył swe potężne zęby. Konik natychmiast się uspokoił. Krasnolud podprowadził go do pobliskiego pnia i po chwili siedział już na końskim grzbiecie. - Zdumiewające - zauważył Samcadaris. - Wątpię, by to zwierzę kiedykolwiek chodziło pod

siodłem. Mości krasnoludzie, zdradź nam swój sekret - jakim cudem zdołałeś je tak szybko poskromić? - At... nie ma o czym gadać. Dałem mu po prostu do zrozumienia, że jeśli mnie capnie zębami, ja odgryzę mu... eee... ucho. Vixa Ambrodel po raz pierwszy od przybycia do Silvanostu roześmiała się prawdziwie beztróskim śmiechem.

Rozdział 19 - Miasto Gwiazd Podróż do Silvanostu przebiegła bez zakłóceń i nie trwała długo. Jeszcze przed zachodem słońca ujrzeni przed sobą baśniową stolicę wschodniego królestwa elfich dziedzin. Choć zmęczona, Vixa uniosła się w siodle, gdy tylko pomiędzy drzewami dostrzegła pierwsze błyski srebrzystych wież. Nikt z jej znajomych, nawet legat Armantaro, nigdy nie oglądał starożytnej stolicy. Często opowiadał, jak bardzo chciał na własne oczy zobaczyć cudowne miasto Przodków. Podniecenie Vixy zmieszało się teraz ze smutkiem - księżniczka pomyślała o tym, że pragnienie starego legata nigdy się nie spełniło. Zamiast wznosić budowle z różowego kryształu górskiego - którego w Qualinoście było pod dostatkiem - wieże Silvanostu połyskiwały śnieżną bielą marmurów. Wzbijały się na oszałamiające wysokości - były przy tym tak strzeliste i smukłe, że

przypominały sople lodu wzniesione z najczystszej, białej szkła. Jeden przynajmniej z kurierów Axarandesa dotarł do miasta przed nimi - Samcadaris wyciągnął dłoń przed siebie i zwrócił uwagę Vixy na fakt, iż na rzece nie było żadnych łódeczek czy tratw, których zwykle o tej porze pełno się tu kręciło pomiędzy brzegami. Pośrodku nurtu zakotwiczone wielkie łodzie o burtach wzmocnionych spiżowymi płytami - w ten sposób zamykano zwykle drogę wrogim okrętom. Ostrzeżenie nie zostało zatem zlekceważone. Na każdym maszcie i każdej wieży powiewały proporce. Zachodzące słońce złotymi i czerwonymi promieniami oświetlało białe mury Silvanostu, a na tle majestatycznych budowli Vixa ujrzała oddziały zbrojnych, poruszające się na wyniosłych blankach. Porzuciwszy sady i pięknie utrzymane ogrody jeźdźcy przecięli trawiastą równinę rozciągającą się wzdłuż rzeki. I natychmiast zostali otoczeni i wezwani do zatrzymania się. Komendę wydał im dowódca dobrze ukrytego oddziału jazdy na śnieżnobiałych koniach. - Stać! - Wołający miał piękny hełm ozdobiony pióropuszem. - Kim jesteście i po co tu przybyliście?! - Kapitan Samcadaris, z Ochrony Domu. Wiozę poważnie rannego generała Axarandesa z Thonbec. Pozostali to jego żołnierze. - A cudzoziemcy? Samcadaris gestem dłoni poprosił Vixę i Gundabyra, by przedstawili się sami. Księżniczka wyprostowała się w siodle i przemówiła dumnie: - Vixa Ambrodel, córka Verhanny Kanan i Kemiana Ambrodela, kuzynka Silverana. Mówcy Słońca. Krasnolud po prostu machnął dłonią i przedstawił się zmęczonym głosem: - Gundabyr...

mistrz kowalski z Thorbardinu. - Wszyscy udacie się ze mną. - Oficer poskromił wodzami tańczącego niecierpliwie w miejscu rumaka i ruszył galopem ku brzegowi rzeki. Vixa, Gundabyr, Samcadaris i pozostali uderzyli swe znużone konie piętami i podążyli jego śladem. Na brzegu zbudowano kamienny pomost, który łagodnie wnikał w wodę. Herold zatrzymał się i przyłożył do ust złoty róg. Nad Thon-Thalas rozległy się dwie, krystalicznie czyste nutki. Po chwili herold powtórzył wezwanie. - I co teraz? - warknął poirytowany zwłoką Gundabyr. Vixa wzruszyła ramionami. Po chwili ujrzeli dość sporą barkę, która przecinała rzekę, płynąc statecznie w ich stronę. Początkowo Vixa nie mogła się zorientować, jaka siła pchała barkę ku nim. Nie widziała masztów, wiosł ani drągów, którymi można odpychać się od dna. Od dziobu stateczku ku wodzie przeciągnięto parę grubych łańcuchów, których końce tonęły w nurcie. Gundabyr zapytał o ich przeznaczenie, zanim jednak ktokolwiek zdążył mu cokolwiek wyjaśnić, odpowiedź sama pokazała się na powierzchni wody. Fale pękły i wyłoniła się spod nich rozległa, zielona kopuła, której szczyt powoli wznosił się coraz wyżej. Przybysze nieświadomie szarpnęli za wodze i cofnęli konie. Kopuła składała się z kilkudziesięciu połączonych ze sobą płyt. Vixa ze zdumieniem spostrzegła, że ma przed sobą jakieś ogromne stworzenie. Na powierzchni pojawił się ociekający wodą łeb stwora, w którego paszczy mogłaby się zmieścić mniejsza łódź rybacka. Na księżniczkę spojrzęło obojętnie dwoje ogromnych, brązowych oczu. - To żółw! - kwiknął Gundabyr. - Ojciec wszystkich żółwi! - Wyhodowano je, aby holowały przez rzekę barki i łodzie. - Samcadaris uśmiechał się, zadowolony z wrażenia, jakie ogromne zwierzę zrobiło na gościach. - Zdumiewające! - westchnęła Vixa. - Jak udaje wam się zapanować nad taką bestią? - Pani, są łagodne niczym baranki. Do pracy przysposobili je kapłani Błękitnego Feniksa. Nie wiem, jakich użyli zaklęć... ale, jak widać, całkowicie im się powiodło. Gigantyczny żółw niewiele potrzebował czasu na przepłynięcie Thon-Thalas. Wkrótce wyłaził już z wody na kamienną pochylnię, gdzie zaczął mozolnie odwracać barkę, szykując ją do wycieczki powrotnej. Popychał ją łbem, dopóki sternik barki nie zagwizdał sygnału, który powiedział zwierzęciu, że wszystko gotowe. Z barki opuszczono trap i dwaj żołnierze z Thonbec wnieśli Axarandesa na jej pokład. Za nimi oczywiście poszli Samcadaris, Vixa i Gundabyr. Na barce tłoczyli się Silvanestyjczycy - na pierwszy rzut oka było widać, że byli rybakami, którym bardzo niedawno przyszło wdziać żołnierskie uniformy. W odróżnieniu od świetnie się prezentującej kawalerii mieli

niezbyt dobrze dopasowane kirysy i hełmy. Jak wszyscy mieszkańcy Silvanostu odznaczali się wysokim wzrostem, smukłą sylwetką, a także jasnymi oczami i włosami.

Vixa w Qualinoście widywała większą różnorodność ras. Żyły tam elfy, z których niejeden - niższy od ziomków i ciemniejszej karnacji - wywodził się z linii Kagonosa, można też było spotkać ludzi, krasnoludy i nawet kilkunastu kenderów - a wszyscy uważali Qualinost za swój dom. Na taką właśnie koegzystencję ras liczył jej dziadek, Kith-Kanan, kiedy zakładał miasto. W Silvanoście było inaczej. Przed setkami lat, kiedy Silvanost był siedzibą wszystkich elfów, Mówca Gwiazd, Sithel, zginął z ręki grupki ludzi, którzy zorganizowali łowy na rubieżach elfiego terytorium. Choć ludzie utrzymywali, że śmierć była przypadkowa, rozjuszona elfy ogniem i mieczem nawiedziły rejony zamieszkałe przez przedstawicieli innych ras, ze szczególną zaciekłością polując na ludzi - którzy wcześniej wcale nierzadko zawierali z członkami starej rasy przyjaźnie i związki małżeńskie. Ludzie stawili opór - i tak zapoczątkowano niesławne Wojny Krewniaków lub jak je nazywali inni, Wojny Zabójców Rodu. Kiedy wreszcie walki ustały, elfy wycofały się w głąb swojego terytorium i zerwały kontakty ze wszystkimi przedstawicielami ras - wedle ich sposobu pojmowania świata - niższych. Wrodzona arogancja leśnych plemion z czasem przekształciła się w rodzaj religii. Wielu elfom nie podobały się jednak skostniałe tradycje i zasady, wedle których rządzono krajem. Ich wodzem został Kith-Kanan, syn Sithela i brat kolejnego Mówcy Gwiazd, Sithasa. Niesnaski pomiędzy zwolennikami tradycji a myślącymi po nowemu doprowadziły w końcu do rozłamu wśród elfów i Kith-Kanan poprowadził swoich stronników na zachód, by założyć tam nowy kraj, Qualinost, w którym mile widziano przedstawicieli wszelkich ras. Od czterech setek lat ulice i aleje Silvanostu deptały więc jedynie stopy Silvanestyjczyków. Teraz zaś przybywał tu nie tylko krasnolud, ale i księżniczka z Qualinostu. Tutejsze elfy żywiły głęboką niechęć do swoich zachodnich współplemieńców, ponieważ podczas Wojen Krewniaków niektórzy z Qualinestyjczyków stanęli po stronie ludzi. Silvanestyjczycy wierzyli również głęboko, że cały konflikt nigdy by się nie zdarzył, gdyby elfy nie zawierały związków małżeńskich z ludźmi. Byli też w Qualinoście i tacy, którzy obawiali się, że któregoś dnia wygnańcy - bo tak na wschodzie nazywano Qualinestyjczyków - wrócą i zechcą siłą sięgnąć po władzę w pradawnej elfiej stolicy. Wśród swoich ziomków Vixa zawsze wyróżniała się wzrostem, budową ciała, barwą włosów i oczu. Tu mogłaby uchodzić za jedną z mieszanek grodu. Już na pierwszy rzut oka widać jednak było, że Silvanestyjczycy myślą zupełnie inaczej. Gdy tylko Vixa i Gundabyr znaleźli się na barce, ucichły rozmowy wśród członków załogi. Na krasnoluda i księżniczkę spoglądano z ciekawością, ale nieufnie i wrogo. - Co im się stało? - nie wytrzymał Gundabyr.

- Nic - odparła cicho księżniczka. - Po prostu nigdy nie widzieli żadnego cudzoziemca. W tejże chwili tkwiący w wieżycze na dziobie sternik włożył gwizdek do ust i zaświstał. Żółw ruszył wolno przed siebie i zaczął człapać ku mulistym rzeczonym wodom. Barka przechyliła się na prawo, rzucając szczury lądowe na burtę. Kiedy wreszcie wszystko się uspokoiło, Samcadaris zwrócił się do herolda. - Czy nieprzyjaciel pokazał się już w pobliżu miasta? - Nie... nie wiem nawet, kogo masz na myśli, mówiąc o nieprzyjacielu - odparł herold. Łypnął okiem na Vixę. - Czy napadli nas Qualinestyjczycy? Vixa otworzyła usta, by zaprotestować, ubiegł ją jednak Samcadaris. - Nie - powiedział - Ci waleczni cudzoziemcy przynieśli nam ostrzeżenie o zbliżających się wrogach. Z oczu herolda znikła wrogość, nadal jednak spoglądał sceptycznie. - Jak to się stało, że generał Axarandes leży na noszach? - spytał. - Odnosił ranę w bitwie? - Zwalila się nań jego forteca - odparł Gundabyr, który, jak wszystkie krasnoludy, lubił mówić wprost. - Kraken rozniósł ją na kawałki. - Co takiego? - Thonbec legł w gruzach -- wyjaśnił mu Samcadaris ponuro. - Wrogowie wezwali na pomoc morskiego potwora, który swoimi mackami rozdarł mury, jakby wzniesiono je ze słomy. - Czy nie

byłoby lepiej, gdybyś o wszystkim pierwej zameldował Mówcy? - przerwała Vixa, która zauważyła, jaki efekt przerażające wieści wywarły na załodze barki. Jeden tylko z członków załogi, któremu krew odpłynęła z twarzy, odważył się spytać o to, co nurtowało wszystkich. - Cóż to za potwór, kapitanie? - Jakież potwór jest dość wielki, żeby roznieść całą fortecę? - uściślił pytanie drugi. - Nie martwcie się - oznajmił Gundabyr dość głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. - Ten kraken potrafi wprawdzie połknąć trójmasztowiec i nawet się nie zakrzusi, a jednym machnięciem macki może zniszczyć cały gród, ale tu w Silvanoście się nie pokaże. Elfy gapiły się na krasnoluda, pootwierawszy gęby. - Dlaczego? - wykrztusił wreszcie jeden z nich. - Ta wasza rzeczka jest dlań za wąska. Ma w końcu bez mała milę szerokości. Silvanestyjczycy nie pozbyli się jednak obaw. Zaczumowali przy ładnym budyneczku z białego marmuru. Obok wartowni - bo takie było przeznaczenie budowli, co zdradzały wąskie okna i ambrazury dla łuczników - wzniesiono wybiegający w rzekę pomost. Herold zbiegł na ląd, gdy tylko opuszczono trap. Czterej wojownicy

z Thonbec ujęli nosze generała i ponieśli go do Domu Uzdrowień. Przy barce zebrali się wszyscy obecni na przystani gapie. Podczas gdy Vixa i Gundabyr czekali na swoją kolej, na nabrzeżu zebrali się spory tłumek. - Zróbcie drogę! Rozstąpcie się! W imieniu Mówcy! - nawoływał herold i wreszcie przetaił jakoś ścieżkę przez zbiegowisko. Tłum wprawdzie się rozstał, ale nie rozproszył. Wszyscy zaczęli szeptać, pomrukiwać coś niezbyt przyjaznymi głosami i wskazywać palcami na dwoje cudzoziemców. Vixa poczuła, że oczy gapiów zwrócone są przede wszystkim na nią. Przez kilka ostatnich tygodni żyła pod wodą, potem biła się w Thonbec i nie za bardzo przypominała księżniczkę z sąsiedniego królestwa. Wolałaby odwiedzić baśniowy gród w innych okolicznościach. Gundabyr musiał czuć się podobnie, mimo że zachowywał się z wystudiowaną nonszalancją. Wiedział, że w tych łachmanach niełatwo mu będzie godnie prezentować Thorbardin. Vixa kroczyła jednak za heroldem dumnie i z godnością. Może i nie wyglądała jak księżniczka, ale z pewnością nie zamierzała pozwolić w swojej osobie poniżyć Qualinostu. - Hej, co to jest? Wyścig, czy co? - wychrypiał w pewnej chwili Gundabyr, który z trudem dotrzymywał jej kroku. Vixa nie odpowiedziała. Wrogość Silvanestyjczyków natychmiast przypomniła jej zachowanie podmorców, kiedy ona i Armantaro zostali powleczeni ulicami Urione. Ta arogancja zaczynała już ją irytować. Przybyła tu przecież tylko po to, aby ostrzec tych drabów przed napaścią! Po kilku minutach tłum zaczął się rozpraszać. Wkroczyli zresztą na szersze ulice wybrukowane białymi, nieskazitelnie czystymi płytami. Zza murów wychylały się tu gałęzie pięknie utrzymanych drzew rosnących w ogrodach, które szeroko rozstawiły stolicę. Bramy i furty obsadzano białymi różami i bzem, które rozsyłały wszędy oszałamiające wonie. W powietrzu wyczuwało się jakąś niezwykłą rześkość - jakby niedawno przeszła tu burza, mimo że na niebie nie było widać żadnej, choćby najmniejszej chmurki. Zauważył to również Gundabyr, który natychmiast spytał o to Samcadarisa. - Myśmy już przywykli - odpowiedział kapitan. - Niektórzy mędrcy utrzymują, że to znak łaski bogów, którzy ukochali w nas pierwszą rasę wśród mieszkańców Krynnu. Inni twierdzą, że to zbiorowa aura mieszkających tu elfów. Jeszcze inni opowiadają się za wersją, że zjawisko to wywołuje obecność Mówcy... - A waś w co wierzysz? - spytała Vixa. - Pani, ja jestem tylko zwykłym sobie żołnierzem - wzruszył ramionami Samcadaris. - Takie rozważania zostawiam innym.

Vixie spodobała się taka odpowiedź. Zamiast spróbować oszołomić ją tajemnicami, kapitan powiedział po prostu prawdę. Ze spokojnej uliczki dzielnicy mieszkalnej orszak Vixy przeszedł na ruchliwą arterię, wybrukowaną marmurem oprawnym w złoto. Mieli stąd już świetny widok na górującą nad całym miastem Wieżę Gwiazd. Na widok niezwykle pięknej budowli Vixa wstrzymała dech. Oto był cel pragnień Uriony, siedziba władzy monarchy pierwszego z elfich królestw. W świetle zmierzchu wysoka na sześć setek stóp, oblicowana najbielszym marmurem świeciła jakby

własnym światłem, rozsiewając blask niczym latarnia. - Chętnie ujrzałbym ją z bliska - mruknął Gundabyr, zwracając się konfidencjonalnie do Vixy. Herold jednak usłyszał. - Od wybuchu Wojen Zabójców Rodu żaden obcy nie postawił stopy wewnątrz Wieży - odpowiedział, obrzucając krasnoluda ostrym spojrzeniem. Na takie słowa Gundabyr oczywiście zjeżył się jak szczotka. Aby zapobiec sprzeczce, Vixa spytała herolda: - Kto jest obecnie Mówcą? Czy tę godność nadal piastuje Sithas, syn Sithela? Rzadko miewaliśmy wieści z Silvanostu... Wtem zbliżył się do nich piękny powóz z czerwonego klonu wykładanego zmyślnie osadzonymi w drewnie karneolami. Pojazd ciągnęła trójka pysznych, czarnych cugantów. Herold okrzykiem zatrzymał powóz, który - ku radości Vixy - okazał się pojazdem do wynajęcia. - Zawieź nas do Wieży Obrońcy - polecił herold woźnicy. Kiedy wszyscy wygodnie usiedli, woźnica cmoknął tylko i konie ruszyły z miejsca. Vixa i Gundabyr, rozparłszy się na miękkich, wykładanych skórą siedzeniach, oddali się przyjemnościom, jakim zwykle poświęca się przyjezdny. Wskazywali Samcadarisowi i heroldowi - którego imię, jak dowiedzieli się przy okazji, brzmiało Tiahmoro - rozmaite budowle i wypytywali o ich historię i przeznaczenie. Qualinestyjska księżniczka ze szczególną przyjemnością oglądała - co prawda z daleka tylko - świątynię Astry lub Astarin - tak w Silvanoście nazywano Króla Bardów. Patrzyła na najstarszy w całym świecie chram tego boga. Potem przybysze zajęli się podziwianiem magnackich siedzib, nierzadko zdobionych srebrem, pysznymi marmurami i otoczonych drzewami magicznie ukształtowanymi w różnorakie fantazyjne formy. Rozległy bulwar wywiódł ich na okrągły plac. Pośrodku placu z żółtych, ciosanych kamieni na planie kwadratu wzniesiono jakiś budynek o wyraźnie wojskowym charakterze. Tuż za nim stała przysadzista wieża z białego marmuru. Na tle mrocznego już nieba wznosiła się na jakieś siedemdziesiąt stóp. Pojazd zatrzymał się na placu i cała czwórka wysiadła. Spojrzawszy na budowlę, Vixa wysnuła wniosek, iż ma przed sobą siedzibę gwardii Mówcy, czyli Domu Ochrony. Wszyscy czworo weszli do środka przez monumentalną bramę. Na

widok herolda i Samcadarisa stojące przed nią warty wyprężyły się niczym struny. Z pobieranych w dzieciństwie nauk Vixa zapamiętała, że społeczność Silvanestyjczyków opiera się na sztywnym systemie kastowym. Każdy z elfów był członkiem jakiegoś klanu, nazywanego tu Domem. Domów takich było wiele, poczynając od Domu Królewskiego (władcy pochodzili w prostej linii od pierwszego z Mówców, Silvanosa) poprzez Dom Kapłański, Dom Kamieniarzy, aż po Dom Służby. Dom Ochrony był po prostu Silvanestyjską armią. Przeszedłszy kilkoma krętymi korytarzami, wyszli w końcu do okrągłej komnaty. Pomieszczenie to, które było już częścią masywnej wieży, miało kilka pięter wysokości i rozpięto nad nim piękne, żebrowane sklepienie. Przytłoczeni rozmiarami sali Gundabyr i Vixa mimo woli stanęli bliżej siebie. Samcadaris, który bywał tu już wiele razy pewnym krokiem ruszył środkiem, budząc echa pod sklepieniem. Poprowadził przybyszów ku podwyższeniu, wzniesionego w sercu rozległej sali. Siedział tam starszy elf odziany w szaty wojskowego kroju. - Samcadaris, syn Palindara, nieprawdaż? Kogoś nam tu przywiódł, kapitanie? - spytał starszy jegomość, przesywając Vixę bystrym spojrzeniem błękitnych oczu. - Sir, chciałbym donieść o zniszczeniu fortecy Thonbec - powiedział spokojnie Samcadaris. - Co takiego?! - okrzyk zdumienia starszego elfa sprawił, że głowy wszystkich obecnych w sali zwróciły się w stronę podwyższenia. Samcadaris raz jeszcze opowiedział historię o tym, jak to on i jego towarzysze znaleźli na brzegu dwoje rozbitków, którzy ostrzegli generała Axarandes o inwazji podmorców, jak doszło do napaści i jak wezwany z głębin kraken zniszczył fortecę. Podczas tej opowieści zebrali się wokół nich wszyscy obecni w sali. - Gdzie jest teraz Axarandes? - spytał oficer pełniący służbę przy stoliku na podwyższeniu. - W rękach Quenesti Pali - odparł Samcadaris. - Wyzdrowieje, jeśli taka będzie wola bogini. Starszy oficer wyjął kartę pergaminu i stylus. Napisawszy kilka linijek, powiedział: -

Heroldzie, udaj się na dwór, oto twoja przepustka. Poproś Mówcę, by jak najszybciej zechciał przyjąć tych ludzi. Wielu z wojowników usiłowało zaprotestować przeciwko tej - ich zdaniem - zbyt pospiesznej decyzji. Starszy oficer zapłonął gniewem i uderzył o blat stołu ręką swego sztyletu. Wojownicy umilkli, on zaś skończył pismo i zwinął je w rulon. Następnie podał je Tiahmoro, związawszy pergamin jedwabną taśmą. - Pani, zechciej tu może poczekać do chwili, aż Mówca zgodzi się was przyjąć - zaproponował. - Powiadomię warty. Po raz pierwszy od kilku dni Vixa poczuła ulgę. Jej zmęczone ciało ogarnęła fala ciepła.

Dziewczyna zasalutowała sprężysto i rzekła: - Dziękuję, sir. Wojownicy rozeszli się, nadal tocząc spory dotyczące dziwnej historii, którą przynieśli z sobą przybysze. Tiahmoro odszedł, a Vixa pochyliła się nad pulpitem oficera. - Pani, czy wolno mi o coś poprosić? - spytała grzecznie. - O co mianowicie? - Jeżeli mam się spotkać z Mówcą Gwiazd, pragnęłabym trochę się ogarnąć. O ile to możliwe, poproszę o kąpiel i czystą odzież. - I mnie by się to przydało - mruknął krasnolud. Starszy elf spojrział krytycznie na porozdzierane i brudne szaty przybyszów. - Pani, nie mamy damskich szatek. - Sir, wystarczy mi to, w co odziewają się wasi żołnierze. Oficer przyglądał się jej przez chwilę i rozważywszy sprawę, w duchu przyznał, że pod powłoką mizerności i wyczerpania w tej dziewczynie kryje się niezłomny żołnierski duch. I podjął decyzję. - Samcadarisie! - zawołał. - Zadbaj o to, by spełniono prośbę tych dwojga! - Żołnierze odprowadzili Vixę i Gundabyra w głąb koszar. Krasnoluda zawieziono do zwykłej żołnierskiej łaźni. Vixę Samcadaris osobiście zaprowadził do swej własnej kwatery. Wezwał ordynansa, polecił mu przygotować kąpiel i odszedł. Ordynans przyniósł Vixie czystą lnianą bieliznę i oficerską tunikę do kolan. Vixa energicznie zmyła pot i kurz ze swej ogorzałej skóry. Wstawszy z wanny i wytarłszy się czystym ręcznikiem, stwierdziła, że bielizna i wierzchnie szaty świetnie pasują. W niektórych wypadkach jej wzrost miał swoje zalety. Po upływie połowy godziny wróciła do okrągłej sali, odświeżona i gotowa na spotkanie z Mówcą. Był tam i Gundabyr, również odziany w czystą odzież. Dla krasnoluda wybrano najmniejszy rozmiar moderunku, który i tak trzeba było znacznie skrócić. Krawiec tuniki dyndał poniżej sękatych kolan karła. - Przysłano wiadomość - powiedział oficer dyżurny. - Mówca Gwiazd przyjmie was jeszcze tej nocy. Będą obecni również członkowie jego Rady Przybocznej. Macie przejść do Pałacu Quinari. Gundabyr sarknął niezbyt zadowolony z obrotu spraw. Krasnolud liczył na to, że uda mu się zobaczyć wewnątrz legendarnej Gwiazdzistej Wieży. - Zaprowadzi was tam kapitan Samcadaris - ciągnął starszy elf, jakby nie usłyszał chrząknięcia Gundabyra. - I oczywiście herold Tiahmoro. W rzeczy samej, wkrótce zjawili się Samcadaris i Tiahmoro. Oni również przebrali się i włożyli swoje paradne zbroje - obaj olśniewali blaskiem bijącym z wypolerowanych napierśników, naramienników i hełmów. Na piersiach mieli kunsztownie wprawione w stal złote godła Mówcy,

obaj też okryli ramiona krótkimi, czerwonymi płaszczami. Hełm Samcadarisa był ozdobiony pysznym pióropuszem ze złotego pawia - świętego ptaka Obrońców. Wyróżnienie to świadczyło o jakiejś niemałej przewadze bitewnej kapitana. Na zewnątrz budynku czekała już honorowa eskorta z czterech dziesiątek wojowników. Vixa i Gundabyr zajęli miejsca pośrodku kolumny. Tiahmoro ustawił się na czele i oddziałek ruszył ulicami grodu. Gapię i spacerowicze, którzy wyszli na wieczorną przechadzkę, obserwowali świetny orszak z niemałą estymą. Na Vixę jednak i Gundabyra patrzono jeśli nie wrogo, to ze źle skrywaną podejrzliwością. Orszak zbliżył się do lśniącej fasady pałacu, który wzniesiono przy długiej, reprezentacyjnej alei. Po obu stronach drogi poustawiano posągi upamiętniające poprzednich Mówców. Stał więc tam dawca praw i ojciec narodu, Silvanos, przedstawiony jako wojownik. Obok stał Sithel, dalej zaś Sithas - uważany przez elfy za postać tragiczną, ponieważ władał podczas Wojen Zabójców Rodu i za jego panowania nastąpiło rozdzielenie plemion. Pałac Quinari był znacznie rozleglejszy niż rezydencja Mówcy Słońca w Qualinoście i

znacznie bogatszy. Centralną wieżę obejmowały trzypiętrowe skrzydła boczne, smukła zaś wieża miała trzy setki stóp wysokości i wzniesiono ją z różowego marmuru. Skrzydła podtrzymywały kolumnady z marmuru o zielonej barwie - każdą kolumnę magicznie uformowano w idealną spiralę imitującą róg jednorożca. Eskorta zatrzymała się i szeregi gwardzistów rozstały się na boki. Samcadaris skinieniem dłoni polecił Vixie i Gundabyrowi, by ruszyli przodem. Goście musieli teraz przejść schodami pomiędzy dwoma szeregami wspaniale prezentujących się wojowników. Na szczycie schodów czekali dwaj Silvanestyjczycy - jeden w zbroi i hełmie na głowie, okrywający ramiona wspaniałym płaszczem ze złotogłowiu, jaki mogli nosić jedynie marszałkowie dworu, drugi w długiej, pysznej szacie koloru ciemnego błękitu i wspaniałym naszyjniku z szafirów. Samcadaris nisko skłonił się przed obu wielmożami. - Lordzie Druzenalisie... Lordzie Agavenesie... Ja i moi podopieczni prosimy wasze lordowskie mości o pozwolenie na wejście do pałacu Mówcy Gwiazd. Druzenalis podniósł swoją laskę marszałkowską. - Wejdźcie wszyscy. Jego Majestat czeka - oznajmił z godnością. Nazwany Agavenesem cywil nie odezwał się ani słowem, przechodzący jednak obok niego Vixa i Gundabyr poczuli na sobie jego ciężkie, niechętnie spojrzenie. We wnętrzu pałacu panowały chłód i półmrok - wszystko tchnęło tu odległą przeszłością, co wywarło przygnębiające wrażenie na wrażliwej Vixie. Pamiętała, jak z kuzynami i krewniakami bawiła się beztrudnie, biegając po korytarzach skromniejszej, ale przytulniejszej rezydencji Silverana. Nie umiała zaś sobie wyobrazić, by wśród otaczającego ją dostojństwa ktoś pozwolił

sobie na bieganie lub choćby podniesienie głosu ponad zwykły szept. Atmosfera była tu równie poważna - i nadęta - jak w świątyni. W bocznych korytarzach zbierali się jednak dworacy, którzy bez skrępowania gapili się na przechodzących mimo przybyszów. Silvanestyjskie damy były bajecznie piękne i prześlicznie ubrane. Idąca w pożyczonym mundurze Vixa nagle poczuła się nieswojo. Podniosła nawet drżącą dłoń do skręcających się w niesforne loki włosów, usiłując jakoś je przygładzić. Po chwili opanowała się na tyle, by przerwać bezsensowną czynność. Zachowujesz się jak idiotka, zganiła samą siebie. Ile z tych piękności nie z tej ziemi, odzianych w jedwabie i klejnoty, walczyło na dnie oceanu z chilkitemi? Te damulki nie potrafiłyby odróżnić głowni od rękojeści miecza! Z pewnością też żadna z nich nie śmigła przez fale jako czarno-biały delfin. Vixa wyprostowała się i zaskoczyła Silvanestyjskie damy zwycięskim uśmiechem, jaki pojawił się na jej ogorzałej twarzyczce. Teraz oto otwarły się przed nimi odlane z brązu drzwi, wysokie na dwie kondygnacje. Widoczna za nimi czarna posadzka lśniła niczym lustro. W głąb sali tronowej wiódł szkarłatny, rozciągnięty od samych drzwi kobierzec. Wysokie sklepienie podpierały strzeliste kolumny. Druzenalis i Agavenes wkroczyli pierwsi, skłonili się nisko ustawionemu daleko w głębi tronowi i rozstąpili się na boki. Spojrzawszy ukradkiem na towarzyszy, Vixa przekonała się, że Samcadaris i Tiahmoro byli tak samo przejęci ważnością chwili, jak ona sama. Obaj mieli marsowe miny i zaciskali kurczowo dłonie na rękojeściach swych kordów. Jedynie Gundabyr wydawał się w ogóle nie przejmować dostojnością i znaczeniem gospodarza, który miał ich za chwilę przyjąć. Vixa szczerze pozazdrościła mu spokoju ducha. Przeszli pod wdzięcznymi łukami wierzb i winorośli obciążonych gronami. Gdzieś z boku słychać było łagodne tony muzyki, którą grali biegli grajkowie na kryształowych instrumentach. Vixa dostrzegła w oddali podwyższenie, na którym ustawiono tron. Tak jak Mówca Słońca w Qualinoście, Mówca Gwiazd w tej komnacie załatwiał i rozstrzygał codzienne sprawy swojego królestwa. Sala tronowa w Wieży Gwiazd służyła tylko największym i najbardziej uroczystym zgromadzeniom dostojników. Vixa spojrzała ku tronowi i wbrew sobie samej zmrużyła oczy, usiłując dostrzec coś z tej - sporej jeszcze - odległości. Na tronie ktoś siedział, nie mogła jednak niczego zobaczyć wyraźnie - jakby całe podwyższenie spowijała mgła. Gundabyr także przecierał oczy. Powietrze wokół nich nagle zamigotało zwodniczo. Przez chwilę oboje myśleli, że

to złudzenie, potem jednak poczuli lekkie muśnięcia na twarzach i dłoniach - nikłe, niczym smuzki pajęczych nici. Gundabyr sięgnął dłonią i chwycił to coś - a kiedy przyjrzał się bliżej trzymanym w palcach włóknom ujrzał, że są to złote nitki! Splecione tak finezyjnie, jakby utkały je oswojone pająki. Krasnolud sapnął ze zdumienia - teraz doprawdy był pod wrażeniem. Po przebyciu trzech kolejnych pajęczych zasłon, mogli już dość wyraźnie ujrzeć tron. Wyższy i ozdobniejszy fotel był zajęty, ale stojące obok krzesło doradcy było puste. Najmożniejsi panowie królestwa stali po obu stronach podwyższenia, przed którym w odległości pięciu kroków była pusta przestrzeń - i szkarłatny dywan. Vixa zatrzymała się na jego końcu i szarpnęła Gundabyra za ramię - niesforny krasnolud, nie zważając na protokół, podszedłby jeszcze bliżej. Absolutny władca Silvanostu siedząc na tronie, przybrał osobiście niedbałą pozę. Zsunął się niemal z tronu, wysuwając daleko przed siebie jedną nogę; drugą, zgiętą w kolanie, podwinął pod siebie. Trzymał przed sobą jakiś zwój pergaminu, którego drugi koniec rozwinięty się wzdłuż wysuniętej nogi, stoczył się na posadzkę. Mówca Gwiazd wyglądał na całkowicie pogrążonego w lekturze dokumentu. Nie podniósł nawet oczu na przybyszów. Vixa nie wytrzymała i chrząknęła znacząco. Silvanestyjscy wielmoże, jak jeden, niemal spopielili ją spojrzeciami. Mówca jednak podniósł wzrok znad dokumentu. Był dość młody - Vixa oceniła jego wiek na mniej niż dwieście lat. Miał błękitne oczy i jasne włosy, właściwe wszystkim Silvanestyjczykom, ale twarz Mówcy Elendara była - ku zdziwieniu księżniczki - całkowicie wolna od pychy i próżności malujących się na obliczach jego dworaków. Przyglądał się Vixie i Gundabyrowi równie bacznie, jak oni jemu - z tą różnicą, że on patrzył przez złotą ramkę, w którą wprawiono lśniący i gładki szklany dysk. - Krasnolud. Ha! Nigdy przedtem nie widziałem krasnoluda - odezwał się wreszcie głębokim i dźwięcznym głosem. Zupełnie nieświadom popełnianego nietaktu, Gundabyr zrobił krok do przodu i wyciągnął dłoń ku majestatowi. - Miło mi poznać, Waszą Królewską Mość. - Obecni przy tym wielmoże wstrzymali dech ze zgrozą. Zaraz potem Gundabyr dopełnił miary bezczelności, pytając beztrosko: - Co takiego trzymasz w dłoni, mości królu? - Mój kryształ? A... mam słaby wzrok, co nie pozwala mi widzieć wyraźnie rzeczy i przedmiotów znajdujących się poza zasięgiem mojego ramienia - odpowiedział spokojnie władca. Dworacy zapłonęli oburzeniem na zuchwałość i wścibstwo krasnoluda, Mówca jednak zupełnie się tym nie przejął. - To powiększa wizerunki wszystkiego, co widzę. Chcesz zobaczyć? Gundabyr wziął podany mu przedmiot i podniósł do oczu dwucalowej szerokości dysk. - Na Reorxa! - zagrzmiał, odwracając się ku Vixie. - Chcę mieć taki sam! Gdy pomyślę o tych wszystkich nocach, jakie prześlęczałem nad Tygodnikiem Bieglego Rzemieślnika... Mówca Elendar patrzył na krasnoluda, nie ukrywając rozbawienia. - Każę zrobić takie szkła dla ciebie, mistrzu Gundabyrze. A ty - zwrócił się do Vixy - musisz być moją kuzynką. Dobrze mówię?

Vixa skłoniła się tak, jak kłaniała się swojemu wujowi, Mówcy Silveranowi. - Panie, jestem Vixa Ambrodel. Twój ojciec i mój dziadek byli braćmi. - Niezbyt się ze sobą zgadzali. - W jego głosie nie było gniewu czy wrogości. Władca uśmiechnął się i dodał: - A ty przeżyłaś kilka wspaniałych przygód, jak mi mówiono. Och tak, wiem wszystko, kuzyneczko. Wiodłaś burzliwe życie... jak wszyscy z linii Kith-Kanana. - Przy tych słowach westchnął. Vixa gotowa była przysiąc, że w tym westchnieniu dźwięczały nutki żalu - jakby, mimo całej swej potęgi i władzy, Mówca Gwiazd szczerze jej zazdrościł. Agavenes i Druzenalis stanęli wśród innych. Mówca spytał marszałka o obecną sytuację militarną. - Wielki Mówco, od czasu zniszczenia Thonbec nieprzyjaciel rzadko się pokazuje. Wieśniacy i rybacy meldują o wrogach widywanych po obu stronach rzeki, żaden jednak nie wychylił się bliżej, niż o ligę na północ od twierdzy - zameldował służbiście Druzenalis. - I jakie z tego wysnuwasz wnioski, mości marszałku? Druzenalis nawet nie spojrzał w stronę Vixy i Gundabyra. - Uważam, miłościwy panie, że mamy do czynienia z dywersją. Pachnie mi

to qualinestyjskim podstępem. - Co? Jak śmiesz, ty... - zawrzała gniewem Vixa. - Cóż to za inwazja, która ustaje po tak znacznej wiktorii - ciągnął marszałek. - Thonbec padł... ale gdzie podzieli się wrogowie? Gdyby uderzyli następnego dnia po zdobyciu twierdzy, mieliby za sobą zaskoczenie. Wierzę, miłościwy panie, że mamy do czynienia z dywersją - prawdziwa napaść przyjdzie z zachodu. Księżniczkę - bardziej nawet niż niesłychane oskarżenia marszałka - zdumiały również potakujące kiwnięcia głowy, jakimi popisali się niemal wszyscy przytomni wielmoże. - To śmieszne! - zawołała, zapominając o zachowaniu spokoju. - Mówca Słońca kocha pokój! Wie to każde dziecko w Qualinoście! - Wygłosiłem tylko swoją opinię - oznajmił Druzenalis, kładąc dłoń na rękojeści ceremonialnego miecza. - Miłościwy panie, sędzę, że ta dziewczyna jest szpiegiem i oszustem. Do lochów z nią, powiadam. Niech wśród zimnych kamieni zastanowi się nad konsekwencjami prób oszukiwania ludu z Silvanostu! Mówca pochylił się ku przodowi, unosząc jednocześnie swe jasne brwi. - W istocie, dziwne to, że wróg jeszcze nie pokazał się pod stolicą. Masz na to jakąś odpowiedź, kuzynko? Vixa zaczerpnęła tchu, starając uspokoić się. Wiedziała, że wściekłe okrzyki protestu nie zdadzą się teraz na nic. Musi przemówić rozumnie i nade wszystko spokojnie. - Najjaśniejszy Panie, podmorcy żyją w głębinach mórz. Mogę sobie wyobrazić wiele powodów, dla których

zwlekają z napaścią - szkodzi im blask słoneczny, nie smakuje woda z rzeki, może zbuntował się ich kraken... - Cudzoziemka gra na zwłokę - wtrącił się Druzenalis. - Panie, poślij ją do lochów. I krasnoluda też. Samcadaris milczał aż do tej chwili, przytłoczony wspaniałością otoczenia. Teraz jednak odzyskał mowę. - Wielki Mówco - odezwał się ostrożnie. - Czy pozwolisz, by zabrał głos ktoś, kto był świadkiem zniszczenia Thonbec? Mówca kiwnął głową. - Dajemy zgodę. - Jak do tej pory, wszystko, co mówili lady Vixa i mistrz Gundabyr, okazało się prawdą. Dargonestyjczycy istnieją naprawdę. Widziałem ich i biłem się z nimi. Podwodni wojownicy zaatakowali Thonbec dwa razy - zawsze w nocy. Gdybym był ich wodzem... - rozejrzał się wokół, niepewny, jak daleko może się posunąć w spekulacjach - gdybym więc był ich dowódcą, to też bym jeszcze nie atakował. - A to dlaczego? - spytał z przekąsem marszałek. - Silvanos to wyspa, wasza dostojność. Najpewniejszy sposób, w jaki podwodny wróg może oblegać gród tak duży jak nasz, to otoczyć całą wyspę. - Z dziesięcioma tysiącami wojowników? To niepodobieństwo! - sprzeciwił się Druzenalis. - Aby otoczyć Fallan, trzeba by stu tysięcy piechurów, jeżeli nie więcej! - Owszem, panie, jeśli trzymać się tradycyjnych sposobów myślenia. Ale podmorcy mają jedną przewagę. Oni mogą atakować nas na lądzie, my zaś nie możemy wydać im bitwy pod wodą. Vixa zorientowała się szybko, ku czemu zmierza bystry kapitan. - Oczywiście - wtrąciła się, kiwając główką. - Dargonestyjczycy nie muszą obawiać się naszego ataku na ich linie zaopatrzenia, nie potrzebują więc wielotysięcznych oddziałów. Mogą uderzać gdzie tylko im się spodoba, w dowolnie wybrane miejsca... a w razie porażki zawsze zdołają wycofać się do wody. Swobodna postawa Mówcy gdzieś znikła. Władca spojrzął bacznie na Druzenalisa: - Czy to prawda, marszałku? Druzenalis wyglądał na zbitego z tropu, ale dość szybko zdołał się pozbierać. - Jeżeli w rzeczy samej istnieją, to... - Widziałem ich na własne oczy! - zachnął się Samcadaris. - Ja też! - dodał Gundabyr. - A żaden z Ironbenderów nigdy nie splamił się kłamstwem! Gundabyr i Vixa patrzyli na marszałka tak, że powinien był zaskwierczeć i splonąć. Druzenalis jednak uparcie wpatrywał się w Mówcę. Rosnące napięcie rozładowały spokojne słowa Elendara. - Kuzynko, wygląda na to, że ostrzegłaś nas w samą porę - powiedział, uśmiechnąwszy się

do Vixy. - Ty i mistrz Gundabyr zostańcie, proszę, w pałacu jako moi goście. Kapitanie Samcadaris, dzielnie służyłeś ojczyźnie. Możesz odejść, zabierając z sobą nasze szczerze podziękowania. Mówca skinął dłonią i natychmiast podeszli dwaj przybocznicy. Vixa i Gundabyr

skłonili się nisko, żołnierze zaś wyprowadzili ich z komnaty. Vixa zdążyła jeszcze posłać Samcadarisowi pytające spojrzenie, oficer jednak wzruszył tylko ramionami. Ostrzegli stolicę. Teraz wszystko było w dłoniach Mówcy. Opuszczając salę, Vixa usłyszała, jak Silvanestyjscy panowie spierają się o prawdziwość jej opowieści. Lord Agavenes oczywiście popierał marszałka. Nie bez pewnego zdziwienia księżniczka odkryła, że żal jej trochę Mówcy. Wyglądało na to, że doradców odziedziczył po ojcu, z których większość znała sprawy królestwa lepiej niż inni - lepiej nawet niż sam Mówca Gwiazd.

19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

Rozdział 20 - Miecz Balifa Tymczasem nieopodal ujścia Thon-Thalas, pod falami, których grzywy rozwiewał wiatr, zbierali się Dargonestyjczycy. Dla królowej Uriony słudzy wzniesli namiot, by osłonić władczynię przed przenikającymi płytkie wody promieniami słońca. Następnie pod namiotem ustawiono tron, przyniesiony tu wielkim nakładem pracy z podwodnego miasta. Było to właściwie niskie i długie krzesło z oparciem, wycięte z czerwonego koralu i ozdobione szlachetnymi kamieniami. Niskie jego podłokietniki wygięto kunsztownie i wyrzeźbiono w kształt skaczących przez fale delfinów. Coryphen osobiście zawiódł Urionę do przygotowanej dla niej siedziby. Dotarłszy na miejsce, królowa - której oblicze nadal skrywała jedwabna srebrzysta maseczka - usiadła wygodnie. - Kiedy będziecie gotowi do ataku? - spytała w przenikliwie i ostro brzmiącej podwodnej mowie. - Już niedługo, Boska - odpowiedział Coryphen. - Awangarda armii nawet w tej chwili maszeruje na Silvanost. Kiedy się do nich przyłączę, otoczmy gród i zaczniemy oblężenie. Królowa skinęła głową. Jej fiołkowe oczy - jedyny element jej twarzy, który widoczny był spod maseczki - spoglądały dość obojętnie na perły zdobiące rękawy jej szaty. Po chwili namysłu Uriona rzekła cicho: - Trzeba mi wraz z tobą zjawić się w starej stolicy. Powinam być gotowa na wkroczenie do mego miasta, gdy tylko pokonamy suchawców. - Najjaśniejsza Pani, musimy to jeszcze omówić. Bez potrzeby nie wolno ci się narażać na niebezpieczeństwo. Racz poczekać, aż nieprzyjaciel zostanie całkowicie pokonany. Zaręczam ci, że nie będziesz musiała długo na to czekać. - Pewien jesteś, że zostaną podbici? Twoja armia nie jest zbyt liczna, a suchawców jest wielu... - Nie oprą się naszej waleczności! - Może i tak - odpowiedziała Królowa. - Dobrze, że zabrałam ze sobą Cienie Zury. Jeżeli się okaże, iż nie zdołasz zwyciężyć suchawców w boju, pokonamy Silvanestyjczyków magią. - To niepotrzebne - odparł gniewnie Coryphen. - Podbiję ład włócznią i oszczepem, nie magicznymi chmurami i dymami! Obojętne spojrzenie królowej zmiękło i władczyni przeszła wodza przenikliwym wzrokiem. - Coryphenie, zwycięstwo jest tuż, tuż - powiedziała łagodnie. - Widzę, jak miasto wpada nam w ręce. Słyszę okrzyki i wiwaty Quoowahbów, które zagrzmiały pod Gwiazdzistą Wieżą, kiedy koronują mnie na władczynię starej rasy. Ruszaj, mój Lordzie Protektorze. Uwolnij dla mnie

moją stolicę. - O Boska, Silvanost będzie twój! Klnę się na moje życie! Coryphen podskoczył i machnąwszy kilkakrotnie potężnymi nogami, zniknął wśród wód Thon-Thalas. Królowa skinęła dłonią i odesłała precz czekających cierpliwie służących. Jej maska drgnęła lekko, kryjąc uśmiech władczyni. - Już niedługo, moi boscy bracia i siostry, już niedługo Uriona Pierworodna zasiądzie na najstarszym tronie elfich królestw - szepnęła do siebie. - Kiedy zostaną ukoronowani w Gwiazdzistej Wieży, dopełni się mój los. Nie oprze mi się żadna moc na Krynnie. Żadna! Nikt z Dargonestyjczyków nigdy przedtem nie przebywał w słodkiej wodzie, nikt też nie zapaścił się tak blisko lądu. Kilku poczuło się źle, nudności i zawroty głowy szybko jednak im przeszły. Większość stwierdziła, że słodkie wody przypominają im ocean po wielkiej burzy. Wśród tych ostatnich był - jakżeby inaczej - Coryphen. Obecnie Protektor Uriony z niewielką grupką przybocznych szybko płynął w górę rzeki. Gdy tylko dotrze do swoich oddziałów, zacznie się oblężenie Silvanostu. Słońce było już nisko na zachodzie, kiedy Coryphen i jego nieliczna eskorta dotarli w pobliże grodu. Wódz najeźdźców zdumiał się urodą miasta, które miał podbić. Jego niezwykłość, szczególnie zaś migotliwe lśnienie, jakim powitał go Silvanost, sprawiło, że Protektor drżał z podniecenia i nie krył radości. Wkrótce on i jego królowa będą kroczyli widocznymi z wody ulicami, będą badali ich tajemnice - i spełni się przeznaczenie obojga. Ona zostanie władczynią, on będzie jej obrońcą. Silvanost stanie się pierwszym z jego

kolejnych tryumfów. Dargonestyjczycy z Urione zbyt długo już żyli w izolacji. Nadeszła pora, by świat dowiedział się o ich istnieniu i potędze. Coryphen, pod przewodem swojej boskiej władczyni, pokaże wszystkim, że prawdziwa potęga i moc Krynnu kryła się w morzach! Podpłynął do zachodnich dzielnic grodu pogrążonych już w głębokim cieniu. Współ z przybocznymi obserwował, jak Silvanost kryje się w mrokach, i na ulicach, a także w oknach, zapalają się iskierki światła. Wódz raz jeszcze zachwycił się pięknem wspinających się ku niebu wież i tych dziwnych roślin, zwanych drzewami. Widok ich wdzięcznych kształtów przywiódł mu na myśl ową dziewczynę... Vixę Ambrodel, która pierwsza poznała swą przyszłą władczynię, Urionę. Dostrzeżono ją wśród obrońców Thonbec i niektórzy z jego towarzyszy przypuszczali, że dziewczyna zginęła w ruinach starej twierdzy. Protektor - nie bez zdziwienia - odkrył, że wieści o jej śmierci sprawiły mu przykrość. Dzielna i pomysłowa panna byłaby świetnym sojusznikiem. Patrzący na odległe miasto suchawców Coryphen czuł, jak narasta w nim podniecenie. Już

wkrótce... już niedługo mieszkańcy lądu dowiedzą się, że stare legendy mówiły prawdę. Przekonają się, że Dargonestyjczycy są częścią rzeczywistości - i doprawdy, niebawem zyskają na to więcej dowodów, niżby sobie życzyli! Morska potęga odzyska należny jej szacunek... zdobyty strachem. Tego wieczoru Vixa i Gundabyr otrzymali zaproszenie na kolację u Mówcy Gwiazd. Nie było to formalne przyjęcie, podczas którego Mówca podejmował nieraz i pięćdziesięciu gości - tym razem mieli zjeść we trójkę. W jednej ze skromniejszych komnat pałacu ustawiono stół, na którym ułożono trunki i potrawy. Przygotowano też trzy miejsca, kładąc obok nich złotą zastawę i jedwabne serwety. Qualinestyjska księżniczka miała za sobą dzień, podczas którego niczego właściwie nie dokonała. Spała do południa, obudziwszy się zaś, stwierdziła, że tak naprawdę nie wie, co z sobą zrobić. Służba ignorowała jej żądania, by powiadomiono ją o staraniach podjętych dla wzmocnienia obrony miasta, inni zaś, choć usiłowali nawet jej pomóc, niczego z kolei nie wiedzieli. Lord Agavenes wyraził niestosowne - jej zdaniem - życzenie, by ona sama i towarzyszący jej krasnolud nie opuszczali pałacu i nie niepokoiли mieszkańców swoją obecnością, pałętając się bez celu po ulicach. Vixa zawrzała gniewem, Gundabyr jednak - który uważał, że należy mu się choć trochę odpoczynku - poradził jej, by przestała się wściekać. Dodał, że powinni skorzystać z chwili wytchnienia, bo kiedy pojawią się Dargonestyjczycy, nie będzie miejsca na wywczasy. Wezwanie Mówcy Vixa przyjęła ze szczerym entuzjazmem. Doszła bowiem do wniosku, że kto jak kto, ale władca z pewnością będzie w stanie zaspokoić jej głód wiedzy o planach obrony Silvanostu. Mocno się jednak pomyliła. Usiadłszy za stołem, Elendar poprosił gości o zajęcie miejsc. Okazał się czarującym gospodarzem, który własnoręcznie napełnił trzy smukłe puchary nektarem. Uczyniwszy to, oddalił służbę, pragnął bowiem porozmawiać z przybyszami na osobności. Gundabyr skosztował trunku i jego krzaczaste brwi popęzły w górę. Znawca natychmiast rozpoznał wyborny rocznik napitku. Nigdy przedtem nie kosztował lepszego. Jednym haustem pochłoniął zawartość pucharu i wyciągnął przed siebie puste naczynie, prosząc o następną porcję. Mówca z ochotą napełnił puchar krasnoluda, uśmiechając się przyjaźnie. Opróżniwszy naczynie do połowy, Gundabyr zajął się leżącymi przed nim smakołykami. Potrawy były nieco za lekkie dla miłośnika dziczyzny i gęstych sosów, ale niewątpliwie wybornie dobrane. W pewnej chwili krasnolud spojrzał na Mówcę z osobliwym zdziwieniem w oczach. - Najjaśniejszy Panie, nie chciałbym zostać źle zrozumiany, mniemałem jednak, iż wszyscy Silvanestyjczycy są jak Druzenalis i Agavenes... to znaczy... eee... nie lubią cudzoziemców.

Elendar łyknął nieco trunku ze swego pucharu. Trzymając go w obu dłoniach, wpatrywał się przez chwilę w gwiazdy, wygrawerowane na smukłym naczyniu. - Jestem czwartym synem mojego ojca - odpowiedział wreszcie, jakby to miało wszystko wyjaśnić. - Poprzedni Mówca był ostatnim z moich braci. Kiedy umarł - dość niespodzianie - okazało się, że żaden z jego synów nie jest

dostatecznie dojrzały do rządów, tytuł przeszedł więc na mnie. - Vixa i Krasnolud spoglądali na niego, nadal nie bardzo pojmując, co chce im powiedzieć. Mówca znów wypił nieco trunku. - Chodzi mi o to, że nikt nie oczekiwał, iż zostanę władcą, nie przygotowano mnie więc do sprawowania władzy. Ponieważ wykazywałem zdolności do nauki, całe niemal życie przestawałem z uczonymi. Wiem sporo o Thorbardinie i Qualinoście, ale moja wiedza wzięła się z ksiąg. Spotkanie z wami jest chyba najbardziej interesującym wydarzeniem, jakie przyszło mi przeżyć od wielu dziesiątek lat. - Ja zaś miałam ostatnio aż za wiele niezwykle ciekawych przeżyć - mruknęła Vixa. - Ale wszystko zmierza ku pomyślnemu końcowi - zapewnił ją Mówca. Gundabyr odstawił wreszcie swój delikatny puchar - a uczynił to tak energicznie, że naczynie zadzwięczało. - Nie myślicie chyba o poddaniu się? - spytał wprost. - Oczywiście, że nie! - Sir, jak planujecie bronić miasta? - nie wytrzymała Vixa. - Jeszcze wczoraj w nocy rozesłałem edykt do najodleglejszych zakątków królestwa. Wezwałem pod broń wszystkich mężczyzn. W ciągu tygodnia pod murami do obrony stolicy stanie dwieście tysięcy elfów. Oczywiście, nie wolno lekceważyć wroga, który może oddychać wodą. Nie byłem pewien, czy wystarczy regularnych oddziałów, by uporać się z Dargonestyjczykami. Vixa milczała, ale wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie potrafi pojąć spokoju, z jakim Mówca odnosił się do zagrożenia. - Nie trap się, kuzynko - dodał uspokajająco. - Ten... Coryphen nie może zwyciężyć. W ciągu tygodnia będzie albo martwy, albo zostanie naszym więźniem. Silvanost oprze się każdej napaści. To oświadczenie dopełniło miary i księżniczka nie wytrzymała. - Jak to, Najjaśniejszy Panie? - spytała podniesionym głosem. - Nie możecie przecież toczyć walk pod wodą! Mówca rozłamał okrągły bochen chleba na trzy porcje i dwie z nich podał gościom. Ugryzł kęs, przeżuł go spokojnie, połknął i dopiero wtedy odpowiedział: - Skoro zostaliśmy ostrzeżeni o zbliżającej się napaści, przepadły wszelkie ich szanse na zwycięstwo. Ten Coryphen musiał oszaleć, jeśli wyobraża sobie, że z dziesięcioma tysiącami wojowników podbija naród, który liczy milion! Zgoda, że już zbyt długo daliśmy się wodzić za nos starym durniom, takim jak Agavenes czy Druzenalis, ale w Silvanoście żyją i pracują najwięksi czarodzieje i cudotwórcy Krynnu. -

Mówca kiwnął głową, jakby mówił sam do siebie. - To, że Dargonestyjczycy zamierzają otoczyć miasto pierścieniem, również wyjdzie nam na dobre - będą musieli się rozproszyć. Kiedy spadnie na nich nasz cios, Coryphen nie zdąży zebrać ich razem. - Jaki cios? - spytał zaintrygowany Gundabyr. - Moi przyjaciele, musicie okazać trochę cierpliwości. Nie jestem jeszcze gotów, by wyjawić swoje plany. - Mówca zamilkł i napełnił swój talerz potrawami z półmisków. Vixa i Gundabyr wymienili zrezygnowane spojrzenia, musieli jednak zadowolić się rozmowami o czym innym. Mówca jął ich wypytywać o strony rodzinne i inne kraje, które widzieli. Na tym upłynęła następna godzina. Na zakończenie posiłku Mówca wstał i podał Vixie ramię, co było niesłychanym wprost wyróżnieniem. - Czy zechcielibyście obejrzeć Gwiazdzistą Wieżę? - spytał. - Jest zawsze piękna, ale osobliwie wygląda nocą. Zgodzili się z entuzjazmem. Uprzejme zaproszenie usunęło w cień troski i myśli o zbliżającej się napaści. Vixa pomyślała, że może się okazać, iż będzie jedyną mieszkanką Qualinostu, której kiedykolwiek trafiło się takie szczęście. Było już po zachodzie słońca. Gdy przecinali plac dzielący Wieżę od pałacu, Gundabyr nieustannie zasypywał Mówcę pytaniami i nie szczędził mu swoich komentarzy. Umilkł dopiero, kiedy weszli do głównej sali u podstaw Wieży. Panująca we wspaniałej budowli aura potęgi i majestatu sprawiała, że każdy zbyteczny dźwięk wydawał się tu niemal świętokradztwem. Gwiazdzista Wieża była w zasadzie pustą wewnątrz rurą wysoką na sześć setek stóp. U podstawy otaczały ją pierścieniem trzy poziomy pomniejszych komnat. Ściany Wieży przecięto jedynie spiralnie rozmieszczonymi oknami i wprawiono w mur szereg klejnotów. Tego wieczoru kamienie przepuszczały blask czerwonego i srebrnego miesiąca, nasycając wnętrze tęczą barw. Umieszczone na zawrotnej wysokości sklepienie było mroczne, nieozdobne i przecięte jedną

tylko lukarną, która przepuszczała smugę srebrzystego miesięcznego blasku, docierającą aż do leżącej sześćset stóp niżej posadzki. Vixa i Gundabyr podziwiali to wszystko z zadartymi w górę głowami. Sklepienia nie wspierała żadna kolumna i rozległość przestrzeni zapierała dech w piersiach. Zanim tu weszła, Vixa sądziła, że nic nie da się porównać z pięknem Wieży Słońca w Qualinoście - ale uroda tej budowli poruszyła ją jednak do głębi. Daleko przed nimi, w głębi sali audiencyjnej, siedem stopni wiodło ku podwyższeniu wspartemu o jedną ze ścian. Trzy dodatkowe, szerokie stopnie dzieliły szczyt platformy od tronu. Na szczycie zaś tkwił pełen wspaniałości szmaragdowy Tron Gwiazd. Mimo wielu spędzonych w jej wnętrzu lat, piękno Wieży poruszyło i Mówcę. Przemówił niemal szeptem: - Za tronem są małe drzwi. Wiodą na spiralne schody, którymi można wspiąć się

na blanki u szczytu Wieży. - Możemy tam wejść? - spytał natychmiast Gundabyr. Zanim Mówca zdążył odpowiedzieć, ktoś im przerwał. - Czy mogę wejść, sir? - rozległo się pytanie od wejścia. Odwróciwszy się, zobaczyli, że przy drzwiach stoi jakiś elf. Mówca skinął dłonią i przybyły zbliżył się, wkraczając w krąg światła. Miał na sobie zieloną liberię herolda. Była poplamiona błotem. Przybyły dyszał szybko i wszystko wskazywało na to, iż ma za sobą długi bieg. Oddychał też z trudem. - Sir, muszę donieść o tym, że miasto zostało zaatakowane! - wycharczał wreszcie. Echa strasznej wiadomości nie zdążyły jeszcze zamrzeć pod sklepieniem, kiedy za gońcem pojawiły się grupki dworzan. Wszyscy zaczęli gromadzić się w sali posłuchań. Byli wśród nich Druzenalis, Agavenes, kilku kapłanów i wojownicy. Vixa szybko odnalazła wzrokiem Samcadarisa. - Najjaśniejszy Panie! - zagrzmiął Druzenalis. - Powiadomiono mnie o ataku na nasz święty gród! - Otrzymałem właśnie te same wieści - odparł sucho Mówca. - Heroldzie, gdzie pokazał się nieprzyjaciel? - Sir, zaatakowano nas od wschodu, przy Bramie Astarin. - Tamtędy właśnie Vixa i Gundabyr wkroczyli do miasta. - Zabili świętego żółwia, który trudził się przy promie, i wdarli się do wartowni! Mówca zwrócił się do Samcadarisa: - Mości kapitanie - polecił mu - weź połowę królewskiej gwardii i ruszaj na Bramę Astarin. Wyprzycie wrogów z miasta. Młody oficer zasalutował wzorowo. - Wedle rozkazu, sir. Przepędzimy ich precz albo legnę w boju! - Sir? Kuzynie? - odezwała się szybko Vixa, zanim ktokolwiek zdążył się wtrącić. - Czy mogę wziąć udział w walce? Mówca uśmiechnął się lekko. - Ależ oczywiście. Powiedziano mi, że twoi rodzice są świetnymi żołnierzami - osobliwie lady Verhanna. Witam jej córkę w naszych szeregach. Ale nie możesz ruszać do walki bez oręża. Druzenalisie... zechciej, proszę, oddać jej swój miecz. - Najjaśniejszy Panie! - Polecenie władcy wstrząsnęło starym arystokratą. Kiedy Vixa poprosiła o pozwolenie wzięcia udziału w walkach, na twarzy marszałka pojawiło się jawne niezadowolenie. Rozkaz Mówcy sprawił jednak, że Druzenalis zapłonął gniewem. - Chyba nie mówisz poważnie? Mam oddać mój miecz tej... tej przybłędzie? Ogrom wrogości dźwięczącej w jego słowach uderzył Vixę niczym grom. Księżniczka pohamowała się jednak i bez słowa wyciągnęła dłoń. Marszałek ani drgnął.

Jedna ze srebrzystych brwi Mówcy popęzła wolno w górę. I rozległ się spokojny głos Elendara: - Użycz mej kuzynce swego miecza, mości marszałku. Nie sprzeciwiaj mi się. Druzenalis nie kryjąc wściekłości, wyszarpnął głównię z ozdobnej pochwy. Ostrze miało jedynie dwie stopy długości i było najwyraźniej orężem ceremonialnym. Vixa myślała przez chwilę, że zamiast podać jej broń, stary arystokrata przeszyje ją na wylot. On jednak zmienił chwyt i podsunął jej rękę. - Panie, ręczę słowem, że nie okryją go hańbą - oznajmiła księżniczka uroczyście. Druzenalis odwrócił się do niej bokiem, ignorując jej słowa. Vixa spojrzała na uśmiechniętego szeroko Gundabyra. - A ty, mości krasnoludzie? Idziesz czy nie? Krasnolud zmrużył oczy. - Na razie nic lepszego się nie kroi. Zaraz potem Vixa, Gundabyr i Samcadaris wybiegli z Wieży, podążając za heroldem w zabłoconej liberii. Księżniczka zdążyła jeszcze usłyszeć, że marszałek i jego Mówca gorąco o coś się spierają. Niebo

zabarwiła pomarańczowa łuna. Na południu, w parku, który zajmował sporą część wyspy, gorzał jakiś wielki pożar. Na ulicach widać było biegnące szybko elfy, które dźwigały jakieś zawiniątka. Niektórzy z biegnących byli dobrze uzbrojeni. Wszystko jednak odbywało się w zaskakującym porządku. - Gdyby napadnięto Thorbardin - mruknął Gundabyr - każdy krasnolud stałby w drzwiach swego domostwa i darłby się co tchu w płucach. - Doprawdy? - zdziwił się Samcadaris. - A jakże, ryczeliby na wrogów, by przyszedli i stawili im czoło! Krasnolud ruszył do pałacu, by wziąć topór, który zdobył w Thonbec. Tymczasem na przylegającej do koszar ulicy zgromadziła się już pięciuset osobowa grupa gwardii, kwiat armii Silvanostu. Samcadaris stanął pośrodku placu i wezwał do siebie podoficerów. Zwięźle opisał im sytuację i powiedział, czego od nich oczekuje. W następnej chwili oddział elfów biegł już ulicami, kierując się na Bramę Astarin, gdzie wrzał zacięty bój. Obok Vixy, niczym tłoki maszyny gnomów, tłukły uliczny kamień krótkie, muskularne nogi Gundabyra. Krasnolud dźwigał na ramieniu swój katowski topór. Kiedy dotarli do bramy, ujrzeli, że w jej wnęce gdzieś płoną niewielkie ognie - bez wątplenia rozniecone przez gnomy wynalazek Gundabyra. Mimo nocnego mroku, światło ognia było wystarczająco intensywne, by w jego blasku dostrzec kotłujących się w otwartym przejściu wrogów, wśród których uwijali się, parując ciosy i uderzenia, członkowie załogi wartowni. Podmorców łatwo było poznać ze względu na ich niebyle jaki wzrost, błękit skóry i niejednolite uzbrojenie.

Vixa z niemałym trudem przepychając się łokciami, przedarła się do pierwszego szeregu. Nareszcie miała spotkać się z wrogiem na twardym łądzie i z mieczem w dłoni. Na ulicy było pełno oręża poległych w boju i Vixa z łatwością znalazła sobie odpowiednią tarczę. Gdy zatrzymała się, by ją podnieść, Gundabyr wydał dziki okrzyk bojowy, którym mógłby - jak to później obrazowo określił Samcadaris - zwarzyć mleko w skopku, i runął na wrogów samotnie, zostawiając za sobą zwarte, karne szyki gwardii. Z dachu wartowni sypał się nieustannie deszcz grotów. Choć w dole zaciekle kotłowali się jasnoskórzy i błękitni, sławni łucznicy Silvanostu nie mieli żadnych trudności w rażeniu wrogów śmiertelnymi pociskami. Ich celność i skuteczność była godna podziwu. Właściwie jedynie nieustanna ulewa strzał powstrzymywała podmorców od wysypania się spod łuku Bramy i rozlania niszczącej falą po mieście. Kilkunastu podmorców uformowało w otwartej bramie szyk osłonięty tarczami i odpierało natarcia wartowników, podczas gdy inni zaczęli pięć się po wewnętrznych schodach, by dopaść usadowionych na dachu łuczników. Bijące w niebo po drugiej stronie muru płomienie oświetlały całą scenę niesamowitym, czerwonym i migotliwym blaskiem. Natarcie królewskiej gwardii było potężne - w pierwszych szeregach szli najlepsi szermierze. Vixa wymieniła kilka szybkich ciosów z jakimś oszczepnikiem. Zwarłszy się z nim pierś w pierś, pojęła nagle, że ten podmorzec wyglądał inaczej niż mieszkańcy podwodnego grodu. Jak tamci wysoki i potężnie zbudowany, miał jednak skórę znacznie jaśniejszą, włosy zaś srebrzyste, a nie zielone. Zaplótł je w gruby, opadający mu na barki warkocz, przetykany muszlami. W prawym uchu napastnika tkwiła wielka perła. Dziewczyna pomyślała, że ma przed sobą Dirmenestyjczyka, elfa zamieszkującego mielizny. Słyszała gdzieś, że mieli walczyć wspólnie z oddziałami Coryphena. W górze rozległy się kolejne wrzaski. Z dachu wartowni spadło kilku łuczników, zepchniętych przez podmorców, którzy zdołali się tam wdrzeć po schodach. Vixa błyskawicznie pojęła, że losy starcia decydują się właśnie tam. Cofnęła się szybko i zawołała do Gundabyra: - Umiesz się wspinać? Krasnolud w lot pojął, o co chodzi. - Jak kozica. Panie idą przodem! Dziewczyna skoczyła pod marmurową ścianę wartowni. W mroku leżeli ranni, którzy doczołgali się tu, by cierpieć w milczeniu lub skonać. Niestety, nikt nie miał czasu, by się nimi zająć. Księżniczka i krasnolud podbiegli do podstawy muru. Marmur był tu gładki niczym szkło i nie dawał żadnej możliwości oparcia dla dłoni czy stopy. - Te okna, tam, wyżej! - wskazał dłonią Gundabyr. - To muszą być schody.

Vixa zrobiła siodełko ze splecionych dłoni. Krasnolud potrząsnął jednak głową. - Księżniczko, jesteś co prawda waleczna jak bohaterzy ze starych legend, ale nie zdołasz mnie podnieść! Wspinaj się, a chyżo! Podstawił jej swe szerokie bary. Vixa bez namysłu ustawiła stopę na jego zgiętym kolanie i szybko wspięła się na grzbiet towarzysza. Gundabyr stęknął i nawet się zachwiał, ale utrzymał się na nogach. Księżniczka mogła już dosięgnąć parapetu najniższego okna. Podciągnąwszy się zręcznie, stwierdziła, że krasnolud miał rację - trafiła na nikło oświetlone schody. - Trzymaj, księżniczko! - Vixa wychyliwszy się na zewnątrz, odkryła, że Gundabyr podaje jej drzewce porzuconego przez kogoś oszczepu. Dziewczyna mocno ujęła je w dłonie, opierając się całym ciężarem o ścianę, a krasnolud wspiął się po nim niczym łasica. Tygodnie życia w niewoli wyszczupliły krępego karła tak, że bez większego trudu zdołał się przecisnąć przez wąskie okno. - Dalejże! - zawołała księżniczka, gdy oboje znaleźli się wewnątrz wartowni. Skoczyli żwawo w górę. Dolatujący z tyłu łoskot stóp krasnoluda niepomiarnie dodawał Vixie otuchy. W górze wrzała zacięta utarczka, której odgłosy słyszeli coraz wyraźniej. Schody wspaniały się coraz wyżej - gdy Vixa pokonała czwarty zakręt, z góry stoczyło się jakieś ciało, niemal zbijając ją z nóg. Silvanestyjski żołnierz znieruchomiał w końcu, oparłszy się o ścianę. Krasnolud i księżniczka trafili na rodzaj pomostu, zatłoczonego teraz rannymi i martwymi napastnikami i obrońcami grodu. Od tego miejsca schody mocno się zwężyły, by spiralą osiągnąć dach. Vixa zaczęła ostrożnie przestępować leżących - wtem z mroku wyłonił się jakiś Dirmenestyjczyk z długim, srebrzystym warkoczem. Ujrzawszy dziewczynę, wytrzeszczył oczy - natychmiast jednak cofnął się o krok i uniósł oszczep. Vixa odparła pchnięciem płazem i nie tracąc tempa, przeszła do natarcia. Gundabyr przyczał się tuż za nią, czekając na okazję do użycia topora. Srebrnowłosey podniósł oszczep i cisnął nim w dziewczynę. Vixa bez trudu odbiła go tarczą, napastnik jednak błyskawicznie sięgnął do pasa śmignął siecią, obciążoną na brzegach zdradzieckimi haczykami. - Uważaj, dziewczyno! - wrzasnął krasnolud. Podmorzec zakręcił siecią i cisnął nią w stronę dziewczyny. Ta odruchowo uniosła tarczę i sznury owinęły się wokół puldusza. Kilka haczyków wczepiło się jednak w ramię księżniczki i trzymały mocno i zajadle. Dziewczyna skoczyła w tył, usiłując oderwać się od napierającego teraz wroga, ale potknęła się o leżących za nią rannych. Dirmenestyjczyk już unosił osadzony na krótkim drzewcu trójzab, kiedy powietrze rozdarł bojowy ryk krasnoludów z Thorbardinu, którego - jak świat światem nikt jeszcze w Silvanoście nie słyszał. Gundabyr zamachnął się płasko swoim strasznym toporem. Podmorzec podskoczył zwinnie i uniknął ciosu - manewr krasnoluda dał jednak Vixie czas na dźwignięcie się na kolana.

Księżniczka daremnie usiłowała odrzucić unieruchomioną tarczę, haczyki mocniej wbijały się w jej odzież - i co gorsza, w skórę. Dirmenestyjczyk natarł ponownie, wymierzając solidny kopniak w tarczę - i dziewczyna ponownie straciła równowagę. Napastnik pchnął trójzębem w jej odsłonięty bok. Vixa, która zdążyła paść na grzbiet, rozpaczliwie wywinęła swoim krótkim mieczem. Zadając pchnięcie, poczuła nagle, że jej ramię przeszły dziwaczny dreszcz. Po rękoności i głowni przebiegła jakby błyskawica, która ugodziła w napastnika. I oto zdumiony podmorzec odkrył, że w jego piersi tkwi zimne ostrze. Okryte błoną palce wypuściły trójzab i Dirmenestyjczyk runął na bok, wyrwijąc miecz z dłoni księżniczki. Do dziewczyny przypadł Gundabyr. - Zdejmij ze mnie tę przeklętą sieć! - syknęła wściekle Vixa. Krasnolud zaczął owijać sznury wokół trójzębem, jakby to był makaron. Rozplątując haczyki, nie mógł powstrzymać się od zadania dręczącego go pytania: - Co właściwie się stało? Byłbym przysiągł, że to ten twój miecz sam na niego skoczył - i sam wbił mu się w serce! - To bez wątpienia magiczny oręż - zgodziła się Vixa, krzywiąc twarz, gdy krasnolud pociągał za niektóre, tkwiące w jej skórze haczyki. - Możesz się założyć, że marszałek Silvanostu nie nosi przy boku zwykłej stali! - W końcu krasnolud uwolnił jej ramię i dziewczyna cisnęła tarczę precz. Razem

przebiegli po ostatnich stopniach i jednocześnie wypadli na dach. Jak to później określił Gundabyr, bogowie spełnili ich życzenia ze sporym nadmiarem. Natknęli się tu bowiem na ośmiu podmorców - przy życiu nie został żaden z łuczników. - Masz jakieś propozycje? - spytała Vixa, gdy odwracał się ku nim pierwszy z siedmiostopowych olbrzymów. - Zaufajmy bogom... i do roboty! - ryknął krasnolud, rzucając się na wrogów. Dziewczyna, zdumiona nagłym wybuchem zapału krasnoluda, zebrała siły i skoczyła za nim. - Nie masz to, jak dobry plan! - zawołała, ścierając się z pierwszym przeciwnikiem. Najemni podmorcy przywykli do walk z wrogami nie ustępującymi im wzrostem, więc krasnolud - zaciekle wywijający toporem - okazał się dla nich zaskakującym zjawiskiem. Zanim zdążyli ochłonąć ze zdziwienia, Gundabyr potężnymi płaskimi zamachami powalił już dwu z nich. Vixa rozprawiła się z trzecim, ruszając nań szybko i zostawiając resztę swojemu magicznemu mieczowi. W jednej chwili sytuacja na dachu diametralnie się zmieniła - z ośmiu przeciwników zostało pięciu. Dirmenestyjczycy poszli w rozsypkę, usiłując zająć przeciwników z boków. Vixa i Gundabyr stanęli do siebie plecami. Podmorcy zaczęli zbliżać się ostrożnie, księżniczka zaś z

zainteresowaniem spojrzała na trzymane w dłoni ostrze. - Podoba mi się ten miecz. Może go zatrzymam. - Ten marszałek nie wyglądał mi na osobliwie szczodrego jegomościa - odparł Gundabyr, który usiłował jednocześnie nie spuszczać z oka dwu naraz atakujących przeciwników. Podmorcy wydali dziki okrzyk i ruszyli na obrońców dachu. Vixa odbiła pchnięcie oszczepu. pchnęła w brzuch napastnika, cofnęła miecz i sparowała atak kolejnego wroga. Gundabyr, którego opadło jednocześnie trzech olbrzymów, trzasnął głownią topora w pierś jednego z nich, zwalając go bez trudu z nóg. Drugi tymczasem zdążył pchnąć go w ramię. Krasnolud ryknął z bólu i przeciął drzewce oszczepu wraz z trzymającą je dłonią wroga. Trzeci z podwodnych elfów zdołał go jednak trzasnąć z boku w łeb włócznią. Oszołomiony krasnolud zatoczył się i zaczął na oślep wywijać toporem w nadziei, że utrzyma wroga z dala od siebie. - Vixa! - wrzasnął, padając na kolana. Księżniczka tymczasem zaciekle broniła własnego życia. Jej przeciwnik biegle używał oszczepu, wymierzając na przemian pchnięcia to w twarz, to w pierś dziewczyny. Vixa rozpaczliwie siekła mieczem, zmuszając wroga do cofnięcia się na krawędź dachu. Nagłe podmorzec zacharczało dziwnie i runął na twarz. Z pleców sterczała mu brzechwa Silvanestyjskiej strzały. Ostatni z podmorców pojął nagłe, że oto został sam przeciwko dwojgu wrogom, którzy właśnie wysiekli jego siedmiu towarzyszy, dał więc za wygraną i ruszył ku schodom. Vixa nie próbowała go zatrzymać - zamiast tego podbiegła do leżącego Gundabyra. Niezmożony krasnolud oddychał jeszcze, choć jego rana w ramieniu mocno krwawiła. Vixa oddarła szeroki pas od swojego kiltu i jąła przewiązywać nim ranę Gundabyra. - Aaaa! - jęknął nieszczęśnik. - Zabijesz mnie! - Och, przestań! - syknęła gniewnie księżniczka. I mocniej zacisnęła opaskę wokół rany. W dole rozległ się zgrzyt i cała wartownia zadrżała, gdy zatrzaśnięto potężne wrota. Dziewczyna i krasnolud pojęli, że Silvanestyjczycy wyparli wrogów z miasta i brama została zamknięta. W kilka chwil później na dachu wartowni pojawił się Samcadaris i kilkunastu nowych łuczników. - Pani! Nic ci nie jest? - zawołał. Jego ostro rzeźbioną twarz plamiły sadze i smugi krwi - zielonej krwi podmorców. Czerwony płaszcz okrywający ramiona kapitana był również obficie zboczony zielenią. - Mnie nic... ale imć Gundabyrowi potrzebny jest uzdrowiciel - oznajmiła księżniczka. Samcadaris rozejrzał się i fachowym okiem ocenił rzeź na dachu. - Na ulicy są siostry Quenesti Pah. Hej, wy dwaj, znieście na dół mistrza Gundabyra! Macie go traktować z najwyższą

czcią i szacunkiem! Dwaj żołnierze znieśli na ulicę postępującego krasnoluda. Vixa podniosła magiczny miecz Druzenalisa i wsunęła go do pochwy. - No, nie myślałem, że komukolwiek może udać się taka sztuka! - rzekł Samcadaris, kiedy zostali sami. - Nigdy nie widziałem zacieklejszej walki. Dwoje przeciwko ośmiu... a każdy z nich przewyższał was wzrostem! - Postąpiliśmy głupio - odpowiedziała Vixa obojętnym tonem. - Nie powinniśmy szturmować dachu tylko we dwójkę.

Przypuśćmy, że byłoby ich tu ze dwudziestu... Wylądowałabym na bruku, głową na dół, jak wasi dzielni łucznicy. I tak niewiele brakło, bo gdyby nie ten miecz... - A... Tak, miecz Balifa. Długi Kiel. Vixa spojrzała najpierw na Samcadarisa, potem na miecz. - Balifa? To był jego miecz? - W rzeczy samej. Wielki Silvanos zamówił go specjalnie dla swego przyjaciela. Chciał, by wielki duchem, ale niewysoki generał - jak wiesz, pani, Balif był kenderem - miał oręż, który wyrówna ów niedostatek. Ten miecz zawsze trafiał do rąk pierwszego z żołnierzy królestwa, marszałka Silvanostu. Vixa ze złości wyjęła miecz z pochwy i podała go rękojeścią Samcadarisowi. - Niezwykły to honor dla mnie, że mogłam dotknąć tej broni... większy jeszcze, bo wspierał mnie w boju. Ale to nie jest właściwe i słuszne. Miecz należał do Druzenalisa i przy nim powinien zostać. Kapitan dotknął dłonią rękojeści i łagodnie odsunął ją od siebie. - Druzenalis służył narodowi długo i z honorem. Ostatnio jednak zaczął otwarcie krytykować poczynania Mówcy. Najjaśniejszy Pan nie odebrał mu tego miecza bez powodu. Tobie natomiast użyczył go na znak swej łaski. Zanim księżniczka zdążyła cokolwiek powiedzieć, na ulicy w dole pokazali się gońcy, wzywający wszystkich wojowników, którzy nie brali w tej chwili bezpośredniego udziału w walkach do niezwłocznego stawienia się w Pałacu Quinari. Stąpając ostrożnie, Vixa i Samcadaris zeszli z dachu. Na ulicy wokół tuzinów rannych Silvanestyjczyków krzątały się już uzdrowicielki i uzdrowiciele ze świątyni Quenesti Pah. Niewielka grupka ponurych i nędznie wyglądających jeńców stała pod silną strażą. Podmorcy mieli przeważnie wyschnięte do cna skrzela i chwiali się na nogach. - Zmoczcie ich przynajmniej wodą - poradziła Vixa kapitanowi. - W suchym powietrzu giną jak ćmy. Samcadaris w istocie polecił, by jeńcom dostarczono wody i rozkazał, by połowa jego regimentu wzmocniła załogę wartowni przy Bramie. Blisko dwustu pozostałych żołnierzy -

zgodnie z wezwaniem herolda - pomaszzerowało do Pałacu Quinari. Vixa odnalazła siedzącego na bruku Gundabyra. Lewe ramię krasnoluda spoczywało w temblaku. Mimo widocznej na twarzy bladości, zostało mu dość sił, by dosadnie zakląć, kiedy się podnosił, poczuł bowiem ból w ramieniu. - Uspokój się - poradziła mu Vixa. Niestrudzony krasnolud uparł się, że pójdzie z nią do pałacu - a Vixa rada była jego towarzystwa. Pogaszono już ogień na ulicach, a niebo zaciągnęło się chmurami i gwiazdy znikły. Gdy zmęczona dwójka dotarła do bram pałacu, ulice pełne już były niosących pochodnie i uzbrojonych elfów, którzy stojąc w karnych szeregach, w milczeniu oczekiwali rozkazów Mówcy. - Co się tu dzieje? - spytał krasnolud półgłosem. - Założę się, że nic dobrego - odpowiedziała Vixa kątem ust. Samcadaris i jego żołnierze zajęli swoje miejsca wśród szeregów, pożegnawszy się z Vixą i krasnoludem u wylotu ulicy na plac przed pałacem. Gundabyr, zmęczony i osłabiony, przysiadł na pięknie rzeźbionych kamiennych stopniach. - Muszę odszukać Druzenalisa i oddać mu miecz - stwierdziła Vixa. - Nie krępuj się. Ja tu sobie zostanę i odetchnę krzywą. - Gundabyr położył się, podetknął sobie łokieć zdrowego ramienia pod głowę i westchnął głęboko. Vixa ruszyła po stopniach ku pałacowi. Zbliżywszy się do grupki oficerów, spytała uprzejmie, gdzie może znaleźć marszałka Druzenalisa. Żaden z nich nie odpowiedział - jeden tylko wskazał dłonią wejście do pałacu. Vixa weszła do środka. Skierowała się ku sali przyjęć, kiedy jednak znalazła się głębiej, usłyszała odgłosy płaczu. Dotarłszy do wejścia rozległej komnaty, zorientowała się, iż szloch dochodził właśnie z tego pomieszczenia. Stało się tu coś złego. Musiał polec ktoś ważny. Nie był to chyba Mówca Gwiazd! Wpadając do środka, spostrzegła, że pod ścianami stoją spowite w cieniu sylwetki. Natychmiast też zobaczyła stojące na podwyższeniu mary i leżące na nich zwłoki, odziane w całun z czerwonego jedwabiu. Obok stał jakiś elf, zwrócony teraz do Vixy tyłem. Dziewczyna spieszenie podbiegła do samotnego żałobnika. - Panie? - zaczęła cicho i niepewnym głosem. Żałobnik odwrócił się ku niej. Miała przed sobą kanclerza Agavenesa. - A... księżniczka z Qualinostu. Żyjesz więc. o i nie dziwota. - Kto tu leży? Agavenes bez dalszych

wyjaśnień podniósł skrawek całunu z twarzy nieboszczyka. - Druzenalis! - zachnęła się Vixa.

- Nie inaczej. Marszałek Silvanostu nie żyje - oznajmił lodowatym tonem Agavenes. - Jak to się stało? - Po tym, jak Mówca publicznie go upokorzył. Druzenalis opuścił pałac i stanął na czele swoich oddziałów. Ruszyli ku Bramie Czerwonej Róży, by stawić czoło wrogom nacierającym od południa. Płonęły tam liczne pożary i Druzenalis ze swymi wojownikami zaczął je gasić, by zmniejszyć zagrożenie grodu. Okazało się, że była to pułapka. Nieprzyjaciel zaatakował z trzech stron ogniem i mieczem. Niewielu naszych uszło z pogromu. - Poległo ponad pięć tysięcy dzielnych elfów. Wróciło nieco mniej niż pięć tysięcy. Vixę ogarnęła zgroza. Była to niesłychana klęska, rozmiarami znacznie przewyższająca ich nikłe zwycięstwo przy Bramie Astarin. - Gdzie jest Mówca? - spytała niemal szeptem. - Przy Bramie Czerwonej Róży. Osobiście 6bjął dowodzenie. - Agavenes wyciągnął ku niej szczupłą dłoń. - Miecz. Oddaj mi go natychmiast. Vixa ujęła w dłoń rękojeść Długiego Kłta i nagle się zawahała. - Nie - odparła stanowczo po chwili namysłu. - Oddam go tylko Mówcy. - Zuchwała dziewczko! Czy nie dość ci, że za twoją to sprawą poległ marszałek Silvanostu? Czy na tym ci właśnie zależy? Chcesz osłabić nasze siły i siać niezgodę, byśmy tym łatwiej padli pod naporem barbarzyństwa? Czy te oddychające wodą stwory są częścią Silvanestyjskiego spisku, zmierzającego do zadania klęski ojczyźnie elfów? Vixa wsunęła Długi Kieł w wiszącą u jej pasa pochwę. - Przelewałam krew za wasz kraj - warknęła gniewnie. - Nie próbuj mnie zakrzyczeć! Jestem księżniczką z krwi Kith-Kanana! Nie prosiłam o ten miecz... nie zaćmiłam umysłu marszałkowi tak, że pomaszerował prosto w pułapkę, jaką dostrzegłoby dziecko. Ten miecz należy do Mówcy Gwiazd i nie splamię go, oddając w twoje ręce! Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała ku wyjściu. - Możesz pławić się w łaskach Mówcy! - zawołał za nią Agavenes. - Ten kraj jednak nie będzie tolerował przy- błędów i mieszańców... choćby nie wiedzieć jak szlachetna krew płynęła kiedyś w żyłach ich przodków! Zadbam o to, by spotkała cię zasłużona kara, moja panno! Vixa nawet nie odwróciła głowy. - A rób sobie co chcesz, mości kanclerzu... i bierz cię lichu! Tuż przez świtem podmorcy wycofali się w nurty Thon-Thalas, miasto zaś pograżyło się w niespokojnym śnie. Mówca Elendar zwołał wojenną naradę w Wieży Gwiazd. Wyglądał na

znużonego, gdy w pełnej zbroi zasiadł na szmaragdowym tronie. Wokół podwyższenia zebrali się kołem kapłani i kapłanki - przedstawiciele wielkich świątyń. Wszyscy ubierali się na biało, głowy zaś ozdobili prostymi złotymi przepaskami. Różnili się pomiędzy sobą kolorami szarf - wyznawcy E'li opasali się srebrnymi, czciciele Matheri mieli czerwone, kapłani Quenesti Pah zaś błękitne. Wedle starego obyczaju nie wdzielali żadnego obuwia - nic nie powinno ich dzielić od świętej ziemi Silvanostu. W sali zebrali się też przedstawiciele dowództwa armii, starszyzny cechów i kupieckich gildii oraz służba i dworzanie. Łatwo było się zorientować, kto brał udział w nocnej bitwie. Gundabyr nie był jedynym, który obnosił się bandażami. Władca zaczął mowę cichym, znużonym głosem. Nie spał całą noc, naradzając się z mędrkami i wodzami. Powiadomił zebranych, że istnieją już podwaliny planu uratowania Silvanostu, on sam nie jest jednak jeszcze gotów do objawienia szczegółów. Potem przed tłum wystąpiła Vixa i poprosiła o pozwolenie zwrócenia się do władcy. Mówca kiwnął głową. Księżniczka powoli wyjęła z pochwy Długi Kieł. - Wielki Mówco, pragnę oddać ci ten miecz. Nie jest moją rzeczą nosić tak zacny oręż - powiedziała. - Powiadomiono mnie, że u Bramy Astarin zachowałeś się godnie i walecznie, pani. Dlaczegoż nie miałabyś zachować miecza Balifa? - odparł Mówca, któremu znużenie wcale nie odebrało dźwięcznego, głębokiego głosu. Vixa stanowczo potrząsnęła głową. Czyżby władca nie dostrzegał dezaprobaty, malującej się na twarzach jego poddanych? Agavenes pałał oburzeniem. - To oręż marszałka Silvanostu, Najjaśniejszy Panie - nalegała Vixa. - Nie powinno się go powierzać komuś innemu. - Dziś nie ma w

Silvanoście marszałka. - A więc mianuj go, sir! - wypalił Agavenes. - Daj nam nowego marszałka! -- W kolistej komnacie rozpętała się wrzawa. Przedstawiciele różnych grup zaczęli wykrzykiwać imiona swoich kandydatów. Hałas narastał, Mówca zaś nagle pochylił się ku Vixie i niespodzianie zapytał: - Pani, dlaczego nie chcesz zatrzymać go dla siebie? Myślę, że lepszy z ciebie żołnierz i wojownik, niż każdy z tu obecnych. W twoich żyłach płynie też królewska krew! - Nie, sir, żadną miarą! - syknęła gniewnie. - Chcesz wybuchu wojny domowej? Wybierz Silvanestyjczyka! - A kogo proponujesz? Vixa zapłonęła gniewem na Mówcę, który zadał jej tak niewłaściwe pytanie, ponieważ przed chwilą zachowała się me po jego myśli. I nagle dostrzegła, że władca mruga do niej porozumiewawczo. Nabierał ją! Cóż, można i tak. Zagrała więc wedle jego scenariusza, odzywając się głośno: - Najjaśniejszy Panie, nie znam zbyt wielu twoich oficerów... ale kapitan Samcadaris wydał mi się dzielny i prawym żołnierzem. Mówca podniósł brew - możliwe, że zaskoczył go nieco jej wybór - i zaczął z powagą rozważać propozycję. - Ach tak... Hm... jeden skok i z kapitana marszałkiem? Agavenesa szlag chyba trafi! - w błękitnych oczach władcy zamigotały łobuzerskie iskierki. Usiadłszy godnie, podniósł dłoń. Gwary i tumult natychmiast ustały. Gdy wszyscy znieruchomieli, Elendar odezwał się uroczyście: - Wzywamy przed nasz majestat kapitana Samcadarisa! Młody oficer wysunął się z tłumy, zdumiony ponad miarę. Już wcześniej polecono mu stanąć wśród królewskiej gwardii. Wezwanie Mówcy było jednak ostatnią rzeczą jakiej się spodziewał. Elendar wyciągnął dłoń ku Vixie i dziewczyna wsunęła mu w nią rękojęść Długiego Kła. Cofnęła się zaraz potem, Mówca zaś skinął łaskawie, zapraszając Samcadarisa bliżej. Kapitan oczywiście uczynił, co mu kazano. - Weź ten miecz, który dajemy ci z miłością i zaufaniem - oznajmił Mówca. - Noś go w naszym imieniu godnie i honorowo. Samcadaris zeszywniał, pojąwszy, co właśnie się stało. Drżącą ręką ujął rękojęść Długiego Kła i podniósł miecz ku czołu, salutując władcy. - Przyjmuję honor i odpowiedzialność, Najjaśniejszy Panie. Nie zawiodę ciebie ani kraju. - Nasi wierni poddani, mamy zaszczyt przedstawić wam nowego marszałka Silvanostu! Zaledwie Elendar wypowiedział te słowa, Agavenes wybuchnął sprzeciwem. Utkwiwszy pełne nienawiści spojrzenie w Vixie, zawołał: - Czy od tej pory nasi wodzowie będą wybierani przez przybłędów? Czy rządzić ma nami dziewczka z Qualinostu? Zgodzę się raczej na tych niebieskich barbarzyńców! Oni przynajmniej walczą otwarcie, twarzą w twarz! - Lordzie Kanclerzu, bądź uprzejmy zawrzcę gębę - rzekł Mówca ze zwodniczą łagodnością w głosie. - Racysz zapominać, że mówisz o mojej kuzynce. Obrażając ją, obrażasz i mnie! - Najjaśniejszy Panie, ja pochodzę z rodu i równie starego i szlachetnego! Nie pozwolę, by traktowano mnie jak niekompetentnego urzędniczyne! - Agavenesie... Agavenesie... Wszystkie twoje wspaniałe pomysły i plany zdały się psu na budę! Przekonywałeś mnie, że Druzenalis łatwo pokona wrogów - on tymczasem stracił bez mała połowę naszej armii i sam legł w polu. Upierałeś się, że atak Dargonestyjczyków na Thonbec miał być dywersją i że prawdziwe zagrożenie nadciągnie z zachodu. I w tym się myliłeś. Agavenesie... nie mogę sobie pozwolić już na żadne twoje błędy..., są zbyt kosztowne. Ruszaj precz i zejdź mi z

oczu! Wszystko zostało powiedziane spokojnym, miarowym tonem - dla dumnego arystokraty było to jednak niesłychanym policzkiem ze strony władcy. Zbladłszy okropnie, zacisnął szczęki, odwrócił się na pięcie i opuścił Wieżę, powiewając swoim błękitnym płaszczem jak demon wściekłości i zemsty. Kilkunastu przedstawicieli szlachty poszło jednak za nim. - Ha! Pokazało się, komu naprawdę byli wierni! - mruknął Samcadaris przez zaciśnięte zęby. - Niech idą - stwierdził obojętnie Mówca. - Przyjdzie jeszcze czas na rozprawę z nimi, pierwszej jednak musimy uporać się z podmorcami. Wstał i zwrócił się do zebranych: - Wydaliśmy edykt, wzywający każdego wolnego Silvanestyjczyka, by stawił się do obrony stolicy. Zanim jednak nadciągną posiłki, zdani będziemy na własne siły. Marszałek Samcadaris wkrótce wyda dokładniejsze i bardziej szczegółowe rozkazy.

Zebrałe w sali elfy zaczęły się rozchodzić. Vixa i Gundabyr podeszli z gratulacjami do świeżo upieczonego marszałka. Samcadaris rozglądał się dookoła, ciągle jeszcze oszołomiony swym niespodzianym i niesłychanym wyniesieniem. Siedzący nadal na tronie Mówca obserwował wszystko z lekkim rozbawieniem. W końcu nie wytrzymał: - Mości marszałku, idź i zajmij się przygotowaniami do obrony. Pamiętaj też proszę, że wysoko wyniesieni, nisko niekiedy upadają. Samcadaris skłonił się i wyszedł. Qualinestyska księżniczka i krasnolud z Thorbardinu również pochyliłi się w ukłonach i ruszyli śladami marszałka.

Rozdział 21 - Na mury! Uriona niecierpliwie bębniła długimi palcami u poręcze tronu. Przed chwilą zwinięto utkany z wodorostów baldachim, który osłaniał tron za dnia. Słońce zniknęło właśnie za zachodnią krawędzią horyzontu. Mimo iż służba starała się odgadnąć każde jej życzenie, królowa płonęła gniewem. - Gdzie podziewa się Lord Protektor? - pytała już trzeci raz w ciągu ostatnich piętnastu minut. - Czemu go jeszcze nie wezwano? - Ależ wezwano go, Boska... - odpowiedział jeden ze służących, starannie unikając wzroku władczyni. Czas mijał. Wreszcie od ujścia rzeki dostrzeżono kłęby błota i piasku, zwiastujące nadpłynięcie wojowników. Wkrótce przed królową pojawił się i sam Coryphen, który nisko się skłonił. - Przykro mi niezmiernie, żeś musiała czekać, Boska. - Wezwałam cię kilka godzin temu! - Racz wybaczyć, Nieskończona Mocy. Rzeka jest mroczna, zamulona i nie znamy jej za dobrze. Niełatwo jest szybko poruszać się w jej nurtach. Twarz i cała sylwetka Coryphena zdradzały jego wyczerpanie i znużenie. Całą poprzednią noc walczył w lesie na południe od miasta i osobiście zabił kilkunastu nieprzyjaciół. Dziś w nocy zamierzał poprowadzić kolejny atak na umocnienia grodu. Niewczesne wezwanie królowej opóźniło szturm. - Kiedy spodziewasz się zdobyć miasto? - spytała Uriona. - Już wkrótce, Najukochańsza Bogini. Podczas ubiegłej nocy tysiące suchawców zginęło w lesie. Nie mogło ich zostać zbyt wielu do obrony murów. Mieliśmy uderzyć dziś wieczorem, ale... - przerwał nagle. Po chwili milczenia podjął inny wątek. - Nasi wojownicy potrzebują chwili wytchnienia. Jutro o zmierzchu podejmiemy ponowny atak, tym razem najpotężniejsze uderzenie szykując od zachodu. Suchawcy spodziewają się, że znów ruszymy na wartownie, ale srodze się zawiodą. Z drewna, które przygotowaliśmy jeszcze w Brackenost, przygotowaliśmy drabiny. Wspniemy się na mur pomiędzy wieżami. Nie napotkamy tam na poważniejszy opór i miasto wpadnie nam w ręce. - Nie zawieź mnie, Protektorze! Czuję, że zbliża się zmiana porządku rzeczy... Moi bracia, bogowie, zarzynają spiskować przeciwko mnie i działać na korzyść naszych nieprzyjaciół. Moim przeznaczeniem jest koronacja w Gwiazdzistej Wieży! Nic nie może mi w tym przeszkodzić!

Słyszysz? Nic! - Słyszę i jestem posłuszny, Boska Władczyni. Czy mogę wrócić do moich żołnierzy? Uriona znów zaczęła bębnić palcami po poręczach tronu. - Owszem, możesz odejść. Zanim Coryphen się odwrócił, zdążył spostrzec wyraz troski na jej twarzy. Królowa podniosła dłoń do czoła. - Uriono... dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem. Posłuzszywszy się jej imieniem, wzbudził w niej gniew. - Owszem! Dlaczego zwlekasz? Wracaj do swoich żołnierzy, Lordzie Protektorze! On jednak nie odszedł - zamiast tego nadał przyglądał się jej uważnie i z troską. - Czyżby męczyło cię to ukrywanie się w płytkich wodach? Dlaczego nie ruszysz ze mną w górę rzeki? - Sam mówiłeś, że w rzece mogą mi grozić różnorakie niebezpieczeństwa! - sarknęła. - Nieprzyjaciół nie okazał się tak groźnym, jak się spodziewałem. Nie mogą osiągnąć nas w wodzie i nie potrafią oprzeć się nam na lądzie. - Wyciągnął dłoń do swojej królowej. - Pójdź ze mną, Boska Pani. Pozwól, że pokażę ci twoją przyszłą stolicę. Oblicze Uriony z wolna się rozchmurzyło. Na jej twarzy pojawił się osobliwy, tęskny wyraz. - Moją stolicę - powtórzyła cicho. - Moje miasto... Potrząsnawszy głową, wstała z tronu. Wkrótce dwójka płynących wespół podmorców zostawiła za sobą morze i zapuściła się w czyste wody Thon-Thalas. Noc w Silvanoście przeszła spokojnie i bez żadnych

niepokojących wydarzeń. Vixę zdziwiło trochę to, że podmorcy nie zaatakowali grodu, w mieście nie tracono jednak czasu na czeze rozważania. Wzmocniono fortyfikacje, naprawiono uszkodzony oręż i wykonano tysiące innych prac. Mówca Gwiazd raz jeszcze zjadł posiłek ze swymi gośćmi zza granic. Gdy skończono obiad, wszyscy troje wyszli z pałacu Quinari i przeszli do jednej z wysokich wież zachodnich. Tam Mówca oparł się o alabastrowy parapet jednego z okien i kiwnął głową w kierunku pysznego, rozciągającego się przed nimi widoku. - I co widzicie? - spytał, jakby chciał wystawić na próbę księżniczkę i krasnoluda. Gundabyr skrzywił się lekko, bo przypadkiem dotknął ściany rannym ramieniem. - Miasto, mury i rzekę. - A co możecie wywnioskować, po przyjrzeniu się rzece? Pytanie to zaintrygowało qualinestyjską księżniczkę do tego stopnia, że w istocie zaczęła

przypatrywać się rzece. Nurt Thon-Thalas wyglądał dokładnie tak samo, jak w dniu jej przybycia do grodu. Na wodzie nadał nie było widać żadnych rybackich łodzi. Znikły również barki, które miały zatrzymać nieprzyjacielskie statki. Vixa podejrzewała, że Mówca uważa, iż są niepotrzebne. Wszystkie łodzie i stateczki zostały zakotwiczone przy pomostach na północnym skraju wyspy. Uwiązane do wystających z wody palików przypominały księżniczce liczne stadko czapli. Wciągnięte na brzeg rybackie czółna ugrzęzły dziobami w błocie. I nagle Vixa zrozumiała. Ugrzęzły dziobami w błocie! - Poziom wody się obniżył! - zawołała, zdumiona odkryciem. - Na Reorxa! I to przynajmniej o cztery stopy! - dodał Gundabyr. - Raczej o pięć - sprostował Mówca. - I jeszcze opadnie. - W jaki sposób tego dokonaliście? I w jakim celu? W głosie Mówcy pojawiły się nutki dumy. - Kapłani Silvanostu cieszą się największą łaską bogów ze wszystkich, jacy żyją na Krynnie. Poleciałem im, by zaczęli pracę nad potężnym czarem - i wszyscy wzięli się do roboty. Całe kolegia kapłanów i kapłanek ślęczą przy ołtarzach i połączywszy umysły w jedność, snują niezwykle rozległe zaklęcie. - Obniżają poziom rzeki? - spytała oszołomiona Vixa. Zadowolony z siebie Mówca kiwnął głową. - Za dwa dni rzeka będzie miała połowę swej zwykłej głębokości. Za sześć, zostanie z niej tylko płytkie, błotniste koryto. Jeśli Dargonestyjczycy nie ustąpią, pousychają w słońcu jak wyrzucone na brzeg ryby. Vixa czuła niemal zawrót głowy. Taka potęga, skupiona w dłoniach Mówcy... dziewczyna zdobyła się jedynie na wzruszenie ramion. Było to po prostu niewiarygodne. Potem schyliła głowę. - Mówco, wybacz mi, proszę, żem zwątpiła. Elendar uśmiechnął się przekornie. - Kuzynko, nie opowiadaj bzdur. Czy Mówca Słońca nie zrobiłby tego samego w Qualinoście? A ty, mości Gundabyrze, odpowiedz mi, czy jest coś, czego wasz Wielki Król nie byłby zrobił dla obrony Thorbardinu? - Pewnie... walczyliby do ostatniej kropli krwi... dopóki w grodzie zostałyby choć jeden cały topór - odpowiedział krasnolud z powagą. Brodata gęba Gundabyra rozjaśniła się uśmiechem: - Zechciej nas zrozumieć, o królu, poczuliśmy się z księżniczką jak głupcy. Łamiemy sobie głowy, co by tu wymyślić, by wam pomóc, a ty oto masz już gotowy plan! - Przyjacielu, nigdy nie można być pewnym swego. Ten Coryphen to pomysłowy przeciwnik i może nam jeszcze przysporzyć nie lada kłopotów. Vixa dobrze wiedziała, że Mówca właściwie ocenia wroga. Przypomniała sobie, jak bezlitośnie Protektor prześladował pokonane chilkity, jak był zdecydowany za wszelką cenę wytrzebić je do ostatka.

- Kiedy zda sobie sprawę z faktu, iż rzeka opada, może wymyślić jakiś inny sposób ataku - odezwała się. - Sądzę, że najgorsze dopiero przed nami. Mówca potarł dłonią gładki policzek. - Tak uważasz, pani? Mniemałem, że kiedy wszystko obróci się przeciw nim, wycofają się, by ratować własną skórę... - Tak postąpiłby każdy wódz, ale Coryphen dźwiga ciężkie brzemię odpowiedzialności, które nie pozwoli mu rozumować racjonalnie - rzekła księżniczka po namyśle. Dwaj pozostali rozmówcy spojrzeli na nią pytająco. - Uriona - wyjaśniła Vixa. - Coryphen jest w niej zakochany i pragnie urzeczywistnić jej szaloną wizję. Nigdy więc nie ustąpi. Po cichych ulicach Silvanostu krążyły patrole nocnej straży, tak jak czyniły to od tysiąca lat. Tej nocy jednak zwykłą

straż wzmocniono weteranami z gwardii królewskiej. Marszałek Samcadaris dobrze wiedział, że nie ma dość żołnierzy, by obsadzić nimi mury na całej długości. Do czasu przybycia posiłków w postaci pospolitego ruszenia musiał oprzeć się jedynie na silnych garnizonach, którymi obstawił wszystkie wieże i wartownie. Z pozostałych piechurów i spiesznej jazdy stworzył lotne oddziały, które miały ruszać z pomocą tam, gdzie pojawiała się zagrożenie. Wedle słów Mówcy, było to jak „zatykanie od środka dziur w oblężonej nawie”. Niebo właśnie zaczęło zmieniać barwę z błękitu dnia na czerwień zachodu, kiedy wartownicy przy Bramie Czerwonej Róży donieśli o niezwykłym poruszeniu w lesie za murami. Wcześniejsze pożary i walki bardzo zniszczyły piękne ogrody, z których tak dumni byli Silvanestyjczycy, zostało w nich jednak dość drzew, by skryły ruchy przeciwnika przed bystrym wzrokiem wartowników. Do marszałka Samcadarisa, czekającego na wieści pośród legionu tysięcy wojowników nieopodal Pałacu Quinari, spiesznie wysłano gońca. Przez wszystkie szeregi przeleciała wieść o aktywności wrogów. Silvanestyjscy wojownicy zamarli, czekając na rozkazy. Obok Samcadarisa stali Mówca, Vixa i Gundabyr. - Co o tym myślisz, marszałku? - spytał Elendar. - Taką wrzawę może podnieść nawet kilku żołnierzy - odparł młody wódz. - Radzę, żebyśmy poczekali. Po kilku minutach od Bramy Czerwonej Róży nadbiegł drugi goniec. - Sir! Widać już wrogów! - zawołał. Żołnierskie szeregi drgnęły niespokojnie. - Czekać! - osadził wojowników Samcadaris. - Musimy poczekać! Przy południowej Bramie, zaniepokojeni obrońcy patrzyli, jak z rzeki wylania się podwójny szereg Dargonestyjczyków, którzy zwartym szykiem ruszają ku murom. Każdy niósł na barkach

19. Zaginione Opowiesci 03 - Dargonesti

długi drąg wyglądający na drabinę szturmową. Wśród Silvanestyjczyków podniosły się okrzyki: - Szturm! Szturm! - i łucznicy 1)odnieśli łuki. Podmorcy jednak zatrzymali się w odległości poza zasięgiem strzał. Powietrze pełne było zgiełku, w którym przeważał odgłos łamanego drewna. Silvanestyjczycy wymienili pomiędzy sobą zdumione spojrzenia, gdy z lasu wyłoniła się wielka kula splełanych gałęzi i krzewów. Miała przynajmniej dwadzieścia stóp średnicy i pchali ją ku bramie spętani Silvanestyjscy jeńcy. Vixa usłyszawszy o tym, natychmiast odgadła cel tak dziwaczного przedsięwzięcia. - Coryphen zamierza podpalić bramę. - Wyjaśniła też obecnym, że owe długie drągi to najpewniej ogniste lance Gundabyra. - Mówiłeś, że tego ognia nie da się ugasić wodą? - spytał Samcadaris krasnoluda, który skinął tylko głową. - No to jak z nim walczyć? - Można go tylko stłumić -- wyjaśnił krasnolud. - Najlepiej zasypać piaskiem lub ziemią. Samcadaris wydał rozkazy, by ku bramom zaniesiono worki z piaskiem i inny dodatkowy sprzęt, nie używany zwykle podczas obrony grodu. Zajął się tym kilkuset wojowników. Stojący na blankach nad bramą łucznicy wstrzymali się jeszcze, a drewniana kula nieubłaganie toczyła się w stronę portyku. Za nią kryli się Dargonestyjczycy, którzy tłukąc więźniów kijami, brutalnością chcieli zapewnić sobie ich współpracę. Z szeregu wystąpiło też kilku ognistych lansjerów - dołączyli oni do skrytych za drewnem nadzorców. Pod zagrożoną bramą pojawił się przysłany przez Samcadarisa oddział posiłkowy w sile stu pięćdziesięciu wojowników. Szybko podali oni na mury przyniesione ze sobą worki oraz owe tajemnicze wyposażenie - i rozpoczęło się pełne napięcia oczekiwanie. Tuż przed bramą teren nieco się wznosił, toczenie więc kuli na tym ostatnim odcinku kosztowało wroga sporo czasu - i bólu. Kiedy jednak dopchnięto ją na tyle, że łucznicy z murów mogliby mierzyć do napastników, niemal pionowo celując pociskami, zaskoczeni obrońcy przekonali się, że jedynymi, których mogą porazić, są ich ziomkowie. Dargonestyjczyków, którzy nie żalowali jeńcom razów batami, splecionymi z szorstkich podwodnych roślin, chronił drewniany okap. Wykonano go niemałym staraniem z desek, wyjętych z futryn drzwi i innego drewna, które złupiono w Brackenost. Ujrzawszy to, łucznicy bezsilnie zgrzytnęli zębami. Samcadaris przesłał im polecenie, by jeszcze wstrzymali się z otwarciem ognia. Marszałek miał pewien plan, wedle którego nie trzeba było mordować nieszczęsnych jeńców. Dargonestyjczycy tymczasem, pomagając sobie przeraźliwymi wrzaskami i ciskając na brańców okropne przekleństwa, zmusili ich, by zapchnęli masę drewna tuż pod bramę. Okap

szybko cofnięto, po to jednak tylko, by osłonić nim zbliżających się ognistych lansjerów, którzy nie zwlekając, żwawo cisnęli swoje ciężkie pociski na zgromadzony stos drewna. Dla potrzeb walki na lądzie zbrojmistrze Coryphena zmodyfikowali nieco wynalazek Gundabyra - osadzony na drągu cylinder podzielono na dwie komory, z których jedna zawierała ognistą pastę, do drugiej zaś wiano morską wodę. Wystarczyło rozbić cylinder i wszystko wokół zajmowało się ogniem. Ze sterty gałęzi zaczął sączyć się dym. Lansjerzy cisnęli na nią dwie, trzy, potem cztery ogniste lance. Po zielonych gałązkach ogień spłynął w dół i szybko zebrał się w kałużę pod nimi. - Teraz! - rozległy się okrzyki zaczajonych na dachu bramy obrońców. Z góry błyskawicznie spuszczone w dół kotwiczki na linach. To było owo osobliwe uzbrojenie Samcadarisa. Haki natychmiast ugrzęzły w splełanych gałęziach. Obrońcy zaczęli ciągnąć za liny i płonąca masa uniosła się t ziemi. Nad blankami pojawiły się płomienie, zmuszając łuczników do wycofania się. Płonącą kulę podniesiono na znaczną wysokość - i przecięto liny. Kula opadła na ziemię i potoczyła się prosto na linie nacierających. Podmorcy rozpierchli się natychmiast, wydając przeraźliwe wrzaski, od których - jak wyraził się później jeden

z obrońców - niemal uszy pękały. Gdy opis Krzaczanej Bitwy dotarł do pałacu, wśród słuchaczy zagrział serdeczny śmiech. Nikt jednak nie miał złudzeń - noc jeszcze się nie skończyła i bój daleki był od rozstrzygnięcia. Z lasu bowiem wyłoniły się kolejne drewniane okapy. Ukryci pod tymi prowizorycznymi dachami Dargonestyjczycy ruszyli teraz na mury. W powietrzu świsnęły strzały, które natychmiast zaczęły zbierać krwawe żniwo, napastnicy parli jednak przed siebie. Do podstaw muru i Bramy Czerwonej Róży dotarło niemal dwadzieścia okapów, pod którymi skryło się kilka setek Quoowahbów. Wysocy i potężnie zbudowani podmorcy zaczęli ciskać w obrońców oszczepami, podczas gdy inni, wyposażeni w zdobywcze narzędzia, zaatakowali wrota. Na wszystkie strony posypały się drzazgi - ale dębowe skrzydła wierzei miały po dziesięć cali grubości. Za nimi zresztą kryły się drugie wrota, z górskiego kryształu, osadzone tu magicznie jeszcze za czasów Silvanosa. Obrońcy pozwolili podmorcom tracić siły na rąbanie dębiny, przekonani, że kryształu z pewnością nie wyłamią. Przez cały ten czas na napastników leciała ulewa strzał, kamieni i strugi wrzącej oliwy. - Wszystko to jest irytująco głupie - zauważył Gundabyr, kiedy do pałacu Quinari dotarł kolejny meldunek o poczynaniach podmorców. - Sądziłem, że owi niebieskurczybykowie są sprytniejsi. - Nie sądzę, by kiedykolwiek przedtem mieli okazję atakować miasto otoczone murami - myślał głośno Samcadaris.

- Dopiero się uczą... i płacą za to wysoką cenę - mruknął ponuro Mówca. Atak ciągnął się już ponad godzinę - aż wreszcie uwaga wszystkich obrońców skupiła się na południu, na wydarzeniach spod Bramy Czerwonej Róży. Obrońcy nie zdawali sobie sprawy, że w tym samym czasie podmorscy wojownicy skradali się chyłkiem pod osłoną błotnistych wód Thon-Thalas i zbierali się w dokach i na pomostach po zachodniej stronie miasta. Szybko i sprawnie wyjęto tu z wody drabiny, zestawione z drewna zdobytego w Brackenost i oparto je o mury. Armia Coryphena karnie czekała sygnału do natarcia. Lord Protektor wymierzył uderzenie na ten odcinek muru, który był położony dokładnie pośrodku między dwiema wieżami. Wreszcie z wody wyłonił się Coryphen, podtrzymujący królową Urionę. Czarodziejka i monarchini nigdy przedtem nie wychodziła na powierzchnię i niezwykle doświadczenie mocno ją podnieciło. Powietrze ogromnie różniło się od tego, czym oddychała w swoim mieście. Nozdrza królowej wypełniły niezliczone wonie i zapachy. Uriona mocno uściśnęła dłoń Coryphena i podniosła wzrok na wieże i mury Silvanostu. - Oto moje miasto! - szepnęła. - Moja stolica... - Jeszcze nie, o Boska. Pozwól, że w twoim imieniu upuszczę mu trochę krwi... a wtedy istotnie będzie należało do ciebie. Królowa puściła dłoń swego rycerza. - Ruszaj! Wezwę ci na pomoc moją potęgę i moce! Coryphen wyszedł na brzeg. Pod murem zebrał się tysiąc wojowników, wśród których był oddział jego osobistej straży przybocznej. - Drabiny w górę! - rozkazał spokojnie. Muskularne, błękitne ramiona uniosły drewniane konstrukcje. Jednoczesny ruch tak wielu drabin nie uszedł oczywiście uwadze obrońców. Wartownicy na obu wieżach, flankujących odcinek, gdzie zebrała się grupa szturmowa, natychmiast podnieśli alarm. Na blankach pojawiły się pochodnie, które oświetliły zgromadzonych w dole podmorców. - W górę! W górę! - zagrział Coryphen, wywijając mieczem. Protektor miał w dłoni oręż Vixy Ambrodel. Osadzony w kuli wieńczącej rękojeść topaz osobliwie migotał w świetle pochodni. - Nadszedł czas! Za Urionę! Za Urionę! - Za Urionę! Za Urionę! - powtórzyli ryk Dargonestyjczycy. Wieści o ataku na zachodni mur po kilku chwilach dotarły do Mówcy w pałacu Quinari. Samcadaris niemal cisnął na ziemię swoją marszałkowską buławę. - Podstęp! Cały ten bezsensowny atak od południa był podstępem, który miał odciągnąć naszą uwagę od muru na zachodzie! - Niedawny kapitan szybko wydał rozkazy i czekający niecierpliwie wojownicy zmienili szyki, sprawnie formując trzy kolumny. Gundabyr i Vixa

spiesznie stanęli w pierwszym szeregu - krasnolud pomstował na Coryphena i przysięgał, że władca podmorców zapłaci mu za śmierć Garnatha. Elendar pobłogosławił żołnierzy w imieniu

bogów i kolumny ruszyły do boju. Gdy wojownicy odeszli, Mówca odesłał czekających na dalsze polecenia sługi i kapłanów. Wkrótce na rozległym placu został tylko on sam. I wtedy Mówca Silvanostu wyciągnął spod swego płaszcza prosty, żołnierski hełm, który włożył na głowę. - Nie będę siedział beczynn timer, gdy inni przelewają krew za moje miasto! - mruknął do siebie. Spojrzawszy raz jeszcze na niezwykle piękną Wieżę Gwiazd - widok ten zawsze dziwnie dodawał mu otuchy - Elendar, Mówca Gwiazd i praprawn timer Silvanosa, ruszył w noc, dociągając rzemienie swojego hełmu.

Rozdział 22 - Upadek Vixy Drabiny głośno uderzyły o blanki. Tego odcinka murów strzegły mniej niż dwie setki Silvanestyjczyków. Dobywszy oręża, obrońcy zaczęli odpychać drabiny. Posługując się mieczami i oszczepami, zdołali odepchnąć jedną z drabin i posłać ją w mrok. Na murze rozległy się wiwaty, kiedy napastnicy osypywali się beżładnie w dół. Nad każdą z pozostałych drabin natychmiast pojawiły się małe świetliste kule. Zaraz też zaczęły pęcznieć i wkrótce były już większe od przeciętnego elfa. Gdy obrońcy ruszyli ku kolejnym drabinom, odepchnęła ich w tył jakaś niewidzialna siła. Świetlne sfery trzaskały i syczały złowrogo. Inni obrońcy zaczęli szyć z łuków w ów blask - by stwierdzić, ku swemu zdumieniu, że strzały również odbijają się i wracają ku łucznikom - niekiedy z fatalnym rezultatem. Kiedy pierwszy z atakujących dotknął dłonią szczytu muru, ochraniająca jego drabinę sfera rozbłysła jaskrawo i pękła z okropnym hukim. Zaraz też na mur wtargnęła lawina podmorców, którzy z impetem uderzyli na oślepionych i oszołomionych obrońców. Po minucie sfery znikły - wcześniej jednak udostępniły napastnikom spory odcinek muru. Obrońcy zdołali odrzucić tylko jedną drabinę. Dziewięć pozostałych spełniło swoje zadanie i Dargonestyjczycy wtargnęli do miasta. Uriona obserwowała to wszystko, stojąc na barkach dwu służących. Drżała z emocji i wysiłku, jakim okazało się dla niej umieszczenie pół mocy na szczytach drabin. Ale zwycięstwo należało do niej... czuła niemal jego smak. Kolumny żołnierzy Samcadarisa wspinały się schodami po wewnętrznej stronie murów. Z góry spadały ciała - błękitne i jasnoskóre. Vixa też pięła się po schodach, tuż za nią parł niestrudzony Gundabyr. Na szczycie muru stłoczyły się walczące ze sobą elfy. Silvanestyjczycy, którzy znajdowali się tu podczas pierwszego natarcia podmorców, cofnęli się do wież. Zaraz też zatrzaśnięto i zaryglowano drzwi. Dargonestyjczycy zdobyli mur, nie mając pewności, czy zdołają go utrzymać. Tym razem Vixa nie napotkała Dirmenestyjczyków. Na- przeciw stali jej niedawni ciemżyciele, a ujrzawszy w ich błoniastych dłoniach miecze, zrozumiała, iż ma do czynienia z elitą oddziałów Coryphena - jego gwardią przyboczną. Stojąc ramię w ramię z dwunastoma wojownikami Samcadarisa i niezwyciężonym Gundabyrem, gotowa była stawić czoło każdemu wrogowi. Podobnie jak krasnolud, miała z Protektorem swoje porachunki. Zabił już zbyt wielu - własnoręcznie albo bezlitosnymi rozkazami. Na murze nie było miejsca na wymyślne sztychy i zwodnicze cięcia. Zaczęła się

bezwzględna i brutalna rąbanina. Liczyły się tu jedynie siła i wytrzymałość. Vixa wymieniała ciosy z pierwszym napastnikiem, dopóki nie związał z nim ostrza wojownik walczący z lewej. Wtedy dziewczyna przeszła przeciwnika na wylot i bez najmniejszych skrpułów. Jego miejsce natychmiast zresztą zajął jakiś podmorzec w zielonkawej zbroi z żółwich łusek. Ten wywijał potężnym ergothańskim mieczem jak piórkiem. Qualinestyjska księżniczka cofnęła się nieco i okazję tę natychmiast wykorzystał krasnolud, przeciskając się do przodu. Gundabyr przyjął na drzewca topora i odbił kilka potężnych ciosów. Krasnolud nie był w najlepszej kondycji - jego rana sprawiała, że poruszał się ciężiej niż zwykle, a ciosy jego oręża nie miały niedawnej jeszcze niszczącej siły. Vixa złapała go za kołnierz i szarpnęła w tył. - Cofnij się, matole! - wrzasnęła. - Twoje ramię nie jest jeszcze sprawne! - Nie próbuj mi rozkazywać, dziewczko! - odciął się krasnolud. Wymianę uprzejmości przerwał podmorzec, który ponownie runął na Vixę. Gundabyr puścił swój ciężki topór i

rzucił się na wroga, łapiąc go za kolana. Vixa przeskoczyła nad krasnoludem i zamachnęła się oburącz. Napastnik, który siłował się z wczepionym weń jak pijawka Gundabyrem, nie zdołał sparować i runął w dół z okropnie rozciętym gardłem. Księżniczka również upadła, ale nie zleciała z muru. Blanki były śliskie od krwi i Vixa poczuła nagle, że osuwa się po kamieniach. Wokół niej wyrósł prawdziwy las muskularnych nóg. Ktoś nastąpił jej na dłoń i dziewczyna wypuściła miecz. Po jej żebrach zabębniły kolejne uderzenia i kopniaki - choć raczej przypadkowe niż zamierzone. Księżniczka zwinęła się w kłębek - i nagle dostrzegła leżący w pobliżu topór Gundabyra. Oburącz porwała za drzewce. Nagle poczuła potężne uderzenie w plecy, które odwróciło ją niemal w powietrzu. Jak przez mgłę ujrzała nad sobą potężnego podmorca wznoszącego miecz, by zadać kolejny cios. Dziewczyna nie wstając, zamachnęła się toporem. Napastnik dostał płazem w twarz i runął na grzbiet, jakby sam Reorx wymierzył mu kopniaka. Vixa chwiejnie dźwignęła się na nogi. Podmorzec również się podnosił, brocząc krwią ze złamanego nosa. Księżniczka, która znów została bez broni, skoczyła nań i pchnąwszy potężnie, zrzuciła go z muru. Podmorzec zawył, wczepił się dłońmi w kamienne blanki, ale nie zdołał utrzymać chwytu i poleciał w mrok. Gdzie podział się Gundabyr? Nie zdążyła rozstrzygnąć tej kwestii, bo znów skoczył na nią kolejny napastnik. Vixa przemknęła pod jego ramieniem i zręcznie podstawiała mu nogę. Wzrost i nieznamość reguł walki na lądzie sprawiały, że podmorscy wojownicy byli dość niezgrabni. Kiepsko też odzyskiwali równowagę i zawodził ich refleks. Dziewczyna porwała miecz elfa, którego przed sekundą zrzuciła z muru. Był to kord żeglarski, nieco zardzewiały, ale bardzo poręczny w takiej zawierusze jak ta, która rozszalała się

właśnie na murach. Wydawszy dziki okrzyk bojowy swojego rodu, księżniczka wdarła się pomiędzy złączących właśnie z kolejnej drabiny podmorców. Cięła i powaliła pierwszego z nich, zanim ten zdążył pomyśleć o obronie - i poczuła, że ktoś uderzył ją przez plecy. Kirys uratował jej życie, ale koniec ostrza przeciwnika przejechał jej po ramieniu. Z rany trysnęła krew, Vixa zaś odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, że Dargonestyjczyk, który ją trafił, podnosi miecz do kolejnego ciosu. W tej samej jednak chwili wybałuszył oczy i puścił miecz. Gdy pochylił się do przodu, jakby w głębokim pokłonie, księżniczka dostrzegła brzechwę szarej strzały, która sterczała mu z pleców. Na szczycie muru zapanował chaos. Silvanestyjczycy nie mogli wezwać tu na pomoc swoich potężnych magów i musieli uporać się z wrogami za pomocą machin z sąsiednich wież. Na drabiny posypał się grad ołowianych pocisków i kamiennych kul wielkości zaciśniętej pięści. Wstrzymało to niemal zupełnie napływ nowych napastników na mury. Vixa oparła swoje zakrwawione plecy o blanki tak, żeby nikt nie mógł już zaskoczyć jej od tyłu. Walka straciła nieco na zaciekłości, bo po obu stronach zmalała liczba zdolnych do jej kontynuowania wojowników. Qualinestyjska księżniczka, dysząc ciężko, zbadała wzrokiem otoczenie. I nagle coś zatrzymało na sobie jej spojrzenie. Dziewczyna otarła pot zalewający jej oczy i popatrzyła po raz wtóry. Przed sobą miała hełm ozdobiony muszlami i szlachetnymi kamieniami. Coryphen. - Hai! Ambrodel! Kanan! - Jej bojowy okrzyk utonął w ogólnym zgiełku. Księżniczka rzuciła się w ciżbę, tnąc na lewo i prawo, by zrobić sobie miejsce. Przedzierała się przez zamęt - aż dotarła na odległość kilku kroków od znenawidzonego wroga. - Coryphenie! - wrzasnęła co tchu w piersiach. Wódz podmorców odwrócił się gwałtownie. - Księżniczka! A więc nie zginęłaś w Thonbec? - Głupie pytanie! - Skacząc do przodu, wymierzyła mu cięcie w twarz, Coryphen zaś zręcznie je odbił. - Przegrałeś, łajdaku! Jesteście już pobici! - Skamlenie pokonanych! - Z tym okrzykiem Coryphen sam zaatakował, a uczynił to tak szybko, że mógłby zawstydzić błyskawicę. Zaskakująco żwawo chybnął się w przód - ale nie dosięgnął dziewczyny. Vixa skoczyła na parapet od strony miasta i stanęła na nim w idealnej postawie szermierza. Coryphen uśmiechnął się pod okapem swego kunsztownie zdobionego hełmu. -

Jesteś dzielną wojowniczką. Cieszę się, że udało ci się ująć z życiem - powiedział, salutując mieczem. Jej mieczem, przypomniawszy sobie Vixa, zagryzając zęby. - Moi przyjaciele i inni niewolnicy nie mieli tyle szczęścia, co ja! - syknęła wściekłe. Kord,

który trzymała w dłoni, miał wygięte ostrze, niezbyt sposobne do zadawania pchnięć. Coryphen bez trudu parował ataki Vixy i nie musiał nawet się cofać. - Ty ich pozabijałeś! - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Tylko słabych i małego ducha! - odpowiedział chłodno. Rozłączył ostrza bez większego wysiłku. Jego miecz świsnął tuż koło jej krtani - chybiając o włos. Coryphen roześmiał się zwycięsko. Pojedynek został rozstrzygnięty przez los, który za swe narzędzie obrał Silvanestyjską katapultę. Na południowej wieży obrońcy zdążyli ponownie przygotować mechanizm i smagnęli dargonestyjskie drabiny dwoma setkami funtów ciężkich, ołowianych śrucin. Podmorcy tymczasem usiłowali podpalić mur ognistymi lancami, które dźwigali po drabinach. Pociski z katapulty roztrąciły drabiny i ogniste lance z sykiem roztrzaskały się o ziemię. Pośród leżących na ziemi drabin i rannych podmorców rozpętało się ogniste piekło. Za Coryphenem strzelił w górę potężny jęzor płomieni. Lord Protektor żwawo uskoczył w bok, by uniknąć poparzeń. Vixa natychmiast skorzystała z okazji i potężnie cięła swoim kordem. Ostrze przedarło się przez pancerz i ugrzęzło w mięśniach lewego ramienia podmorca. Coryphen zawył, puścił swój miecz i machnął prawicą. Vixa zobaczyła błysk, który poraził ją niczym blask słońca - i poleciała w dół. W jej głowie kołatała się jedna tylko myśl: Nie wiedziałam, że on potrafi coś takiego! Spodziewając się śmierci, która czekała na nią na bruku, poczuła, że w coś uderza - trafiła jednak nie na twarde marmury, ale na mocno pochyły dach. Uderzenie wyparło jej dech z piersi i potoczyła się błyskawicznie po stromiźnie. Grzmotnęła plecami o wodę i poszła na dno. W chwilę później dźwignęła się ku powierzchni. Chwyciły ją czyjeś dłonie - spróbowała się szarpać i wrywać, była jednak zbyt słaba. Zaraz też została wyciągnięta z wody. Wylądowała w jakiejś fontannie. Dłonie, które ją trzymały, należały do dwu gapiących się na nią ze zdumieniem Silvanestyjczyków, którzy obmywali w fontannie swoje rany. Teraz przenieśli ją na brzeg i stanęli obok, patrząc na nią z podziwem i zgrozą. - Zdumiewające! - wystękał wreszcie jeden z nich. - Spadłaś, pani, z wysokości czterdziestu stóp na pochyły dach, stoczyłaś się z niego i... z wysokości kolejnych dwudziestu stóp wleciałaś prosto do fontanny! Księżniczka spróbowała wstać. Nogi natychmiast ugięły się pod nią i niemal rozbiła sobie głowę o kamienne obramowanie sadzawki. Wojownicy - wciąż z tym samym zdumieniem na twarzach - ponownie wyłowili ją i podnieśli. W końcu Vixa usiadła na zimnej, kamiennej krawędzi jodełowego basenu, trzymając się za pękającą z bólu głowę i pojękując żałośnie, bo dopiero teraz dało jej o sobie znać zranione ramię.

Pożar drabin szybko rozprzestrzenił się na cały obszar przystani. Dargonestyjczycy zaczęli się cofać pod naporem gorąca, co natychmiast wykorzystali odważniejsi obrońcy. Natarli na tych, co zostali na murach. Coryphen, którego wojownicy musieli walczyć na dwa fronty, wezwał swoich do jednoczesnego ataku na obie wieże. Dodawał im otuchy okrzykami, ale nie na wiele się to zdało, bo choć potężniej zbudowani podmorcy zaczęli z wolna spychać przeciwników w tył, zamknięci w wieżach obrońcy wymierzyli swoje maszyny tak, by mogły ostrzeliwać mury wzdłuż. Trrrach! Potężny kamień przeleciał tuż nad głowami obrońców i werznął się w szyki wojowników Coryphena. I po raz pierwszy od chwili, kiedy wspięli się na mury, szeregi podmorców mocno się zachwiały. Coryphen natychmiast wydał rozkaz ataku na pozycję katapulty - dzieliła ich od niej jednak gęsta ciżba obrońców, machina zaś zaczęła sprawiać im kłopoty. W ślad za pierwszym wzdłuż muru śmignął drugi kamień, który odbiwszy się kilkakrotnie od parapetów, rozniósł niemal zwarte szeregi Dargonestyjczyków. Na domiar wszystkiego, na dachu południowej wieży pojawiła się nagle samotna sylwetka elfa, który wspiął się tam po katapulcie. I oto na murach zagrzmiął okrzyk Mówcy Gwiazd: - Na co czekacie? Na nich, dzielni synowie Silvanostu! - Powiewy wiatru szarpały jego

biały, obramowany złotem płaszcz, a światło pochodni odbijało się od klejnotów Gwiazdzistej Korony. Gromkimi wiwatami powitali Silvanestyjczycy Mówcę na murach - i z obu stron potężnie naparli na przeciwników. Podmorscy wojownicy stawiali zajadły opór. niewiele jednak mogli zdziałać przeciwko miotanym ze śmiertelną precyzją kamieniom oraz przeciw nacierającym i ogarniętym zapałem obrońcom i szalejącemu w dole pożarowi. Wszyscy podmorscy - nie wyłączając Coryphena, rzucili się do drabin. Ale nawet i to nie uratowało ich od klęski, ponieważ obrońcy, gdy tylko opanowali mur, zaczęli spychać obciążone drabiny, posyłając napastników prosto w objęcia szalejących w dole płomieni. W godzinę po północy bitwa dobiegła końca. Zachodnie doki i zabudowania portowe obróciły się w sterty płonących zgliszcz. Rannych i zabitych liczone w setki po obu stronach. Vixa w tym czasie przepychała się zatłoczonymi uliczkami ku południowej wieży - powiedziano jej, że znajdzie tam Mówcę. Wspiąwszy się na dach, ujrzała katapultę, którą podczas walki odwrócono bokiem. Wokół stłoczyła się jej załoga i księżniczka pozdrowiwszy dzielnych mechaników, pogratulowała im pomysłowości. Nie otrzymała jednak odpowiedzi - obrońcy w milczeniu rozstąpili się, ukazując jej ponury widok. Obok katapulty leżał ugodzony włócznią w bok Mówca Gwiazd. Ciemnoszare, granitowe płyty wokół zbroczone były jego krwią. - Wielki Mówco! - zawołała Vixa, rzucając się ku leżącemu.

- A... kuzynka - poznawszy ją, Elendar uśmiechnął się lekko. - Mieliśmy szczęście, prawda? Bitwa wygrana, a mnie udało się zatrzymać piersią oszczep. Grot utkwił pod żebrami z lewej strony klatki piersiowej. Przy leżącym krzątała się już uzdrowicielka, która robiła, co mogła - ale z powodu wielkiego upływu krwi twarz Mówcy była już szara jak popiół. - Najjaśniejszy Panie, nie wolno ci umierać - powiedziała Vixa, ściskając jego zimną dłoń. - Zwycięstwo jest sprawą kilku dni! - Zrobię, co w mej mocy... - Mówca znów się uśmiechnął, potem zamknął oczy i jego głowa opadła w tył. Młoda kapłanka znużonym gestem odsunęła ze swej twarzy kosmyk wilgotnych od potu włosów. - Przeżyje - powiedziała cicho. - Teraz zasnął, bo dałam mu napój, który oszczędzi mu bólu. Mówcę odniesiono na noszach do świątyni Quenesti Pah, bogini uzdrowień. Starsi kapłani nadal zajmowali się snuciem czaru, który miał obniżyć poziom Thon-Thalas, Mówcą zajęli się jednak młodszy uzdrowiciele - wedle swych, najlepszych umiejętności i woli. - Co tu się stało? - zwróciła się Vixa do członków obsady katapulty. - W jaki sposób Mówca zarobił tę ranę? Ładowniczy, celowniczy i napinacze jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Któryś z nich potrząsnął głową: - Wspiął się na szczyt naszej maszyny, by dodać ducha wojownikom. I kiedy zmiatano z murów ostatnich nieprzyjaciół, kilku z nich cisnęło weń oszczepami. Jeden z nich trafił... Vixa pocieszająco poklepała dzielnego wojaka po ramieniu i powlokła się do pałacu. Jeszcze tylko parę dni - przekonywała samą siebie. Wkrótce Coryphen dowie się, że rzeka opada. Jej nurty już toczyły się o sześć stóp niżej niż zwykle. Środkowy kanał, gdzie wody Thon-Thalas były najgłębsze, miał zaledwie czternaście stóp od powierzchni do dna. Coryphen tymczasem włókł się ku rzece i oddalał od miasta. Większość z jego wojowników pierwszej rzucała się twarzą w błotnistą wodę tuż przy brzegu - tak bardzo dał się we znaki ich skrzelom upał i żar ognia. Protektor Uriony był na to zbyt dumny. Rozmyślnie powolnym krokiem wszedł w rzekę po kolana, nabrał wody w garść i powoli oblał sobie nią twarz. Bitwa była skończona i przegrana - wódz podmorców jednak nie poddawał się rozpaczce ni przygnębieniu. Mur Silvanostu liczył sobie kilka mit długości - gdzieś musi być w nim jakiś słaby punkt, do którego niełatwo nadażyć z posiłkami, miejsce niedosiężne dla tych straszliwych machin miotających kamieniami. Trzeba tylko znaleźć to miejsce. I znajdzie je - dla jego królowej. Ruszył ku głównemu nurtowi i zanurzył się całkowicie. Gdy ożywcza woda odświeżyła już

jego skrzela, obejrzał się w stronę Silvanostu. I po raz pierwszy zwrócił uwagę na stan pomostów. Niektóre z tych krótszych stały po prostu w błocie. Protektor Uriony odwrócił się i

wytknął głowę ponad wodę. Z głębszego kanału wyłoniła się tymczasem królowa Uriona, która w milczeniu przyglądała się odwrotowi oddziałów Coryphena i jego osmalonym, poparzonymi charczącym ciężko żołnierzom czołgającym się ku zbawczej wodzie. Ich cierpienia niewiele lub zgoła nic dla niej nie znaczyły. Istotne było to, że zawiedli. A gdzie podział się Coryphen? O... jest! Królowa spojrzała na swego Protektora, który przyglądał się miastu, jakby nie wierząc temu, co widzi. - Żyjesz! - zawołała ucieszona. Ulga nie trwała jednak długo, bo natychmiast zastąpił ją gniew. - Zawiodłeś mnie, Lordzie Protektorze! Zostałeś pobity! - To tylko jedna bitwa, o Boska. Wojna dopiero się rozpoczyna. Ty jednak, Boska Pani, musisz się stąd oddalić. Wszędy wokół czai się niebezpieczeństwo. Te słowa natychmiast uśmierzyły gniew królowej. - Jakie niebezpieczeństwo? Suchawcy nie mogą przecież dosięgnąć nas w wodzie! Sam mi to mówiłeś. - Ale rzeka opada - stwierdził szorstko Coryphen. - Co takiego? Jakim sposobem oni... - Nie mam pojęcia. Wiem jedynie tyle, że jest obecnie znacznie płytsza niż wtedy, kiedyśmy tu przyszli. Poziom wody opada nawet teraz... Zanurzona po biodra w wodzie Uriona przez chwilę patrzyła nań bez słowa. - To naturalne zjawisko... czy osiągnęli ten efekt dzięki jakimś sztuczkom? - spytała w końcu. - Ty, Pani, powinnaś to wiedzieć najlepiej. Dlaczego nie spytasz po prostu swoich braci, bogów? - odpowiedział Coryphen pytaniem na pytanie i lekko poirytowanym głosem. - Muszę wracać do moich wojsk. Dziś w nocy już nie będzie walk. Zanim zdążył się odwrócić, zatrzymały go słowa Uriony: - Nie utrzymamy się w rzece, jeżeli wyschnie - odezwała się spokojnie. - Dobrze, że zabrałam ze sobą kapłanów Zury. Spojrzał na swoją władczynię, a na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki. - Nie trzeba nam tych martwiaków - powiedział. - Żołnierze odpoczną tylko kilka godzin i uderzymy ponownie - za dnia. Królowa popatrzyła nań jak na szaleńca. - Zapominasz o słońcu! Nasze oczy nie mogą znieść jego promieni! - Moi wojownicy zniosą wszystko, prócz klęski! Suchawcy uważają, że za dnia są bezpieczni. Przekonamy ich, że jest inaczej. Po wschodzie słońca pošlę całą armię do szturmowania zachodnią bramę. To będzie ostatnie natarcie. Zwycięzimy - albo zginiemy. Jakkolwiek by było, ty, Wasza Boskości, powinnaś wrócić do morza. Nie możemy pozwolić - i z pewnością nie pozwolimy - byś została tu uwięziona. To być nie może! Wyraz twarzy Uriony złagodniał. - A cóż ze mnie byłaby za bogini, gdybym opuściła mojego Protektora w godzinie jego chwały? Zostanę! - Uriono... - Ani słowa więcej! Słudzy wzniosą mój pawilon na największej głębi kanału. Nikt mnie tam nie dosięgnie. Dzięki pomocy Zury, wkroczę tryumfalnie do grodu, zanim słońce wzejdzie po raz drugi! Aby przerwać dalsze spory, odwróciła się i brnąc przez wodę, ruszyła ku głębinom. Coryphen patrzył za nią, nie rozchmurzywszy strapionej twarzy. Lord Protektor był biegły w sztuce rzucania zaklęć, ale uważał się przede wszystkim za wojownika, żołnierza, który wygrywa bitwy siłą oręża i umysłu. Był jednak całkowicie oddany swej władczyni. Mimo złych, dręczących go teraz przeczuć, postanowił, że nie sprzeciwi się w niczym jej boskiej woli. Wezwawszy oficerów, wysłał gońców do każdej kompanii - wszystkie mają się zgromadzić jeszcze przed świtem przy zachodniej bramie. Tak też się stało, ponieważ jednak oddziały zebrały się na dnie wciąż jeszcze głębokiej rzeki, nikt z Silvanestyjczyków nie wiedział o zagrożeniu. Tego ranka po grodzie rozeszły się wieści o ranie Mówcy, które okryły miasto cieniem smutku. Zwycięstwo na murach Silvanestyjczycy okupili stratą bez mała trzeciej części swoich sił. Zostało im zaledwie dwa tysiące doświadczonych wojowników, choć szeregi nieustannie zasilali ochotnicy. Ci jednak, choć nikt nie odmawiał im męstwa, nie mogli powstrzymać weteranów Coryphena. Vixa spała, Gundabyr zaś w tym czasie spotkał się z marszałkiem Samcadarisem i innymi znaczniejszymi oficerami armii Silvanostu. Marszałek najbardziej obawiał się, by podmorcy jednocześnie nie zaatakowali grodu w kilku miejscach. Nie miał dość żołnierzy, by walczyć na kilku frontach. - A co z pospolitym ruszeniem? - spytał krasnolud. - Czy nie powinni już tu przybyć? - Niektórzy i owszem. Mieli się zbierać przy Toni Ilist - mruknął

Samcadaris. - Ci z najbliższych prowincji powinni już tam być. - No to pošlijmy im wiadomość! - Miasto jest otoczone - sprzeciwił się Eriscodera, dowódca legionu. - Jak przedostać się na brzeg, nie budząc podejrzliwości nieprzyjaciela? - Zapomniałeś, że niebieskurczybykowie nie ruszają się nigdzie za dnia? Wyślijmy mały oddziałek w samo południe - niech znajdą legiony pospolitego ruszenia i przywiodą je tutaj

szybciej niż komar kicha. Samcadaris potarł podbródek: - Jest coś w tym, co proponuje imć Gundabyr... ja jednak posunę się dalej niż on. Proponuję, by ruszać natychmiast i nie czekać do południa. , Na dowódcę wyprawy wybrał legata Eriscodere. - Weźmiesz dwunastu jeźdźców. Jedźcie tak, jakby ściagały was wszystkie hordy Królowej Mroku i przyprowadźcie tych pospolitaków, którzy zdążyli się już zebrać. - Uderzył pięścią w udo. - Wracając, róbcie tyle hałasu i wrzawy, ile się da. Niech podmorcy pomyślą, że zbliża się potężna armia, która rozgoni oblegających jak wiatr kupę suchego listowia. - Czy mogę jechać z nimi? - spytał Gundabyr. - Z tym moim rannym skrzydełkiem na niewiele się zdam w boju, a chciałbym zrobić co w mojej mocy, by pokrzyżować plany tym niebieskurczybykom. - Co ty na to, legacie? - Cudzoziemiec w szeregach sławnej konnicy Silvanostu? - spytał Eriscodera, patrząc z powątpiewaniem na krasnoluda. - No, ale może dzięki temu pospolitacy lepiej pojmą, jak rozpaczliwa jest tu sytuacja... - Rad jestem, że tak to, panie, widzisz - mruknął cierpko krasnolud. - Mistrz Gundabyr jest dzielnym i pełnym inwencji żołnierzem - wtrącił Samcadaris. - I zna wrogów lepiej niż my. Posyłając go z wami, mości legacie, czynię wam zaszczyt. Eriscodera zasalutował słuźbiście i oddalił się wspólnie z krasnoludem. Poszli prosto do koszar jazdy... i krasnolud nawet nie zdążył zjeść śniadania.

Rozdział 23 - Miecze i zaklęcia Vixa nie zdjęła nawet poszarpanej odzieży i nie zmyła krwi - jak stała, tak padła na otomanę w pierwszej lepszej komnacie Pałacu Quinari. Zwlekała z tym aż do chwili, w której opatrzono jej ramię. Silvanestyjczycy przez pewien czas szeptali coś na korytarzu - pewnie omawiali jej bojowe wyczyny - w końcu jednak im się to znudziło. Księżniczka zaś spała w najlepsze. Obudziła się niespodziewanie dla samej siebie i natychmiast usiadła na kanapie. Nie miała pojęcia, jak długo spała, słońce jednak było już wysoko na niebie, a jego promienie raźno wpadały do komnaty leżącej we wschodnim skrzydle pałacu. Wszędzie wokół panowała cisza. Nie było słychać nawet zwykłych odgłosów, cichych rozmów słuźby i krzątający sprzątaczek. A jednak Vixa gotowa była przysiąc, że obudził ją jakiś hałas. Wstała powoli, starając się nie nadwierać obandażowanego ramienia. Błoto i krew, które zaschły na butach, znaczyły teraz każdy jej krok. Przypasała użyzony jej przez Mówcę miecz i ruszyła przez zalane słońcem komnaty, nie natykając się na nikogo. Sale audiencyjne również całkowicie opustoszały. Gdzie podziali się ci, co jeszcze tak niedawno tłumnie się tu tłoczyli? - zastanawiała się księżniczka. Przylegające do pałacu ulice i place również były puste - nie dostrzegła nawet psa czy kota. A jednak atmosfera była przesiąknięta magią, zaprzęzoną do pracy przez wszystkich kapłanów Silvanostu. Całe miasto było nią spowite jak ciężkim pledem. I jeszcze coś. W powietrzu słychać było nieustanne, przyciszone brzęczenie, jakby gdzieś niedaleko uwijał się ogromny rój pszczół. Vixa poczuła przeszywający ją dreszcz obawy. Musi się wreszcie dowiedzieć, co się stało! Szybko przebiegła od Pałacu ku Bramie Cedrowej, która zamykała zachodnie wejście do miasta. Brzęczenie było tu głośniejsze - krążyło jak echo wśród jarów utworzonych przez wysokie domy i wyniosłe wieże. Zbita nieco z tropu księżniczka kilkakrotnie zabłądziła, trafiając w ślepe zaułki, ale wkrótce spostrzegła, że hałas wzmacnia się ku zachodowi - i od tej chwili kierowała się na jego źródło. Dotarłszy wreszcie na rozległy plac przed Bramą Cedrową, natknęła się tam na tłum stojących bez ruchu Silvanestyjczyków. Byli to zwykli mieszkańcy grodu, stojący gęsto jeden obok drugiego i trzymający się za ręce. Żywy łańcuch wił się kręto po całym placu, a jego krańce znikwały w sąsiednich uliczkach. Wszyscy mieli zamknięte oczy i z

lekka rozchylone wargi. Każdy też mrucał cicho, wydając razem ów intrygujący dźwięk. - Co to ma znaczyć? - spytała rozeźlona Vixa pierwszego z brzegu elfa. - Co się dzieje? Nie otrzymała odpowiedzi - wszyscy stali bez ruchu i nucili monotonnie. Vixa chwyciła za

dłoń ostatniego z szeregu. Gdy tylko jej palce zamknęły się na jego ramieniu, poczuła osobliwy, przeszywający ją wstrząs. Oczyma wyobraźni ujrzała też wizję Thon-Thalas od brzegu do brzegu spowitej białą, gęstą mgłą. Mgła kłębiła się i burzyła, wewnątrz zaś jej oparów poruszały się jakieś dziwaczne kształty. Choć niewyraźne, wydały się księżniczce groźne i wrogie... Otworzyła dłoń i cofnęła się o kilka kroków. Pojęła natychmiast, co zobaczyła. Ujrzana oczyma tysięcy Silvanestyjczyków wizja chmury była wyraźna i przerażająca. Coryphen i Uriona wywołali tę dziwną mgłę, kiedy porwali jej statek, „Wieczorną Gwiazdę”. Ale do czego jest im potrzebna tutaj i dlaczego Silvanestyjczycy zachowują się tak osobliwie? Przepychając się przez tłum i nurkując pod złączonymi dłońmi, dotarła do Bramy. Nieustanne brzęczenie było tu najgłośniejsze i zaczynało już działać jej na nerwy - rozboleła ją też od niego głowa. Na szczycie muru zobaczyła kilkunastu wojowników, ruszyła więc schodami w górę, by się do nich przyłączyć. Byli to młodzi wojownicy, niedawno dopiero wcieleni w szeregi armii - wszyscy kryli się za blankami i patrzyli na rzekę. - Kto tu dowodzi? - spytała Vixa. Elfy nadal gapiły się na wodę. Jeden z nich, uzbrojony w oszczep młodzik, odpowiedział, nawet się nie odwracając: - Marszałek Samcadaris, pani. Był tu gdzieś przed godziną. Vixa zmarszczyła brwi i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. W jej oczach pojawiło się zdumienie. Lśniącą jeszcze niedawno powierzchnię Thon-Thalas całkowicie zakrywała biała chmura. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się wzdłuż nurtu i zakrywała kilkanaście jardów obu brzegów. Górna powierzchnia chmury sięgała szczytu murów - i wyglądała równie solidnie, jak one. - Kiedy pojawiła się ta mgła? - spytała. - O świcie - odpowiedział oszczepnik. - I ciągle gęstnieje. - Dlaczego nieustannie śpiewacie? - Taka jest wola Mówcy, pani. Kiedy pojawiła się ta mgła, kapłani wielkich bogów osłabli i zaczęli padać. Mówca wezwał lud do wzmocnienia ich sił. Vixa potrząsnęła głową i spojrzała za siebie, ku miastu, na niezliczone szeregi śpiewających cicho Silvanestyjczyków. Oczywiście, nie mrużeli - dźwięk, jaki słyszała, brał się z nieustannego powtarzania tego samego zaśpiewu przez dziesiątki tysięcy głosów. Wzdrygnęła się, a na jej skórze pojawiła się gęsia skórka. Gdy pomyślała, jak wielka moc musi kryć się w skupionej woli tych elfów ze wschodu, ciarki przebiegły jej po grzbiecie. Wysoko nad głowami tłumy zagrzmiął grom. W spokojnym dotąd powietrzu nad ławą mgły zaczęły zbierać się burzowe chmury, przeszywane wężowymi błyskawicami. - Wygląda na to, że solidnie zmokniemy - stwierdziła Vixa. Rekruci zaczęli niespokojnie spoglądać to na mgłę, to na wzbierającą w górze nawałnicę.

- Pani, co mamy robić? - spytał oszczepnik z obawą w głosie. - Boicie się? - Młodzik kiwnął głową, pozostali zaś powtórzyli ten gest. - To dobrze - stwierdziła ku ich zdumieniu Vixa. - Strach wzmocni wasze ramiona i doda wam zapału. I wtedy zwyciężymy. Ruszyła dalej, mijając zielonych rekrutów i bywałych weteranów, których ponownie powołano do służby, by podzielili się z młodzikami swym doświadczeniem. Przechodząc mimo, udzielała rad i dodawała wszystkim otuchy. Choć nie była mieszkanką Silvanostu, w żyłach jej rodu od dwu tysięcy lat płynęła królewska krew. Niewzruszony spokój księżniczki zdobył jej nieklamany szacunek weteranów i w dużej mierze ukoił obawy młodzików. W pewnej chwili poczuła na policzku lekkie uderzenie kropli deszczu. Kiedy woda spłynęła do warg, Vixa poczuła sól. Zatrzymała się i spojrzała w górę. Burzowe chmury rozpostarły się niemal na całym nieboskłonie. Na jej twarz spadło jeszcze kilka następnych kropli. I one były słone. Krople deszczu z morskiej wody! Zacisnąwszy jedną dłoń na pendencie, podtrzymującym miecz, puściła się biegiem ku wieży. Na jej szczycie ujrzała Samcadarisa i większość oficerów z oddziału spiesznej jazdy. - Mości marszałku! To ja, Vixa Ambrodel!

Samcadaris skinął dłonią swoim przybocznym, rozkazując, by ją przepuszczono. Deszcz rozpadał się już na dobre. Nad wieżą zahuczał grzmot. Marszałek stał na drewnianej platformie, pozwalającej mu widzieć to, co działo się za murami. Vixa szybko wspięła się na górę. - Gdzie się podziewałaś, I)ani? - spytał marszałek. - Spałam... i niewiele brakło, a wszystko by mnie ominęło. Huknął jeszcze jeden grom i niebiosa otwarty swe zawory. Na Silvanost lunęły potoki słonej ulewy. - Może nie byłoby czego żałować! - zawołał Samcadaris, przekrzykując łoskot gromów i szum ulewy. - To Coryphen wezwał ten deszcz, by wzmocnić siły swej armii! Marszałek kiwnął głową. - Nie inaczej! Zostało mi tylko kilka tysięcy regularnego wojska. Reszta to dzieci, artyści, rzemieślnicy i kupcy, których wezwano pod broń i wręczono im oręż. Modłę się nieustannie, by Eriscodera i ten twój zadziorny przyjaciel, pani, zdążyli na czas - inaczej biada Silvanostowi! - Gundabyr? A gdzież go poniosło? - Jeszcze przed świtem przekradli się za rzekę, by sprowadzić te oddziały pospolitego ruszenia, które zdążyły się już zebrać. Jeśli nie pojawią się tu wkrótce, wątpię, czy zdołamy utrzymać miasto.

Nagle, w różnych miejscach białej ławicy ciągnącej się wzdłuż rzeki, rozległy się osobliwe, beczące dźwięki - to podmorcy zadęli w swoje muszle. Vixa poczuła, że włos jej się jeży - natychmiast jednak zrozumiała, że sygnały owe muszą mieć znaczenie praktyczne. Wojownicy Coryphena najpewniej też niczego nie mogli dostrzec wśród otaczającej ich bieli. Nietypowy hałas musiał oznaczać jakieś komendy. - Nadchodzą! - zawołał stojący na murze Silvanestyjczycy. - Gotuj broń! - polecił zwięźle Samcadaris. Rozkaz przekazano wzdłuż muru i wszędzie rozległ się złowrogi chrzęst oręża. - Łucznicy, szykujcie się! - Sir... - odezwał się jeden z oficerów stojących obok. - Łucznikom zostało tylko po jednym pełnym kołczanie. - No to powiedz im waść, żeby nie chybiali! - padła ponura odpowiedź. Vixa otarła słońną wodę z twarzy. - Gdzie mam stanąć, mości marszałku? - Nie mnie rozkazywać księżniczce krwi, pani - Samcadaris uśmiechnął się lekko. - Na murach jest dość słabych punktów. O tam... - wskazał dłonią miejsca na blankach, w połowie odległości pomiędzy wieżą, na której stali i Bramą Cedrową. - Tam będzie chyba najgoręcej. Dziewczyna kiwnęła głową. - Oddaj mi pod komendę dwudziestu weteranów, a utrzymam pozycję choćby przeciwko piekłu! Samcadaris skinął głową. Vixa wybrała oddziałek i na jego czele pobiegła ku miejscu wskazanemu przez marszałka. Dotarłszy na miejsce, zatrzymała żołnierzy. Z kamiennego parapetu strugami przelewała się woda, przeciekająca przez luki w blankach. Vixa szybko zrzuciła z ramion przesiąknięty wodą płaszcz. Ryk dargonestyjskich muszli nagle ucichł. Pomimo gęstej ulewy, od głównej masy ławicy mgły oddzieliły się grube smugi i popęzły ku murom. Vixa odnotowała w myślach ich niepokojące podobieństwo do macek krakena, który zniszczył i spustoszył Thonbec. Na oczach zdumionych obrońców owe mgliste pasma przywarły do kamieni tuż pod parapetami. Jednocześnie gęstniały i rozprzestrzeniały się na boki. Krople deszczu odskakiwały teraz od ich powierzchni albo spływały po niej krętymi strumykami. Jeden z obrońców, wiedziony ciekawością, oderwał się od szyku i zbliżył do dziwacznej formacji. W sekundę potem runął w dół, przeszyty licznymi strzałami. Vixa wrzasnęła ostrzegawczo, z chmury sypnęły się zaś następne strzały. I nagle wypadli z niej podmorcy wywijający zdobytymi na obrońcach łukami. Natychmiast też rozbiegli się p o murach. - Zewrzeć tarcze! - zawołała księżniczka. Jej pospiesznie, i w gruncie rzeczy przypadkowo wybrany oddziałek, osłonił się sprawnie przed deszczem spadających na nich strzał. - Miecze w

dłoń! I na nich! Natarłszy potężnie na znacznie gorzej uzbrojonych podmorców, szybko zaczęli spychać ich z blanków. Tymczasem na całej długości tego odcinka murów z ławic magicznie skondensowanej mgły wysypywali się napastnicy. - Musimy im jakoś przeszkodzić! - powiedziała pospiesznie Vixa. - Do mnie, wszyscy! Ci, co mogą jeszcze wywijać mieczem lub wymierzać pchnięcia oszczepem, za mną! Przełknąwszy ślinę, przeskoczyła krenelaż i dała susa w magiczną

mgłę. Przez chwilę zastanawiała się, czy białe pasma podtrzymają tylko wybrańców Coryphena, czy wszystkich bez wyjątku. I nagle wylądowała na czymś, co twardością nie ustępowało marmurowi. Obejrzała się za siebie. Jej dwudziestka, jak jeden elf, poszła za nią. Inni gapili się bez słów, pootwierawszy gęby. - Na co czekacie, u licha? Nieprzyjaciel wspina się na mury! Dalej, do nas! - i skoczyła w rozciągającą się niżej ścianę mgły. Poruszanie się po omacku było trochę dezorientujące, Vixa jednak szybko odkryła, że łatwiej jest po prostu nie myśleć o tym, gdzie postawić stopę. Skupiła się więc na łowieniu uchem odgłosów wydawanych przez nieprzyjaciół i dźwięku kroków skórzni - szczęście to, że Silvanestyjczycy nosili obuwie! - jej wojowników. Wkrótce dostrzegła przed sobą błotnisty brzeg rzeki. Z wyraźną ulgą powitała chlupot jej sandałów o wodę. Za nią pojawili się jej wojownicy. - Co teraz, pani? - spytał jeden z nich. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Mury zakrywała ściana bieli i nie dało się dostrzec niczego, co leżało dalej niż kilka stóp. Magicznej mgły nie mogły spenetrować nawet sławne z bystrości oczy elfów. Vixa jednak szybko odkryła, że choć mgła tłumi widok, nie pogarsza wcale słyszalności. Do jej uszu dobiegały odgłosy toczącej się za nimi i na murach bitwy. Przed sobą zaś słyszała tupot bosych stóp biegnących ku murom podmorców. Warstwa mgły chroniła ich przed ulewą. Na kirys księżniczki spadło tylko kilka kropel dżdżu. Po namyśle wskazała mieczem w prawo. - Tędy! - poleciła pewnym głosem. - Wydaje się, że nadbiegają z tamtej strony. Szybko uformowano kolumnę dwójkową. Za Vixą i jej weteranami podążyło około trzydziestu innych - księżniczka w sumie miała więc do dyspozycji pięć dziesiątek żołnierzy. Mimo iż otaczało ich parę tysięcy podmorców, Vixa nie czuła obaw. Mgła była - można by rzec - orężem obosiecznym. Skrywała ich przed podmorcami równie skutecznie, jak osłaniała wojowników Coryphena przed obrońcami grodu. Ruszyli przez jej pasma ostrożnie i w milczeniu. Tu i ówdzie natykali się na grupki biegnących do bitwy Dargonestyjczyków - ci jednak mijali ich, nie zwracając na nich uwagi. Natykali się także na rannych podmorców, którzy odczołgivali się od murów, by skonać.

Próbowali oni dotrzeć do wody, ta jednak szybko opadała. W pewnej chwili Vixa zwęszyła osobliwy zapach. Natychmiast zatrzymała oddział. Zapach był słodkawy, jednocześnie ostry i dziwnie niemiły - a najciekawsze, że chyba znajomy... Gdzież to wcześniej się nań natknęła? Kadzidła! To był ten słodkawy i kwaśny zarazem zapaszek, którym przesycone były świątynie w Urione! W tej chwili spostrzegła z lewej grupkę wysokich, stojących blisko siebie figur. Vixa zatoczyła mieczem krąg nad głową, dając sygnał do ataku. Wpadli na nieprzyjaciół... by odkryć, że zamiast oddanych złej sprawie kapłanów natknęli się na grupkę podmorców, którzy gasili pragnienie w szybko wysychającej rzece. Na widok nacierających Silvanestyjczyków spragnieni szybko skoczyli ku swoim, porzuconym przed chwilą i leżącym teraz w błocie włóczniom. Rozpętała się dość bezładna walka. Vixa nie była pewna, z iloma wrogami przyszło jej się bić, nie mieli jednak wyboru - atak był koniecznością. Silvanestyjczycy rozproszyli się nieco, by otoczyć podmorców. Vixa, która rankiem ruszyła do bitwy bez hełmu i tarczy, musiała zdać się jedynie na miecz, którym teraz cięła i wymierzała szybkie pchnięcia. Zdyszani i pozbawieni od dawna wody podmorcy zaczęli szybko ustępować z pola. Wydawało się, że słony deszcz niewiele im pomógł - wszyscy byli mocno osłabieni, a niektórzy wprost słaniali się ze znużenia. Jeden z Dargonestyjczyków, wyraźnie chwiejąc się na nogach, rozpaczliwie pchnął ją oszczepem. Dziewczyna uchyliła się zręcznie i wykonawszy jeszcze jeden zwód, pchnęła go mieczem. Wymiana ciosów odwiodła ją nieco w bok od jej oddziałku. Kiedy jej przeciwnik runął w błoto, dziewczyna odkryła, że ma przed sobą może dwudziestu odzianych w szare szaty dargonestyjskich kapłanów, którzy ustawili się kręgiem wokół wielkiego kotła. Wszyscy nieustannie wrzucali doń garści wonnego proszku. Kapłani powplatali w swe bursztynowe włosy gałązki płonących trociczek. Wszędzie tu unosił się zapach kadzidła,

górowała nad nim jednak woń rozkładu i zgnilizny. Dziewczyna pojęła, że ma przed sobą nieumarłych kapłanów Zury. - Do mnie, synowie Silvanostu! - zawołała. - Zabijcie tych kapłanów i złamcie ich czar! Walka trwała zaledwie parę chwil. Magowie byli tak pogrążeni w snuciu swojego czaru, że nie próbowali się bronić czy uciekać. Nawet w obliczu zbrojnych w miecze wrogów ich twarze pozostawały obojętne i bez wyrazu. Po wyrznięciu przeciwników, ciężko dysząca Vixa stanęła w kręgu swoich towarzyszy. - To nie zajęcie dla wojownika - mruknął jeden z weteranów. - Wymordowaliśmy grupkę bezbronnych kapłanów! - Ci bezbronni, jak ich nazywasz, kapłani byli groźniejsi i lepiej uzbrojeni od niejednego z was - odparła Vixa. Pochyliwszy się, oparła dłonie na kolanach i przez chwilę łapała dech. - Przez ich zaklęcia mógłby paść cały gród!

Schylona nad wodą, widziała spływające rzeką pasma zielonkawej krwi. Spozstrzegła też coś jeszcze - swój własny cień. Wyprostowawszy się szybko, spojrzała w niebo. Mgła szybko się rozpraszała. Wiatr i promienie słońca rwały złowrogie pasma na strzępy. Gdy kapłani Zury legli trupem, ich czar łatwo został zniweczony przez siły życia, których rzecznikami byli święci mężowie Silvanostu. Dla Vixy i jej oddziałku nie była to jednak okoliczność pomyślna - przynajmniej nie do końca. Gdy mgła się rozviała i gdy ustała słona ulewa, okazało się, że otacza ich mrowie wrogów. Weterani natychmiast utworzyli koło - ustawivszy się twarzami do wrogów i osłoniwszy się tarczami, sięgnęli po miecze. Vixa wsunęła ostrze do pochwy i wyciągnęła z błota dargonestyjski oszczep. Nie mając tarczy, musiała zaufać długości oręża. Kilkuset nieprzyjaciół natychmiast utworzyło krąg wokół otoczonej grupki wojów z Silvanostu. Vixa cofnęła się do środka i zaczęła wydawać rozkazy głosem, który spokojem i pewnością brzmienia powinien był dodać im otuchy - taką przynajmniej miała nadzieję. Spoglądała też pilnie ku murom. Nadal toczył się tam zacięty bój. Vixa westchnęła krótko, lecz gorąco, prosząc bogów, by Samcadaris przysłał jej jakąś pomoc. Potem zabrakło czasu na wszystko - oprócz pozostawania przy życiu. Dargonestyjczycy opadli ich ze wszystkich stron, jak sfera psów opada dzika. Poobwiązywali sobie głowy i karki wilgotnymi szmatami, słońce jednaki coraz cieplejsze powietrze dość szybko wysuszyły te zabezpieczenia. Księżniczka widziała, jak potężnie zbudowani, błękitnoskórzy wojownicy rozpaczliwie łapią dech, usiłując jednocześnie zetrzeć w proch nieliczną grupkę przeciwników. Dla niej liczyło się teraz tylko to, że ocalili miasto. Warto było zginąć, jeżeli taką ceną okupili zniweczenie czaru złych kapłanów. Napór wrogów był potężny. Vixa krążyła wewnątrz koliska, dźgając oszczepem, gdzie tylko pomiędzy swoimi dostrzegła choć skrawek błękitnej skóry. W końcu ktoś wydarł jej broń z dłoni. Dwaj stojący przed nią weterani runęli na ziemię - zepchnięci po prostu przez napierających zaciekle podmorców. Vixa chciała się cofnąć, ale wpadła na stojących z tyłu. To już koniec, pomyślała. Wyrwawszy miecz z martwej dłoni któregoś z jej żołnierzy, zaczęła walczyć z parą podmorskich oszczepników. W tejże chwili otrzymała z boku uderzenie w głowę. Oszołomiona opadła na kolana, w następnej chwili nogi przygniótł jej jakiś padający ranny Silvanestyjczyk. Na domiar złego, ugrzęzła w błocie. Czuła, że powoli zapada się coraz głębiej. Przez bitewną wrzawę przedarł się potężny głos rogu. Wokół Vixy wszyscy darli się przeraźliwie, powietrze pełne też było szczęku oręża i księżniczka nie mogła określić, czy sygnał pochodził z podmorskiej muszli, czy elfiego spiżu. Spróbowała jakoś dźwignąć się na nogi.

Pożyczony miecz wyslizgnął jej się z dłoni i przepadł gdzieś w błocie. Jeden z jej żołnierzy podniósł nagle radosny wrzask: - Proporce ze srebrnym księżycem! To Eriscodera! Nadciąga pomoc! Opierając się o powalonych wrogów i przyjaciół, Vixa zdołała w końcu wstać. I niemal rozplakała się, ujrawszy na drugim brzegu tysiące jeźdźców i piechurów wezwanych pod broń edyktem Mówcy. Na ich czele gnał elf o płomienistych włosach. Silvanost był uratowany! Na widok tego, co działo się pod murami, Eriscodera i jego jeźdźcy wydali grzmiący okrzyk bojowy i zostawivszy

piechurów, ruszyli do szarży. Jak wichur przemknęli po wyschniętych, spękanych brzegach i nie zwolnili, gdy wypadli na błotniste jeszcze płycizny. Piechota, na którą składały się szeregi odzianych w białe kilty i zbrojnych we włócznie i halabardy włościan, ruszyła zaraz za nimi - czemu towarzyszyły skoczne melodie fletów i żwawy rytm bębenków. Muzyka przetoczyła się nad wąskimi kanałami - wszystkim, co zostało z dumnego niegdyś Thon-Thalas. Vixa zauważyła, że konnica zwolniła w gęstym błocie - ale jeźdźcy niewiele stracili z impetu i nic z zapału. Nie zmierzali jednak ku zachodniej bramie, lecz mierzyli zabójczym klinem w zgromadzenie proporców i bander pośrodku rzeki. - Do ataku, wojownicy z Silvanostu! - wezwała swoich. - Wstawać! Zaledwie tuzin odpowiedział na jej okrzyk. Usłyszawszy okrzyki i rogi Eriscodery, Dargonestyjczycy stracili ducha do walki i na chwilę przerwali napór. Nie bardzo chyba wiedzieli, czym się zająć - skończyć z grupką tych, co pozabijali im kapłanów, czy stawić czoło natarciu elfiej jazdy. Walczący na murach Coryphen również usłyszał zew rogów i serce ścisnęło mu złe przeczucie - poczuł tchnienie klęski. Trzy czwarte jego sił zaangażowane było w zaciekły bój na murach. Wraz ze śmiercią kapłanów Zury znikły magiczne pochylnie umożliwiające dostęp na mury. Walczące na murach jego oddziały znalazły się w potrzasku. Protektor zresztą obiecał swej królowej zwycięstwo i nie cofnąłby wojsk, nawet gdyby pochylnie jeszcze istniały. Był gotów walczyć do ostatka. Gdy jednak ujrzał, że jeźdźcy zamiast przeć ku murom, skręcają w rzekę, gdzie stał namiot Uriony, poczuł, że wszelkie jego nadzieje i ambicje toną w tym przeklętym, otaczającym nienawistny gród błocie. Jego Królowa została sama - do obrony miała jedynie kilku służących! Zapomniał o tym, że ciągle jeszcze kryła ją przynajmniej siedmiostopowa głębia. Ujrzawszy oczami wyobraźni suchawców, rzucających się na jego boską władczynię, postąpił zgodnie ze swymi wyobrażeniami o powinnościach Protektora. Odrzucił broń i wdzięcznym łukiem skoczył z muru w dół, ku wodzie. Dirmenestyjscy najemnicy rzucili się do ucieczki, gdy tylko zobaczyli pierwsze szeregi oddziałów pospolitego ruszenia. Skoczyli w nurty Thon-Thalas i popłynęli ku morzu, zanim

19. Zaginione Opowieści 03 - Dargonesti

jeszcze Coryphen wykonał swój niezwykle widowiskowy skok do rzeki. Dargonestyjczycy z kolei, ujrzawszy, że ich wódz opuszcza pole bitwy, stracili ochotę do walki. Szybciej niż pożar ogarnia suche stopy, rozprzestrzeniła się wśród nich wieść, że przywódca stchórzył. Cofnęli się więc - dając wytchnienie wyczerpanym do cna przeciwnikom - i zaczęli gremialnie ciskać broń na ziemię. Samcadaris, mocno zdumiony, dał rozkaz wstrzymania rzezi i posłał emisariusza, który miał wybadać zamiar przeciwników. Wysłany ku podmorcom oficer wrócił z wieścią, że Dargonestyjczycy chcą się poddać. Marszałek oczywiście zgodził się natychmiast. W towarzystwie adiutantów zszedł na dół z wieży i przyjął kapitulację wrogów. - Uriono! Uriono! - wołał Coryphen. Biegając ku wodzie, zrzucił kirys i resztę zbroi, potem zaś mocno utykając, dobiegł do rzeki i dał nura w wodę. Choć urodzony do pływania, nie zdołał dotrzeć do królowej szybciej niż jeźdźcy. Zajmując jej pawilon, zabili wszystkich służących, którzy stawili opór. Coryphen został otoczony kręgiem wymierzonych weń włóczy, zanim zdołał dostrzec, co stało się z Urioną. Wyciągnął sztylet, by umrzeć jak żołnierz, w walce. W tej samej chwili na placu pojawili się Eriscodera i Gundabyr jadący na jednym koniu z chorążym legata. - Żywcem brać! Żywcem! - zawołał krasnolud. - To ich wódz! Coryphen szarpał się jeszcze, pragnąc dotrzeć do swej władczyni. Szamotał się w sięgającej mu do piersi wodzie, aż opadł z sił. Jeźdźcy nieustannie zagradzali mu drogę do Uriony. Królową tymczasem wyciągnięto z wody i teraz pod silną strażą odprowadzano ją na zachodni brzeg rzeki. Coryphen zrezygnował wreszcie z bezsensownych prób uwolnienia się i opuścił głowę. - P-poddaję się - wycharczał, podając Eriscoderze swój sztylet rękojeścią do przodu. Legat przyjął oręż pokonanego. Zaraz też Coryphena otoczyli jego żołnierze, którzy sprawnie skrępowali wodzowi podmorców dłonie. - Wsadźcie go na konia - polecił Eriscodera. - Przedstawimy lorda Protektora i jego panią Mówcy Gwiazd. Otoczony strażą Coryphen pogalopował ku miastu, Eriscodera zaś razem z chorążym i jadącym z nim na jednym koniu Gundabyrem wrócili na zachodni brzeg, gdzie piesi trzymali ujętą Urionę. - Czemu ona nosi tę maseczkę? - spytał legat. - Żeby nikt nie mógł spojrzeć na jej twarz - wyjaśnił ponuro krasnolud. - Ci, którzy ośmielili się to zrobić, byli zabijani. - Obłuskać ją? spytał jeden z żołnierzy, uśmiechając się szeroko. Uriona zeszywniała, słysząc tę niesłychaną - w jej mniemaniu - obrazę.

- Skądże znowu! - uciął Eriscodera. - Macie okazywać Jej Królewskiej Mości wszelką uprzejmość. Nikomu me wolno jej tknąć, dopóki o jej losie nie postanowi Mówca! Zrozumiano? - Żołnierz, który niefortunnie się odezwał, kiwnął szybko głową. Gdy Eriscodera i jego wojownicy dotarli do bram Silvanostu, miasto uległo całkowitemu przeobrażeniu. Tam, gdzie godzinę temu na ulicach znalazłoby się tylko wojowników, tłoczyły się tysiące uszczęśliwionych zwycięstwem elfów. Z każdego okna sypały się na wkraczających kwiaty napełniające powietrze słodkimi woniami. Vixa i jej maleńki już oddziałek pierwsi weszli do grodu i na nich pierwszej skupiła się radość i wdzięczność społeczności. Zaraz potem wjechali w bramę jeźdźcy Eriscodery, zabłoceni, lecz uradowani i wiodący na powrozie pojmanego Coryphena. Jeniec nie spojrział nawet na księżniczkę - krzywił się za to i łypał spode łba na wiwatujące tłumy, które radośnie witały zwycięskich ziomków. Wódz podmorców z obrzydzeniem otrząsał się też z opadających nań kwiatów. Wojownicy trzech pieszych legionów, które nawet nie wzięły udziału w boju, również uśmiechali się szeroko, wkraczając do miasta. Potem pojawił się sam Eriscodera, jego chorąży i wózek, na którym wieziono pojmaną Urionę. Legat już wcześniej był ulubieńcem tłumów, które teraz niemal oszalały z radości na jego widok. Gawiedź runęła do przodu, rozrywając szyki wojska, i niewiele brakowało, by

Eriscodera został zgnieciony przez rozradowanych wielbicieli. Vixa pomachała dłonią Gundabyrowi, który zdążył już zsunąć się z konia i teraz przeciskał się ku niej przez tłum. - Mistrzu kowalski! - odezwała się spokojnie, ściskając mu rękę. - Jakaż odmiana losu! Trudno uwierzyć! - Tak bywa, pani. - Pokazał jej sztylet Coryphena. - Niebieskurczybykowie dostaną, co im się należy! Pospolitycy Eriscodery rozepchnęli wreszcie otaczający go tłum i utorowali przejście dla niego i pojazdu wiozącego Urionę. Za nimi pokazali się wojownicy, którzy bronili miasta wcześniej, przed przybyciem legionów pospolitego ruszenia. Marszałek Samcadaris wiódł swoich znużonych walkami weteranów w kolumnie czwórkowej podzielonej na dwa duże oddziały. Pomiędzy nimi maszerowali pojmani podmorcy - ponad trzy tysiące luda. Wszyscy byli skuci kajdanami - i ponuro powieszali głowy, ignorując całkowicie haniebną dla nich ulewę sypiących się im na łby kwiatów. Vixa i Gundabyr szybko dołączyli do Samcadarisa, biorąc mimo woli udział w naprędce zorganizowanym tryumfie. Marszałek wyglądał na lekko zagubionego i zbitego z tropu. Vixa położyła mu dłoń na ramieniu i spytała, jak mu się to wszystko podoba. - Trochę zgłupiałem - przyznał szczerze. - Wierzyłem, oczywiście w nasze ostateczne

zwycięstwo, nie spodziewałem się go jednak tak szybko i że będzie tak druzgoczące! Vixa nie bez zdziwienia zauważyła, że tłum znacznie goręcej witał Eriscodere i jego legiony niż Samcadarisa i dzielnych obrońców. Ot durnie, cudze chwalicie, swego nie znacie, pomyślała. Szalejecie z radości na widok obcych wojaków, których jedynym atutem było to, że zjawili się w porę, nie potraficie natomiast docenić wysiłku ziomków, którzy na waszych oczach ciężko i uporczywie odpierali wroga. Pojmani Dargonestyjczycy zostali odprowadzeni do Wieży Obrońców. Umieszczono ich tam pod silną strażą i dano wodę. Samcadaris poświęcił na to połowę swoich oddziałów. On sam i reszta ruszyli do Pałacu Quinari. Gdy przybyli na miejsce, wszędzie na placach wokół tłoczyły się tysiące gapiów. Mówca Elendar, siedzący w wyścielanej jedwabiem lektyce ustawionej na szczycie pałacowych schodów, przyjmował właśnie od Eriscodery meldunek o zakończeniu bitwy i oblężenia. Tłum rozstał się szybko, by przepuścić Samcadarisa, Vixę i Gundabyra. Przeciąwszy plac, trójka przybyszów podeszła do schodów. Stał tam już Coryphen ze skrępowanymi mocno ramionami. Obok niego, ciągle zamaskowana, stała Uriona. Powóz, którym ją tu przywieziono, odjechał. Zwycięzcy ruszyli schodami w górę. Tłum uciszył się wreszcie - w samą porę, by Samcadaris mógł złożyć Mówcy zwięzły opis ostatniej bitwy. Vixa, okryta błotem, kurzem i krwią, uśmiechnęła się tryumfalnie do Elendara. - Jak zdrowie Waszej Miłości? - spytała. - Powiedziano mi, że nie pożyję dłużej niż jakieś cztery, może pięć... setek lat - zażartował Mówca. - Jakież piękny prezent przywiedli mi moi wojownicy... Ten tam drab, to osławiony Coryphen, jak sadzę, a owa zamaskowana dama musi być jego królową. - Uriona - stwierdziła Vixa. - Samozwańcza bogini... - A... więc zajrzenie jej w twarz jest świętokradztwem? Cóż... mości marszałku, zdejmij jej tę maseczkę. Niech cały Silvanost nasyci się widokiem oblicza bogini. - Sir, szczerze odradzam - wtrąciła szybko Vixa. - Jakkolwiek pokonana, jest potężną czarodziejką. Publiczne upokorzenie władczyni może leż wzburzyć jeńca. - Hm... rozumiem. Cóż, w takim razie... wracam do Wieży Gwiazd. Przywiedźcie ich przed moje oblicze, ale oddzielnie. Podniósł dłoń i czterej tragarze dźwignęli lektykę z ziemi. Mówcę przeniesiono przez plac do Wieży. Samcadaris i Eriscodera wrócili do więźniów. - I cóż teraz będzie? - spytał Gundabyr. - Przyjacielu, wiem tyle samo, co ty - odpowiedziała Vixa. - Nie mam pojęcia, co planuje Mówca ani dlaczego nie kazał zamknąć ich po prostu w lochach.

Po odejściu wodzów tłum zalegający place i ulice zaczął się rozpraszać. Owszem dyskutowano o wydarzeniach dnia, większość mieszczuchów jednak spokojnie rozeszła się do swych domostw. Gundabyr i Vixa obserwowali to wszystko z niemałym zdziwieniem, oboje też potrzęsali głowami. Vixa zaś, która jeszcze niedawno uważała, że Silvanestyjczycy nie bardzo różnią się od jej rodaków,

zaczynała pojmować, jak w istocie inne od siebie są obie połowy elfiego narodu...

Rozdział 24 - Dziwna sprawiedliwość Mówca zajął swe miejsce na szmaragdowym tronie Silvanostu. Był blady i mocno wymizerowany. Pod warstwami jego uroczystych szat widać było wstęgi bandaży. Obok tronu stał młodzieniec trzymający puchar ze słynnym elfim nektarem, gotów podać go władcy na pierwsze skinienie. Urionę odprowadzono gdzieś na bok i w sali jej nie było. Na podwyższeniu przed tronem stał dumnie wyprężony Coryphen. Ktoś podał mu puchar wody, która teraz spływała wąskimi strumyczkami po puklach jego zielonych włosów i w dół po sponiewieranym mocno pancerzu. U jego boków stali Samcadaris i Eriscodera, obaj z dłońmi na rękojeściach mieczów. Vixa i krasnolud obeszli bokiem całą trójkę i zatrzymali się przy młodym podczaszym. - Lordzie Coryphenie, cóż powiesz na swoją obronę? - spytał Mówca. - Nic - brzmiała zwięzła odpowiedź. - Wygrałeś. Ja przegrałem. To wszystko. - Dobrze powiedziane. Nie cierpię długich i bezcelowych przemówień. Zechciej mi powiedzieć, kuzynko - zwrócił się Elendar do Vixy - cóż mam począć z tym fantem? Vixa tylko przez chwilę rozważała odpowiedź. W spojrzeniu, jakim obrzuciła jeńca, nie było krzty litości - Panie, zbyt niebezpieczny to przeciwnik, by go puścić wolno lub darować zdrowiem. Ja kazałabym go ściąć. - Je też - dodał Gundabyr, który zdążył się już przypiąć do trzymanego przez młodzieńca pucharu i teraz ocierał wargi grzbietem dłoni. Zaraz potem wyciągnął rękę po następny kielich. - A co ty powiesz, mości marszałku? Znużony Samcadaris odetchnął głęboko i pucz chwilę rozważał pytanie. - Wielki Mówco, o ile wiem, jeniec był tylko narzędziem w ręku prawdziwego wroga. Należy mu się trochę łaski. Zamknij go, panie, w lochu na resztę jego żywota. - A ty, mości legacie, co powiesz? Jako ten, kto go pojmał, masz prawo do wygłoszenia swej opinii - odezwał się Mówca Gwiazd. Puść go, panie, na słowo odezwał się Eriscodera bez wahania. Vixa i Gundabyr spojrzeli nań ze zdumieniem, a krasnolud omal nie udławił się haustem z trzeciego już pucharu. - To śmieszne! - zawołała Vixa. - I dlaczegóż mielibyśmy go wypuszczać? Legat, ignorując dziewczynę, zwrócił się wprost do Mówcy: - Najjaśniejszy Panie, Coryphen nie jest już wodzem pokonanej armii - i przestał być groźny. Jeśli odeślemy go do domu, popadnie w niełaskę u własnego ludu. Nie musimy się troskać o to, jak go tu uwięzić. on zaś nie sprawi nam już kłopotów.

Może i było coś w tym, co mówił Eriscodera, Vixa jednak czuła wewnętrzny bunt, przeciwko pomysłowi puszczenia Coryphena wolno. Przemówiła przeto, wspominając liczne przewiny Protektora, począwszy od zatapiania statków wraz z załogami, wtrącania w niewolę wolnych elfów i ludzi oraz zabójstwa wielu więźniów. Dodała do tego zniszczenie Thonbec i śmierć licznych mieszkańców Silvanostu - jedynym zaś powodem tych zbrodni były chorobliwe ambicje szalonej królowej. Podczas tej długiej i pełnej pasji mowy oskarżycielskiej Coryphen stał wyprostowany - jakby dumny z czynów, które mu zarzucano. - Dość! - uciał w końcu Mówca. - Nie trzeba mi dalszych dowodów. Wierzę ci i jestem przekonany, iż Lord Coryphen popełnił te zbrodnie, jakie mu, kuzynko, przypisujesz. Weźcie go i dobrze zamknijcie, dopóki nie spodoba nam się postanowić o jego dalszych losach. - Czterech gwardzistów podeszło i wzięło więźnia między siebie. Zanim go wyprowadzono, zdążył wymienić z Vixą butne spojrzenie - i księżniczka zaczerwieniła się z wściekłości, przekonując się, że pojmanie i niewola nie zmniejszyły jego arogancji ani zuchwałości. Po tym, jak gwardziści wywiedli Coryphena do lochu, Mówca cofnął się nieco i oparł plecy o tron. Zaraz też podbiegł do niego uzdrowiciel z fiolką jakiejś żółtawej mikstury. Elendar wypił, odkaslnął i wyprostował grzbiet. - Przyprawadźcie królową Urionę - polecił. Samcadaris i Eriscodera udali się do jednej z niewielkich bocznych alków i wrócili z Królową podmorców. Jej srebrzysta szata dawno już wyschła, ale utkane z nici jedwabistych małżów suknie były gładkie i nietknięte - jakby Uriona cały dzień siedziała bez ruchu na tronie. Trzymała się dumnie i wyniośle - całą twarz, z

wyjątkiem oczy skrywała pod maską. Stała w odległości paru kroków od tronu. - Twoje plany spełzły na niczym - zaczął Mówca. - I cóż nam z tobą począć? - Nie próbuj mi przeszkodzić - zaperzyła się Uriona. - Jestem boginią mórz! - Ha! Gotów byłbym się założyć, że - niestety - już ci przeszkodziłem. Co się tyczy twojej boskości... wystarczy, że nam ją zademonstrujesz i znikniesz nam sprzed oczu - przerwał i pochylił się ku przodowi. - Nie krępuj się, proszę... chętnie to zobaczymy... Vixa ujrzała, jak nabrzmiewają mięśnie na szczękach Uriony - ale nic się nie stało. Wśród zgromadzonych w sali dam i dworaków tu i ówdzie rozległy się stłumione śmiechy. Niewiele brakło, a księżniczka zaczęłaby współczuć zdetronizowanej władczyni. - Widzę, że postanowiłaś zostać z nami - odezwał się Mówca. - W takim przypadku potraktuję cię jak gościa. Goście zaś nie kryją swoich twarzy przed gospodarzami. Co innego boginie... ale ty nią - jak rozumiem - nie jesteś. Zdejmę ci więc tę maseczkę. Vixa wstrzymała dech. Na długą chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. W chwili, gdy

Mówca miał już rozkazać gwardzistom, by zdjęli maskę Urionie, była podmorska władczyni drgnęła i powoli odsłoniła swe oblicze. Jej pięknie rzeźbione rysy były pozbawione wyrazu niczym rysy posągu. Na Mówcy spoczęło nieruchome spojrzenie fiołkowych oczu, kryjących się w cieniu gęstych, srebrzystych brwi i rzęs. Nie powiedziawszy arii słowa, Królowa wypuściła maseczkę z palców i podniosła dłonie, by wyjąć z włosów ciężkie; szylkretowe spinki. Uwolnione sploty opadły gęstą, lśniącą masą, sięgając niemal kolan. Na ich zwojach igrały teraz promienie słońca, odbijające się od klejnotów zdobiących ściany Gwiazdzistej Wieży. Elendar nawet chyba nie zauważył, że bezwiednie wstał z tronu. Uriona pochyliła głowę, raz jeszcze podnosząc dłoń do włosów - jakby zawstydzona się pokazem własnej urody. Rozpięta między jej palcami błona była tak przezroczysta, że prawie niewidoczna. - Pani... - Mówca odchrząknął i spróbował ponownie. - Pani, wybac mi niegrzeczność... - Masz prawa zwycięzcy - odpowiedziała. Vixa usłyszała sapnięcie stojącego za nią Gundabyra. Nawet odporny na wdzięki niewieście krasnolud był poruszony urodą królowej. Na księżniczce Qualinostu nie zrobiła ona jednak żadnego wrażenia. Usiłowała rozszyfrować twarz Uriony. Czy malowało się na niej zawstydzenie? Zakłopotanie? Wątpiła, czy królowa podmorców zdolna jest do jednego i drugiego. Mówca usiadł ciężko na tronie, a ból w zranionym boku przypomniawszy mu natychmiast, że na razie przynajmniej powinien unikać gwałtownych ruchów. - Posłuchanie skończone - oznajmił, skrzywiwszy się nieznacznie. - Odejdźcie wszyscy. Dworacy pochylili się w ukłonie i jeden po drugim zaczęli wymykać się z sali. - Sir? - spytał Samcadaris. - Co zrobić z branką? - Weź ją... zaprowadź ją do Wieży Hermathay. Zadbaj tam o wszelkie wygody i bezpieczeństwo branki. Dopilnujesz tego osobiście, marszałku. - Tak będzie, Wielki Mówco. Kapłani i kapłanki Silvanostu uwolnili wreszcie rzekę z magicznych pęt i okowów - choć proces z natury rzeczy musiał być długi i powolny, przeprowadzać go zaś trzeba było z wielką ostrożnością. Przez całą noc i następny dzień wody Thon-Thalas podnosiły się stopniowo, aż wreszcie wieczorem rzeka wypełniła zupełnie swe dawne koryto. Vixa siedziała w swojej komnacie i obserwowała przybór wód przez okno. Wykąpana, nakarmiona i odziana w czyste szaty, mogłaby tak tkwić przy oknie godzinami. Z nadejściem

wieczoru nie zadała sobie nawet trudu zapalenia świateł - zamiast tego pozwoiliła, by jej komnata z wolna wypełniła się mrokiem. Gdy na ciemnopurpurowym niebie zaczęły błyskać pierwsze gwiazdy, do drzwi jej komnaty ktoś zapukał łagodnie. - Proszę. - Nie chciało jej się nawet odwrócić, by zobaczyć kto wszedł. - Kuzynko... Vixa poznała głos Mówcy. - Najjaśniejszy Panie... - Szybko poderwała się z ustawionego przy oknie fotela. - Ależ kuzynko... nie poznaję cię - stwierdził Elendar z dobroduszną kpina w głosie. Vixa zrezygnowała z żołnierskiego munduru na rzecz wygodniejszej i luźniejszej sukni, jakie nosiły ostatnio Silvanestyjskie arystokratki. Czuła zresztą, że zasłużyła sobie

na odrobinę zbytku - za jaki zresztą uważała suknię ze złotogłowiu. Mówca podszedł bliżej, opierając się na ozdobnym posochu i lekko utykając. Vixa podsunęła mu fotel, co Elendar przyjął bez komentarzy i z widoczną ulgą. Władca wschodnich elfów obserwował ją przez chwilę, a w jego migdałowych oczach tańczyły iskierki rozbawienia. - Teraz podobieństwo jest jeszcze wyraźniejsze - mruknął jakby do siebie. - Podobieństwo do kogo, panie? - Do twojego dziada, Kith-Kanana. Jeśli zechcesz sobie przypomnieć, on i mój ojciec byli bliźniakami. Bardzo jesteś doń podobna... i nie tylko z wyglądu. Vixa poczuła lekkie zakłopotanie. - Przyznam, że jakoś tego nie dostrzegałam. Moja babka, Suzine, była kobietą z rasy ludzi i niektórzy - w tym niekiedy i ja sama - dostrzegają tylko to i nic więcej. - Podała Mówcy puchar nektaru, on jednak uprzejmie odmówił. - Co cię tu sprowadza, Wielki Mówco? - spytała po chwili niezręcznego milczenia. Teraz on z kolei poczuł coś na kształt skrępowania. - Chciałbym... eee... dowiedzieć się, jakie jest twoje zdanie w niektórych... eee... sprawach. - Na przykład, chcesz, panie, wiedzieć, CO myślę o królowej Urionie? - Hrmpf... tak... - odparł, odchrząknawszy lekko. - Jaka jest twoja opinia o tej kobiecie... - Jest szalona, niebezpieczna, żadna władzy i powinno się ją do końca jej żywota osadzić w więzieniu. - Owszem, owszem, ale co o niej myślisz? Vixa zmarszczyła brwi. - Obawiam się, że nie rozumiem... - Kuzynko, czy nie sądzisz, że ona jest... piękna? Słowa władcy wprawiły Vixę w osłupienie - więc o to chodzi! Nie zdobyła się na żadną odpowiedź. Oczywiście, że Dargonestyjka była urodziwa, ale jakież to miało związek ze sprawą

losu Uriony jako jeńca? - Kuzynko, podróżowałaś daleko i szeroko... jesteś światową damą - ciągnął Mówca. - Wiesz, jak toczą się sprawy tego świata. Moi doradcy naciskają nieustannie, bym się ożenił... od koronacji niemal nie zamykają im się gęby. Małżeństwo stabilizuje władzę - gęgają o tym, jakby się umówili. Nigdy jednak nie spotkałem panny, która choć przelotnie by mnie zainteresowała. Damy na dworze potrafią jeno chichotać i oddawać się plotkom. Kiedy przybyłaś na nasz dwór, myślałem nawet o tym, czy cię nie poprosić, byś została moją żoną... - Ja?! - Czemu nie? W twoich żyłach płynie królewska krew, jesteś dzielna i szlachetna... dość urodziwa... - Pokorne dzięki... - nie wytrzymała. Mówca uśmiechnął się ciepło i Vixa pojęła, że miał to być po części żart. Potem spoważniał. - Nie trap się, pani, to były tylko takie igraszki myślowe..., szlachta i kapłani nigdy nie dali by zgody na to, by na tronie Silvanostu zasiadła Qualinestyjka. Zbyt wiele goryczy i nie wyjaśnionych spraw zostało od czasu wojen, rywalizacja pomiędzy Kith-Kananem a moim ojcem zaszła za daleko... Królowa Uriona zaś to zupełnie inna sprawa... - głos Mówcy zawisł w powietrzu. Tym razem Vixa nie zdołała ukryć zdumienia. - Królowa Uriona? Zamierzasz ją poślubić? - spytała niemal łamiącym się głosem. - Nie możemy jej ot, tak, uwolnić. Jakież zaś znajdziesz lepszy sposób, by mieć ją na oku? Nie ma tu żadnych sprzymierzeńców, nie popiera jej ani jedna, żadna wpływów frakcja. Pochodzi z rasy elfów, w jej żyłach bez wątplenia płynie królewska krew i - Mówca poruszył się niespokojnie - jest bardzo piękna. Dlaczegoż nie rozważyć myśli o małżeństwie? - Bo ta kobieta jest na wskroś przesiąknięta złem! - zawołała Vixa, podrywając się z miejsca. - Bo jest potężną czarodziejką zdolną do najgorszej zdrady i przewrotności! - Na twarzy Mówcy odmalował się w tej chwili niesmak i Vixa zmusiła się do zachowania spokoju. Nie krzyczy się na Mówcę Gwiazd, nawet jeśli przemawia jak idiota! Usiadła. - A jakież znajdziesz lepsze miejsce do trzymania tak znacznego wroga? - spytał spokojnie Mówca. - Nie znajdzie tu zwolenników, a magowie Silvanostu bez trudu poradzą sobie z jedną królową podmorców. - A jak wygląda sprawa sukcesji tronu? - spytała Vixa, próbując rozważyć sprawę z innej strony. - Silvanestyjczycy nigdy nie zaakceptują natronie mieszańca, czy nie tak? - Mieszaniec czy nie, żaden z moich potomków nigdy nie zostanie Mówcą. Ustalono to już dawno temu. Kiedy umarł mój brat, poprzedni Mówca, poproszono mnie, bym przyjął regencję w

imieniu i na korzyść najstarszego bratanka, ja jednak odmówiłem. Wtedy sekretna rada ofiarowała mi tron Mówcy pod warunkiem, że zgodzę się wyznaczyć dziedzicem tronu bratanka, przedkładając go ponad swoich potomków - choć wtedy jeszcze ich nie miałem. Przyjąłem tę propozycję. Zawłóści Silvanestyjskiej polityki wewnętrznej przyprawiły Vixę niemal o ból głowy. Nie potrafiła znaleźć żadnego argumentu, który przekonałby Mówcę. Najwidoczniej dobrze sobie tę sprawę rozważył. Księżniczka wzruszyła więc ramionami. - Panie, postępuj tak, jak doradza ci rozum i prawość. Uriona nigdy cię nie pokocha - ona miłuje jedynie siebie samą. Może nawet uciec się do próby zabójstwa - zechce bowiem zagarnąć tron dla siebie. Jeśli potrafisz pogodzić się z tą świadomością... cóż, nie mnie ci się sprzeciwiać. - Cenię sobie twoją szczerłość, kuzynko - Mówca usiadł nieco wygodniej, - Nie sądź, że nie zdaję sobie sprawy z wad i niedostatków Uriony. Myślę jednak, że ją poślubię. Będę miał królową z wyboru serca i stłumię opory możnych, a wyznam ci też, że zamierzam żyć długo... Dobranoc, pani. Następnego ranka cały pałac wrzał od ploteczek, że Mówca gwiazd oświadczył się królowej Dargonestyjczyków. Wielu nie kryło swego zdumienia, niektórzy zaś ze starszych dworaków przebąkiwali, że coś takiego z pewnością nie mogłoby się zdarzyć za dni Mówcy Sithasa. Ponieważ jednak sprawa sukcesji dawno już została ustalona, decyzja Elendara nie miała na nią żadnego wpływu. Kiedy minęła pierwsza fala zdumienia, większość dworzan poparła Mówcę. Szybko ustalono, że ślub odbędzie się za miesiąc. Zaraz też zajęto się naprawą uszkodzeń w mieście, tak by stolica, która nawet bez dodatkowych starań cieszyła się sławą niezwykle pięknego grodu, oszołomiła gości swym urokiem. Wszyscy jak jeden mąż z niecierpliwością oczekiwali wspaniałych uroczystości. Gundabyr nie umiał się z tym pogodzić. - Czas mi wracać do domu - rzekł smętnie. - Swego czasu bywałem świadkiem dziwacznych mariaży, nigdy jednak nie słyszałem o takim, w którym panna młoda szturmuje przed ślubem gród przyszłego oblubieńca! Vixa nie zamierzała się sprzeczać. - Nie chcę tu zostać i patrzeć, jak spełnia się marzenie tej wiedźmy. Może nie będzie królową wszystkich elfów, ale z pewnością zostanie królową Silvanostu! Poszli więc pożegnać się z Mówcą. Dowiedziawszy się o ich wyjeździe, Mówca zaczął i m udowadniać, że powinni jeszcze trochę zostać. - Odbędzie się tu wielka uroczystość ślubna. Dziesięciodniowa uczta! Wezwano najprzedniejszych aktorów, kuglarzy i bardów. Kapłani wnoszą nad rzeką kaplicę ze szkła, w której odbędzie się ceremonia! Przynajmniej to powinniście

zobaczyć. Gundabyr - by rzec prawdę - niemal dał się skusić. Dziesięciodniowa uczta i najlepsze trunki z piwnic Mówcy, to nie jest coś, co łatwo się odrzuca. Doszedł jednak do wniosku, że obecność Uriony zepsuje mu smak potraw i skwasi najszlachetniejsze napitki. Oboje wymówili się zatem grzecznie, lecz stanowczo. Mówca zajął się zatem obsypywaniem swoich nowych przyjaciół podarunkami - słudzy wniesli więc klejnoty i bogatą odzież. Wśród podarunków znalazły się i soczewkowe szkła dla Gundabyra. Potem spytał odjeżdżających, jakim sposobem zamierzają dostać się do domów. - Na piechotę? - spytał krasnolud. - Konno - odpowiedziała Vixa. - Jeżeli, oczywiście, pożyczysz nam konie, Najjaśniejszy Panie. - Niczego takiego nie zrobię. Dostaniecie gryfa z królewskich stajen. Polecicie szybciej niż wiatr. Ucisnął dłonie Gundabyrowi, Vixę zaś objął serdecznie. Dziewczyna chętnie oddała mu uścisk. - Niech bogowie mają cię w swej pieczy. kuzynko - powiedział Mówca ze wzruszeniem w głosie. - Mistrzu Gundabyrze... ty i księżniczka Vixa będziecie zawsze mile widziani w granicach mego kraju... zawsze... Raz jeszcze mu podziękowali i odeszli. Wyszedszy na plac, oboje stwierdzili, że zapowiada się piękny dzień. Vixa spojrzała ku Wieży Ochrony i na jej czole pojawiła się zmarszczka. - Została mi jeszcze jedna sprawa do załatwienia - powiedziała Gundabyrowi. -- Spotkajmy się za godzinę przy stajniach. - Jak sobie życzysz, Księżniczko. Podeszedszy do Wieży, Vixa weszła do niej bez przeszkód. Silvanestyjska szlachta nie darzyła jej sympatią, prości żołnierze pokochali jednak jej odwagę i prawość.

Dziewczyna szybko odnalazła Samcadarisa i poprosiła go o przysługę. - Pani, racz tylko wyrazić życzenie - powiedział po prostu marszałek. - Chciałabym pomówić z Coryphenem. Prośba księżniczki zdumiała marszałka. - Nie zamierzasz chyba wyrządzić mu krzywdy... Powierzono go mojej pieczy. - Nawet go nie dotknę - obiecała Vixa. Razem wspięli się po schodach na najwyższe piętro i przeszli do jednej z wież narożnych. Pośrodku okrągłej komnaty utworzono tu magiczny, szklany i cylindryczny zbiornik, szczelnie

zamknięty, posiadający jedynie z wierzchu liczne otwory wielkości palca. Zbiornik wypełniono wodą, bo w nim właśnie trzymano Coryphena. Były władca podmorców poruszył się niespokojnie na widok wchodzącej do komnaty księżniczki. Miał na sobie żołnierski przyodziewek, choć zdjęto mu zbroję. Vixa podeszła bliżej. - Czego chcesz? - spytał szorstko w elfiej mowie. Jego głos tłumiła nieco woda i szkło, Vixa jednak bez trudu go rozumiała. - Przyszłam się pożegnać. Wracam do domu. Usłyszawszy te słowa, Coryphen podniósł głowę i obdarzył ją osobliwym spojrzeniem. - Do Urione? - spytał po chwili. - Do Qualinostu - poprawiła. - Dlaczego myślisz, że wracam do morza? - Bo jesteś teraz morską siostrą i w końcu nie oprzesz się wezwaniu. Vixa parsknęła śmiechem. - W Thonbec, kiedy chodziło o moją wolność i życie, okazało się, że nie potrafię już przekształcać swego ciała. Nie mogłam zmienić się w delfina. - Głupia dziewczka... Czy delfiny żyją w i rzekach? Przemiana możliwa jest jedynie w morskiej wodzie. - To już i tak nie ma teraz znaczenia. Przyszłam tu, by podzielić się z tobą radosnymi nowinami, których pewnie nikt inny nie uznał za konieczne ci przekazać. - Jakież to nowiny? - Za miesiąc Uriona poślubi Mówcę Gwiazd. Gdyby rąbnęła podmorca maczugą, nie ugodziłaby go boleśniej. Na jego twarzy pojawiło się zaskocz nie, wściekłość, rozpacz... i nagle Coryphen ponownie wdział na oblicze maskę obojętnego na wszystko więźnia. - To łgarstwo - rzekł wreszcie. - Mówisz to tylko po to, by mnie zranić. - Za miesiąc sam usłyszysz stąd weselne pienia i dźwięki fletów - powiedziała Vixa, wzruszając ramionami. - Uriona nigdy cię nie kochała, mój pocziwcze. Byłeś tylko sposobnym narzędziem jej planów. Kiedy pojawiła się lepsza okazja, wczepiła się w nią oburącz. - Qualinestyjka podeszła bliżej i stuknęła palcem w ścianę szklanego zbiornika. - Rozważ to sobie, Lordzie Protektorze. Porozmyślaj o przyjemnościach, jakich nie będzie sobie żałowała Uriona w pałacu u boku Mówcy Gwiazd, podczas gdy ty do końca żywota będziesz tkwił w tym szklanym słoju. Gniewny rumieniec zniknął z twarzy Coryphena, ustępując miejsca śmiertelnej bladeści. Vixa odwróciła się ku wyjściu - powiedziała swoje i nie chciała tu dłużej pozostawać. Wołała, by nic nie psuło jej uciechy. Wystarczyło, że pomyślała o Armantaro, Harmanutisie, Vanthanorisie i innych, którym nie będzie dane wrócić do Qualinostu - a wszelkie wyrzuty sumienia znikły jak

poranna mgiełka w promieniach słońca. Niech Coryphen tak sobie siedzi w tym kryształowym słoiku i rozpamiętuje, jak jego ukochana bierze ślub z innym. Zeszła niżej, by pożegnać się z Samcadarisem. W połowie schodów usłyszała głośny łoskot na górze, po którym rozległ się chłopot strumienia wody. Obok niej popłynęły w dół pienne strugi. Dziewczyna nasłuchiwała przez chwilę. Gdzieś wyżej ktoś wydał głośny okrzyk... który nagle się urwał. Twarz księżniczki była mroźna jak powierzchnia srebrnego miesiąca. Dotarłszy na parter, zobaczyła wybiegających spieszenie na dziedziniec wojowników. Poszła za nimi. U drzwi znalazła Samcadarisa. - To Coryphen! - zawołał. - Zdołał jakoś wyrwać się ze swojej klatki i... wyskoczył oknem. - Żyje? - Samcadaris pokręcił przecząco głową. - To dobrze - mruknęła Vixa. Samcadaris spojrział na nią bystro i uważnie. - Co mu powiedziałaś, pani? - spytał po chwili milczenia. - Powiadomiłam go tylko o tym, że Mówca wkrótce będzie się żenił. Na twarzy marszałka pojawiło się zdumienie. - Powiedziałaś mu... - Coryphen sam wybrał swoją drogę, od Watermere aż do tej wieży - odparła zimnym głosem. - Nie będę go żałować ni nosić po nim żałoby. Marszałek Silvanostu patrzył na nią jeszcze przez chwilę,

po czym uczynił osobliwą rzecz - oddał jej wojskowe honory. Vixa odpowiedziała podobnie, a gdy przemówiła, z jej głosu znikły wszelkie ślady poprzedniego chłodu. - Jesteś szlachetnym elfem, Samca. Dziękuję za to, żeś mi uwierzył, tam na plaży. Pożegnali się ciepło i Vixa ruszyła ku królewskim stajniom. Czekał już tam na nią osiodłany rosły, piękny gryf. Miał szlachetną orlą głowę, szyję i skrzydła - ale korpus i zadnie łapy lwa. Piękny lwi ogon siekł powietrze za zwierzęciem, zdradzając jego niecierpliwość. Z boków siodła umieszczono juki, wypełnione zapasami żywności i darami. Trzymając się jakby na uboczu, stał Gundabyr, który co chwila obrzucał gryfa nieufnym spojrzeniem. - Mamy podróżować na czymś takim? - spytał. Ponieważ stajenni właśnie dopinali pod brzuchem gryfa popręgi siodła z wysokim oparciem, wyprawa na nim była już przesądzona. - O co chodzi? - uśmiechnęła się Vixu. - Boisz się lotu, czy co? - Poradzę sobie w każdej sytuacji, pod warunkiem, że nie każesz mi nurkować. - Krasnolud zrećnie wspiał się na grzbiet gryfa i - nie bez pomocy stajennych - usadowił się w siodle. Vixa zajęła miejsce z przodu. Wielkie zwierzę drgnęło pod ich ciężarem i odwróciło głowę, by się im uważnie przyjrzeć. Jeden ze stajennych podał księżniczce cugle. Oczywiście nie sięgały wędzidła, którego tu nie było. Przyłączono je do skórzanej obejmy na karku zwierzęcia. Qualinestyjska

księżniczka nigdy przedtem nie dosiadała gryfa, postanowiła jednak, że choćby przyszło jej paść trupem, nie da Silvanestyjczykom powodu do satysfakcji. Ujęła więc cugle pewną dłonią. - Jak on ma na imię? - spytała stajennych. - Ona ma na imię Lwica, pani - usłyszała gładką odpowiedź. Vixa kiwnęła głową, stajenni zaś cofnęli się o kilka kroków. Księżniczka obejrzała się przez ramię. - Jak tam, krasnoludzie, jesteś gotów? - Gundabyr sapnął potwierdzająco i Vixa lekko poruszyła cugłami. - Naprzód, Lwico! - zawołała. Bestia rozpostarła swe wielkie skrzydła, postąpiła parę kroków do przodu i jednym susem uniosła się w przestworza.

Rozdział 25 - Powrót do domu Vixa i Gundabyr polecili prosto do Thorbardinu, gdzie Lwica wylądowała przed Bramą Północną. Księżniczka przywiązała cugle do skały i wespół z Gundabyrem wkroczyła do podziemnego grodu krasnoludów. W rodzinnym domu Gundabyra, w mieście Daewarów, wszyscy członkowie jego rodziny - a była to prawdziwie liczna familia - zbiegli się, by powitać dawno nie widzianego krewniaka i qualinestyjską księżniczkę. Ze smutkiem też przyjęto wieść o śmierci Garnatha. Dwoje przyjaciół rozstało się w najlepszej komitywie, obiecawszy sobie pierwszej wzajemne wizyty. Bardzo liczna rodzinka Gundabyra zaczęła od razu czynić przygotowania do wyjazdu, nalegając, by Gundabyr natychmiast ustalił termin wizyty. Tak mu w końcu się naprzykrzyli, że odciągnął Vixę na bok i mruknął: - Słuchaj, cna księżniczko... a może wyjedziemy od razu? Tylko w dwójkę? Vixa roześmiała się serdecznie i podziękowała wszystkim za ochotę. Wróciwszy do cierpliwie czekającej Lwicy, wsiadła na jej grzbiet i razem podjęły dalszą podróż. Wzbiwszy się w powietrze, przeleciały nad górami i skierowały się na północ. Ich droga wiodła też nad Pax Tharkas - potężnej twierdzy, która strzegła przełęczy pomiędzy Thorbardinem i Qualinostem. Wzniesiono ją wspólnym wysiłkiem elfów i krasnoludów, by uczcić dwustuletnie pokojowe współżycie obu ras. Budowę nadzorował dziad Vixy, wielki Kith-Kanan, którego pochowano tu w podziemnych kryptach. Następnego ranka Vixa i Lwica krążyły już nad Qualinostem. Gród wzniesiono na płaskowyżu pomiędzy dwiema rzekami, płynącymi tu na dnie głębokich jarów. Rzeki łączyły się w jedną u północnego wierzchołka równiny w kształcie regularnego trójkąta. W głównych punktach miasta wzniesiono cztery marmurowe i wykładane srebrem wieże. Łączyły je ze sobą wdzięczne łuki mostów, które otaczały całe miasto. Miejskie budowle wykonano z pysznego, różowego kwarcu, który tysiącnymi iskrami odbijał promienie porannego słońca. Gdy Lwica wylądowała łagodnym łukiem przed Wieżą Słońca, na ulicach miasta pojawiły się tłumy gapiów. Ostatnie wieści, jakie ktokolwiek w Qualinoście otrzymał od Vixy i jej oddziału, przywiózł zaledwie

przed tygodniem ambasador Quenavalen, który w końcu zdołał wrócić do ojczyzny. Wypytawszy u ujścia Rzeki Zielonego Ciernia ergothajskich zbiegów, obwieścił ze smutkiem, że „Wieczorna Gwiazda” wraz z całą załogą przepadła w ławicy dziwnej mgły. Vixa ze smutkiem dowiedziała się więc, że jej statek nie wrócił do rodzimego portu. Poszedł pewnie na dno w uścisku macek krakena.

Na czele ogromnego i nieustannie gęstniejącego tłumu rozradowanych rodaków księżniczka ruszyła do domu Mówcy, gdzie czekali już Kemian Ambrodel i Verhanna Kanan. Pograżeni do niedawna w żałobie po utracie najmłodszego dziecka - i jedynej córki - nie posiadali się teraz z radości, widząc ją całą i zdrową. Uściskom i pocałunkom nie było końca. Pojawił się też sam Mówca Silveran, który osobiście - przy ogłuszających niemal wiwatach tłumu - powitał odzyskaną cudem kuzynkę. Opowieść Vixy trwała długo - bo było co opowiadać. Wydano na jej cześć uroczystą ucztę i świętowano przez cztery dni. Salę biesiadną wypełniły tłumy gości - szlachetnie urodzonych i pospolitaków, elfów, ludzi i krasnoludów - wszyscy zaś zeszli się, by posłuchać o niezwykłych przygodach księżniczki. Każde słowo Vixy pieczołowicie zapisali skrybowie, zaraz też do roboty wzięli się kopiści i w całym mieście rozpowszechniono opis jej przeżyć, tak by każdy, kto nie miał okazji nasycić się opowieścią samej księżniczki, mógł choć przeczytać kopię. Kiedy wreszcie opowieść dobiegła końca, Vixa trafiła w objęcia matki. W orzechowych oczach Verhanny błyszczały łzy. - Córko, byłaś wspaniała! Dam ci pod komendę twój własny legion... co mówię! Dwa legiony! - Dziękuję, mateczko, ale wstrzymaj się z tym, przynajmniej na razie. - Vixa usiadła i wyciągnęła przed siebie dłoń z pustym pucharem. - Widziałam i przeżyłam dość, by wypełnić przygodami kilkanaście żywotów. - Ależ córko... udowodniłaś przecież, że świetnie się sprawiasz jako wódz! Armia... - Mateczko, wiesz, czego mi naprawdę trzeba? - Verhanna potrząsnęła głową. - Muszę zaszyć się w jakiejś głuszy przynajmniej na miesiąc! Większość zebranych gości przyjęła to oświadczenie śmiechem - uśmiechnął się nawet poważny zazwyczaj Mówca. Verhanna jednak nie wyglądała na rozbawioną. Wróciła na swoje miejsce pomiędzy Mówcą a małżonkiem i przez resztę wieczoru zachowała posępne milczenie. W końcu wreszcie Vixa znalazła się w swojej komnacie. Rozglądała się właśnie, usiłując na nowo przywyknąć do otoczenia, kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi. - Proszę! - odpowiedziała. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i na progu stanął jej ojciec. - Przeszkadzam? - spytał. - Ależ skądże, ojcze - uśmiechnęła się Vixa. - Wejdz, proszę. Kemian Ambrodel był przystojnym elfem, zaczynającym piątą setkę lat życia. Vixa odziedziczyła po nim barwę włosów i refleksyjną naturę. Verhanna obdarzyła córkę gwałtownym temperamentem i silną wolą. Ojciec przyciągnął sobie krzesło i usiadł wygodnie. Zaczął też bez żadnych wstępów: - Chcę, byś pogodziła się z matką. Niemal oszalała z rozpaczy, kiedy przyszły wieści, że zaginęłaś.

O wszystko obwiniła siebie. Kiedy wróciłaś, odmłodziła chyba o sto lat. - Kemian pieszczotliwym ruchem musnął jasne włosy córki. - Wiesz, ona doszukuje się w tobie mnóstwa własnych cech charakteru. Vixa potrząsnęła głową. - Zawsze wzorowałam się na tobie. - Ale po tym wszystkim, co przeżyłaś, nie możesz zaprzeczyć, że po matce wzięłaś odwagę i gwałtowny charakter. Ona i ja bardzo się od siebie różnimy... a jednak przez te wszystkie lata pozostaliśmy małżeństwem. Nikt się nie spodziewał, że tak długo ze sobą wytrzymamy. - Poślubiła cię po tym, jak pokonałeś ją w pojedynku! - powiedziała Vixa znacząco. Migdałowe oczy Kemiana zmrużyły się w osobliwym uśmiechu. - Dobrze, ojcze - zgodziła się Vixa po chwili milczenia. - Wezmę dowództwo, jakie mi proponuje... ale trzeba mi trochę czasu na odpoczynek... i muszę przemyśleć pewne sprawy. - Na to zgoda, Verhanna z pewnością się nie sprzeciwi. Dobrze będzie zresztą mieć cię trochę w domu... Tej nocy Vixa zasnęła wreszcie we własnym łóżu. Podczas snu jawiły jej się najróżniejsze wizje i obrazy - znajoma twarz Armantaro, fragmenty Bitwy o Silvanost, dzielne czyny Gundabyra... wszystko jednak przytłaczała wizja nieskończenie rozległych wód oceanu. Księżniczka śniła, że śmiga przez

nie w ciele delfina. Wrażenie było tak silne, że obudziła się w środku nocy i niemal bez tchu. Przypomniała sobie słowa Coryphena: - ... jesteś teraz morską siostrą i w końcu nie oprzesz się wezwaniu... Vixa zawinęła się w pościel i ułożywszy wygodniej, przepędziła precz natrętne echo z myśli. Morska siostra? Akurat! Nie tu, w Qualinoście... Resztę lata Vixa spędziła w mieście z rodzicami. Podczas snów nadal dręczyły ją wizje morza. Aby się czymś zająć, komponowała długie listy do Samcadarisa - wysłała go, przywiązując pismo do siodła Lwicy i odsyłając gryfa do domu. W końcu letnie upały ustąpiły chłodowi czerwono-złotych jesiennych poranków. Vixa przyjęła dowództwo Przebiegaczów Głuszy, oddziału zwiadowców krwi kagonestyjskiej, którzy służyli jeszcze pod Kith-Kananem za czasów Wojen Zabójców Rodu. Z obowiązku musiała niekiedy na kilka tygodni zaszywać się w północnych lasach. Przeżywszy pełne przygód lato, sądziła początkowo, że wszystko, czego jej trzeba, to cisza i spokój jakiegoś odległego posterunku - okazało się jednak, że nie czuje się już w lasach tak dobrze, jak niegdyś. Nocami zaś coraz częściej prześladowały ją wizje o morzu... i nie mogła zasnąć. Zima była biała i cicha - jak zwykle w lasach. Vixa spędziła niemal miesiąc w ocieplanym gorącymi ceglami łóżu, powalona chorobą. Dręczyła ją gorączka, podczas której w majakach znów

bląkała się po Grocie Nissii, spierała się z Urioną i Naxosem - co mocno zbijało z tropu uzdrowicieli. Gorączka cofała się niekiedy, ale nadzieje na wyzdrowienie malały z kolejnymi nawrotami choroby. Bywały chwile, w których medycy obawiali się o jej życie, ale młody, zdrowy organizm przemógł w końcu słabość i z nadejściem odwilży Vixa wstała z łóża - choć schudła znacznie, pod oczami zaś zostały jej ciemne kręgi. Wraz z wiosną przybył posłaniec z Qualinostu. Pomędzy innymi pismami przywiózł niezwykle list, zaadresowany do Vixy. Kurier przysięgał, że do Qualinostu dostarczył go gryf, który pewnego mroźnego ranka pojawił się nad miastem. Bestia rzuciła na ziemię zwój pergaminu, na którym widniało imię Vixy. W końcu list trafił jakoś do zaszytej w północnej głuszy adresatki. Drżącymi dłońmi księżniczka rozwiązała jedwabną nić i złamała pieczęć. Stronę wypełniały piękne linie Silvanestyjskiego pisma. Jej Księżęcej Wysokości Księżniczce Vixie Ambrodel Pozdrowienia! Przykro mi, że nie zdołałem wcześniej odpowiedzieć na twój list, księżniczko, ale nie pozwoliły mi na to obowiązki. Trzeba ci wiedzieć, że nie jestem już marszałkiem Silvanostu, który to zaszczyt przypadł obecnie Eriscoderze, znanemu ci wcześniej jako legat. Pomędzy Eriscoderą, Lordem Agavenesem i małżonką Mówcy, lady Urioną, zawiązało się osobliwe przymierze. Wszyscy oni mocno się sprzeciwiają wysiłkom Mówcy, który pragnie odnowić kontakty z Qualinostem. Obawiam się, że przyszłość mojej ojczyzny to dalsza izolacja. Mówca zdradził mi się ze swoją chęcią abdykacji na rzecz swojego bratanka. Czemu Uriona oczywiście, również gorąco się sprzeciwia. Ufam, księżniczko, że dobrze ci się wiedzie. Przykro mi to pisać, ale niekiedy przychodzi mi na myśl, że nasza walka była daremną, ponieważ sprawy tak się obróciły, że jednak włada nami Uriona. No, ale przynajmniej nie położy dłoni na tronie, ponieważ sukcesję linii Silvanosa ustalono już dawno temu. Pozostaję oddanym przyjacielem Samca

Przeczytawszy te słowa, księżniczka wzdrygnęła się mimo woli. Proroctwo Uriony spełniło się - przynajmniej częściowo. W rzeczy samej koronowano ją w Wieży Gwiazd i teraz zasiadała na najstarszym elfim tronie świata. Przyłożyła dłonie do skroni, usiłując masażem złagodzić nieco ból pod czaszką. Niestety, nie ustępował. Trwał już od tygodnia i ogromnie dawał jej się we znaki. Wezwała porucznika. - Przekazuję ci komendę - powiedziała, wypisując rozkaz na skrawku pergaminu. - Od dziś ty dowodzisz Przebiegaczami Głuszy. Kagonestyjczyk nie potrafił ukryć zdumienia i żalu. - Ale dlaczego, pani? Czyżby nadal nie dopisywało ci zdrowie? - spytał. - Nie w tym rzecz. Po prostu nie mogę tu zostać. Zwariuję, jeśli stad nie wyjadę. Spakowała żołnierski worek, wrzucając doń niezbędne w dziczy zapasy i przedmioty, Kagonestyjczyk zaś stał jak porażony

gromem. Szczęry wojak nie potrafił pojąć przyczyn nagłego odjazdu księżniczki. - I co ja powiem Mówcy? A co powiem twej matce, pani? - Zostawię dla nich dwa listy. Wytlumaczę wszystko tak, by nie żywili obaw o mój los. - Nie zamierzała tracić całego dnia na jałowe wyjaśnienia. - Prawdopodobnie wrócę któregoś dnia na krótko, ale nigdy już nie będę dowodziła Przebiegaczami. Jesteś świetnym żołnierzem, Kerridarze. Służba u twojego boku była dla mnie zaszczytem. Uścisnęła mu dłoń, ignorując jego zaskoczenie. Następnie uwiązała worek do łęku i skoczyła na siodło. Jej kasztanek zatańczył lekko i zarżał radośnie. - Żegnaj, Kerridarze! - Żegnaj, księżniczko. Niechaj Astra ci sprzyja! Jechała ku morzu, zatrzymując się tylko na popas. Nie mogła odpoczywać zbyt długo, bo bóle głowy stawały się coraz dokuczliwsze..., tak że wkrótce wytrzymywała je z największym trudem. Gdy tylko ruszała w dalszą drogę, uśmierzały się znacznie. Unikała dróg i wiosek, nie chciała się już z nikim spotykać. Wieczorem trzeciego dnia dotarła na brzeg morza. Przed nią rozpościerała się tylko plaża i dalej bezkresny obszar pokryty falami. Rozkulbaczyła konia i zdjęła mu wędzidło. - Jesteś wolny - powiedziała, poklepując go po barku. Kasztanek parsknął raźnie, odskoczył w bok i zaczął potrząsać łbem - nie nawyki jeszcze do swobody i brakło mu ciężaru wędzidła. Jak się tego spodziewała, ból głowy ustąpił całkowicie. Wszędzie dookoła słyszała nieuchwytnie szepty i szmery. Nie rozumiała słów, dobrze jednak wiedziała, co znaczą. Głosy wzywały ją, by weszła do wody. Vixa cisnęła worek w piach i jak lunaticzka ruszyła ku fałom przyboju. Idąc, pozbywała się odzieży. Choć lato miało przyjść dopiero za miesiąc, woda wydała jej się ciepła i niezmiernie... łaskawa. Weszła nieco głębiej i nagle dała nura strzałką, przebijając dłońmi grzywacze. Rzuciwszy

za siebie ostatnie spojrzenie, zanurzyła się wraz z głową. Przez chwilę wierzgała stopami... aż połączywszy w jedno, przekształciły się w ogon. Nigdy przedtem transformacja nie przyszła jej tak łatwo i nie przyniosła jej takiej ulgi. Teraz doskonale rozumiała otaczające ją głosy. Wszystkie mówiły: - Chodź, Vixo. Chodź, siostrzo. Wróc do domu... Wróc... Zanim zdołała pokonać kilka mil, otoczyły ją delfiny. Morscy bracia okrzyknęli ją po imieniu i zaczęli radośnie płaść wokół niej. - Dlaczego mnie wzywaliście? - spytała w podwodnym języku. - Taka była wola naszego brata i wodza - odparli. Serce Vixy uderzyło szybciej. - Naxosa? - Owszem, Naxosa. On jest naszym bratem i wodzem - przyznał delfin z szarymi plamami na grzbiecie. - Wysłał nas, byśmy ci powiedzieli, że porzuciliśmy miasto. Naszym domem jest teraz ocean... i nie mamy innego. Chodź z nami, siostrzyczko. Zostań małżonką naszego brata i wodza. - A co z Quoowahbami zamieszkującymi Urione? - Mają nowego pana... my jednak wybraliśmy wolność. Chodź z nami, Vixo Sucha Stopo. Udreka i zmęczenie niedawnej podróży opadły z niej jak zniszczony, bezużyteczny płaszcz. Całe jej serce wypełniło się szczęściem. Wezwał ją sam Naxos. Będzie mogła swobodnie przemierzać oceany i żyć w pokoju. Nikt jej nie zmusi, by toczyła wojny... i nikt nie zażąda od niej żadnych służb... chyba że sama natura... Odwróciła się pyskiem ku morzu. - Zawiedźcie mnie do Naxosa - poprosiła swoich braci.